

Murakami  
HARUKI



# Norwegian Wood

przełożyły z japońskiego  
Dorota Marczevska i Anna Zielińska-Elliott

Warszawskie wydawnictwo Literackie

MUZA SA

*GLW*

# 1

**Miałem** trzydzieści siedem lat. Boeing 747 przebił się przez gęstą pokrywę chmur i podchodził do lądowania na lotnisku w Hamburgu. Zimne listopadowe deszcze zabarwiły ziemię czernią i nadały wszystkiemu - załodze naziemnej w pelerynach przeciwdeszczowych, fladze na przysadzistym budynku lotniska, wielkiej reklamie BMW - melancholijny ton flamandzkiego krajobrazu. O rany, znowu Niemcy.

Samolot wylądował, zgasł napis *No smoking* i z głośników pod sufitem zaczęła się sączyć muzyczka: słodka orkiestrowa wersja *Norwegian Wood* Beatlesów. Ta melodia zawsze mnie poruszała, lecz dziś poruszyła mnie znacznie gwałtowniej, wywołała nieomal wstrząs.

Zgiąłem się w pół, objąłem głowę rękami, bojąc się, że za chwilę pęknie, i tak nieruchomo siedziałem. Od razu podeszła do mnie niemiecka stewardesa i spytała po angielsku, czy dobrze się czuję.

- Tak - odpowiedziałem. - Tylko trochę zakreśliło mi się w głowie.

- Na pewno?

- Na pewno. Dziękuję.

Uśmiechnęła się i odeszła. Z głośników dobiegała teraz piosenka Billy'ego Joela. Wyprostowałem się i wyjrzałem przez okienko na ciemne chmury wiszące nad Morzem Północnym. Zastanawiałem się nad tym, co do tej pory utraciłem, nad straconym czasem, nad ludźmi, którzy umarli albo odeszli, nad myślami, które już nie wrócą.

Samolot zatrzymał się, ludzie zaczęli odpinać pasy, wyjmować bagaże i wierzchnie okrycia ze schowków - ja przez cały ten czas byłem na łące. Czułem zapach trawy, powiew wiatru na twarzy, słyszałem śpiew ptaków. Jesień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, wkrótce skończę dwadzieścia lat.

Stewardesa znowu do mnie podeszła, usiadła obok i zapytała, czy wszystko w porządku.

- Czuję się dobrze, dziękuję - odpowiedziałem z uśmiechem - po prostu jakoś mi smutno. (*It's all right now, thank you. I only felt lonely, you know*).

- Wiem, o czym pan mówi - powiedziała. - Też mi się to czasem zdarza. (*Well, I feel same way, same thing, once in a while. I know what you mean*).

Wstała i pięknie się do mnie uśmiechnęła.

- Życzę miłej wycieczki. Do widzenia. (*I hope you'll have a nice trip. Auf Wiedersehen*).

- *Auf Wiedersehen*.

Nawet teraz, po upływie osiemnastu lat, wyraźnie pamiętam każdy szczegół tego krajobrazu. Góry, które drobny kilkudniowy deszcz opłukał z letniego kurzu, pokrywała wspiana ciemna zieleń. Październikowy wiaterek kołysał pędzelkami wysokich traw. Cienkie i długie pasma chmur zdawały się przymarznięte do kopuły błękitu. Niebo wznosiło się wysoko; od wpatrywania się w nie zaczynały boleć oczy. Podmuch wiatru przeleciał przez łąkę, lekko potargał włosy Naoko i zniknął w lesie. Zaszleściły liście na gałązkach, w oddali zaszczekał pies. Szczekanie było ciche, niewyraźne, jakby docierało zza bramy prowadzącej do innego świata.

Poza tym panowała cisza. Żadne dźwięki nie docierały do naszych uszu. Nikogo nie spotkaliśmy. Widzieliśmy jedynie dwa jaskrawoczerwone ptaki, które jakby czymś przestraszone zerwały się do lotu ze środka łąki i odleciały w stronę lasu. Szliśmy obok siebie, a Naoko opowiadała mi o studni.

Pamięć to dziwna rzecz. Kiedy tam rzeczywiście byłem, prawie nie zwracałem uwagi na krajobraz. Nie wydawał mi się szczególnie piękny i nie przyszło mi do głowy, że nawet po osiemnastu latach będę go jeszcze tak dokładnie pamiętał. Szczerze mówiąc, wtedy nie obchodziły mnie widoki. Myślałem o sobie, o pięknej dziewczynie idącej obok mnie, myślałem o nas dwojgu, a potem znowu o sobie samym. Byłem w wieku, kiedy każdy widok, każde uczucie, każda myśl wraca do człowieka jak bumerang. Do tego byłem zakochany. Ta miłość strasznie skomplikowała mi życie. Nie miałem czasu na rozmyślanie o krajobrazach.

Teraz jednak właśnie widok łąki powraca we wspomnieniach jako pierwszy. Zapach trawy, lekki chłód wiatru, linia gór, szczekanie psa - to sobie najpierw przypominam, widzę bardzo wyraźnie. Tak wyraźnie, że mam to w zasięgu ręki i wszystkiego mógłbym dotknąć, obwieść palcem kontury. Lecz nie ma tam ludzi. Nikogo. Nie ma Naoko, nie ma też mnie. Gdzie zniknęliśmy? Dlaczego coś takiego jest możliwe? Gdzie podziało się wszystko, co wtedy wydawało mi się tak ważne - Naoko, ja i mój ówczesny świat? Nie mogę sobie nawet od razu przypomnieć jej twarzy. Pozostało mi jedynie tło, sama sceneria, bez aktorów na pierwszym planie.

Oczywiście, jeżeli poświęcę na to trochę czasu, potrafię sobie przypomnieć twarz Naoko. Zaczynam składać w całość elementy - drobna zimna dłoń, proste włosy, gładkie i piękne, kształtne ucho, z maleńkim pieprzykiem tuż poniżej, elegancki płaszcz z wielbłądziej wełny,

który nosiła w zimie, jej zwyczaj patrzenia prosto w oczy, kiedy zadawała pytanie, czasami drżący głos (jakby wołała ze szczytu wzgórza w wietrzny dzień) - i nagle wyłania się jej twarz, najpierw z profilu, pewnie dlatego, że zawsze chodziliśmy obok siebie, więc najczęściej patrzyłem na nią z boku. Potem Naoko odwraca się do mnie, uśmiecha się, lekko przechyla głowę i zaczyna mówić, zaglądając mi w oczy, jakby chciała dostrzec małą rybkę śmigającą w wodzie przy kryształowym źródle.

Jednak przywołanie w myślach jej rysów zajmuje dłuższą chwilę. Z biegiem lat ta chwila coraz bardziej się wydłuża. To smutne, lecz prawdziwe. Kiedyś zajmowało mi to pięć sekund, później dziesięć, potem trzydzieści, a teraz trwa całą minutę. Czas ten wydłuża się jak cień o zmierzchu. Prawdopodobnie całe wspomnienie wkrótce rozplynie się w mroku. Tak, moja pamięć niewątpliwie stopniowo oddala się od miejsca, w którym stała Naoko, tak samo, jak oddala się od miejsca, w którym stałem dawny ja. I tylko ten widok łąki w październiku powraca ciągle jak symboliczna scena filmowa i uparcie atakuje, uderza w jakąś partię mózgu. "Obudź się! - zdaje się mówić. - Jestem tu nadal. Obudź się i zrozum! Zrozum, dlaczego ciągle tu jestem". To nie boli. Nie ma żadnego bólu. Tylko głuchy dźwięk, rozchodzący się echem po każdym uderzeniu. Ale nawet to zblednie pewnego dnia. Tak jak zbladło wszystko inne. Jednakże w samolocie Lufthansy na lotnisku w Hamburgu seria uderzeń była dłuższa, a ciosy silniejsze niż zwykle. "Obudź się! Zrozum!". Właśnie dlatego piszę tę książkę. Mam już taki charakter, że aby coś zrozumieć, muszę najpierw spróbować to zapisać.

O czym ona wtedy mówiła?

Wiem - o polnej studni. Nie mam pojęcia, czy taka studnia w ogóle kiedykolwiek istniała. Może to był obraz albo symbol, żyjący tylko w myślach Naoko, jak wszystkie inne myśli, które snuła w tym ponurym okresie. Od kiedy mi o niej opowiedziała, nie potrafiłem już myśleć o tej łące bez studni. Nigdy niewidziana studnia wryła się na stałe w krajobraz i nie dała się od niego oddzielić. Mogę ją opisać w najdrobniejszych szczegółach. Znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie kończy się łąka, a zaczyna las - ciemna dziura w ziemi, szeroka na metr, przemyślnie ukryta wśród traw. Nie otacza jej płot ani nawet kamienny krąg. Po prostu dziura. Wyłożono ją kamieniami. Smagane deszczem i wiatrem dziwnie zbieleły, tu i tam popękały, poodpadały. W jakąś szczelinę wślizgnęła się mała zielona jaszczurka. Można było pochylić się i zajrzeć do środka, lecz niczego nie dawało się dostrzec. Wiedziałem jednak, że studnia jest przerażająco

głęboka. Jej głębokość przekracza ramy wyobraźni. W środku panuje ciemność, w której skondensowano chyba całą ciemność świata.

- Jest naprawdę, naprawdę głęboka - powiedziała Naoko, dobierając starannie słowa. Czasami mówiła w ten sposób, powoli, szukając odpowiednich słów. - Naprawdę głęboka. Ale nikt nie wie, gdzie jest. Wiadomo tylko, że gdzieś w tej okolicy.

Wsunęła ręce w kieszenie tweedowej marynarki. Uśmiechała się, jakby mówiła: "To prawda!".

- Wobec tego musi być niewiarygodnie niebezpieczna - odparłem. - Jest gdzieś głęboka studnia, ale nikt nie wie gdzie. Jak ktoś do niej wpadnie, to koniec.

- Pewnie koniec. Aaaaaaa, plusk. I po wszystkim.

- To się w rzeczywistości nie zdarza?

- Od czasu do czasu się zdarza. Może raz na dwa albo trzy lata. Ktoś nagle znika, szukają i szukają, lecz nie mogą znaleźć. I wtedy miejscowi ludzie mówią: "Pewnie wpadł do polnej studni".

- Niezbyt miła śmierć - powiedziałem.

- Nie, to okropna śmierć - odrzekła Naoko, strzepując z marynarki żdźbło trawy. - Lepiej byłoby chyba złamać kark i od razu umrzeć, przy braku szczęścia spadłoby się, łamiąc tylko nogi. Krzyczałby człowiek ile sił w płucach, ale nikt by nie usłyszał, nikt by go nie znalazł. Po ciele pełzałyby stonogi i pająki, dno studni pokrywałyby kości innych nieszczęśników, byłoby ciemno i wilgotno, a w górze unosiłby się malutki maluteńki krąg światła, jak zimowy księżyc. Umierałby tam człowiek po troszeczku, zupełnie sam.

- Brr, na samą myśl cierpnie mi skóra - powiedziałem. - Ktoś powinien tę studnię znaleźć i ogrodzić.

- Nikt nie umie jej znaleźć. Dlatego nie wolno zbaczać ze ścieżki.

- Nie będę zbaczał.

Naoko wyjęła lewą rękę z kieszeni i ścisnęła moją.

- Nie martw się - powiedziała. - Tobie nic się nie stanie. Możesz tu chodzić, ile chcesz, nawet w ciemności po omacku, a i tak nigdy do niej nie wpadniesz. Ja też nie wpadnę, jeżeli będę się ciebie trzymała.

- Na pewno nie?

- Na pewno!

- Dlaczego jesteś taka pewna?

- Po prostu wiem - powiedziała, mocniej ściskając mnie za rękę. Po chwili milczenia ciągnęła. - Ja się bardzo dobrze znam na takich rzeczach. To nie ma logicznego uzasadnienia, po prostu tak czuję. Na przykład, kiedy tak jak teraz mocno się ciebie trzymam, nie boję się ani trochę. Nic złego ani nic ciemnego nie mogłoby mnie skusić.

- No to prosta sprawa. Wystarczy, żebyś zawsze była blisko mnie.

- Ty... poważnie mówisz?

- Oczywiście, że tak.

Naoko zatrzymała się. Ja też stanąłem. Położyła mi ręce na ramionach i zajrzała uważnie w oczy. W jej ciemnych jak atrament źrenicach tworzyły się przedziwne wirujące wzory. Te piękne oczy długo badały moje serce. Potem wyprostowała się i przytuliła policzek do mojego. To był cudowny ciepły gest, aż mi serce na chwilę zamarło.

- Dziękuję ci - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Tak bardzo się cieszę, że to powiedziałeś. Naprawdę mnie to cieszy - dodała, uśmiechając się smutno. - Ale to niemożliwe.

- Niemożliwe? Dlaczego?

- Tak nie wolno. To byłoby okropne. To... - urwała i ruszyła przed siebie. Byłem pewien, że najróżniejsze myśli kłębią się w jej głowie, więc nie chcąc przeszkadzać, szedłem obok w milczeniu.

- To byłoby niewłaściwe, niewłaściwe i dla ciebie, i dla mnie - powiedziała po długiej przerwie.

- Jak to niewłaściwe? - zapytałem cicho.

- Nie rozumiesz? To po prostu niemożliwe, żeby jedna osoba pilnowała drugiej przez cały czas. Przypuśćmy, że się pobierzemy. Zacząłbyś pracować. Kto by mnie strzegł, kiedy ty byłbyś w pracy? Kto by się mną zajmował, kiedy pojechałbyś w podróż służbową? Przez całe życie byłabym do ciebie przyklejona? Przecież to niesprawiedliwe. Jaki to byłby związek? Wcześniej czy później miałbyś dosyć. Zastanawiałbyś się: co ja robię ze swoim życiem? Dlaczego spędzam je, niańcząc tę kobietę? Nie zniosłabym tego. To nie rozwiązałoby żadnego z moich problemów.

- Przecież te problemy nie będą trwały przez całe twoje życie - powiedziałem, kładąc jej rękę na plecach. - Kiedyś się skończą, wtedy zastanowimy się na nowo, jak żyć dalej, co dalej robić?

Może to ty będziesz musiała mi wtedy pomóc. Moje życie to nie ciągły bilans zysków i strat. Jeżeli mnie potrzebujesz, pozwól sobie pomóc. Dlaczego nie? Dlaczego jesteś taka nieugięta? Odpręż się. Jesteś tak spięta, zawsze spodziewasz się najgorszego. Odpręż się, a zobaczysz, że będzie ci lżej.

- Jak możesz mówić coś takiego? - zapytała przerażająco beznamiętnie.

Słyszając jej ton, pomyślałem, że powiedziałem coś, czego nie powinienem.

- Jak możesz? - mówiła ze wzrokiem wbitym w ziemię. - Przecież sama wiem, że jeżeli się odprężę, będzie mi lżej. Jaki sens ma mówienie mi tego? Lecz jeżeli teraz się odprężę, rozsypię się na kawałki. Zawsze tak żyłam i nie umiem żyć inaczej. Jeżeli odprężę się choć na sekundę, nie będzie już powrotu. Rozsypię się na kawałki, a te kawałki rozsieją się po całym świecie. Dlaczego tego nie rozumiesz? Jak możesz mówić o opiece nade mną, skoro tego nie rozumiesz?

Milczałem.

- Mam w głowie zamęt; znacznie większy niż myślisz. Ciemny, zimny zamęt... Słuchaj, dlaczego właściwie poszedłeś ze mną do łóżka? Dlaczego nie zostawiłeś mnie w spokoju?

Szliśmy akurat przez sosnowy las pogrążony w absolutnej ciszy. Ścieżkę pokrywały wysuszone cykady, zmarłe pod koniec lata. Chrzęściły nam pod nogami, gdy szliśmy powoli z wzrokiem wbitym w ziemię, jakbyśmy czegoś szukali.

- Przepraszam - powiedziała, ściskając mnie delikatnie za ramię. Potem kilka razy potrząsnęła głową. - Nie chciałam cię zranić. Nie przejmuj się tym, co powiedziałam. Naprawdę przepraszam. Byłam po prostu zła na siebie.

- Myślę, że cię jeszcze tak naprawdę nie rozumiem. Nie jestem zbyt bystry, potrzebuję trochę czasu, aby pojąć pewne rzeczy. Ale jeżeli tylko będę miał czas, wszystko dokładnie przemyślę i wtedy nikt na świecie nie będzie cię tak dobrze rozumiał jak ja.

Zatrzymaliśmy się i wsłuchaliśmy w ciszę. Czubkiem buta przewracałem martwe cykady i sosnowe szyszki, patrzyłem na prześwitujące pomiędzy gałęziami niebo. Naoko włożyła ręce do kieszeni marynarki i pogrążyła się w myślach.

- Watanabe, czy ty mnie kochasz?

- Oczywiście - odpowiedziałem.

- W takim razie spełnisz dwie moje prośby?

- Nawet trzy.

Naoko zaśmiała się i pokręciła głową.

- Dwie. Wystarczy dwie. Po pierwsze chcę, żebyś zrozumiał, jak jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś mnie odwiedzić. Bardzo się cieszę, to dla mnie... prawdziwy ratunek. Naprawdę, nawet jeżeli tego nie widać.

- Przyjadę znowu. A druga?

- Chcę, żebyś o mnie pamiętał. Będiesz zawsze pamiętał, że była taka dziewczyna? Że stała koło ciebie tak jak teraz?

- Oczywiście, że zawsze będę pamiętał - odpowiedziałem.

Ruszyła przed siebie w milczeniu. Jesienne światło prześwitywało pomiędzy gałązkami i tańczyło jej na ramionach. Znowu zaszczekał pies, wydawało się, że jest teraz bliżej nas. Naoko wdrapała się na niewielkie wzniesienie, wyszła z lasu i zaczęła szybkim krokiem schodzić po łagodnym zboczu. Ja byłem dwa, trzy kroki za nią.

- Chodź tu bliżej. W tej okolicy może być studnia - zawołałem z tyłu.

Naoko zatrzymała się, uśmiechnęła, wzięła mnie pod rękę. Resztę drogi pokonaliśmy, idąc ramię w ramię.

- Naprawdę nigdy mnie nie zapomnisz? - zapytała cicho, nieomal szeptem.

- Nigdy cię nie zapomnę - odpowiedziałem. - Nie mógłbym cię zapomnieć.

Niemniej wspomnienia niewątpliwie bledną, wiele rzeczy już zapomniałem. Kiedy tak zapisuję te ulotne obrazy, od czasu do czasu ogarnia mnie wielki niepokój. Myślę, że być może zapomniałem już o czymś najważniejszym. Czy gdzieś w mojej pamięci jest jakieś mroczne miejsce, taka przestrzeń, gdzie gromadzą się wspomnienia i wszystkie zmieniają w miękką, błotnistą papkę?

W każdym razie to wszystko, co mam, toteż chcąc uchronić w sercu te niekompletne wspomnienia, blade i dalej blednące z każdą chwilą, piszę z taką desperacją i łapczywością, z jaką głodny człowiek wysysa szpik z kości, bo nie pozostało już nic innego. Nie mam innego sposobu, żeby dotrzymać obietnicy danej Naoko.

Dawniej, kiedy byłem jeszcze młody, a te wspomnienia świeże, kilka razy próbowałem zabrać się do pisania o niej, lecz wówczas nie mogłem się zdobyć nawet na jedną linijkę. Wiedziałem dobrze, że jeżeli tylko znajdę pierwszych parę słów, reszta prawdopodobnie sama się napisze, lecz te pierwsze słowa się nie pojawiały. Wszystko było zbyt świeże, nie wiedziałem, z której strony się do tego zabrać. Podobnie jest ze zbyt dokładną mapą: czasami do niczego się nie



przydaje. Ale teraz rozumiem. W niedoskonałe słowa można ubrać jedynie niedoskonałe wspomnienia i niedoskonałe myśli. Im bardziej błędną wspomnienia, tym lepiej rozumiem Naoko. Teraz zrozumiałem też wreszcie powód, dla którego poprosiła: "Nie zapomnij mnie". Oczywiście Naoko wiedziała. Wiedziała, że kiedyś moje wspomnienia o niej zbledną. Dlatego właśnie prosiła: "Nigdy mnie nie zapomnij. Pamiętaj, że była taka dziewczyna".

Na tę myśl zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno. Naoko nigdy mnie nie kochała.

## 2

**Bardzo** dawno, ale nie więcej niż dwadzieścia lat temu, zamieszkałem w pewnym akademiku. Miałem osiemnaście lat i dopiero zaczynałem studia. Nie wiedziałem nic o Tokio i po raz pierwszy miałem mieszkać z dala od rodziny, toteż rodzice - zaniepokojeni, że sobie nie dam rady - znaleźli ten akademik. Zapewniał wyżywienie i różne udogodnienia, więc sądzili, że nawet ich niedoświadczony osiemnastolatek jakoś tam sobie poradzi. Koszty także odegrały rolę. Akademik kosztował znacznie mniej niż samodzielny pokój. Należało kupić jedynie pościel i lampę. Gdyby to było możliwe, wolałbym wynająć samodzielne mieszkanie i cieszyć się swobodą, jaką dawało, ale wiedziałem, ile rodziców kosztuje moje wpisowe i czesne na prywatnym uniwersytecie, zatem nie miałem prawa się przy tym upierać. A poza tym tak naprawdę było mi wszystko jedno, gdzie mieszkam.

Campus położony był na wzgórzu z widokiem na miasto, na sporym terenie otoczonym betonowym murem. Zaraz za główną bramą rosło ogromne drzewo keyaki\*. Tak gęste, że stojąc pod nim, nie można było dostrzec nieba. Mówiono, że ma co najmniej sto pięćdziesiąt lat.

Wyłożony betonowymi płytami chodnik wiódł od bramy, zakręcał wokół drzewa i dalej biegł prosto, przecinając dziedziniec. Po obu stronach dziedzińca stały równoległe do siebie dwa betonowe budynki. Były spore, z wieloma oknami, sprawiały wrażenie bloków przerobionych na więzienie albo więzienia zamienionego na budynek mieszkalny, jednak nie wydawały się brudne ani ponure. Z otwartych okien dobiegały dźwięki radia, w każdym wisiąca taka sama kremowa zasłonka, w praktycznym kolorze odpornym na płowienie.

Po drugiej stronie dziedzińca, naprzeciw bramy znajdował się główny budynek kompleksu. Był piętrowy, na parterze mieściła się stołówka, łazienki, na piętrze aula i sale, w których można

---

\* Drzewo keyaki - *Zelkom serrata*, drzewo o bogatym listowiu, czasem osiąga 30 metrów wysokości.

było urządzać grupowe spotkania czy zebrania, oraz nie wiadomo czemu służące pokoje gościnne. Obok głównego stał trzeci budynek z pokojami studenckimi, dwupiętrowy jak pozostałe. Działanie było rozległe, na zielonym trawniku obracały się zraszacze, w kroplach wody odbijały się promienie słońca. Na tyłach głównego budynku znajdowało się boisko do gry w baseball i piłkę nożną oraz sześć kortów tenisowych. Wszystko, czego dusza zapagnie.

Jedyny problem tego miejsca polegał na tym, że było w nim coś podejrzanego. Akademik założyła jakaś bliżej nieokreślona fundacja, na której czele stał facet o skrajnie prawicowym nastawieniu, i polityka prowadzenia akademika - przynajmniej z mojego punktu widzenia - była dziwnie wypaczona. Stawało się to jasne po przeczytaniu regulaminu oraz broszury rozdawanej nowym studentom. "Wychowanie obiecujących kadr dla kraju poprzez doskonalenie podstaw edukacji" - taką ideę głosiła fundacja, w którą wielu finansistów zainwestowało swoje fundusze... Tak to wyglądało oficjalnie, lecz pod podszewką wszystko było jak zwykle niejasne i dwuznaczne. Nikt nie wiedział, jaka jest prawda. Niektórzy mówili, że prowadzenie akademika to sposób na uniknięcie podatków, inni, że to sztuczka obliczona na efekt medialny, a jeszcze inni, że pod pretekstem budowy akademika popełniono szwindel i zdobyto teren o doskonałej lokalizacji. Ktoś twierdził też, że korzenie tej sprawy sięgają znacznie, znacznie głębiej. Zgodnie z jego teorią celem założycieli było stworzenie w świecie finansjery sekretnej kliki składającej się z wychowanków akademika. Jedno było pewne: w akademiku istniał elitarny klub uprzywilejowanych studentów. Nie wiedziałem nic dokładnie, ale podobno kilka razy w miesiącu urządzali spotkania naukowe z udziałem założycieli i jeżeli zostało się członkiem tego klubu, nie trzeba było się martwić o przyszłe zatrudnienie. Nie potrafię ocenić, które z tych teorii miały pokrycie w rzeczywistości, lecz łączyło je jedno: każda opierała się na założeniu, że "to wszystko jest mocno podejrzan".

W każdym razie spędziłem w tym podejrzanym akademiku dwa lata - od wiosny sześćdziesiątego ósmego do wiosny siedemdziesiątego roku\*. Naprawdę nie umiem odpowiedzieć, dlaczego mieszkalem tam tak długo. Może dlatego, że w codziennym życiu to, czy akademik jest prawicowy, lewicowy czy jakkolwiek inny, nie miało dla mnie większego znaczenia.

Dzień zaczynał się od uroczystego podniesienia flagi. Oczywiście grali hymn narodowy. Jedno nie obędzie się bez drugiego, tak samo jak nie może być wiadomości sportowych bez

---

\* Rok akademicki w Japonii trwa od kwietnia do lutego.

meczu. Maszt stał na samym środku dziedzińca, był widoczny z okien każdego z trzech budynków.

Kierownik wschodniego - czyli mojego - skrzydła, wysoki mężczyzna koło sześćdziesiątki, o przenikliwym spojrzeniu, był odpowiedzialny za podnoszenie flagi. Szczeciniaste włosy przyprószyła siwizna, na spalonej słońcem szyi widniała długa szrama. Mówiono, że jest absolwentem Akademii Wojskowej Nakano\*, ale nikt nie wiedział tego na pewno. W podnoszeniu flagi asystował mu pewien student. Nikt go nie znał. Był po wojskowemu ostrzyżony na rekruta i zawsze nosił granatowy studencki mundur. Nie wiedziałem, jak się nazywa ani w którym pokoju mieszka, nigdy nie widziałem go w stołówce ani w łazienkach. Nawet nie jestem pewien, czy był studentem, chociaż wydaje mi się, że musiał być, skoro nosił mundur. W przeciwieństwie do Akademii Nakano, Mundur był niski, grubawy i blady. Ta nieprzyjemna para codziennie o szóstej rano wciągała na maszt flagę państwową.

Przez pierwsze tygodnie często wstawałem specjalnie o szóstej, by obserwować ten patriotyczny rytuał, ponieważ miał urok nowości. Ci dwaj pojawiali się na dziedzińcu prawie jednocześnie z sygnałem radiowym o godzinie szóstej. Mundur miał na sobie oczywiście mundur i czarne skórzane buty, a Akademia Nakano krótką kurtkę oraz białe tenisówki. Mundur niósł płaskie drewniane pudełko, Akademia Nakano dzierżył przenośny magnetofon Sony. Ustawiał go na podmurówce masztu. Mundur otwierał pudełko, w którym leżała starannie złożona flaga. Z szacunkiem przekazywał ją Akademii Nakano, a ten przymocowywał ją do liny na maszcie. Wtedy Mundur naciskał przycisk.

Rozlegał się hymn.

"Niech nam cesarz króluje..." - flaga wędrowała do góry. Przy "dopóki małe kamyczki nie staną się potężnymi skałami..." docierała do połowy masztu, a kiedy zaczynało się "pokrytymi mchem" - osiągała szczyt. Ci dwaj stali sztywno na baczność z oczami zwróconymi na flagę. W pogodne wietrzne dni był to niezły widok.

Opuszczanie flagi o zmierzchu odbywało się z takim samym ceremoniałem, tylko w odwrotnej kolejności. Zjeżdżała z masztu i wracała na swoje miejsce do pudełka. Flaga narodowa nie powiewa w nocy.

Nie wiedziałem, dlaczego musi być wieczorem opuszczana. Po zmierzchu państwo nadal

---

\* Akademia Wojskowa Nakano - istniejąca od 1938 roku szkoła, która kształciła przyszłych pracowników wywiadu.

istniało, wiele osób pracowało całą noc - budowniczości dróg, taksówkarze i hostessy w barach, strażacy, nocni stróże; wydawało mi się nie w porządku, że tym ludziom odmawia się opieki flagi. A może to nie było takie ważne i w rzeczywistości nie obchodziło nikogo oprócz mnie? Mnie zresztą też tak naprawdę nie obchodziło. Po prostu czasem przychodziło mi to do głowy.

Studenci pierwszego i drugiego roku z zasady byli umieszczani w pokojach dwuosobowych, trzeciego i czwartego - w pojedynczych. Pokoje dwuosobowe były długie i wąskie, około dziesięciometrowe. Każdy miał okno w aluminiowych ramach, dwa biurka, ustawione tak, że studenci mogli się uczyć, siedząc do siebie plecami. Na lewo od drzwi stało piętrowe metalowe łóżko. Meble wchodzące w skład wyposażenia były bardzo solidne i proste: prócz łóżka i biurka znajdowały się w pokojach po dwie szafki, mały stolik, kilka wbudowanych półek. Nawet wyjątkowo życzliwie nastawiony obserwator nie mógłby nazwać tego zestawu pięknym. Na półkach tłoczyły się radia tranzystorowe, czajniki, maszyny elektryczne, rozpuszczalna kawa, herbata w torebkach i cukier w kostkach, garnki i proste zestawy naczyń, a także suszarki do włosów. Na ścianach wisiały fotografie nagich dziewczyn wycięte z pism dla mężczyzn albo kradzione plakaty filmów pornograficznych. Pewien chłopak miał zdjęcie kopulujących świń, ale to był wyjątek na tle nagich kobiet, gwiazdek muzyki pop czy aktorek. Półki na książki nad biurkami zawierały podręczniki, słowniki i powieści.

W tych męskich pokojach panował przerażający brud. Spleśniałe skórki mandarynek przyklejone do dna koszy na śmieci, puste puszki używane jako popielniczki, w nich góry petów - kiedy zaczynały się tlić, były gaszone kawą lub piwem i tak stały, wydzielając duszący, kwaśny odór. Wszystkie naczynia oblepiała gruba czarna warstwa brudu i różne niezidentyfikowane fragmenty pożywienia, podłogi zaśmiecały torebki po zupach, puste puszki po piwie oraz różne pokrywki. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby pozamiatać, zebrać i wyrzucić do kosza na śmieci. Najlżejszy powiew wiatru unosił tumany kurzu. We wszystkich pokojach strasznie śmierdziało. Zapachy różniły się nieco między sobą, lecz ich komponenty były takie same: pot, zapach niemytych ciał i śmieci. Brudne ubrania wrzucano pod łóżka, gdzie zalegały, tworząc sterty; wietrzeniem materaców nikt się nie przejmował, więc przeпоcone wydzierały smród nie do wytrzymania. Teraz, po latach, dziwię się, że nie wybuchły tam zabójcze epidemie.

Mój pokój, przeciwnie, był higieniczny jak kostnica. Na podłodze ani pyłku, na oknie ani plamki, materace wietrzone co tydzień, wszystkie ołówki ustawione w specjalnym stojaku, nawet zasłony prane raz na miesiąc. Mój współlokator był nieomal patologicznie schludny. Kiedy

powiedziałem innym, że "on nawet zasłony pierze", nikt nie chciał mi wierzyć. Nie wiedzieli, że można je prać. Uważali je raczej za stały element okna. "Ten facet jest nienormalny" - mówili. Wkrótce zaczęto go nazywać Hitlerowiec albo Komandos.

Nie mieliśmy w pokoju nawet zdjęć dziewczyn z magazynów. Nie, my mieliśmy fotografie kanału w Amsterdamie. Powiesiłem kiedyś zdjęcie nagiej dziewczyny, ale mój współlokator je zdjął. "Wiesz, Watanabe, nie ppprzepadam za takimi rzeczami" - powiedział i wkrótce pojawiło się zdjęcie kanału. Nie zależało mi specjalnie na nagiej dziewczynie, więc nie protestowałem. "Co to jest?" - taka była zwykła reakcja na zdjęcie Amsterdamu, ilekroć któryś z kolegów wchodził do pokoju. "Komandos masturbuje się, patrząc na to" - mówiłem. To miał być dowcip, lecz wszyscy od razu uwierzyli, aż sam zacząłem powoli tak myśleć.

Wszyscy mi współczuli, że Komandos trafił mi się jako współlokator, ale szczerze mówiąc, nie bardzo mi to przeszkadzało. Nie czepiał się, dopóki utrzymywałem porządek wokół siebie, i właściwie było mi z nim wygodnie. On wszystko sprzątał, on dbał o wietrzenie pościeli, on wyrzucał śmieci. Pociągał nosem i sugerował mi kąpiel, jeżeli przez kilka dni byłem zbyt zajęty, żeby się umyć. Przypominał, że niedługo czas iść do fryzjera albo przyciąć włosy w nosie. Jedyne, co mi przeszkadzało, to opary środków owadobójczych, które rozpylał w dużych ilościach, gdy zobaczył w pokoju jakiegokolwiek robaczka; wtedy musiałem się ewakuować do sąsiedniego pokoju.

Komandos studiował geografię na państwowym uniwersytecie. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedział:

- Studiuję mmmapy.

- Lubisz mapy? - spytałem.

- Uhm. Kiedy skończę uniwersytet, będę pracował w Instytucie Geodezji i Kartografii i będę robił mmmapy.

Po raz kolejny zrobiło na mnie wrażenie jak różnorodne marzenia i cele, podsuwa niektórym życie. To była jedna z pierwszych rzeczy, jaka zrobiła na mnie wrażenie po przyjeździe do Tokio. Rzeczywiście społeczeństwo potrzebowało kilku osób - chyba niezbyt wielu - które byłyby zainteresowane tworzeniem map, a wręcz pasjonowały się tym. Dziwne jednakże, że ktoś chcący pracować w Instytucie Geodezji i Kartografii jąka się zawsze przy słowie "mapa". Komandos czasem się jąkał, a czasem nie, lecz przy słowie "mapa" - zawsze.

- A co-cco ty masz zamiar studiować? - zapytał.

- Dramat - powiedziałem.

- Będziecie wystawiać sztuki?

- Nie, tylko czytać i analizować. Racine, Ionesco, Szekspir i tak dalej.

Powiedział, że słyszał o Szekspirze, o innych nie. Sam niewiele o nich wiedziałem, znałem tylko nazwiska z listy lektur.

- Ale w każdym razie lubisz teatr? - zapytał.

- Niezbyt - odparłem.

Moja odpowiedź zakłopotła go, a kiedy był zmieszany, bardziej się jąkał. Poczułem się winny.

- Było mi wszystko jedno - wytłumaczyłem. - Mogłem wybrać etnografię albo historię Dalekiego Wschodu. Przypadkiem wybrałem dramat. To wszystko. - Jednak takie wyjaśnienie oczywiście go nie przekonało.

- Nie rozumiem - powiedział i wyglądał, jakby rzeczywiście nie rozumiał. - Ja lubię mmmapy i dlatego ssstudiuję mmmapy. Specjalnie przyjechałem do Tokio na uniwersytet i ro-rodzice za to płacą. Ale w twoim przypadku jest inaczej...

Mówił bardziej sensownie niż ja, więc zrezygnowałem z dalszego wyjaśniania. Potem ciągnąc zapalki, wylosowaliśmy łóżka. Jemu przypadło górne, mnie dolne.

Komandos zawsze ubierał się tak samo: biała koszula, czarne spodnie, granatowy sweter. Był wysoki, ostrzyżony na rekruta, miał wystające kości policzkowe. Idąc na uczelnię, wkładał mundur studencki, do tego miał czarną teczkę i buty. Wyglądał jak typowy prawicowy studencik i również z tego powodu zdobył przydomek Komandos, ale w rzeczywistości polityka była mu całkowicie obojętna. Podobno nosił mundur, bo nie chciał sobie zawracać głowy wyborem ubrań. To, co go interesowało, to zmiany linii brzegowej albo ukończenie budowy nowego tunelu kolejowego. Nic poza tym. Kiedy zaczynał mówić na ten temat, jąkając się i stękając, rozwodził się przez godzinę albo dwie i nie przestał, dopóki nie uciekłem albo nie usnąłem.

Wstawał codziennie o szóstej rano na dźwięk hymnu jak na dźwięk budzika - jednak ostentacyjny rytuał wciągania flagi na maszt do czegoś się przydawał! Komandos ubierał się, szedł do łazienki i się mył - trwało to całą wieczność. Czasami miałem wrażenie, że chyba wyjmuje zęby po jednym i myje każdy z osobna. Wracał do pokoju, gwałtownie strzepywał ręcznik i wieszał go na grzejniku, aby wysechł, odkładał szczotkę do zębów i mydło na półkę. Potem włączał radio i zabierał się do porannej gimnastyki.

Miałem zwyczaj czytania do późna i spania do ósmej, więc zdarzało się, że choć szurał nogami po pokoju i ćwiczył, pozostawałem w stanie błogiej nieświadomości - aż do chwili, kiedy w radiowej gimnastyce zaczynały się podskoki. Wtedy się budziłem. Nie miałem innego wyjścia. Podskakiwał wysoko i od tego trzęsło się całe łóżko. Znosiłem to przez trzy dni, bo powiedziano nam, że życie we wspólnocie wymaga pewnych wyrzeczeń, lecz czwartego dnia rano nie wytrzymałem.

- Przepraszam, ale czy nie mógłbyś robić gimnastyki na dachu? - zapytałem ostro. - Nie mogę spać.

- Przecież jest już szósta trzydzieści - odrzekł zaskoczony.

- Tak, wiem, że jest szósta trzydzieści. O szóstej trzydzieści jeszcze śpię. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale według mnie tak powinno być.

- Nie mogę na dachu. Ktoś z trzeciego piętra mógłby mieć pretensję. Tutaj jesteśmy nad magazynem i nikt nic nie powie.

- No to idź na dziedziniec. Na trawnik.

- Tam też nie mogę. Mmmoje radio to nie tranzystor, musi być podłączone do prądu. A bez mmmuzyki nie mogę się gimnastykować.

Rzeczywiście miał bardzo stare radio, a mój tranzystor odbierał tylko stacje UKF z muzyką. O rany, pomyślałem.

- Dobra, pójdźmy na kompromis - powiedziałem. - Ćwicz sobie, ale bez tego skakania. To robi straszny hałas. Co ty na to?

- Ssskakania? Jakiego skakania?

- Skakanie to skakanie. Podskoki, hop, hop.

- Ależ ja nie robię żadnych podskoków!

Zaczynała mnie boleć głowa. Byłem gotów się poddać, lecz skoro już zacząłem, chciałem, żeby zrozumiał, o co mi chodzi. Wstałem z łóżka i nucąc melodię porannej gimnastyki radiowej stacji NHK, zacząłem podskakiwać.

- Widzisz, o tym mówię.

- Tttak, rzeczywiście. Nigdy nie zzzwróciłem uwagi.

- No właśnie - powiedziałem, siadając na brzegu łóżka. - Po prostu opuść tę część. Resztę zniosę. Przestań skakać i daj mi spać.

- To niemożliwe - odparł po prostu. - Nie mogę niczego opuścić. Robię to samo codziennie

od dziesięciu lat i ja-jak raz zacznę, automatycznie wykonuję cały zestaw. Jeżeli coś opuszczę, nnnie będę w stanie nic dalej zrobić.

Nie odezwałem się. Cóż mogłem jeszcze powiedzieć? Najprościej byłoby pod jego nieobecność wyrzucić to piekielne radio przez okno, ale wiedziałem, że to byłby koniec świata. Komandos niezwykle cenił wszystko, co posiadał. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że siedzę na łóżku i nie mogę wykrztusić ani słowa. Spróbował mnie pocieszyć:

- Wwatanabe, a może byś po prostu poćwiczył ze mną?

I wyszedł na śniadanie.

Naoko chichotała, kiedy opowiadałem jej o Komandosie i jego porannej gimnastyce. Nie uważałem tej historii za szczególnie zabawną, ale pod koniec sam się zaśmiewałem. Cieszyłem się, bo od dawna nie widziałem jej roześmianej twarzy, choć zaraz znów spoważniała.

Wysiedliśmy z pociągu w Yotsuya i szliśmy groblą wzdłuż torów w kierunku Ichigaya. Była połowa maja, niedzielne popołudnie. W południe ustała mżawka, trwająca z przerwami przez całe rano, a nisko wiszące ponure chmury deszczowe zniknęły przegnane południowym wiatrem. Świeżo zazielenione liście wiśni poruszały się na wietrze, błyszcząc w promieniach słońca, które grzało już jak na początku lata. Ludzie pozdejmowali swetry i marynarki i mieli je zarzucone albo przewieszane przez ramię. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych w ciepłym słońcu niedzielnego popołudnia. Młody człowiek grający w tenisa na korcie po drugiej stronie grobli zdjął koszulkę i w samych spodenkach wymachiwał rakieta. Jedynymi osobami, do których letni blask zdawał się jeszcze nie docierać, były siedzące na ławce dwie zakonnice w zimowych habitach, ale i one wyglądały na zadowolone z pogawędki w słońcu.

Piętnaście minut spaceru i byłem tak spocony, że zdjąłem grubą bawełnianą koszulkę i zostałem w samym podkoszulku. Naoko podwinęła do łokci rękawy jasnoszarej bluzy. Bluza ładnie wypłowiwała, z całą pewnością wskutek wielokrotnego prania. Miałem wrażenie, że widziałem ją już w tym stroju dawno temu, ale nie pamiętałem dokładnie kiedy i gdzie. W tamtych czasach nie pamiętałem zbyt wielu szczegółów związanych z Naoko. - Jak ci się podoba życie w grupie? - spytała. - Przyjemnie jest mieszkać z innymi ludźmi?

- Nie wiem, to dopiero niewiele ponad miesiąc, ale myślę, że nie jest tak źle. Na pewno da się wytrzymać.

Zatrzymała się przy ulicznym zdroju, wypija łyk, otarła usta białą chusteczką, którą wyjęła z



kieszeni spodni.

Potem pochyliła się i starannie zawiązała na nowo sznurowadła.

- Czy myślisz, że ja też bym mogła?

- Co? Życ w grupie?

- Uhm.

- Myślę, że to kwestia nastawienia. Wiele rzeczy człowieka denerwuje: wymagają przestrzegania regulaminu, niektórzy idioci się stawiają, współlokator zaczyna o szóstej gimnastykę, ale jeżeli się pomyśli, że wszędzie jest coś nie tak, to można się specjalnie nie przejmować. Jeżeli pomyśleć, że nie ma człowiek innego wyjścia, to da się żyć. Tak to wygląda.

- Pewnie tak - przytaknęła. Wyglądało na to, że nad czymś się zastanawia. Potem spojrzała mi w oczy, jakby przyglądała się badawczo czemuś niezwykłemu. Spostrzegłem, że jej oczy są nieprawdopodobnie przejrzyste, tak przejrzyste, że na ich widok serce mi mocniej zabiło. Do tej pory tego nie zauważyłem. Właściwie nigdy nie miałem okazji zajrzeć jej w oczy. Po raz pierwszy w ogóle szliśmy gdzieś we dwójkę i tak długo rozmawialiśmy.

- Czy myślisz o zamieszkaniu w akademiku? - zapytałem.

- Nie, nie, wcale nie - odpowiedziała. - Zastanawiam się tylko, jak wygląda takie wspólne życie. I po prostu... - Wyglądało na to, że bezskutecznie próbuje znaleźć odpowiednie słowo czy wyrażenie. Westchnęła i spuściła wzrok. - Och, nie wiem. Nieważne.

Tak się skończyła ta rozmowa. Naoko szła dalej w tym samym kierunku, a ja tuż za nią.

Minał prawie rok od chwili, kiedy widziałem ją ostatni raz. Od tamtego czasu bardzo zeszczupłała i zmieniła się nie do poznania. Znikły niegdyś pulchne, tak charakterystyczne, policzki, szyja wysmukłała. Lecz Naoko bynajmniej nie sprawiała wrażenia kościstej czy chorobliwie wychudzonej: zeszczupłała niejako naturalnie i spokojnie; jakby kryjąc się przez pewien czas w długiej i wąskiej przestrzeni, sama zrobiła się długa i wąska. I znacznie ładniejsza, niż ją pamiętałem. Chciałem jej to powiedzieć, ale nie umiałem znaleźć odpowiednich słów, więc milczałem.

Nie planowaliśmy tego spotkania, po prostu wpadliśmy na siebie w pociągu linii Chūō\*. Ona wybierała się do kina, ja jechałem do księgarni w dzielnicy Kanda - w obu przypadkach nic pilnego. Powiedziała, żebyśmy wysiedli, a akurat dojeżdżaliśmy do Yotsuya. Nie mieliśmy właściwie niczego do omówienia i kompletnie nie rozumiałem, dlaczego to proponuje. Nigdy nie

---

\* Linia kolejowa biegnąca ze wschodu na zachód przez centrum Tokio.

mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Wyszliśmy ze stacji i Naoko ruszyła przed siebie, nie mówiąc, dokąd się kieruje. Nie było rady - szedłem za nią. Przez cały czas trzymałem się o metr w tyle. Mogłem zmniejszyć dystans pomiędzy nami, ale jakoś się wahałem. Szedłem więc oddalony o metr, patrząc na jej plecy i czarne proste włosy. Wpięła w nie dużą brązową spinkę, a kiedy ruszała głową, widać było małe białe ucho. Od czasu do czasu odwracała się i coś do mnie mówiła. Bywało, że umiałem odpowiedzieć, ale zdarzało się też, że nie miałem pojęcia, jak się odnieść do tego, co mówi. Czasami nie mogłem dosłyszeć jej słów, lecz miałem wrażenie, że jest jej obojętne, czy słyszę, czy nie. Mówiła, co miała do powiedzenia, odwracała się i znów ruszała przed siebie. A co za różnica, myślałem, jest ładny dzień na przechadzkę.

Lecz jak na przechadzkę Naoko maszerowała zbyt zdecydowanie. Skręciła w prawo na wysokości Iidabashi, doszła do fosy, przecięła skrzyżowanie w Jinbócho, wspięła się na wzgórze Ochanomizu i wyszła w Hongó. Stamtąd skierowała się wzdłuż linii tramwajowej do Komagome. To była nie byle jaka trasa. Kiedy dotarliśmy do Komagome, słońce zachodziło i zbliżał się spokojny wiosenny wieczór.

- Gdzie jesteście? - spytała Naoko, jakby dopiero ocknęła się z zamyślenia.
- W Komagome - odpowiedziałem. - Nie wiedziałaś? Zatoczyliśmy duży łuk.
- Dlaczego tu przyszliśmy?
- To ty tu przyszedłaś. Ja tylko szedłem za tobą.

Poszliśmy do restauracji w pobliżu dworca, w której podawano potrawy z makaronem gryczanym, i zjedliśmy niewielki posiłek. Spragniony napiłem się piwa. Od momentu, w którym złożyliśmy zamówienie, do chwili, kiedy skończyliśmy jeść, żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Ja byłem wykończony całym tym chodzeniem, a ona siedziała po prostu z rękami złożonymi na stole, znowu się nad czymś zastanawiając. W wiadomościach telewizyjnych podano, że wszystkie tereny rekreacyjne były dziś zatłoczone. A my właśnie przeszliśmy z Yotsuya do Komagome - pomyślałem sobie.

- Masz niezłą kondycję - odezwałem się, kiedy zjadłem makaron.
- Dziwi cię to?
- Uhm.
- W gimnazjum biegałam na długich dystansach, na dziesięć i piętnaście kilometrów. Poza tym tata lubił góry i od dzieciństwa zabierał mnie w niedziele na piesze wędrówki. Pamiętasz?

Zaraz za naszym domem są już góry. I dlatego mam silne nogi.

- Nie widać tego po tobie.

- Wiem. Wszyscy myślą, że jestem delikatną dziewczynką. Pozory mylą - powiedziała i po chwili dołożyła do tego uśmiech.

- Przykro mi, ale jestem zupełnie wykończony.

- Och, przepraszam! Ciągałam cię za sobą przez cały dzień.

- Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy tylko we dwoje - powiedziałem, bezskutecznie usiłując sobie uzmystowić, o czym rozmawialiśmy.

Naoko bawiła się popielniczką na stole.

- Wiesz, gdybyś mógł... To znaczy: gdyby ci to nie sprawiło kłopotu... Czy myślisz, że moglibyśmy się znowu zobaczyć? Wiem oczywiście, że nie mam prawa o to prosić.

- Nie masz prawa? - powtórzyłem zdziwiony. - Jak to nie masz prawa?

Zarumieniała się. Pewnie za bardzo się zdziwiłem.

- Nie umiem tego wytłumaczyć - powiedziała, jakby się usprawiedliwiając. Podciągnęła rękawy bluzy powyżej łokci. W świetle lampy drobne włoski na jej przedramieniu zabarwiły się pięknym złotym kolorem. - Nie chciałam powiedzieć "prawa". Chciałam to inaczej wyrazić.

Oparła łokcie na stole i wpatrywała się w kalendarz wiszący na ścianie, jakby miała nadzieję znaleźć tam właściwe słowa. Nie udało się. Westchnęła, zamknęła oczy i dotknęła spinki we włosach.

- Nie przejmuj się - odparłem. - Myślę, że wiem, o co chodzi, ale też nie wiem, jak to wyrazić.

- Nie umiem wyrazić tego, co bym chciała - ciągnęła Naoko. - Ostatnio ciągle tak jest. Staram się coś powiedzieć, ale do głowy przychodzą mi tylko nieodpowiednie słowa albo całkowicie różne od tych, które mam na myśli. Próbuję sama się poprawić, lecz wychodzi tylko gorzej. Tracę wątek. Tak jakbym była rozszczępiona na dwie i sama ze sobą bawiła się w berka. Po środku jest wielki słupek i gonimy się wokół niego. Tamta druga ja zawsze zna właściwe słowa, lecz ta ja nigdy nie może tej drugiej złapać.

Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

- Czy coś z tego rozumiesz?

- Do pewnego stopnia każdy czuje coś takiego - odrzekłem. - Próbuje się wyrazić siebie, lecz nie można znaleźć odpowiednich sformułowań i człowiek się irytuje.

Wyglądała na rozczarowaną moimi słowami.

- Nie, to także nie to - podsumowała bez dalszych wyjaśnień.

- W każdym razie chętnie cię znowu zobaczę - powiedziałem. - W niedzielę mam zawsze czas i nic nie robię, a spacerować są zdrowe.

Wsiadliśmy do pociągu linii Yamanote\*, Naoko przesiadła się w Shinjuku\*\* w linię Chūō. Mieszkała w niewielkim mieszkaniu w Kokubunji.

- Powiedz - zwróciła się do mnie, kiedy się rozstawaliśmy. - Czy mówię teraz inaczej niż dawniej?

- Zdaje mi się, że trochę inaczej - powiedziałem. - Ale nie jestem pewien, co się zmieniło. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, żebyśmy dużo rozmawiali, chociaż często się widywaliśmy.

- Masz rację - przyznała Naoko. - Czy mogę do ciebie zadzwonić w sobotę?

- Oczywiście. Będę czekał.

Poznałem Naoko wiosną w drugiej klasie liceum. Ona też była w drugiej klasie, chodziła do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt prowadzonej przez zakonnice. Była to szkoła tak ekskluzywna, że przesadna nauka nie należała tam do dobrego tonu.

Miałem bliskiego przyjaciela imieniem Kizuki (właściwie zamiast "bliskiego" powinienem powiedzieć: jedyne), Naoko była jego dziewczyną. Znali się nieomal od kołyski, przez całe życie mieszkali zaledwie dwieście metrów od siebie.

Jak w przypadku większości par znających się od wczesnego dzieciństwa, ich związek był bardzo otwarty i nie zależało im na tym, żeby zawsze być tylko we dwoje. Ciągłe się nawzajem odwiedzali, każde z nich czasami jadało obiady albo grywało w madżonga w domu drugiego.

Kilka razy byliśmy na podwójnej randce: Naoko przyprowadzała koleżankę z klasy i we czwórkę szliśmy do zoo, na basen albo do kina. Lecz szczerze mówiąc, koleżanki Naoko, choć urocze, były dla mnie trochę zbyt wyrafinowane.

Gustowałem raczej w nieco bardziej nieokrzesanych dziewczynach ze swojej państwowej szkoły, z którymi znacznie łatwiej się rozmawiało. Zupełnie nie mogłem zrozumieć, co dzieje się w ślicznych główkach pańienek przyprowadzanych przez Naoko. Sądzę, że one pewnie nie rozumiały mnie.

---

\* Linia kolejowa okrążająca centralną część Tokio

\*\* Shinjuku - jedna z głównych dzielnic Tokio

Kizuki przestał więc aranżować podwójne randki i od tej pory zaczęliśmy się spotykać we trójkę - wybieraliśmy się gdzieś razem albo gadaliśmy. Kizuki, Naoko i ja.

Właściwie może się to wydawać dziwne, ale okazało się najlepszym rozwiązaniem, bo we trójkę czuliśmy się najswobodniej. Kiedy pojawiała się czwarta osoba, atmosfera robiła się trochę sztuczna. We trójkę byliśmy jak w telewizyjnym talk-show: ja - gościem, Kizuki - utalentowanym gospodarzem programu, a Naoko - asystentką. On zawsze stanowił ośrodek zainteresowania. Nie da się ukryć, że potrafił być sarkastyczny i wiele osób uważało go za aroganta, ale z natury był życzliwy i sprawiedliwy. Kiedy byliśmy w trójkę, poświęcał mi tyle samo uwagi, co Naoko, dowcipkował, dbał o to, żeby nikomu się nie nudziło. Jeżeli któreś z nas długo milczało, przenosił uwagę na tę osobę i umiejętnie wciągał do rozmowy. Patrząc z boku, można by pomyśleć, że to niełatwe, lecz jemu zdawało się przychodzić bez trudu. Miał umiejętność szybkiego wyczuwania zmian atmosfery i potrafił się do nich dostosować. Posiadał również rzadki talent wyławiania czegoś interesującego nawet z banalnej wypowiedzi drugiej osoby. Dlatego kiedy z nim rozmawiałem, miałem wrażenie, że jestem niezwykle interesującym człowiekiem prowadzącym niezwykle interesujące życie.

Nie był zbyt towarzyski. Poza mną nie miał w szkole przyjaciół. Nie pojmowałem, czemu ktoś tak inteligentny i biegły w sztuce konwersacji nie wykorzystuje swego talentu na szerszej niwie, lecz wystarcza mu skupienie się na małym świecie naszej trójki. A do tego nie mogłem zrozumieć, dlaczego wybrał właśnie mnie na swojego przyjaciela. Byłem nierzucającym się w oczy, zwyczajnym chłopakiem, który lubił czytać książki i słuchać muzyki, nie było we mnie nic, co mogłoby zwrócić uwagę kogoś takiego jak Kizuki. Ale mimo wszystko od razu się zaprzyjaźniliśmy. Jego ojciec był dentystą znanym z dużych umiejętności i wysokich cen.

- Może poszlibyśmy na podwójną randkę w tę niedzielę? Moja dziewczyna chodzi do żeńskiej szkoły i przyprowadzi dla ciebie jakąś ładną koleżankę - zaproponował, gdy tylko się poznaliśmy. Zgodziłem się i tak spotkałem Naoko.

Spędzaliśmy we trójkę dużo czasu, lecz gdy Kizuki wychodził z pokoju i zostawałem sam z Naoko, nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać, bo właściwie nie mieliśmy o czym. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy ani jednego wspólnego tematu. Dlatego nie było rady: bez słowa popijaliśmy wodę, przedstawialiśmy przedmioty na stole i czekaliśmy na powrót Kizukiego. Kiedy wracał, rozmowa znowu się rozkręcała. Naoko nie była specjalnie gadatliwa, ja też jestem raczej typem, który woli słuchać, niż mówić, dlatego zostając z nią sam na sam, czułem się trochę niezręcznie. Nie znaczy

to, że się nie lubiliśmy, po prostu nie rozmawialiśmy.

Potem spotkaliśmy się tylko raz, w kawiarni, zaledwie dwa tygodnie po pogrzebie Kizukiego, z powodu jakiejś drobnej sprawy. Po jej załatwieniu znów nie mieliśmy o czym mówić. Poruszyłem kilka tematów, lecz za każdym razem rozmowa utykała w martwym punkcie. Do tego w tonie Naoko było coś opryskliwego. Wyglądało na to, że ma do mnie pretensję, lecz nie wiedziałem o co. Rozstaliśmy się i nie widzieliśmy się ani razu aż do chwili, kiedy po roku nieoczekiwanie wpadliśmy na siebie w pociągu linii Chūō.

Być może Naoko była na mnie zła, bo to ja, nie ona, ostatni rozmawiałem z Kizukim. Pewnie nie wypada tak mówić, lecz wydaje mi się, że ją rozumiem. Gdyby to było możliwe, zamieniłbym się z nią. Ale ostatecznie co się stało, to się nie odstanie, i mogę sobie myśleć, co chcę, a i tak nic nie poradzę.

Było miłe majowe popołudnie, kiedy Kizuki, kończąc obiad w stołówce, zaproponował, żebyśmy zwiali ze szkoły i poszli pograć w bilard. Ponieważ mnie też nie chciało się iść na popołudniowe lekcje, wymknęliśmy się, powoli powędrowaliśmy w dół, w stronę portu, i weszliśmy do salonu bilardowego. Tam rozegraliśmy cztery partyjki. Kiedy łatwo wygrałem pierwszą, on nagle poważnie zabrał się do gry i wygrał trzy pozostałe. Zgodnie z umową, jako przegrany zapłaciłem za stół. W trakcie gry Kizuki ani razu nie zażartował. To było bardzo nietypowe. Po bilardzie zapaliliśmy.

- Dzisiaj byłeś poważny jak nigdy, co jest? - zapytałem.

- Dzisiaj nie chciałem przegrać - odpowiedział z uśmiechem.

Tej nocy umarł w swoim garażu. Przymocował do rury wydechowej hondy N360 gumowy wąż, drugi koniec wsadził do samochodu, zakleił szpary w oknach, potem włączył silnik. Nie wiem, po jakim czasie umarł. Kiedy rodzice wrócili do domu po wizycie u chorego krewnego i chcąc wstawić samochód, otworzyli garaż - już nie żył. Radio było włączone, za wycieraczką tkwił kwitek za benzynę.

Nie zostawił listu pożegnalnego. Nikomu nie przychodził do głowy żaden motyw samobójstwa. Zostałem wezwany na policję i przesłuchany, bo widziałem go ostatni. Powiedziałem oficerowi śledczemu, że nic nie wskazywało na to, iż Kizuki planuje coś podobnego. Zachowywał się tak samo jak zwykle. Policjant nie miał chyba zbyt dobrego zdania ani o mnie, ani o Kizukim. Prawdopodobnie nie widział nic dziwnego w fakcie, że chłopak, który

ucieka z lekcji, żeby pograć w bilard, popełnia samobójstwo. W gazecie zamieszczono krótką wzmiankę i to wszystko. Czerwona honda N360 została sprzedana. Na jego ławce w klasie przez jakiś czas stały białe kwiaty.

Przez dziesięć miesięcy od śmierci Kizukiego do końca szkoły średniej nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Zaprzyjaźniłem się z pewną dziewczyną, sypiałem z nią, ale nie trwało to nawet sześć miesięcy. Nie wzbudziła we mnie prawdziwego uczucia. Wybrałem uczelnię w Tokio, na którą mogłem się dostać bez większego wysiłku, zdałem egzaminy i bez specjalnego zainteresowania wstąpiłem na uniwersytet. Dziewczyna prosiła, żebym nie jechał do Tokio, ale ja bardzo chciałem oddalić się od Kobe. Chciałem zacząć nowe życie w miejscu, gdzie nikogo nie znam.

- Przespałeś się ze mną i teraz ci wszystko jedno, co ze mną będzie - powiedziała, płacząc.

- Nie o to chodzi - broniłem się. Ja tylko chciałem koniecznie znaleźć się daleko od tego miasta, lecz ona nie rozumiała. Więc rozstaliśmy się. W superekspresie mknącym do Tokio przypominałem sobie, co było w niej dobre i wyjątkowe, żałowałem, że tak strasznie ją potraktowałem, ale nie mogłem już tego naprawić, toteż postanowiłem o niej zapomnieć.

Dotarłem do Tokio, zamieszkałem w akademiku i zacząłem nowe życie. Pozostawało mi tylko jedno: nie zastanawiać się nad wszystkim tak poważnie, zachować odpowiedni dystans - tylko tyle. Postanowiłem całkowicie wymazać z pamięci zielony filc bilardowego stołu, czerwoną hondę N360 i białe kwiaty na szkolnej ławce. A także dym wznoszący się ku górze z wysokiego komina krematorium, ciężki, bezkształtny przycisk do papieru w policyjnym pokoju przesłuchań i inne takie rzeczy. Na początku wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze. Lecz choć starałem się zapomnieć, zostało we mnie coś nieokreślonego, jakby gruda stwardniałego powietrza. Z biegiem czasu zaczęła przybierać wyraźny kształt. Mogłem go wyrazić słowami. A były one następujące:

*Śmierć nie jest przeciwieństwem życia, a jego częścią.*

Brzmi to jak banał, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tę grudę powietrza można zamienić w słowa. W przycisku do papieru, w czterech czerwonych i białych kulach ułożonych na bilardowym stole kryła się śmierć. A my żyliśmy, wciągając ją w płuca jak drobiny kurzu.

Do tego czasu uważałem śmierć za niezależny byt, całkowicie odrębny od życia. Innymi

słowy: "Śmierć z pewnością kiedyś nas czeka. Ale jednocześnie do tego czasu nie może nas dotknąć". Zdawało mi się, że to wyjątkowo normalny i logiczny sposób myślenia. Życie jest po tej stronie, śmierć po tamtej. Ja jestem po tej stronie, po tamtej stronie mnie nie ma.

Jednak noc śmierci Kizukiego stała się granicą, za którą nie potrafiłem już tak prosto pojmować śmierci (a zarazem życia). Śmierć nie jest przeciwieństwem życia, noszę ją w sobie od urodzenia i choćbym nie wiem jak się starał, nie uda mi się o tym zapomnieć, ponieważ śmierć, która zabrała siedemnastoletniego Kizukiego w majową noc, w tym samym momencie zabrała i mnie.

Tej wiosny, kiedy miałem osiemnaście lat, żyłem, czując w sobie tę grudę powietrza. Równocześnie starałem się nie być zbyt poważny. Miałem niejasne wrażenie, że bycie poważnym niekoniecznie oznacza zbliżenie się do prawdy. Jednocześnie nie da się ukryć, że śmierć jest rzeczą poważną. Uwięziony w tym przytłaczającym paradoksie dreptałem w miejscu. Teraz wydaje mi się, że był to bardzo dziwny okres mego życia. W samym jego środku wszystko obracało się wokół śmierci.

### 3

**W następną** sobotę zadzwoniła Naoko i w niedzielę poszliśmy na randkę. Myślę, że można nazwać to randką. Nie mogę znaleźć innego odpowiedniego słowa. Tak jak poprzednio chodziliśmy po mieście, wypiliśmy kawę w jakiejś kawiarni, znowu pospacerowaliśmy, w końcu rozstaliśmy się wieczorem po zjedzeniu razem kolacji. Tak jak poprzednio Naoko nie odzywała się za wiele, lecz wyglądało na to, że odpowiada jej milczenie, więc ja też specjalnie nie podtrzymywałem rozmowy. Kiedy przyszła nam ochota, gawędziliśmy o życiu codziennym i o studiach, ale wszystkie tematy się urywały, do niczego nie prowadziły. W ogóle nie wspominaliśmy o przeszłości. Chodziliśmy po prostu po mieście - na szczęście Tokio jest tak duże, że można po nim wędrować w nieskończoność.

Spotykaliśmy się prawie co tydzień i krążyliśmy ulicami. Ona na przedzie, ja tuż za nią. Naoko zawsze podpiniała włosy różnymi spinkami, odsłaniając prawe ucho. W tamtych czasach widywałem jej sylwetkę od tyłu, dlatego do dzisiaj dobrze to pamiętam. Kiedy była speszona, często dotykała spinki. Poza tym bez przerwy wycierała usta chusteczką. Miała taki nawyk - wycierała usta, kiedy chciała coś powiedzieć. Obserwowałem te gesty i coraz bardziej ją lubiłem.



Studiowała na niewielkim żeńskim uniwersytecie na obrzeżach Musashino, który słynął z wysokiego poziomu angielskiego. Niedaleko mieszkania Naoko był malowniczy kanałik, więc niekiedy spacerowaliśmy sobie wzdłuż jego brzegów. Czasami Naoko zabierała mnie do siebie i coś dla nas gotowała. Bywaliśmy wtedy sami we dwoje, lecz zdawało się, że nie robi to na niej wrażenia. Jej mieszkanie nie było zagracone, nie miała żadnych niepotrzebnych sprzętów i tylko rajstopy suszące się w kącie na oknie świadczyły o tym, że to pokój dziewczyny. Żyła bardzo skromnie, chyba prawie nie miała przyjaciół. Komuś, kto jak ja znał ją w czasach licealnych, trudno było uwierzyć, że wiedzie teraz takie życie. Dawna Naoko zawsze ubierała się z fantazją, była otoczona mnóstwem przyjaciół. Na widok jej pokoju pomyślałem, że zapewne tak samo jak ja chciała zdać na studia, oddalić się od rodzinnego miasta, rozpocząć nowe życie w miejscu, gdzie nikogo nie zna.

- Wybrałam ten uniwersytet, bo nikt z naszej szkoły nie chciał tu zdawać - powiedziała Naoko, śmiejąc się. - Dlatego tu studiuję. Wszystkie dziewczyny w szkole wybierały się na elegantsze uczelnie. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

Nasza znajomość rozwijała się krok po kroku. Po troszeczkę, stopniowo Naoko oswoiła się ze mną, a ja z nią. Kiedy skończyły się letnie wakacje i rozpoczął nowy semestr, zupełnie naturalnie, prawie jakby to było oczywiste, zaczęła chodzić obok mnie zamiast przede mną. To zapewne znak, że uznała mnie za swojego przyjaciela, pomyślałem, a poza tym przyjemnie było chodzić ramię w ramię z tak piękną dziewczyną. Nadal włączyliśmy się bez celu po Tokio. Wędrowaliśmy ulicami prowadzącymi pod górę i na dół, przechodziliśmy przez mosty i tory kolejowe i dalej szliśmy przed siebie. Nie kierowaliśmy się do żadnego konkretnego miejsca, wystarczyło nam po prostu, że idziemy. Szliśmy skupieni, zupełnie jakby marsz był jakimś religijnym rytuałem mającym na celu uzdrowienie duszy.

Przyszła jesień, ogród akademika zasypały liście keyaki. Włożyłem sweter i poczułem zapach nowej pory roku. Stare buty się zużyły, kupiłem nowe, zamszowe.

Nie mogę sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy w tamtym okresie. Myślę, że chyba nie były to ważne rozmowy, lecz nadal nie wspominaliśmy o przeszłości. Imię Kizukiego prawie się nie pojawiało. W tamtych dniach nie mówiliśmy zbyt wiele i mogliśmy godzinami siedzieć w milczeniu nad filiżanką kawy.

Naoko lubiła słuchać opowieści o Komandosie, toteż często jej o nim opowiadałem. Pewnego razu umówił się z koleżanką ze studiów (oczywiście z geografii), lecz wieczorem

wrócił w bardzo podłym nastroju. Było to w czerwcu. - Po-ppowiedz mi, Watanabe, o czym ty zwykle rozmawiasz z dzie-dziewczynami? - zapytał. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, ale w każdym razie zapytał nieodpowiednią osobę. W lipcu, kiedy go nie było, ktoś zdjął ze ściany fotografię kanału w Amsterdamie, a zamiast niej powiesił zdjęcie mostu Golden Gate w San Francisco. Podobno chłopaki chcieli sprawdzić, czy Komandosowi uda się masturbować, patrząc na Golden Gate. Powiedziałem im na odczepnego, że robi to z dużą przyjemnością, a wtedy ktoś powiesił fotografię lodowca. Za każdym razem, kiedy zmieniał się obrazek, Komandos czuł się strasznie skołowany.

- Kkkto to może robić? - pytał.

- Nie wiadomo, ale czy to nie jest fajne? Same piękne zdjęcia. Nieważne kto to robi, powinniśmy być mu wdzięczni - pocieszałem go.

- No, niby tak, tylko to jest jakieś nieprzyjemne - mówił.

Naoko zawsze się śmiała, kiedy opowiadałem o Komandosie, a ponieważ śmiała się rzadko, często o nim opowiadałem; ale szczerze mówiąc, miałem wyrzuty sumienia, wyśmiewając się z niego. Pochodził z niezbyt zamożnej rodziny, miał dwóch starszych braci i był trochę zbyt poważny. Jedynym skromnym marzeniem jego skromnego życia było tworzenie w przyszłości map. Jak można się z tego śmiać?

Lecz wkrótce dowcipy o Komandosie stały się obowiązkowym tematem rozmów w akademiku i teraz, choćbym chciał, nie mogłem już nad tym zapanować. Poza tym cieszył mnie widok uśmiechniętej buzi Naoko i dlatego ciągle snułem nowe opowieści o Komandosie.

Naoko tylko raz zapytała, czy mam jakąś dziewczynę. Opowiedziałem o dziewczynie, z którą się rozstałem. Że była dla mnie dobra, lubiłem z nią sypiać i do tej pory od czasu do czasu myślę o niej ciepło, ale że nie mogłem jej pokochać. Być może moje serce pokrywa twarda skorupa. Przebija się przez nią i dostaje do wnętrza niewiele. Powiedziałem, że być może z tego powodu nie umiem nikogo pokochać.

- Nie kochałeś do tej pory nikogo?

- Nie.

Nie zapytała o nic więcej.

Kiedy skończyła się jesień i po mieście zaczął hulać zimny wiatr, czasem przytulała się do mojego ramienia. Przez gruby materiał budrysówki czułem, jak jej pierś unosi się, poruszana oddechem. Brała mnie pod rękę albo wkładała dłoń do kieszeni mojej kurtki, a kiedy było

naprawdę zimno, przywierała mi do ramienia i drżała. Ale robiła to wyłącznie z powodu zimna. W jej gestach nie było żadnych podtekstów. Ja miałem jak zwykle ręce w kieszeniach. Oboje nosiliśmy buty na gumowych podeszwach, które tłumiły dźwięk naszych kroków. Tylko kiedy chodziliśmy po leżących na chodniku, wielkich suchych liściach płatanu, słychać było szuranie. Wtedy robiło mi się żal Naoko. Potrzebne jej było nie moje ramię, a jakiegokolwiek ramię. Potrzebowała nie mego ciepła, a ciepła drugiego człowieka. Poczułem się winny, że ja to tylko ja.

Im dłużej trwała zima, tym bardziej przejrzyste były oczy Naoko, stawały się bezmierne. Czasami bez wyraźnego powodu zaglądała w moje, jakby czegoś w nich szukała. Wpadałem wtedy w przedziwny nastrój - była to samotność, której nie mogłem znieść.

Doszedłem do wniosku, że Naoko próbuje mi coś przekazać, lecz nie potrafi ubrać tego w słowa, a może nawet w pełni sobie uświadomić. Dlatego słowa nie przychodziły. I dlatego bez przerwy bawiła się spinką, wycierała usta chusteczką, wpatrywała się we mnie uważnie bez specjalnego powodu. Czasami chciałem ją przytulić, lecz w ostatniej chwili zawsze zaczynałem się wahać i w końcu rezygnowałem. Zdawało mi się, że mógłbym ją tym zranić. Dalej chodziliśmy po mieście, a Naoko dalej szukała w przestrzeni słów.

Koledzy z akademika podśmiewali się ze mnie, kiedy dzwoniła albo gdy wychodziłem w niedzielny poranek. Wszyscy uważali, że mam dziewczynę, i właściwie nie można się im dziwić. Nie miałem im jak wytłumaczyć, nie było też takiej konieczności, więc dałem spokój. Kiedy wracałem wieczorem, ktoś zawsze zadawał idiotyczne pytania: w jakiej pozycji to robiliśmy albo jaka jest tam na dole, jakiego koloru miała bieliznę - a ja odpowiadałem cokolwiek, żeby się odczepili.

I tak z osiemnastolatka stałem się dziewiętnastolatkiem. Słońce wschodziło i zachodziło, flaga wjeżdżała na maszt i zjeżdżała. A kiedy nadchodziła niedziela, szedłem na randkę z dziewczyną zmarłego przyjaciela. Nie miałem zielonego pojęcia, co robię ani co mam zamiar robić dalej. Na zajęciach czytaliśmy Claudela, Racine'a, Eisensteina, ale ich utwory do mnie nie przemawiały. Nie zaprzyjaźniłem się z nikim na swoim roku, chłopaków z akademika znałem jedynie z widzenia. Zresztą najwyraźniej uznali, że zamierzam w przyszłości być pisarzem, bo zawsze samotnie czytałem książkę, lecz ja bynajmniej nie miałem ochoty zostać pisarzem. Nie miałem ochoty nikim zostać.

Kilka razy próbowałem porozmawiać o tym z Naoko, gdyż zdawało mi się, że w pewnym

sensie dobrze mnie zna, lecz nie mogłem znaleźć odpowiednich słów na wyrażenie tego, co czuję. To dziwne - myślałem - czyżbym zaraził się jej chorobą wiecznego szukania słów?

W sobotę wieczorem siadywałem na krześle w holu przy głównym wejściu, gdzie znajdował się telefon, i czekałem, aż Naoko zadzwoni. Ponieważ w sobotni wieczór prawie wszyscy gdzieś wychodzili, w holu było pusto i spokojnie. Wpatrując się w cząsteczki światła tańczące w tej cichej przestrzeni, starałem się zbadać, co kryje moje serce. Czego ja właściwie pragnę? I czego ludzie ode mnie oczekują? Nie znajdowałem jednak żadnej sensownej odpowiedzi. Czasami wyciągałem rękę w kierunku unoszących się w powietrzu drobinek światła, lecz moje palce nie dosięgały niczego.

Często czytałem książki. Nie byłem odcytany, natomiast do ulubionych ksiązek wracałem po kilka razy. Podobali mi się wtedy: Truman Capote, John Updike, Scott Fitzgerald, Raymond Chandler, lecz nie zauważyłem na swoim roku ani w akademiku nikogo, kto gustowałby w tego typu powieściach. Wszyscy czytali zazwyczaj japońskich autorów, jak Kazumi Takahashi, Kenzaburo Ōe czy Yukio Mishima, albo współczesnych pisarzy francuskich. Dlatego nic dziwnego, że nie mieliśmy wspólnych tematów i spędzałem dużo czasu w samotności zatopiony w lekturze. Niekiedy po kilkakrotnym przeczytaniu książki zamykałem oczy i wciągałem do płuc jej zapach. Samo wachanie i dotykane kartek sprawiało, że czułem się szczęśliwy.

W osiemnastym roku życia najwyżej cenilem *Centaura* Johna Updike'a, ale kiedy przeczytałem go kilka razy, stopniowo stracił swój pierwotny blask i wtedy na pierwszą pozycję wysunął się *Wielki Gatsby* Scotta Fitzgeralda, i przez długi czas uważałem go za najlepszą powieść. Gdy przychodziła mi ochota, brałem z półki *Wielkiego Gatsby'ego*, otwierałem na chybił trafił i czytałem dłuższy fragment. Taka lektura ani razu mnie nie rozczarowała. W książce nie było ani jednej nudnej strony. To doprawdy wspaniałe, myślałem. I chciałem tą wspaniałością podzielić się z innymi, lecz wokół mnie nie było nikogo, kto czytałby *Wielkiego Gatsby'ego* lub chociażby był skłonny go przeczytać. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku czytania Scotta Fitzgeralda nie uznawano może za reakcyjność, ale na pewno nie było ono mile widziane.

Tylko jedna osoba z mojego otoczenia znała *Wielkiego Gatsby'ego* i właśnie z tego powodu

się zaprzyjaźniliśmy. Był to student trzeciego roku prawa Uniwersytetu Tokijskiego\* nazwiskiem Nagasawa. Mieszkaliśmy w tym samym akademiku, do tej pory znaliśmy się tylko z widzenia, lecz pewnego dnia, gdy siedziałem w jadalni, wygrzewając się na słońcu, i czytałem *Wielkiego Gatsby'ego*, usiadł obok i zapytał, co czytam. Kiedy mu powiedziałem, spytał, czy książka jest ciekawa. Odrzekłem, że czytam ją trzeci raz, a mimo to w miarę czytania przybywa fragmentów, które chce się czytać ponownie.

- Skoro facet przeczytał *Wielkiego Gatsby'ego* trzy razy, chyba będzie moim przyjacielem - powiedział, tak jakby sam siebie przekonywał. I zostaliśmy przyjaciółmi. Miało to miejsce w październiku.

Im lepiej poznawałem Nagasawę, tym dziwniejszy mi się wydawał. Spotkałem w swoim życiu wielu dziwnych ludzi, niektórych poznałem bliżej, ale nigdy przedtem nie widziałem kogoś równie dziwnego jak on. Czytał mnóstwo - nie mogłem się z nim równać - lecz z zasady brał do ręki tylko te książki, których autor nie żył od ponad trzydziestu lat. Wierzył tylko takim.

- Nie o to chodzi, że nie wierzę we współczesną literaturę. Po prostu nie chcę marnować cennych chwil na czytanie rzeczy, które jeszcze nie przetrwały próby czasu. Życie jest krótkie.

- A jakich pisarzy lubisz? - spróbowałem się dowiedzieć.

- Balzaka, Dantego, Josepha Conrada, Dickensa. - Odpowiedź miał gotową.

- Nie można ich nazwać współczesnymi.

- Dlatego ich czytam. Jeżeli czytasz to samo, co inni ludzie, potrafisz myśleć tylko tak jak oni. To prostacy i prymitywy. Normalny człowiek nie robi rzeczy, których musiałby się wstydzić. Wiesz co, Watanabe? W tym akademiku tylko ja i ty jesteśmy stosunkowo normalni. Wszyscy inni nadają się na przemiał.

- Skąd wiesz? - zapytałem zdziwiony.

- Znam się na tym. Od razu widać, jakby mieli to wypisane na czołach. Do tego obydwaj czytaliśmy *Wielkiego Gatsby'ego*.

W głowie dokonałem obliczeń. - Ale Scott Fitzgerald umarł dopiero dwadzieścia osiem lat temu.

- Czy to ma znaczenie? Zaledwie dwa lata - powiedział. - Dla takiego wspaniałego pisarza można zrobić wyjątek.

---

\* Uniwersytet Tokijski - najbardziej prestiżowy uniwersytet w Japonii. Jego ukończenie praktycznie gwarantuje zrobienie kariery zawodowej.

Nikt w akademiku naturalnie nie wiedział, że Nagasawa jest skrytym wielbicielem klasycznych powieści, lecz nawet gdyby wiadano, nikt by się zapewne tym nie przejął. Nagasawa słynął przede wszystkim ze swoich zdolności. Bez trudu dostał się na Uniwersytet Tokijski, oceny miał bardzo dobre, zamierzał zdać egzamin w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i zostać dyplomatą. Jego ojciec prowadził prywatną klinikę w Nagoya, starszy brat oczywiście skończył wydział medycyny Uniwersytetu Tokijskiego i miał w przyszłości przejąć klinikę. Była to wyjątkowa rodzina. Nagasawie nie brakowało pieniędzy na drobne wydatki, na dodatek świetnie się prezentował. Każdy uznawał jego wyższość, nawet kierownik akademika nie śmiał być w stosunku do niego surowy. Wszyscy bez sprzeciwu robili to, o co ich prosił. Nie mogli mu odmówić. Nagasawa miał coś, co przyciągało ludzi i kazało im się podporządkować. Dzięki zdolnościom przywódczym potrafił błyskawicznie ocenić sytuację, sprawnie wydać ludziom trafne polecenia i spowodować, żeby je posłusznie wykonali. Zupełnie jakby miał nad głową aureolę na wzór anielskiej, dowodzącą, że obdarzony jest mocą. Każdy od razu widział, że to "nietuzinkowy facet", i czuł przed nim respekt. Dlatego wszyscy strasznie się dziwili, że Nagasawa wybrał sobie na przyjaciela kogoś takiego jak ja, kto się niczym nie wyróżniał, i czasami zupełnie nieznane mi osoby traktowały mnie z pewną dozą szacunku. Chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, że powód jest bardzo prosty. A mianowicie Nagasawa lubił mnie, ponieważ nie czułem dla niego ani szacunku, ani podziwu. Ciekawiła mnie dziwna pogmatwana część jego charakteru, ale dobre oceny, specjalna aura i męska uroda zupełnie nie robiły na mnie wrażenia. Myślę, że bardzo rzadko się z tym spotykał.

Nagasawa łączył w sobie kilka skrajnie przeciwstawnych cech. Czasami zadziwiająco miły, potrafił być jednocześnie szokująco złośliwy. Obdarzony wyjątkowo szlachetną naturą, bywał wyjątkowo wulgarny. Obejmował dowództwo i z zapałem parł coraz dalej naprzód, lecz jego serce tonęło w bagnie ponurej samotności. Od początku wyczuwałem w nim ten wewnętrzny konflikt i zupełnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego inni tego nie dostrzegają. Ten człowiek tkwił w piekle, które sam sobie tworzył. Ale zasadniczo go lubiłem. Jego największą zaletą była uczciwość: nigdy nie kłamał, przyznawał się zawsze do błędów i wad. Nigdy nie ukrywał rzeczy, które mogły być dla niego niewygodne. Zawsze i niezmiennie okazywał mi życzliwość, opiekował się mną na różne sposoby. Bez niego moje życie w akademiku byłoby znacznie bardziej skomplikowane i nieprzyjemne. Jednak ani razu nie otworzyłem przed nim serca - w tym sensie moje stosunki z nim były zupełnie inne niż z Kizukim. Odkąd zobaczyłem, jak kiedyś po

pijaku dokucza pewnej dziewczynie, postanowiłem, że cokolwiek by się działo, nie zaufam temu człowiekowi.

Po akademiku krążyły o nim różne legendy. Według jednej zjadł kiedyś na surowo trzy ślimaki, inna głosiła, że ma ogromny członek i spał już z setką dziewczyn.

Historia ze ślimakami była prawdziwa. Kiedy go zapytałem, sam to potwierdził: - Tak zjadłem, trzy ogromne.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Hm... z różnych powodów. Kiedy zamieszkałem w akademiku, pomiędzy nowo przyjętymi a studentami wyższych lat powstały jakieś konflikty. To było bodajże we wrześniu. Jako przedstawiciel nowych poszedłem do tych starszych, chcąc spróbować się dogadać. Byli prawicowcami, mieli bambusowe miecze do kendo, atmosfera nie sprzyjała negocjacjom. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia, i powiedziałem, że zrobię, co będą chcieli, jeżeli przestaną się czepiać innych. Na to oni: "Skoro tak, to zjedz ślimaka". "Dobra, zjem" - powiedziałem i zjadłem. Ta banda znalazła gdzieś takie trzy ogromne.

- Jak się wtedy czułeś?

- Jak się czułem? Tego, co przeżywasz, połykając ślimaka, nie zrozumie nikt, kto sam tego nie robił. Naprawdę trudno to znieść. Połykasz coś tak oślizgłego, wpada ci to do żołądka, brr. Jest zimny, w ustach pozostaje niesmak. Na samo wspomnienie dreszcz mnie przechodzi. Strasznie mi się chciało rzygać, ale jakoś się powstrzymałem, choć mało nie zwariowałem. Bo przecież gdybym zwymiotował, musiałbym je znowu jeść. W końcu zmęczyłem wszystkie trzy.

- Co potem zrobiłeś?

- Oczywiście zaraz po powrocie do pokoju napiłem się wielkimi haustami wody z solą. Co innego mogłem zrobić?

- No tak, rzeczywiście - przyznałem.

- Ale od tamtego czasu nikt nie może mi podskoczyć. Nikt, nawet starsi studenci. Nikt inny nie zjadłby trzech ślimaków.

- Na pewno nie - zgodziłem się.

Sprawdzić wielkość członka było łatwo. Wystarczyło pójść razem do łazienki. Rzeczywiście okazał się imponujący. Natomiast historia, że Nagasawa spał z setką dziewczyn, była naciągana. Po chwili zastanowienia przyznał, że było ich chyba siedemdziesiąt pięć. Dokładnie nie pamiętał, ale siedemdziesiąt na pewno. Kiedy powiedziałem, że ja tylko z jedną, zdziwił się, bo "to

przecież takie łatwe".

- Następnym razem chodź ze mną na dziewczyny. Nic się nie martw, od razu coś załatwimy.

Wtedy mu nie uwierzyłem, ale rzeczywiście okazało się to wyjątkowo proste. Tak proste, że nieomal się tego odechciewało. Szliśmy do baru czy klubu nocnego w Shibuya\* lub Shinjuku (zwykle chodził do tych samych lokali), znajdowaliśmy odpowiednią parę dziewczyn (świat był pełen par dziewczyn), zaczynaliśmy rozmowę, piliśmy, a potem szliśmy do hotelu i uprawialiśmy seks.

Nie da się ukryć, że Nagasawa potrafił gadać. Nie, żeby miał coś ważnego do powiedzenia, ale kiedy mówił, dziewczyny z reguły wpadały w zachwyt, opowieść je wciągała, niechcący piły za dużo, upijały się i szły z nim do łóżka. Do tego był przystojny, miły, bystry; dziewczyny cieszył już sam fakt, że się nimi zainteresował. Ku mojemu zaskoczeniu dzięki temu, że byłem z Nagasawa, ja też wydawałem im się czarujący. Kiedy odzywałem się zachęcony przez niego, były zachwycone moimi opowieściami i śmiały się. Wszystko za sprawą jego wdzięku. Miał doprawdy niezwykły talent, zawsze go podziwiałem. W porównaniu z tym dar prowadzenia konwersacji, który posiadał Kizuki, zdawał się dziecinną igraszką. Nie mógł się równać ze zdolnościami Nagasawy. Jednak nawet pod wrażeniem jego umiejętności bardzo tęskniłem za Kizukim. Ponownie uświadomiłem sobie, że niczego nie udawał. Skromnymi talentami obdarowywał tylko Naoko i mnie. Nagasawa zaś olśniewał swoim imponującym talentem wszystkich dookoła, jakby dla zabawy. Prawdę mówiąc, na ogół wcale nie miał ochoty spać z tymi dziewczynami. Dla niego to była gra, nic więcej.

Ja też nie bardzo lubiłem spać z obcymi dziewczynami. Był to łatwy sposób radzenia sobie z pożądaniem, obejmowanie dziewczyny, dotykanie się też było przyjemnością. To, czego nie znosiłem, to chwila porannego rozstania. Otwierasz oczy, obok ciebie śpi jak zabita nieznajoma dziewczyna, w pokoju śmierdzi alkoholem, łóżko, oświetlenie, zasłony - wszystko jest tandetne jak zawsze w *love hotel*\*\* , w głowie pustka z powodu kaca. Wreszcie dziewczyna otwiera oczy, w roztargnieniu szuka bielizny. Wciągając rajstopy, pyta: "Czy na pewno porządnie to wczoraj założyłeś? Bo to był najbardziej niebezpieczny dzień miesiąca". Potem stojąc przed lustrem, narzeka, a to, że boli ją głowa, a to, że makijaż jej nie wychodzi, maluje usta, przykleja sztuczne rzęsy. Tego nie cierpiałem. Szczerze mówiąc, wolałbym nie spędzać z nimi całej nocy, ale trudno

---

\* Shibuya - jedna z największych dzielnic Tokio, w której jest wiele domów towarowych, kin, barów itp.

\*\* *Love hotel* - specjalnie wyposażony hotel wynajmujący zakochanym parom pokoje na godziny.



się martwić, że o dwunastej zamykają bramę akademika, kiedy uwodzi się dziewczynę (to wręcz fizycznie niemożliwe), więc brałem przepustkę na całą noc i przez to musiałem wytrzymywać aż do rana i wracać do akademika z uczuciem obrzydzenia do siebie i straconymi złudzeniami. Słońce strasznie raziło, zaschło mi w gardle, a głowę miałem jak nieswoja.

Kiedy trzy czy cztery razy przespałem się w ten sposób z dziewczyną, zapytałem Nagasawę, czy po siedemdziesięciu razach nie ma poczucia, że to puste i bez sensu.

- Jeżeli odczuwasz ten bezsens, to dowód, że jesteś normalnym człowiekiem i należy się z tego cieszyć - powiedział. - Spanie z obcymi kobietami niczego nie daje. Tylko zmęczenie i nienawiść do samego siebie. Ze mną jest tak samo.

- Dlaczego więc robisz to z taką determinacją?

- Trudno to wytłumaczyć. Pamiętasz, co Dostojewski napisał o hazardzie? Z tym jest tak samo. Kiedy dookoła jest mnóstwo możliwości, bardzo trudno się im oprzeć i ich nie wykorzystać. Rozumiesz?

- Mniej więcej.

- Słońce zachodzi, dziewczyny wychodzą na miasto, krążą po okolicy bez celu, piją alkohol. One czegoś szukają, ja im to mogę ofiarować. To naprawdę proste. Tak proste, jak odkręcenie kranu i napięcie się wody. Można je natychmiast zdobyć, czekają na to. To właśnie możliwość. Kiedy taka okazja sama pcha ci się w ręce, pozwolisz, żeby ci przeszła koło nosa? Masz zdolności, możesz je wykorzystać, przejdiesz wobec niej obojętnie?

- Nie wiem. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nie mam pojęcia, jak to jest - powiedziałem, śmiejąc się.

- W pewnym sensie masz szczęście - odparł Nagasawa.

Choć był bogaty z domu, mieszkał w akademiku z powodu kobiet. Ojciec nalegał, żeby tam spędził cztery lata studiów, martwiąc się, że jeżeli syn zamieszka w Tokio we własnym mieszkaniu, nie będzie robił nic innego, tylko uganiał się za dziewczynami. Jednak Nagasawie nie robiło to różnicy, nie przejmował się zanadto regulaminem i żył, jak mu się podobało. Kiedy miał ochotę, brał przepustkę na nocleg poza akademikiem i siedł na dziewczyny albo zostawał na noc u swojej. Uzyskanie takiej przepustki było kłopotliwe, ale jemu wszystko było wolno, a gdy się za mną wstawił, i ja ją łatwo dostawałem.

Od początku studiów Nagasawa miał dziewczynę, Hatsumi. Byli w tym samym wieku. Spotkałem ją parę razy; wydawała się bardzo sympatyczna. Nie była piękną przyciągającą

wzrok, raczej wyglądała dość przeciętnie i na początku zastanawiałem się, dlaczego ktoś typu Nagasawy zainteresował się taką zwyczajną dziewczyną, ale kiedy trochę się z nią pogadało, nie sposób było jej nie polubić. Spokojna, inteligentna, miała poczucie humoru i dobre serce. Zawsze była niezwykle elegancko ubrana. Bardzo ją lubiłem i myślałem sobie, że gdybym sam miał taką dziewczynę, nie sypiałbym z byle kim. Ja też jej przypadłem do gustu i koniecznie chciała zorganizować randkę we czworo, mówiąc, że zaprosi dla mnie jakąś młodszą koleżankę ze studiów, lecz ja, pamiętając randki z Naoko i Kizukim, chciałem uniknąć kolejnych niepowodzeń i jakoś się wykręcałem. Hatsumi chodziła na słynny żeński uniwersytet, znany z tego, że studiowały na nim dziewczyny z najzamożniejszych rodzin, a z takimi nie miałbym o czym rozmawiać.

Hatsumi wiedziała chyba, że Nagasawa ciągle sypia z innymi, ale nigdy nie robiła mu wymówek. Kochała go prawdziwą miłością i niczego w zamian nie żądała.

- Nie zasługuję na nią - powiedział Nagasawa.

Masz rację, pomyślałem.

W zimie znalazłem dorywczą pracę w małym sklepie z płytami w Shinjuku. Płaca nie była zbyt dobra, ale praca lekka i to, że chodziłem tam tylko trzy razy w tygodniu na wieczorną zmianę, bardzo mi odpowiadało. Mogłem też kupować tanio płyty. Na Boże Narodzenie podarowałem Naoko płytę z jej ulubionym *Dear Heart* Henry'ego Manciniego. Sam ją zapakowałem, obwiązałem czerwoną wstążką. Naoko dała mi zrobione przez siebie na drutach wełniane rękawiczki. Kciuki miały trochę za krótkie, ale były ciepłe.

- Przepraszam. Jaka ze mnie gapa - powiedziała zawstydzona i się zaczerwieniła.

- Nie martw się. Popatrz. Świetnie pasują - włożyłem rękawiczki.

- Teraz przynajmniej nie musisz wkładać rąk do kieszeni kurtki, prawda?

Naoko nie wróciła do Kobe na zimowe wakacje. Ja też pracowałem do końca roku i w rezultacie tak się jakoś ułożyło, że zostałem w Tokio. W Kobe nie miałem nic ciekawego do roboty, nie zależało mi na tym, żeby się z kimś zobaczyć. Ponieważ w Nowy Rok stołówka była zamknięta, żywiłem się u Naoko. We dwójkę upiekliśmy mochi\* i przygotowaliśmy prostą tradycyjną zupę noworoczną.

Wiele wydarzyło się od stycznia do lutego sześćdziesiątego dziewiątego roku.

---

\* Mochi - kostki ubitego na pastę ryżu, będące tradycyjną potrawą noworoczną.

Pod koniec stycznia Komandos rozłożył się z prawie czterdziestoma stopniami gorączki. Przez to musiałem zrezygnować z randki z Naoko, choć z wielkim trudem zdobyłem dwa zaproszenia na koncert. W programie była jej ulubiona czwarta symfonia Brahmsa i Naoko nie mogła się doczekać. Lecz Komandos miotał się po łóżku, zdawał się cierpieć, jakby miał za chwilę umrzeć. Nie mogłem zostawić go samego. Nie znalazłem też nikogo na tyle zwariowanego, żeby mnie zastąpił w opiece nad nim. Kupiłem lód, włożyłem do kilku plastikowych torebek i robiłem mu okłady, ocierałem pot zmoczonym w zimnej wodzie ręcznikiem, co godzinę mierzyłem temperaturę, nawet zmieniałem koszulę. Gorączka trzymała się przez cały dzień, lecz nazajutrz rano wyskoczył z łóżka i jakby nigdy nic zaczął gimnastykę. Kiedy zmierzył temperaturę, okazało się, że ma trzydzieści sześć i dwie kreski. Było to nienormalne.

- To dziwne, do tej pory ani razu nie miałem gorączki - oświadczył nieomal oskarżycielskim tonem.

- Ale teraz miałeś - powiedziałem zły i pokazałem mu dwa bilety, które zmarnowały się z powodu jego gorączki.

- Dobrze, że to były tylko darmowe zaproszenia - stwierdził.

Miałem ochotę złapać to jego radio i wyrzucić przez okno, ale rozboleła mnie głowa, więc znów zakopałem się w pościeli i zasnąłem.

W lutym kilka razy padał śnieg.

Pod koniec miesiąca z powodu głupstwa pokłóciłem się ze starszym studentem z mojego piętra i uderzyłem go. Walnął głową w betonową ścianę. Na szczęście nie odniósł zbyt poważnych obrażeń i Nagasawa umiejętnie sprawę załagodził, ale wezwano mnie do gabinetu kierownika, dostałem naganę i od tej pory przestałem się dobrze czuć w akademiku.

Tak skończył się rok szkolny, nadeszła wiosna. Zrezygnowałem z zaliczania kilku przedmiotów. Wyniki miałem średnie. Połowa trój i trój z minusem, tylko kilka czwórek. Naoko wszystko zaliczyła, zdała na drugi rok. Zamknął się cykl pór roku.

W połowie kwietnia Naoko skończyła dwadzieścia lat. Ja urodziłem się w listopadzie, była więc prawie o siedem miesięcy starsza. Dziwne mi się wydawało, że kończy dwadzieścia lat\*. Czuję, że dla nas obojga właściwe byłoby wieczne oscylowanie pomiędzy osiemnastym a

---

\* W Japonii dwadzieścia lat to oficjalny próg dorosłości.

dziewiętnastym rokiem życia. Po osiemnastce dziewiętnastka, po dziewiętnastce osiemnastka - to byłoby bardziej do przyjęcia. Ale ona kończyła dwadzieścia. Jesienią ja też będę miał tyle samo. Tylko zmarli zawsze mają siedemnaście lat.

W dniu urodzin Naoko padał deszcz. Po zajęciach kupiłem w pobliżu tort, wsiałem do pociągu i pojechałem do niej. Przekonałem ją, że skoro kończy dwadzieścia lat, musimy to jakoś uczcić, bo zdawało mi się, że życzyłbym sobie tego samego, gdyby to były moje urodziny. Na pewno smutno byłoby spędzić dwudzieste urodziny samotnie. Pociąg był zatłoczony, a w dodatku nieźle trzęsło, więc kiedy dotarłem do mieszkania Naoko, tort wyglądał jak ruiny Koloseum. Mimo to udało mi się ustawić na nim dwadzieścia kupionych na tę okazję świeczek. Kiedy je zapaliłem, zasłoniłem okna i zgasilem światło, zrobiło się całkiem urodzinowe Naoko otworzyła butelkę wina, piliśmy więc wino, zjedliśmy skromną kolację i trochę tortu.

- Jakoś głupio kończyć dwadzieścia lat. Zupełnie nie jestem na to przygotowana. Dziwne uczucie. Jakby mnie ktoś popchnął od tyłu.

- Mnie zostało jeszcze siedem miesięcy, żeby się spokojnie przygotować - zaśmiałem się.

- Fajnie masz, jeszcze siedem miesięcy - powiedziała z nutą zazdrości.

Podczas kolacji powiedziałem jej, że Komandos kupił nowy sweter. Do tej pory miał tylko jeden (granatowy szkolny), wreszcie dorobił się drugiego. Nowy sam w sobie był ładny, czerwono-czarny we wzór z jelonkami, ale kiedy Komandos go wkładał, wszyscy mimowolnie wybuchali śmiechem. Komandos nie miał pojęcia dlaczego.

- Watanabe, jajajakoś dziwnie wyglądam? - zapytał, kiedy siedzieliśmy razem w stołówce. - Może mam coś na twarzy?

- Nic nie masz, nie wyglądasz dziwnie - odparłem, powstrzymując śmiech. - Masz ładny sweter.

- Dziękuję - powiedział, wyglądając na bardzo zadowolonego, i uśmiechnął się radośnie.

Naoko spodobała się ta opowieść.

- Chciałabym go zobaczyć. Chociaż raz.

- Nie ma mowy. Parsknęłabyś śmiechem.

- Naprawdę myślisz, że nie mogłabym się powstrzymać?

- Mogę się założyć. Ja go widuję codziennie, a i tak czasem tak mnie śmieszy, że nie mogę wytrzymać.

Skończyliśmy jeść, posprzątaaliśmy razem naczynia, usiedliśmy na podłodze i słuchając

muzyki, wypiliśmy resztę wina. Ja wypilem kieliszek, Naoko dwa.

Tego wieczoru Naoko rozgadała się jak nigdy. Mówiła o dzieciństwie, o szkole, o rodzinie. Każda opowieść była długa, szczegółowa jak miniatura. Słuchałem, podziwiając jej niezwykłą pamięć, lecz coś mnie zaczęło niepokoić - coś w jej sposobie mówienia. Coś było nie tak. Coś było nienaturalne i skrzywione. Oddzielnie opowieści miały sens i były zwyczajne, ale sposób ich łączenia wydawał się bardzo dziwny. Opowieść A nie wiadomo kiedy przechodziła w zawartą w niej opowieść B, wreszcie w opowieść C, zawartą w B i tak w nieskończoność. Na okrągło. Na początku starałem się odpowiednio reagować, jednak po jakimś czasie dałem za wygraną. Nastawiłem płytę, a kiedy się kończyła, podnosiłem igłę i nastawiałem następną. Gdy już wszystkich wysłuchaliśmy, znowu zacząłem od pierwszej. Płyt było tylko sześć, najpierw puszczałem *Sgt. Peppers Lonely Hearts Club Band*, a jako ostania *Waltz for Debbie* Billa Evansa. Za oknem nieprzerwanie padał deszcz. Czas płynął powoli, Naoko nadal sama mówiła. Tok jej opowieści był nienaturalny, ponieważ starała się unikać kilku tematów. Oczywiście jednym z nich był Kizuki, ale czułem, że jest ich więcej. Było kilka rzeczy, o których nie chciała mówić, więc w nieskończoność i bardzo szczegółowo rozwodziła się na tematy bezpieczne. Po raz pierwszy opowiadała o czymś w takim kompletnym zapamiętaniu, więc pozwoliłem jej mówić.

Kiedy jednak zegar pokazał godzinę jedenastą, zacząłem się niepokoić. Naoko mówiła nieprzerwanie już od czterech godzin, a ja musiałem brać pod uwagę czas odjazdu ostatniego pociągu i zamknięcia bramy akademika. Poczekalem na odpowiedni moment i wtrąciłem się.

- Muszę się już zbierać. Pociągi przestaną jeździć - powiedziałem, patrząc na zegarek.

Moje słowa jakby do niej nie docierały, a jeśli dotarły, nie zrozumiała ich. Zamilkła na chwilę, ale zaraz zaczęła mówić dalej. Zrezygnowany usiadłem wygodniej i wypilem resztę wina z drugiej butelki. W tej sytuacji chyba najlepiej będzie pozwolić jej mówić, ile chce. Postanowiłem wszystko - ostatni pociąg, bramę - zostawić własnemu biegowi.

Naoko wkrótce przestała opowiadać. Nagle zorientowałem się, że zamilkła. Ostatnie słowo unosiło się w powietrzu jakby oderwane. Ścisłe mówiąc, jej opowieść nie skończyła się, a nagle gdzieś znikła. Naoko chciała dalej mówić, lecz nic już w sobie nie znalazła. Coś zostało zniszczone i być może ja to zniszczyłem. Chyba w końcu dotarło do niej to, co powiedziałem, i przez to wyczerpała się energia pozwalająca jej mówić. Z rozchylonymi ustami patrzyła na mnie nieprzytomnie. Wyglądała jak maszyna wyłączona w trakcie działania. Jej oczy wydawały się zamglone, jakby przesłonięte cienką nieprzezroczystą błoną.

- Nie chciałem ci przeszkodzić - powiedziałem. - Tylko zrobiło się już późno i...

Wielka łza spłynęła jej po policzku i głośno spadła na okładkę płyty. Po tej pierwszej, następnym łzom nie było końca. Obie ręce oparła o podłogę, płakała pochylona do przodu, zupełnie jakby miała zwymiotować. Po raz pierwszy w życiu widziałem kogoś tak gwałtownie płaczącego. Wyciągnąłem rękę i lekko dotknąłem jej ramienia. Drżało. Prawie bezwiednie przytuliłem ją. Drżała w moich ramionach i bezgłośnie płakała. Od łez i gorącego oddechu moja koszula najpierw zwilgotniała, a potem zrobiła się kompletnie mokra. Palce Naoko błędziły po moich plecach, zupełnie jakby czegoś szukały - czegoś, co tam kiedyś było, czegoś ważnego. Obejmowałem ją lewym ramieniem, a prawą ręką głaskałem proste, miękkie włosy. Przez długi czas czekałem, aż przestanie płakać. Ale ona nie przestała.

Spałem z Naoko tej nocy. Nie wiem, czy dobrze postąpiłem. Nawet teraz, prawie dwadzieścia lat później, nadal nie wiem. Myślę, że nigdy nie będę wiedział. Wtedy nie pozostało mi nic innego. Była podekscytowana i zdezorientowana, chciała, żebym ją uspokoił. Zgasilem światło, powoli i delikatnie zdjąłem z niej ubranie, sam też się rozebrałem. Potem się przytuliliśmy. Była ciepła deszczowa noc, nawet nadzy nie odczuwaliśmy chłodu. W ciemnościach, w milczeniu poznawaliśmy nawzajem swoje ciała. Pocałowałem ją, delikatnie ująłem jej pierś. Naoko ścisnęła mój twardy członek. Jej wagina była ciepła i wilgotna, czekała na mnie.

Jednak kiedy wszedłem w nią, poczuła silny ból. Zapytałem, czy to pierwszy raz. Skinęła głową. Teraz ja przestałem rozumieć, o co chodzi. Przez cały czas myślałem, że Naoko sypiała z Kizukim. Wszedłem w nią jak najgłębiej i trwałem długo bez ruchu, trzymając ją w ramionach. Kiedy wydawała się spokojniejsza, zacząłem się powoli poruszać i niespiesznie doszedłem do wytrysku. Pod koniec Naoko objęła mnie mocno i jęknęła. Był to najsmutniejszy jęk rozkoszy, jaki dotąd słyszałem.

Kiedy było po wszystkim, zapytałem, dlaczego nigdy nie spała z Kizukim. Nie powinienem był o taką rzecz pytać. Naoko odsunęła się i znowu zaczęła bezgłośnie płakać. Wyjąłem z szafy materac z pościelą i położyłem ją na nim. Potem, patrząc na kwietniowy deszcz niezmiennie padający za oknem, zapaliłem papierosa.

Nad ranem deszcz ustał. Naoko spała odwrócona do mnie plecami. A może wcale nie spała.

Może już się obudziła. Bez względu na to, czy spała, czy nie, milczała uparcie, jej ciało zeszywniało, jakby zamarzło. Kilka razy zwracałem się do niej, lecz nie reagowała. Nawet nie drgnęła. Długo wpatrywałem się w jej nagie ramiona, ale w końcu zrezygnowałem i postanowiłem wstać.

Na podłodze zostały po ostatniej nocy okładki płyt, kieliszki i butelka po winie, popielniczka. Na stole połowa rozpadającego się tortu. Zupełnie jakby nagle czas się zatrzymał i znieruchomiał. Zebrałem porzucane na podłodze rzeczy, sprzątnąłem i wypiliśmy dwie szklanki wody z kranu. Na biurku leżał słownik i tablice koniugacji francuskiej, na ścianie powyżej wisiał zwykły kalendarz bez zdjęć, same daty. Nie było w nim żadnych zapisków, ani notatek.

Podniosłem z podłogi ubranie i włożyłem je. Przód koszuli był jeszcze zimny i mokry. Powąchałem - przesiąknięta zapachem Naoko. W notatniku, który leżał na biurku, napisałem: "Kiedy się uspokoisz, chciałbym spokojnie z tobą porozmawiać, więc zadzwoń do mnie niedługo. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin". Potem jeszcze raz spojrzałem na jej nagie ramiona i wyszedłem, cicho zamykając drzwi.

Minął tydzień, a telefon nie dzwonił. W bloku Naoko nie przywoływano lokatorów do telefonu, więc w niedzielę rano pojechałem do Kokubunji. Nie było jej, z drzwi mieszkania zniknęła kartka z nazwiskiem. Okna szczelnie zasłaniały okiennice. Od dozorca dowiedziałem się, że Naoko wyprowadziła się trzy dni wcześniej. Dokąd - tego dozorca nie wiedział.

Wróciłem do akademika, napisałem długi list i zaadresowałem do Kobe. Gdziekolwiek jest, list powinni jej przesłać.

Napisałem szczerze, co czuję. Jeszcze wielu rzeczy nie rozumiem i bardzo staram się zrozumieć, ale pewnie zajmie mi to trochę czasu. Nie mam pojęcia, do czego dojdę. Dlatego nie mogę ci niczego obiecać, nie wolno mi niczego żądać ani karmić cię pięknymi słówkami. Trzeba zacząć od tego, że za mało się znamy. Jeżeli dasz mi trochę czasu, zrobię, co będę mógł, i lepiej się poznamy. W każdym razie chciałbym się z tobą jeszcze raz spotkać i spokojnie porozmawiać. W Kizukim straciłem jedyną osobę, z którą mogłem szczerze rozmawiać o swoich uczuciach, prawdopodobnie z tobą jest podobnie. Myślę, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteśmy sobie potrzebni. Przez to nadłożyliśmy drogi i w pewnym sensie nasza znajomość się wypaczyła, rozwinęła w dziwnym kierunku. Prawdopodobnie nie powinienem był postąpić tak, jak postąpiłem, ale nie miałem innego wyjścia. Nigdy przedtem nie doświadczyłem takiej

bliskości i ciepła, jakie czułem wtedy w stosunku do ciebie. Odpowiedz cokolwiek - będę czekał.

Taka mniej więcej była treść tego listu.

Odpowiedź nie przyszła.

Coś we mnie pękło i pozostała pustka, której nie dawało się wypełnić. Czułem się nienaturalnie lekki, dźwięki zdawały się odbijać echem, jakbym był w pustym pomieszczeniu. W ciągu tygodnia grzecznie chodziłem na uniwersytet, pilniej niż kiedykolwiek przedtem uczęszczałem na wykłady. Nudziły mnie i nigdy nie rozmawiałem z kolegami z grupy, ale nie miałem nic innego do roboty. Na wykładach siadałem sam w pierwszym rzędzie, z nikim nie rozmawiałem, sam jadłem posiłki, nawet rzuciłem palenie.

Pod koniec maja zaczął się strajk. Studenci wykrzykiwali: "Rozwiązać uniwersytet!". W porządku, jeżeli chcecie rozwiązać, rozwiążcie, myślałem sobie. Rozbierzcie go na kawałki, strąćcie, obróćcie w pył. Wcale mi to nie przeszkadza. Przyniosłoby mi to ulgę. Jestem gotów na wszystko. Mogę pomóc, jeżeli zajdzie potrzeba. Pospieszcie się.

Ponieważ uniwersytet był okupowany i zajęcia przerwano, zacząłem pracować w firmie zajmującej się przewozem towarów. Siedziałem obok kierowcy ciężarówki, pomagałem przy załadunku i wyładunku towarów. Praca była cięższa, niż się spodziewałem - na początku tak mnie wszystko bolało, że rano nie mogłem wstać - ale płaca była proporcjonalnie wysoka. Dopóki byłem zajęty, udawało mi się zapomnieć o pustce w sercu. Pięć dni w tygodniu pracowałem przy ciężarówce, a trzy wieczory w sklepie z płytami. Kiedy wieczorem miałem wolne, czytałem w pokoju książki, popijając whisky. Komandos nie pił ani kropli alkoholu, był bardzo wrażliwy nawet na jego zapach, więc kiedy ja, rozwalony na łożku, piłem czystą whisky, narzekał, że nie może się uczyć, bo mu śmierdzi, i prosił, żebym z tym piciem poszedł gdzieś indziej.

- Sam sobie idź! - warknąłem na niego.

- Aale w aakademiku nie wolno pić aaalkoholu, re-rregulamin zabrania.

- Sam sobie idź! - powtórzyłem.

Nie powiedział nic więcej. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i poszedłem pić samotnie na dach.

Przyszedł czerwiec, napisałem jeszcze jeden długi list do Naoko i znów wysłałem na adres w Kobe. Treść była mniej więcej taka sama. Na końcu dodałem, że czekanie na odpowiedź jest bardzo trudne; chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy ją skrzywdziłem. Kiedy wrzuciłem list do skrzynki, poczułem, jeszcze większą pustkę.



W czerwcu dwa razy poszedłem z Nagasawą do miasta i przespałem się z jakimiś dziewczynami. W obu przypadkach poszło bardzo łatwo. Zaprowadziłem pierwszą do hotelu, ale kiedy próbowałem ją rozebrać, trochę się wrywała, więc odechciało mi się z nią walczyć; położyłem się i zabrałem do czytania książki. Wtedy sama zaczęła się o mnie ocierać. Druga po seksie chciała się wszystkiego o mnie dowiedzieć: z iloma dziewczynami spałem do tej pory, skąd pochodzę, gdzie studiuje, jaką muzykę lubię, czy czytam powieści Dazaja Osamu, gdzie chciałbym pojechać na wycieczkę za granicę, czy nie uważam, że w porównaniu do innych kobiet ma trochę za duże brodawki sutkowe - wypytywała dosłownie o wszystko. Odpowiadałem jej byle co, a potem zasnąłem. Kiedy otworzyłem oczy, oznajmiła, że chce ze mną zjeść śniadanie. Poszliśmy więc do kawiarni, gdzie zjedliśmy obrzydliwe tosty z obrzydliwymi jajkami, popijając obrzydliwą kawą. W tym czasie nieustannie zadawała mi pytania. Co robi mój ojciec, czy miałem dobre oceny w liceum, w jakim miesiącu się urodziłem, czy jadłem kiedyś zabę... Rozboliła mnie głowa, więc zaraz po śniadaniu oznajmiłem, że muszę iść do pracy.

- Już się chyba nie spotkamy - powiedziała smutno.

- Na pewno wkrótce gdzieś się spotkamy - odparłem i się ulotniłem.

Kiedy zostałem sam, pomyślałem: O rany! Co ja wyprawiam. Miałem siebie dosyć. Nie powinienem robić takich rzeczy, ale z drugiej strony nie mogłem ich nie robić. Moje ciało było głodne, spragnione i domagało się kobiet. Kochając się z nimi, cały czas myślałem o Naoko. O jej nagości lśniącej bielą w ciemnościach, o jej westchnieniach, o szumie deszczu. Im bardziej o tym myślałem, tym większe czułem pożądanie. Szedłem na dach i popijając whisky, zastanawiałem się, dokąd właściwie zmierzam.

Na początku lipca przyszedł list od Naoko. Był krótki.

Przepraszam, że tak późno odpisuję. Proszę, spróbuj zrozumieć. Dopiero teraz jestem w stanie pisać. Ten list to też już dziesiąta wersja. Pisanie jest dla mnie bardzo trudne.

Zacznę od końca: na początek zdecydowałam się wziąć rok urlopu na uniwersytecie. Mówię "na początek", ale nie wiem, czy jeszcze tam wrócę. Zdecydowałam się na wzięcie urlopu, bo to wymaga mniej formalności. Być może ta decyzja wyda Ci się nieoczekiwana, lecz ja o tym myślałam już od dawna. Kilka razy zastanawiałam się, czy Ci o tym powiedzieć, jednak w końcu się nie odważyłam. Bałam się wypowiedzieć to na głos.

Bardzo Cię proszę, nie przejmuj się. Myślę, że gdyby nawet nie zdarzyło się to, co się

zdarzyło, ostateczny efekt byłby ten sam. Być może takie postawienie sprawy zrani Twoje uczucia. Jeżeli tak - przepraszam. Chodzi mi o to, żebyś się z mojego powodu nie obwiniał. Naprawdę ja sama ponoszę całą odpowiedzialność. Przez ten rok odkładałam to i Tobie też sprawiałam kłopot. Dalej nie da się odkładać.

Wyprowadziłam się z mieszkania w Kokubunji, wróciłam do Kobe i zaczęłam chodzić do lekarza. Powiedział, że w górach koło Kioto jest sanatorium, które byłoby dla mnie odpowiednie, i zamierzam tam na trochę pojechać. Nie jest to szpital w pełnym tego słowa znaczeniu, leczenie odbywa się znacznie mniej formalnie. O szczegółach napiszę Ci przy innej okazji. Teraz nie potrafię jeszcze o tym mówić. Teraz potrzebne mi jest ukojenie nerwów w jakimś odciętych od świata, spokojnym miejscu.

Jestem Ci wdzięczna - na ile potrafię - za to, że byłeś przy mnie przez ten rok. Uwierz, proszę. To nie Ty mnie zraniłeś, myślę, że sama zadałam sobie rany. Tak myślę.

Nie jestem jeszcze gotowa na spotkanie z Tobą. Nie znaczy to, że nie chcę Cię widzieć, tylko nie jestem gotowa. Kiedy poczuję, że jestem gotowa, od razu do Ciebie napiszę. Wtedy być może będziemy mogli się nawzajem lepiej poznać. Masz rację, powinniśmy się lepiej poznać. Na tym kończę.

Przeczytałem ten list setki razy. Za każdym razem robiło mi się strasznie smutno. Był to ten sam rodzaj smutku, który odczuwałem, kiedy Naoko patrzyła mi w oczy. Nie umiałem sobie poradzić z tym nieutulonym żalem, nie umiałem się go pozbyć, nie mogłem nigdzie ukryć. Nie miał konturów, nie miał masy, przypominał przenikliwy wiatr. Nie mogłem się w niego spowić. Powoli przesuwały się przede mną obrazy, lecz nie wiedziałem, co miały znaczyć.

W sobotnie wieczory niezmiennie siadywałem na krześle w holu i tam spędzałem czas. Nie łudziłem się, że zadzwoni telefon, ale nie miałem też nic innego do roboty. Włączałem zawsze transmisję meczu baseballowego i udawałem, że ją oglądam. Dzieliłem pustą przestrzeń pomiędzy sobą a telewizorem na połowę, potem dzieliłem na dwoje jedną z tych połówek. Powtarzałem to wiele razy, aż stworzyłem przestrzeń, która mogła mi się zmieścić na dłoni.

O dziesiątej wyłączałem telewizor, wracałem do pokoju i szedłem spać.

Pod koniec tego miesiąca Komandos dał mi świetlika. Siedział w słoiku po kawie rozpuszczalnej. Na dnie było trochę trawy i odrobina wody. Nakrętka miała kilka niedużych dziurek, żeby dochodziło powietrze. Było jeszcze jasno, więc świetlik wyglądał na zwykłego

czarnego owada, jakiego widuje się nad wodą, ale Komandos upierał się, że to bez wątpienia świetlik. Powiedział, że dobrze zna się na świetlikach, więc nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Jak świetlik, to niech będzie świetlik. Wyglądał jakoś niemrawo. Próbował wdrapywać się na śliską szklaną ściankę, lecz ześlizgiwał się w dół.

- Był w ogrodzie.

- Tu w ogrodzie?

- No, przecież w tym hotelu blisko nas wypuszczają w lecie świetliki, żeby przyciągnąć gości, prawda? Ten zabłąkał się aż tutaj - powiedział, pakując ubrania i zeszyty do czarnej torby podróżnej.

Minęło już kilka tygodni wakacji, w akademiku poza nami nie było prawie nikogo. Ja nie chciałem wracać do Kobe, więc ciągle dorywczo pracowałem, on został, bo miał praktyki. Ale praktyki właśnie się skończyły i wracał do domu. Pochodził z górzystych okolic Yamanashi.

- Możesz go dać dziewczynie. Na pewno się ucieszy - powiedział.

- Dziękuję.

Po zachodzie słońca w akademiku zapadła cisza jak na cmentarzu. Flaga zjechała z masztu, w oknach jadalni zapaliło się światło. Ponieważ zmniejszyła się liczba studentów, tylko lewa połowa sali była oświetlona, prawą wygaszono. Do pokoju dolatywał słaby zapach kolacji - woń gulaszu w sosie ze śmietaną. Wyszedłem na dach, niosąc słoik ze świetlikiem. Na górze nie było żywego ducha. Suszyła się tam jeszcze biała koszula, którą ktoś zapomniał zdjąć. Wyglądała jak pusta skorupa, gdy tak kiwała się poruszana wieczornym powiewem. Wdrapałem się po metalowej drabinie w rogu dachu i znalazłem się obok cylindrycznego zbiornika wody. Nie stracił jeszcze ciepła wchłoniętego w ciągu upalnego dnia. Przysiadłem na wąskim obramowaniu, opierając się o barierkę. Wyrósł przede mną biały księżyc. Brakowało mu tylko troszeczkę do pełni. Po prawej stronie światła Shinjuku, po lewej światła Ikebukuro. Reflektory samochodów tworzyły jasne kolorowe rzeki płynące z jednej dzielnicy do drugiej. Różne dźwięki zlały się w cichy szum, który jak chmura unosił się nad miastem.

Na dnie słoika słabo świecił świetlik. Świąteczko było wątłe, kolor blady. Od dawna nie widziałem świetlików, ale pamiętałem, że potrafią świecić znacznie mocniej - jasne punkciki w ciemności letniej nocy. Zawsze myślałem, że wydzielają silny blask, jak ogniki.

Może osłabł i umiera? Kilka razy lekko potrząsnąłem słoikiem. Świetlik uderzył o szklaną ściankę, podleciał troszeczkę, ale nadal świecił słabo.

Spróbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem świetlika. I gdzie to właściwie było? Pamiętałem scenerię, ale miejsca i czasu nie. W ciemnościach nocy słychać tam było szum wody. Była też murowana śluza dawnego typu, którą można otworzyć i zamknąć, kręcąc korbą. Rzeka nieduża, raczej strumień, nieomal zarośnięty szuwarami. Noc była nieprzeniknioną czernią. Kiedy wyłączyłem latarkę, zrobiło się tak ciemno, że nie widziałem własnych stóp. Nad wodą ponad śluzą latało kilkaset świetlików. Ich światełka, zupełnie jak płonące okruszyny ognia, odbijały się na jej powierzchni.

Zamknąłem oczy i na chwilę zatonąłem w ciemności tego wspomnienia. Szum wiatru zdawał się wyraźniejszy niż zwykle. Choć nie był silny, owiewał mnie, pozostawiając przedziwnie jasne smugi. Kiedy otworzyłem oczy, ciemność letniej nocy lekko się pogłębiła.

Odkręciłem słoik, wyjąłem świetlika i położyłem go na wystającej na trzy centymetry krawędzi zbiornika. Wyglądało na to, że świetlik nie bardzo wie, co się z nim dzieje. Posuwając się chwiejnym krokiem wokół rygła, potykał się o strupy zaschniętej farby. Po chwili skierował się w prawo, upewnił się, że to ślepa uliczka, więc zawrócił. Następnie niespiesznie wdrapał się po ryglu i przycupnął na górze bez ruchu. Nawet nie drgnął, jakby wstrzymywał oddech.

Oparty o barierkę, wpatrywałem się w niego. Obaj trwaliśmy tak dłuższą chwilę nieporuszeni, owiewani wiatrem. W ciemnościach drzewo keyaki szeleściło gęstwiną liści.

Czekałem całą wieczność.

W końcu świetlik odleciał. Jakby sobie o czymś przypomniał, niespodziewanie rozłożył skrzydełka, w następnej sekundzie wzleciał ponad barierkę i uniósł się w ciemności. Zdawało się, że chce odzyskać stracony czas - zatoczył błyskawicznie łuk przy zbiorniku. A potem, jakby czekając, aż linia, którą zakreślił w powietrzu światełkiem, zleje się z wiatrem, poszybował na wschód.

Nawet po jego zniknięciu, pozostał przy mnie ślad tego światełka. Delikatny, blady blask błąkał się bardzo długo w gęstej ciemności zamkniętych powiek, jak zagubiona dusza.

Wiele razy wyciągałem w mroku rękę, lecz moje palce niczego nie dosięgały. Światełko było zawsze odrobinę za daleko.

## 4

**W czasie** wakacji władze uniwersytetu wezwały na pomoc oddziały specjalne, które rozbiły w

pył barykady, a okupujących uczelnię studentów aresztowano. Na wszystkich uniwersytetach działy się wówczas podobne rzeczy, więc nie było w tym nic dziwnego. Uczelnia nie została zamknięta. W taki uniwersytet zainwestowane są ogromne kwoty i nie można było go zamknąć tylko dlatego, że studenci się zbuntowali. Zresztą grupa, która obstawiła uczelnię barykadami, wcale tego nie chciała. Pragnęli jedynie mieć jakiś wpływ na pracę uniwersyteckiej maszyny, a mnie i tak było obojętne, kto będzie na co wpływać. Dlatego kiedy strajk stłumiono, specjalnie się tym nie przejąłem.

We wrześniu poszedłem na uczelnię, spodziewając się ruin i gruzów, a tymczasem campus był nietknięty. Biblioteka nie została splądrowana, sal wykładowych nie zdemolowano, budynek rektoratu nie spłonął. Zaskoczony zastanawiałem się, co ci strajkujący właściwie tu robili.

Kiedy sytuacja została opanowana i pod nadzorem oddziałów specjalnych ponownie rozpoczęły się zajęcia, jako pierwsi stawili się na nich przywódcy strajku. Jak gdyby nigdy nic przyszedli do sali wykładowej, robili notatki i zgłaszali się przy sprawdzaniu listy. To było bardzo dziwne, ponieważ decyzja o podjęciu strajku była jeszcze w mocy - nikt go oficjalnie nie odwołał. Oddziały specjalne rozbiły barykady, ale zasadniczo strajk nadal trwał. W czasie jego ogłaszania przywódcy bardzo pewni swego potępiali studentów, którzy byli przeciwni strajkowi (czy choćby wyrażali jakieś wątpliwości), i urządzali doraźne sądy. Poszedłem do nich i zapytałem, dlaczego chodzą na wykłady zamiast kontynuować strajk. Nie potrafili odpowiedzieć. Cóż mogli odpowiedzieć? Bali się, że nieusprawiedliwione nieobecności obniżą im oceny. To, że ta grupa żądała likwidacji uniwersytetu, wydało mi się absurdalne. Tacy szmatławcy zawsze albo gardłują, albo siedzą jak mysz pod miotłą, zależnie od tego, z której strony wiatr powieje.

Oj, Kizuki, co za straszny świat, pomyślałem. Te szmatławce typki pozdają teraz egzaminy, pójdą do pracy i zapobiegliwie zaczną budować szmatławce społeczeństwo.

Postanowiłem przez jakiś czas chodzić na zajęcia, lecz nie zgłaszać się przy czytaniu listy. Wiedziałem, że to nie ma żadnego sensu, ale zgłaszając się, czułbym się nieswojo. Przez to jeszcze bardziej odizolowałem się od całej grupy. Kiedy milczałem w trakcie wyczytywania mojego nazwiska, w sali zapadała nieprzyjemna cisza. Nikt się do mnie nie odzywał ani ja nie odzywałem się do nikogo.

W drugim tygodniu września doszedłem do wniosku, że edukacja uniwersytecka nie ma sensu. Postanowiłem traktować ją jako okres treningowy w znoszeniu nudy. Nie było jednak specjalnego powodu, żeby rezygnować z nauki i zaczynać dorosłe życie. Chodziłem codziennie

na wykłady, robiłem notatki, a czas między zajęciami spędzałem w bibliotece, czytając i ucząc się.

Nadszedł drugi tydzień września, lecz Komandos nie wracał. Świat się kończy! Jego wydział rozpoczął już zajęcia, a to, żeby Komandos jakieś opuścił, było nie do pomyślenia. Jego biurko i radio pokryła cienka warstwa kurzu. Na półce stały w równiutkim rzędzie: plastikowy kubek ze szczotką do zębów, pojemnik na herbatę, spray owadobójczy i tym podobne przedmioty.

Nie było Komandosa i teraz ja sprzątałem. Przez te półtora roku przyzwyczałem się do czystego pokoju, więc pod nieobecność Komandosa musiałem sam utrzymywać porządek. Codziennie zamiatałem podłogę, co trzy dni przecierałem okno, raz w tygodniu wietrzyłem materace. Liczyłem na to, że Komandos pochwali mnie po powrocie: "Wa-wwatanabe, co ci się stało? Strasznie tu porządnie".

Ale on nie wracał. Pewnego dnia po zajęciach odkryłem, że z pokoju zniknęły jego rzeczy. Na drzwiach nie było też już jego nazwiska, zostało tylko moje. Poszedłem do kierownika i zapytałem, co się z nim stało.

- Zrezygnował z akademika. Przez jakiś czas będziesz mieszkał sam - oznajmił.

Próbowałem się dowiedzieć, co się właściwie dzieje z Komandosem, lecz kierownik niczego mi nie wyjaśnił. To prymityw, który najbardziej lubił sam panować nad sytuacją i nikomu nic nie mówić.

Przez jakiś czas na ścianie w pokoju wisiało jeszcze zdjęcie lodowca, lecz w końcu je zdjąłem, a na jego miejscu powiesiłem fotografie Jima Morrisona i Milesa Davisa. Teraz pokój zrobił się trochę bardziej mój. Za zarobione pieniądze kupiłem mały odtwarzacz stereo. Wieczorami popijałem samotnie, słuchając muzyki. Czasem myślałem o Komandosie, ale poza tym życie w pojedynkę całkiem mi odpowiadało.

W poniedziałek o dziesiątej miałem w ramach zajęć "Historia teatru, część II" wykład o Eurypidesie. Skończył się o jedenastej trzydzieści. Po wykładzie zjadłem omlet i sałatę w małej restauracji położonej dziesięć minut spacerem od uniwersytetu. Była oddalona od ruchliwej, głównej ulicy, ceny były nieco wyższe niż w jadłodajniach nastawionych na studencką kieszeń, ale panowały w niej cisza i spokój, a także podawano bardzo smaczne omlety. Pracowały tam trzy osoby - małomówna para małżonków i pracująca dorywczo dziewczyna. Usiadłem przy

stoliku koło okna i jadłem obiad, kiedy do restauracji weszło czworo studentów: dwóch chłopców i dwie dziewczyny, wszyscy bardzo porządnie ubrani. Usiedli przy stoliku obok wejścia i przejrzeni menu, przez chwilę się naradzali, aż w końcu jedno z nich zebrało zamówienia i przekazało kelnerce.

Wkrótce zauważyłem, że jedna z dziewczyn spogląda w moją stronę. Miała bardzo krótkie włosy, ciemne okulary, białą bawełnianą minisukienkę. Ponieważ nie znałem jej z widzenia, spokojnie jadłem dalej, lecz ona po chwili wstała i podeszła do mnie.

- Nazywasz się Watanabe, prawda? - zapytała, opierając dłoń na stoliku.

Podniosłem głowę i jeszcze raz dobrze się przyjrzałem, lecz nie mogłem jej sobie przypomnieć. Była bardzo efektowną dziewczyną i gdybym ją gdzieś wcześniej spotkał, na pewno od razu bym sobie przypomniawszy. Poza tym niewiele osób na uniwersytecie znało moje nazwisko.

- Mogę się przysiąść na chwilę? Chyba że na kogoś czekasz?

Zastanawiając się, o co jej może chodzić, pokręciłem głową. - Na nikogo nie czekam. Proszę.

Z hałasem odsunęła krzesło, usiadła naprzeciwko, spojrzała na mnie uważnie zza ciemnych okularów, potem przeniosła wzrok na mój talerz.

- Wygląda smakowicie.

- Smaczne. Omlet z grzybami i sałatka z zielonego groszku.

- Aha - powiedziała. - Następnym razem to zjem. Dziś zamówiłam już coś innego.

- Co?

- Zapiekankę z makaronem.

- Zapiekanka też jest niezła. Nawiasem mówiąc, skąd my się znamy? Za nic nie mogę sobie przypomnieć.

- Eurypides - odparła krótko. - *Elektra*. "Od skargi biednego człeka wszelakie bóstwo ucieka"\* . Wykład, który się niedawno skończył.

Popatrzyłem na nią bardzo uważnie. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wtedy wreszcie sobie przypomniawszy. To była studentka pierwszego roku, którą widywałem na wykładzie z "Historii teatru, część II". Nie poznałem jej, bo całkowicie zmieniła fryzurę.

- Przed wakacjami miałaś włosy aż dotąd, prawda? - zapytałem, pokazując mniej więcej

---

\* Przeł. Jan Kasproicz.

dziesięć centymetrów poniżej ramienia.

- Uhm. W lecie zrobiłam sobie trwałą, ale wyszło naprawdę okropnie. Przez chwilę nawet poważnie się zastanawiałam, czy nie popełnić samobójstwa. Wyglądałam strasznie. Jak topielec z wodorostami wplątanymi we włosy. Ponieważ było mi już wszystko jedno, kazałam się ostrzyć na rekruta. Przynajmniej jest mi chłodno - powiedziała i przejechała ręką po swojej kilkucentymetrowej czuprynie. Potem uśmiechnęła się do mnie.

- Zupełnie nieźle wygląda - stwierdziłem, jedząc dalej omlet. - Pokaż się z boku.

Odwróciła się i zastygła tak na jakieś pięć sekund.

- Uważam, że bardzo ci do twarzy. Wydaje się, że masz kształtną czaszkę. Uszy też ładnie wyglądają - oceniłem.

- No właśnie. Też tak myślę. Ostrzygłam się i pomyślałam: tak też jest wcale nieźle. Ale żaden facet mi jeszcze tego nie powiedział. Mówią tylko, że wyglądam jak uczeń podstawówki albo jak więzień obozu koncentracyjnego. Dlaczego faceci tak lubią dziewczyny z długimi włosami? To takie faszystowskie. Beznadziejne. Dlaczego mężczyźni myślą, że długowłose kobiety są wyrafinowane, łagodne i kobiece? Ja znam ze dwieście pięćdziesiąt prymitywnych dziewczyn z długimi włosami. Słowo daję.

- Mnie się teraz bardziej podobasz - powiedziałem. Nie kłamałem. O ile pamiętałem, z długimi włosami była zupełnie zwyczajną, ładną dziewczyną. Za to z siedzącej teraz przede mną istoty emanowała świeżość i żywotność, jak z jakiegoś zwierzątka, które dopiero co wyskoczyło na świat witać wiosnę. Jej oczy były wesole i żyły własnym życiem. Śmiały się, gniewały, dziwiły i smuciły. Dawno nie widziałem tak żywej i radosnej twarzy, więc przez chwilę przyglądałem się jej z zachwytem.

- Naprawdę tak myślisz?

Skinałem głową, jedząc sałatę. Dziewczyna znów włożyła ciemne okulary i zza nich popatrzyła mi w oczy.

- Nie jesteś typem kłamczucha, prawda?

- Staram się w miarę możliwości być szczery.

- Aha.

- Dlaczego nosisz takie ciemne okulary?

- Kiedy się obetnie włosy, człowiek czuje się okropnie bezbronny. Zupełnie jakbym znalazła się naga w tłumie. Czuję się niepewnie i dlatego je noszę.



- Rozumiem - powiedziałem i dokończyłem omlet. Dziewczyna przyglądała się temu z wielkim zainteresowaniem.

- Nie powinnaś wrócić do tamtego stolika? - zapytałem, wskazując trójkę jej znajomych.

- Nie, nie. Pójdę, jak przyniosą jedzenie. Nie ma sprawy. Chyba że ci przeszkadzam w obiedzie?

- Nie przeszkadzasz, poza tym już skończyłem.

Odniosłem wrażenie, że nie spieszy się z powrotem do swojego stolika, więc zamówiłem kawę. Właścicielka sprzątnęła talerze i przyniosła cukier oraz śmietankę.

- Dlaczego nie odezwałeś się dzisiaj podczas sprawdzania listy? Nazywasz się Watanabe, prawda? Toru Watanabe?

- Tak.

- To dlaczego się nie odezwałeś?

- Nie miałem ochoty się dzisiaj odzywać.

Jeszcze raz zdjęła okulary, położyła je na stole i patrzyła na mnie uważnie, jakby zaglądała do klatki z jakimś rzadkim okazem zwierzęcia.

- Nie miałem ochoty się dzisiaj odzywać - powtórzyła. - Mówisz jak Humphrey Bogart. Niewzruszony twardziel.

- Żartujesz! Jestem bardzo zwyczajnym człowiekiem. Są tłumy takich facetów jak ja.

Właścicielka przyniosła kawę i postawiła przede mną. Nie dodałem cukru ani śmietanki i wypiliśmy łyk.

- Ha! Jednak nie używasz cukru ani śmietanki.

- Po prostu nie lubię słodkich rzeczy - wytłumaczyłem cierpliwie. - Mam wrażenie, że się co do mnie mylisz.

- Dlaczego jesteś taki opalony?

- Przez blisko dwa tygodnie wędrowałem z plecakiem i śpiworem. I opaliłem się.

- Gdzie byłeś?

- Obszedłem dookoła półwysep Noto, od Kanazawy do Niigaty.

- Sam?

- Tak. Czasami kogoś po drodze spotykałem.

- Tak rodzą się romanse. Pewnego dnia podczas wędrówki poznajesz dziewczynę...

- Romanse? - powtórzyłem zdziwiony. - To nie tak, jak sobie wyobrażasz. Jak facetowi z

kilkudniowym zarostem wędrującemu ze śpiworem na plecach może się przytrafić romans?

- Zawsze podróżujesz samotnie?

- Tak.

- Lubisz samotność? - zapytała, opierając brodę na dłoni. - Lubisz samotnie podróżować, sam jadać, siedzieć na zajęciach z dala od innych?

- Nikt nie lubi samotności. Ja tylko nie próbuję się z nikim na siłę zaprzyjaźniać. To prowadzi do rozczarowań.

Z rączką okularów w ustach powtórzyła stłumionym głosem: - Nikt nie lubi samotności. To prowadzi do rozczarowań. Jeżeli kiedyś napiszesz autobiografię, możesz te kwestie wykorzystać.

- Dziękuję.

- Lubisz zielony kolor?

- Dlaczego?

- Bo masz na sobie polo w tym kolorze i dlatego pytam, czy lubisz zielony.

- Niespecjalnie. Wszystko mi jedno, co noszę.

- Niespecjalnie. Wszystko mi jedno, co noszę - znowu powtórzyła. - Bardzo mi się podoba twój sposób mówienia. Jakby ktoś starannie wygładzał gips na ścianie. Ktoś ci kiedyś to mówił?

Odpowiedziałem, że nikt.

- Mam na imię Midori, to znaczy zieleń. Mimo to w zielonym nie jest mi do twarzy. Dziwne, prawda? Nie uważasz, że to straszne? Jakby ciążyła nad człowiekiem klątwa. Moja starsza siostra ma na imię Momoko, czyli różowa. Śmieszne, prawda?

- I jest jej do twarzy w różowym?

- Doskonale. Zupełnie jakby została stworzona do noszenia różu. To strasznie niesprawiedliwe!

Do jej stolika przyniesiono jedzenie i jeden z jej znajomych, chłopak w kraciatej marynarce, zawołał: - Hej, Midori, przynieśli jedzenie!

Odwróciła się i zamachała ręką, jakby mówiła: "Wiem, wiem".

- Słuchaj, Watanabe, czy robisz notatki na wykładzie z historii teatru?

- Robię.

- Nie pożyczylbyś mi? Opuściłam dwa wykłady, a nikogo innego tam nie znam.

- Oczywiście, bardzo proszę - wyjąłem zeszyt z torby, sprawdziłem, czy nie ma w nim żadnych niepożądanych zapisków, i podałem Midori.

- Dzięki. Słuchaj, Watanabe, będziesz pojutrze na zajęciach?

- Będę.

- A może przyszedłbyś tutaj o dwunastej? Oddałabym ci zeszyt i postawiłabym ci coś do jedzenia. Chyba że musisz jeść sam, bo inaczej dostajesz niestrawności?

- Żartujesz! Poza tym nie musisz się rewanżować. Ja ci tylko pożyczam zeszyt.

- Nie szkodzi. Lubię się rewanżować. To jesteśmy umówieni? Nie zapomnisz, jak nie zapiszesz w notesie?

- Nie zapomnę. Spotykamy się tutaj pojutrze o dwunastej.

Od tamtego stolika ktoś zawołał: - Hej, Midori! Jak zaraz nie przyjdiesz, wszystko wystygnie.

- Słuchaj, czy ty zawsze mówisz w ten sposób? - zapytała, ignorując wołanie.

- Myślę, że tak. Ale nie zastanawiałem się nad tym. Po raz pierwszy ktoś mi zwrócił uwagę, że mam dziwny sposób mówienia.

Midori przez chwilę się nad czymś zastanawiała, potem się uśmiechnęła, wstała i wróciła do swojego stolika. Kiedy później przechodziłem obok, odwróciła się i podniosła rękę na pożegnanie. Pozostała trójka tylko na mnie zerknęła.

Nadeszła środa, godzina dwunasta, lecz Midori nie pokazała się w restauracji. Miałem zamiar czekać na nią przy piwie, ale ponieważ lokal zaczął się zapełniać, musiałem zamówić obiad i zjeść go samotnie. Skończyłem o dwunastej trzydzieści pięć, Midori nadal się nie pojawiła. Zapłaciłem, wyszedłem na ulicę i usiadłem na kamiennych schodkach małej świątyni naprzeciwko. Czekaając, aż piwo wywietrzeje mi z głowy, siedziałem tam do pierwszej; na darmo. Zrezygnowałem i wróciłem na uniwersytet, w bibliotece przeczytałem książkę. O drugiej miałem zajęcia z niemieckiego. Potem wstąpiłem do dziekanatu i przejrzałem listy studentów zapisanych na różne wykłady. Znalazłem ją wśród słuchaczy wykładu "Historia teatru, część II". Była tylko jedna Midori na liście - Midori Kobayashi. Następnie przejrzałem tegoroczną listę studentów pierwszego roku - każdy miał swoją kartę jak w katalogu - i odszukałem Midori Kobayashi. Zapisałem adres i numer telefonu. Mieszkała z rodziną w dzielnicy Toshima. Wszedłem do budki i wykręciłem numer.

- Księgarnia Kobayashich, dzień dobry - odezwał się męski głos. Księgarnia Kobayashich?

- Przepraszam, czy zastałem Midori?

- Nie, nie ma jej - odpowiedział mężczyzna.

- Czy może poszła na uniwersytet?

- Hmm... chyba raczej do szpitala. A, przepraszam, kto mówi?

Nie podałem nazwiska, podziękowałem tylko i odłożyłem słuchawkę. Do szpitala? Może miała wypadek albo zachorowała? Ale w głosie mężczyzny nie było takiego niecodziennego napięcia. "Hmm... chyba raczej do szpitala" - powiedział to tak, jakby chodzenie do szpitala było stałym elementem jej życia. Jakby mówił, że poszła do rybnego po ryby. Trochę krążyłem myślami wokół tego tematu, lecz wkrótce znudziło mi się, wróciłem do akademika, rzuciłem się na łóżko i dokończyłem czytanie pożyczonego od Nagasawy *Lorda Jima* Josepha Conrada. Potem odniosłem mu książkę.

Nagasawa właśnie wybierał się do stołówki, więc poszliśmy na kolację razem. Zapytałem, jak mu poszedł egzamin w Ministerstwie Spraw Zagranicznych - drugi etap egzaminów do służby dyplomatycznej odbył się w sierpniu.

- Zwyczajnie - odpowiedział obojętnie. - To można sobie tak zwyczajnie zdać. Debata grupowa, rozmowa kwalifikacyjna. Jak podrywanie dziewczyny.

- No to tobie przyszło bez trudu. Kiedy ogłoszenie wyników?

- Na początku października. Jeżeli zdam, zapraszam cię na dobrą kolację.

- A jak to jest na tym drugim etapie egzaminu? Czy wszyscy zdający są podobni do ciebie?

- Żartujesz! Większość to idioci. A jeżeli nie idioci, to degeneraci. Dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi chcących zostać urzędnikami państwowymi to dno. Poważnie mówię. Ledwie czytać potrafią.

- To dlaczego chcesz się dostać do ministerstwa?

- Są różne powody - odparł. - Na przykład chciałbym pojechać na placówkę i tak dalej. Najważniejszy powód jest taki, że chcę sprawdzić swoje umiejętności. A jeżeli już mam się sprawdzać, to chcę to zrobić na największej arenie. Czyli na arenie państwa. Chcę się przekonać, jak wysoko uda mi się zajść i na co będę miał wpływ w tej idiotycznie rozbudowanej machinie biurokratycznej. Rozumiesz?

- To wygląda na jakąś grę.

- Tak. Przypomina grę. Praktycznie nie czuję żądy władzy ani żądy pieniędzy. Naprawdę. Być może jestem nic niewartym samolubem, ale, o dziwo, tych żądy prawie nie czuję. Można powiedzieć, że jestem bezinteresowny. Czuję tylko ciekawość. I chcę wypróbować własne siły w

tym wielkim i okrutnym świecie.

- I chyba nie istnieją też dla ciebie ideały?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział. - W życiu nie są potrzebne. Potrzebne są nie ideały, a wzorce zachowania.

- Ale jest wiele innych sposobów na życie, prawda?

- Co? Mój ci się nie podoba?

- Daj spokój. Co mi się może podobać albo nie podobać? Ani nie dostałbym się na Uniwersytet Tokijski, ani nie mogę, kiedy mi przyjdzie ochota, przespać się z każdą dziewczyną, która mi wpadnie w oko, nie mam też daru wymowy. Niczym nad nikim nie góruję, nie mam dziewczyny. Po skończeniu wydziału literatury na drugorzędym prywatnym uniwersytecie nie mam wielkich perspektyw na przyszłość. Co ja mogę powiedzieć?

- Więc zazdrościsz mi mojego życia?

- Nie zazdroszczę - odrzekłem. - Za bardzo przywykłem do swojego. A przy tym, szczerze mówiąc, nie interesuje mnie ani Uniwersytet Tokijski, ani MSZ. Zazdroszczę ci tylko Hatsumi, wspaniałej dziewczyny.

Przez chwilę jadł w milczeniu.

- Wiesz co, Watanabe - odezwał się, kiedy skończył posiłek. - Mam przeczucie, że za dziesięć, może dwadzieścia lat gdzieś się znowu spotkamy. I że nasze losy jakoś się splecą.

- Brzmi jak z powieści Dickensa - powiedziałem, śmiejąc się.

- Faktycznie - on też się zaśmiał. - Ale moje przeczucia często się sprawdzają.

Po kolacji poszliśmy do pobliskiego baru na drinka. Koło dziewiątej zaczęliśmy się zbierać do wyjścia.

- Słuchaj, nawiasem mówiąc, jakie są twoje wzorce zachowania? - zapytałem.

- Pewnie będziesz się śmiał.

- Nie będę się śmiał - obiecałem.

- Być dżentelmenem.

Nie śmiałem się, ale o mało nie spadłem z krzesła.

- Dżentelmenem? Takim angielskim dżentelmenem?

- Tak, takim angielskim dżentelmenem - odpowiedział.

- A na czym polega bycie dżentelmenem? Jest jakaś definicja? Jeśli tak, oświetl mnie, proszę.

- Dżentelmen postępuje tak, jak powinien, a nie tak, jak ma ochotę.

- Nie znam nikogo równie stukniętego jak ty - powiedziałem.
- A ja nie znam nikogo równie normalnego jak ty - odrzekł. Po czym zapłacił rachunek.

W następny poniedziałek znów nie widziałem Midori Kobayashi na wykładzie "Historia teatru, część II". Rozejrzałem się po sali i upewniwszy się, że jej nie ma, usiadłem jak zawsze w pierwszym rzędzie. Postanowiłem przed przyjściem wykładowcy napisać list do Naoko. Opisałem jej wakacyjną wędrówkę: ścieżki, które przeszedłem, mijane miasta i spotkanych ludzi. A gdy nastawała noc, zawsze myślałem o Tobie - napisałem. - Od kiedy nie mogę Cię widywać, rozumiałem, jak bardzo Cię potrzebuję. Uniwersytet jest potwornie nudny, lecz chodzę pilnie na zajęcia i uczę się, traktując to jako ćwiczenie samodyscypliny. Od Twojego zniknięcia wszystko wydaje mi się nijakie. Bardzo bym chciał się z Tobą spotkać i spokojnie porozmawiać. Jeżeli byłoby to możliwe, chciałbym odwiedzić Cię w sanatorium choć na parę godzin. Chciałbym też pójść na spacer we dwoje, tak jak dawniej. Nie chcę Ci robić kłopotu, ale odpisz, proszę, choćby parę słów.

Skończyłem, złożyłem porządnie cztery zapisane kartki papieru listowego, wsunąłem do przygotowanej koperty i zaadresowałem do rodziców Naoko w Kobe.

Wkrótce pojawił się niski i szczupły profesor o melancholijnej twarzy. Sprawdził listę, otarł chusteczką pot z czoła. Miał chorą nogę i zawsze podpierał się metalową laską. Wykład "Historia teatru, część II" nie był może porywający, ale porządnie przygotowany i wart słuchania. - Ciągłe te upały - powiedział profesor i zaczął mówić o roli deus ex machina w utworach Eurypidesa. Tłumaczył, jak koncepcja boga u Eurypidesa różni się od tej u Ajschylosa czy Sofoklesa. Po mniej więcej piętnastu minutach otworzyły się drzwi i do sali weszła Midori. Miała na sobie ciemnoniebieską sportową koszulę, kremowe bawełniane spodnie i te same okulary przeciwsłoneczne, co poprzednio. Rzuciła profesorowi uśmiech mówiący "przepraszam bardzo za spóźnienie" i usiadła obok mnie. Z torebki na ramię wyjęła zeszyt i podała mi. W zeszycie była kartka: "Przepraszam za środę. Gniewasz się?".

Mniej więcej w połowie wykładu, kiedy profesor rysował na tablicy, jak zbudowana była scena w teatrze greckim, drzwi znowu się otworzyły i weszło dwóch studentów w hełmach. Wyglądali zupełnie jak para komików. Jeden wysoki, chudy i blady, drugi niski, śniady, pyzaty, z wąsami, które do niego nie pasowały. Wysoki niósł ulotki agitacyjne. Niski podszedł do profesora i powiedział, że zamierza przeznaczyć drugą część wykładu na debatę polityczną.

Współczesny świat boryka się z problemami znacznie poważniejszymi niż tragedia grecka. Nie żądał, po prostu informował. Profesor odparł, że osobiście nie uważa, aby we współczesnym świecie istniały problemy poważniejsze niż te opisane w tragedii greckiej, ale zdaje sobie sprawę, że jego opinia nie ma znaczenia, więc niech robią, co chcą. Po czym opierając się o biurko, zszedł z katedry, wziął laskę i wyszedł, powłócząc nogą.

Podczas gdy wysoki student rozdawał ulotki, Pызaty stał na katedrze i przemawiał. Ulotki napisano tymi szczególnymi kwadratowymi literami, które potrafią tak wszystko uprościć. "Nie dopuścimy do sfingowanych wyborów rektora!", "Zjednoczmy wszystkie siły w nowym strajku studenckim!", "Rozbijmy imperialistyczną zмовę przemysłu z edukacją!". Idee były wspaniałe i nie miałem nic do zarzucenia treści, lecz ulotki nie przekonywały. Nie budziły zaufania, nie miały mocy, która mogłaby pociągnąć tłumy. Przemówienie Pызatego było takie samo. Ta sama śpiewka - melodia się nie zmienia, inna jest tylko kolejność wersów. Pomyślałem, że ich prawdziwym wrogiem nie jest państwo, a brak wyobraźni.

- Chodźmy stąd - zaproponowała Midori. Kiwnąłem głową, wstałem i skierowaliśmy się ku wyjściu. Kiedy byliśmy przy drzwiach, Pызaty coś do mnie powiedział, lecz nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Midori rzuciła: - Na razie - i pomachała mu ręką.

- Słuchaj, czy my jesteśmy kontrrewolucjonistami? - zapytała, kiedy wyszliśmy z sali wykładowej. - Czy powiesz nas na latarniach, jeżeli rewolucja zwycięży?

- Wolałbym coś zjeść, zanim mnie powiesz - powiedziałem.

- Jest taka knajpka, do której chciałabym cię zabrać, ale to kawałek stąd. Dojazd zajmie trochę czasu. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie szkodzi. Dopiero o drugiej mam zajęcia.

Wsiadliśmy do autobusu, pojechaliśmy do Yotsuya.

Midori zaprowadziła mnie do restauracji znajdującej się w małej uliczce na tyłach stacji, gdzie podawano zestawy obiadowe w tradycyjnych pudełkach z przegródkami. Usiedliśmy i zanim zdążyliśmy cokolwiek zamówić, dostaliśmy zestaw dnia w lakierowanym na czerwono kwadratowym pudełku i zupę w miseczce. Rzeczywiście warto było tu specjalnie przyjechać.

- Pyszne.

- Uhm. Do tego całkiem tanie. Dlatego już w liceum czasem tu bywałam. Moja szkoła była tuż obok. Panował tam rygor, więc przychodziłyśmy tu ukradkiem. Gdyby wyszło to na jaw, zostałybyśmy zawieszona w prawach ucznia.

Kiedy Midori zdjęła okulary, zauważyłem, że ma oczy senne, nie tak żywe jak poprzednio. Bawiła się wąską srebrną bransoletką na lewym nadgarstku, czubkiem małego palca podrapała się w kąciku oka.

- Śpiąca? - zapytałem.

- Trochę. Nie dosypiałam. Byłam jakoś ciągle zajęta. Wszystko w porządku, nie przejmuj się - powiedziała. - Bardzo cię przepraszam, że wtedy nie przyszedłam. Wypadło mi coś ważnego i nie mogłam się z tego wykryć. To się stało nieoczekiwanie rano i nie miałam wyjścia. Chciałam zadzwonić do tej restauracji, ale nie pamiętałam, jak się nazywa, a nie znałam twojego domowego numeru. Długo czekałeś?

- Nie przejmuj się. Jestem człowiekiem mającym za dużo czasu.

- Masz tak dużo czasu?

- Tak dużo, że chętnie podzieliłbym się z tobą, żebyś mogła się wyspać.

Midori oparła policzek na dłoni i spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Miły jesteś.

- Nie jestem miły. Po prostu mam dużo wolnego czasu - powiedziałem. - A propos tego dnia, zadzwoniłem do ciebie do domu i ktoś mi powiedział, że poszłaś do szpitala. Czy coś się stało?

- Do mnie do domu? - zapytała, lekko marszcząc brwi. - Skąd miałeś mój domowy numer?

- Sprawdziłem w dziekanacie, oczywiście. Każdy może to zrobić.

Pokiwała głową, jakby mówiąc: "Rzeczywiście", i znowu zaczęła się bawić bransoletką. - Nie pomyślałam o tym. Mogłam sprawdzić twój numer w ten sposób, prawda? Ale o szpitalu powiem ci następnym razem. Teraz nie chcę o tym mówić. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Wygląda na to, że niepotrzebnie zapytałem.

- Nie, nie, wcale nie. Tylko jestem teraz trochę zmęczona. Zmęczona jak zmoknięta małpa.

- Może powinnaś iść do domu i się przespać?

- Nie chcę jeszcze spać. Pospacerujmy trochę - powiedziała Midori.

Pokazała mi swoje liceum, do którego szło się kawałek piechotą od stacji Yotsuya. Kiedy mijaliśmy stację, przypomniałem sobie Naoko i nasze niekończące się spacerki. Właściwie tutaj się wszystko zaczęło. Gdybym przypadkiem nie spotkał jej tamtej majowej niedzieli w pociągu linii Chūō, moje życie wyglądałoby teraz zupełnie inaczej - pomyślałem nagle. Jednak za chwilę przyszło mi do głowy, że nawet gdybyśmy wtedy na siebie nie wpadli, prawdopodobnie



wszystko i tak potoczyłoby się podobnie. Pewnie drogi nasze skrzyżowały się, bo tak nam było pisane, i jeśli nie w pociągu, nasze drogi skrzyżowałyby się gdzie indziej. Nie miałem racjonalnych podstaw, by tak myśleć, tak mi się po prostu wydawało.

Usiedliśmy z Midori na ławce na skwerku i przyglądaliśmy się jej dawnemu liceum. Gmach obrosnięty był bluszczem, na szczycie dachu przysiadło kilka gołębi; zmęczone odpoczywały. Był to stary budynek z charakterem. W ogrodzie rósł wielki dąb, a obok niego wznosił się ku górze słup białego dymu. W promieniach słońca u schyłku lata wydawał się lekko zamazany i drżący.

- Watanabe, wiesz, co to za dym? - zapytała nagle Midori.

Odparłem, że nie wiem.

- To palą się podpaski higieniczne.

- Aha - powiedziałem. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Podpaski, tampony, tego typu rzeczy - wyjaśniła i uśmiechnęła się. - To przecież szkoła dla dziewcząt. Wszystkie uczennice wyrzucają je do koszy w toaletach. Stary woźny opróżnia kosze i spala zawartość w piecu. Stąd dym.

- Jest w tym coś niesamowitego.

- Uhm, ja też tak myślałam, widząc ten dym z okna klasy. Niesamowite. W tej szkole mieści się gimnazjum i liceum, łącznie blisko tysiąc dziewczyn. Nawet jeśli nie wszystkie jeszcze miesiączkują, to zostaje dziewięćset. Załóżmy, że z tego jedna piąta ma akurat okres, czyli około sto osiemdziesiąt. Każdego dnia tyle dziewczyn wyrzuca do kosza podpaski.

- Pewnie masz rację. Choć nie umiałbym tego tak dokładnie wyliczyć.

- Sporo, prawda? Sto osiemdziesiąt dziewczyn. Jak musi się czuć ktoś, kto to zbiera i pali?

- Nie mam pojęcia - odparłem. Skąd miałem wiedzieć? Przez jakiś czas przyglądaliśmy się białemu dymowi.

- Prawdę mówiąc, wcale nie chciałam iść do tej szkoły - powiedziała Midori i lekko pokręciła głową. - Chciałam pójść do zwyczajnej państwowej szkoły. Bardzo zwyczajnej szkoły, do której chodzą bardzo zwyczajni ludzie. I tam przyjemnie i bez stresów spędzić szkolne lata. Rodzice posłali mnie tu z próżności. Tak się zdarza, jeżeli w szkole podstawowej masz dobre wyniki. Nauczyciel mówi: "Z takimi stopniami dziecko mogłoby się dostać do tamtej szkoły". No i posłali mnie. Chodziłam tu sześć lat, ale jakoś nie mogłam tej szkoły polubić. Cały czas myślałam: Żeby tylko jak najszybciej się stąd wydostać, żeby tylko jak najszybciej się stąd

wydostać. Dostałam dyplom - nie miałam ani jednego spóźnienia, ani jednej nieobecności. Chociaż tak nienawidziłam szkoły. Wiesz dlaczego?

- Nie wiem.

- Właśnie dlatego, że śmiertelnie nienawidziłam szkoły. Nie opuściłam ani jednego dnia. Postanowiłam się nie dać. Bałam się, że jeśli raz się poddam, będzie po mnie. Raz sobie odpuszczę i będzie coraz gorzej i gorzej. Nawet mając trzydzieści dziewięć stopni gorączki, wlokłam się na lekcje. Nauczyciel mówi: "Kobayashi, czy ty się źle czujesz?", a ja trzymałam się twardo i kłamałam: "Nie, nie, w porządku". I dostałam dyplom oraz słownik francuski za idealną frekwencję bez spóźnień. Dlatego właśnie na uniwersytecie wybrałam lektorat z niemieckiego. Nie mogłabym znieść myśli, że zawdzięczam cokolwiek tej szkole. Szlag by mnie trafił.

- Czego tak nienawidziłaś w szkole?

- A ty lubiłaś swoją?

- Specjalnie nie lubiłem, ale też nie nienawidziłem. Chodziłem do bardzo zwyczajnej państwowej szkoły i specjalnie się nie przejmowałem.

- To była - mówiła Midori, pocierając małym palcem kącik oka - elitarna szkoła dla dziewcząt. Prawie tysiąc dziewczyn z dobrych domów i z dobrymi stopniami. Wszystkie bogate. Musiały być bogate. Czesne było wysokie, nieustannie jakieś dodatkowe opłaty, wycieczki do Kioto. Szkoła wynajmowała tam luksusowy tradycyjny japoński hotel, gdzie spożywałyśmy wymyślne przysmaki podawane na zdobionych laskach stoliczkach, raz do roku lekcje dobrych manier przy stole w hotelu Okura\*, w każdym razie nie była to zwykła szkoła. A wiesz, że w moim roczniku tylko ja jedna ze stu sześćdziesięciu dziewczyn mieszkalam w Toshimie? Kiedyś sprawdziłam cały spis uczennic. Ciekawa byłam, gdzie mieszkają inne dziewczyny.

To było coś niesamowitego! Sanbancho w dzielnicy Chiyoda, Motoazabu w Minato, Den'enchofu w Óta, Seijó w Setagaya... same takie ekskluzywne miejsca. Tylko jedna dziewczyna z Kashiwa w prefekturze Chiba. Spróbowałam się z nią zaprzyjaźnić. To była fajna dziewczyna. Zaprosiła mnie do domu, przepraszając, że tak daleko. Pojechałam. I zatkało mnie. Przede wszystkim obejście całego terenu zajmowało dobre piętnaście minut. Mieli wspaniały ogród, dwa psy wielkości małych samochodów, które pożerały góry wołowiny. Mimo to ta dziewczyna czuła się gorsza od innych w klasie, wstydziła się, że mieszka w Chiba. Chociaż

---

\* Okura to najelegantszy hotel w Tokio.

kiedy zasnęła, odwożono ją do szkoły mercedesem. Odwoził ją kierowca jak prosto z serialu *Green Hornet*, w czapce i białych rękawiczkach. A i tak się wstydziła. Trudno uwierzyć, prawda?

Pokręciłem głową.

- W całej szkole tylko ja jedna byłam z Kita Ótsuka w Toshima. Do tego w rubryce zawodów ojca napisano: "właściciel księgarni". Na szczęście cała klasa traktowała to jako ciekawostkę: "fajnie masz, możesz sobie czytać ile chcesz i co chcesz". Ja nie żartuję. Wszystkie myślały, że to ogromna księgarnia, jak Kinokuniya\*. Nie potrafiły sobie wyobrazić innej księgarni. A tymczasem rzeczywistość była mizerna. Księgarnia Kobayashich. Żałosna Księgarnia Kobayashich. Otwierasz z łoskotem suwane drzwi i widzisz rzędy czasopism. Najlepiej sprzedają się pisma dla kobiet, takie z bogato ilustrowanymi dodatkami o nowych technikach seksualnych. Okoliczne gospodynie domowe kupują to, czytają pilnie przy kuchennym stole i wypróbują, kiedy mąż wróci z pracy. A tam są niesamowite rzeczy! Co im przychodzi do głowy? Następnie komiksy manga. To też się dobrze sprzedaje. "Magazyn", "Sunday", "Jump". No i oczywiście tygodniki. W każdym razie prawie same czasopisma. Jest trochę książek w formacie kieszonkowym, ale nic specjalnego. Kryminały, historyczne, obyczajowe - tylko to się sprzedaje. Oraz poradniki. Jak grać w go, jak hodować miniaturowe drzewka, toasty weselne, podstawy życia seksualnego, jak szybko rzucić palenie itp. itd. Poza tym sprzedajemy artykuły papiernicze. Obok kasy leżą długopisy, ołówki, zeszyty. To wszystko. Nie ma ani *Wojny i pokoju*, ani *Homo Sexualis* Kenzaburō Ōe, ani *Buszującego w zbożu*. Taka jest Księgarnia Kobayashich. Czego tu można zazdrościć? Czy ty mi zazdrościsz?

- Mogę ją sobie dokładnie wyobrazić.

- No, taka to jest księgarnia. Wszyscy ludzie z sąsiedztwa przychodzą do nas kupować książki, dostarczamy je też do domu, mamy od dawna wielu stałych klientów - wystarczy na naszą czteroosobową rodzinę. Długów nie mamy. Udało się posłać nas obie na uniwersytet. Lecz na tym koniec. Nie stać nas na nic specjalnego. Dlatego rodzice nie powinni byli mnie posyłać do takiej szkoły. Czułam się tam tylko upokorzona. Rodzice zawsze narzekali na wszelkie dodatkowe opłaty. Kiedy szłam gdzieś z koleżankami z klasy i była pora posiłku, zaczynałam się denerwować, że nie starczy mi pieniędzy na drogą restaurację. Takie życie jest żalosne. A ty jesteś z bogatej rodziny?

- Ja? Rodzice to zwyczajni ludzie na posadach. Nie są specjalnie bogaci, ale nie są też biedni.

---

\* Kinokuniya - wielopiętrowa księgarnia w Shinjuku.

Pewnie dość ciężko im utrzymywać dziecko na prywatnym uniwersytecie w Tokio, ale jestem jedynakiem, więc jakoś dają radę. Nie przysyłają mi zbyt wiele na życie, dorabiam sobie. Zwyczajny dom. Mały ogródek, toyota corolla.

- Jak dorabiasz?

- Trzy razy w tygodniu pracuję wieczorami w sklepie z płytami w Shinjuku. Lekka praca. Wystarczy siedzieć i pilnować sklepu.

- Coś takiego! A ja myślałam, że ty nigdy nie musisz się martwić o pieniądze. Jakoś tak wyglądasz.

- Nie muszę się specjalnie martwić. Po prostu nie mam za wiele pieniędzy, jak większość ludzi na świecie.

- W mojej szkole prawie wszyscy byli bogaci - powiedziała Midori, kładąc dłonie na kolanach. - Na tym właśnie polegał problem.

- Ale teraz do znudzenia napatrzysz się na świat, w którym tak nie jest.

- Słuchaj, wiesz, jaka jest największa przyjemność bycia bogatym?

- Nie wiem.

- Móc powiedzieć: "Nie mam pieniędzy". Proponuję koleżance z klasy, że może gdzieś razem pójdziemy, a ona na to: "Nie mogę, bo nie mam teraz pieniędzy". Gdyby było odwrotnie, ja czegoś takiego nie mogłabym powiedzieć. Gdybym ja tak powiedziała, znaczyłoby to, że naprawdę nie mam pieniędzy. To upokarzające. Tak samo jak piękna dziewczyna może powiedzieć: "Dziś nigdzie nie idę, bo strasznie wyglądam". Niechby brzydka spróbowała! Zostałaby wyśmiana. W takim świecie żyłam. Do zeszłego roku, przez sześć lat.

- Wkrótce o tym zapomnisz.

- Chcę szybko zapomnieć. Kiedy dostałam się na uniwersytet, naprawdę poczułam ulgę. Pełno tu zwyczajnych ludzi.

Uśmiechnęła się leciutko i przesunęła dłonią po krótkiej czuprynie.

- A ty gdzieś pracujesz? - zapytałam.

- Tak. Piszę objaśnienia do map. Kiedy kupujesz mapę, zwykle dołączona jest do niej broszurka, prawda? Jest tam opis miast, liczba ludności, miejsca, które warto odwiedzić. Jest taki szlak turystyczny, znana jest taka legenda, takie kwiaty kwitną, takie ptaki występują itd. Moja praca polega na pisaniu tych tekstów. To naprawdę łatwe. Szybko idzie. Jeden opis wymaga jednego dnia szperania w bibliotece w Hibiya. Trzeba się nauczyć pewnej sztuczki i ma się

mnóstwo zleceń.

- Sztuczki? Jakiej sztuczki?

- Dobrze jest umieścić w opisie coś, czego inni nie napisali. Wtedy ludzie w firmie kartograficznej myślą sobie: "Ta dziewczyna umie pisać". Są pełni podziwu i dają kolejne zlecenie. To nie musi być nic wielkiego.

Wystarczy jakiś drobiazg. Na przykład: w czasie budowy tamy zatopiono tu wioskę, ale wędrownie ptaki do dziś ją pamiętają i kiedy nadchodzi odpowiednia pora roku, można je zobaczyć krążące w nieskończoność nad jeziorem. Jeżeli wsadzi się chociaż jedną taką historyjkę, wszyscy są bardzo zadowoleni. To takie malownicze i sentymentalne. Inni zazwyczaj nie zwracają sobie głowy takimi rzeczami i dzięki temu zarabiam całkiem niezłe pieniądze pisaniem tych tekstów.

- Ale że też ci się udaje znaleźć takie historyjki!

- No tak. - Midori lekko przechyliła głowę. - Jeżeli człowiek chce, to coś znajdzie, a nawet jeżeli nie, to coś nieszkodliwego można wymyślić, prawda?

- Rozumiem - powiedziałem z podziwem.

- *Peace.*

Ponieważ chciała się czegoś dowiedzieć o moim akademiku, więc jak zwykle opowiedziałem o fladze i o porannej gimnastyce Komandosa. Midori też strasznie się śmiała z historii o Komandosie. Wyglądało na to, że Komandos wprawia cały świat w dobry humor. Bardzo zaciekawił ją akademik i powiedziała, że koniecznie chce go zobaczyć. Odparłem, że nie ma tam nic ciekawego.

- Kilkuset studentów w brudnawych pokojach pije i się onanizuje.

- Ty też robisz takie rzeczy?

- Wszyscy to robią - wyjaśniłem. - Dziewczyny mają okres, a chłopcy się onanizują. Każdy to robi. Absolutnie każdy.

- Ci, którzy mają dziewczyny, też? To znaczy ci, którzy mają z kim spać?

- To nie o to chodzi. Jeden facet z uniwersytetu Keio, który mieszka w pokoju obok, onanizuje się przed pójściem na randkę. Podobno go to uspokaja.

- Ja nie wiem o tym zbyt wiele, bo chodziłam do szkoły dla dziewcząt.

- O tym nie piszą w dodatkach do pism kobiecych.

- Wcale nie piszą. - Midori zaśmiała się. - Słuchaj, Watanabe, masz czas w tę niedzielę?

Wolny jesteś?

- Każdą niedzielę mam wolną. Dopiero o szóstej muszę być w pracy.

- Może wpadłbyś do mnie? Do Księgarni Kobayashich. Będzie nieczynna, ale ja muszę do wieczora siedzieć w domu. Może być ważny telefon. Zjedzmy razem obiad. Ugotuję coś dla ciebie.

- Bardzo chętnie.

Wyrwała kartkę z zeszytu i narysowała dokładną mapkę, jak trafić ze stacji. Potem czerwonym pisakiem zaznaczyła swój dom wielkim krzyżykiem.

- Na pewno trafisz. Jest duży szyld z napisem Księgarnia Kobayashich. Przyjdź koło dwunastej. Przygotuję coś do jedzenia.

Podziękowałem, schowałem mapkę do kieszeni. Powiedziałem, że muszę wracać na uniwersytet, bo o drugiej mam zajęcia z niemieckiego. Midori miała coś do załatwienia i wsiadła do pociągu na stacji Yotsuya.

W niedzielę rano wstałem o dziewiątej, ogoliłem się, zrobiłem pranie i wywiesiłem je na dachu. Była wspaniała pogoda. W powietrzu czuło się pierwsze zapachy jesieni. Chmary ważek latały po ogrodzie, okoliczne dzieciaki biegały za nimi z siatkami. Nie było wiatru, flaga zwisała smętnie. Włożyłem porządnie uprasowaną koszulę, wyszedłem z akademika i powędrowałem na przystanek tramwajowy. W niedzielę ulice kampusu były wymarłe, większość sklepów nieczynna. Różne odgłosy miasta brzmiały wyraźniej niż zwykle. Jakaś dziewczyna przeszła przez ulicę, postukując po asfalcie drewnianymi chodakami, obok zajezdni tramwajowej kilkoro dzieci celowało kamieniami w rządę pustych puszek. Jedna kwaciarnia była otwarta, więc kupiłem trochę żonkili. Dziwne jest kupowanie jesienią żonkili, ale ja zawsze je lubiłem.

Tego niedzielnego poranka tramwajem jechały tylko trzy staruszki. Kiedy wsiadłem, przyjrzały się mnie i żonkilom. Jedna z nich uśmiechnęła się, więc odpowiedziałem uśmiechem. Usiadłem na samym końcu i przyglądałem się starym domom ciągnącym się po obu stronach torów. Tramwaj przejeżdżał tuż obok krawędzi dachów, nieomal o nie zaczepiając. Na jednym z tarasów wśród suszącego się prania stało z dziesięć doniczek z krzaczkami pomidorów, obok nich wygrzewał się na słońcu ogromny czarny kot. Małe dziecko puszczało w ogródku bańki mydlane. Skądś dobiegła piosenka Ayumi Ishidy. Poczulem nawet zapach ryżu z sosem curry. Tramwaj sunął przez zaciszny świat na tyłach domów, jakby zszywał ze sobą dwa rzędy dachów. Po drodze wsiadło parę osób, trzy staruszki nachylone ku sobie dalej konferowały o czymś

zawzięcie.

Wysiadłem blisko dworca Ótsuka i ruszyłem szeroką, niezbyt ładną ulicą, kierując się mapką Midori. Wszystkie sklepy ciągnące się po obu stronach ulicy zdawały się podupadać. Domy, w których się mieściły, były stare, wnętrza sklepów ciemne. Szyldy już trudno było odczytać. Wiek i styl budynków wskazywał, że ta dzielnica nie została zbombardowana w czasie wojny i dlatego przetrwała w takim kształcie. Oczywiście niektóre domy przebudowano, lecz większość powiększono lub naprawiono i wiele z nich wyglądało gorzej niż oryginalne stare budynki.

Cała dzielnica wyglądała tak, jakby większość mieszkańców wyczerpanych zbyt dużą liczbą samochodów, zanieczyszczonym powietrzem, hałasem i wysokimi czynszami przeniosła się na przedmieścia. Były tylko tanie domy z mieszkaniami do wynajęcia, mieszkania służbowe, sklepy, które trudno było przenieść. Pozostali na miejscu starzy uparci mieszkańcy kurczowo trzymający się swoich skrawków ziemi. Z powodu spalin wszystko zdawało się lekko przybrudzone, jakby zamglone.

Szedłem tą ulicą dziesięć minut, skręciłem w prawo za stacją benzynową i znalazłem się w małym pasażu handlowym. Mniej więcej pośrodku widniał szyld KSIĘGARNIA KOBAYASHICH. Rzeczywiście nie była duża, lecz większa, niż sobie wyobrażałem na podstawie opowiadania Midori. Do takiej samej biegałem w dzieciństwie, nie mogąc się doczekać nowego numeru pisemka dla dzieci. Gdy tak stałem przed Księgarnią Kobayashich, ogarnął mnie nostalgiczny nastrój. Widocznie w każdym mieście jest taka księgarnia.

Żaluzje były całkowicie opuszczone i widniał na nich napis "Tygodnik Literacki" - sprzedaż w każdy czwartek. Do dwunastej brakowało jeszcze piętnastu minut, lecz nie chciało mi się łączyć po sklepach z żonkilami w rękę, żeby wytracić czas, więc nacisnąłem dzwonek obok żaluzji, cofnąłem się o kilka kroków i czekałem. Minęło około piętnastu sekund, ale nikt nie otwierał. Właśnie się zastanawiałem, czy zadzwonić jeszcze raz, gdy z góry dał się słyszeć odgłos otwieranego okna. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak wychyla się z niego Midori i macha ręką na powitanie.

- Podnieś żaluzję i wejdź - zawołała.

- Można? Przyszedłem trochę za wcześnie - odkrzyknąłem.

- Nic nie szkodzi. Wejdź na górę. Teraz nie mogę odejść od kuchni - powiedziała i znów z hałasem zamknęła okno.

Podniosłem żaluzję o jakiś metr. Wydała zupełnie nieprawdopodobny zgrzyt. Zgiąłem się

wpół, wszedłem do środka i spuściłem ją za sobą. W księgarni panowała całkowita ciemność. Potykając się, prawie przewracając o powiązane sznurkiem sterty czasopism przeznaczonych do zwrotu, dotarłem na tyły sklepu, po omacku zdjąłem buty i znalazłem się w części mieszkalnej. We wnętrzu panował półmrok. Za przedsionkiem znajdował się skromny salon z kanapą i fotelami. Pokój nie był zbyt duży, przez okno wpadało słabe światło jak w starych polskich filmach. Po lewej stronie mieściło się coś w rodzaju składziku, widać też było drzwi do toalety. Wszedłem ostrożnie na piętro bardzo stromymi schodami po prawej stronie. Poczułem się o wiele pewniej, ponieważ na piętrze było znacznie jaśniej.

- Tutaj, tutaj - dobiegł skądś głos Midori.

Po prawej stronie była jadalnia, a w głębi - kuchnia. Dom był stary, lecz kuchnia wyglądała na świeżo wyremontowaną, zlew, krany i szafki lśniły nowością. Midori była zajęta gotowaniem. Coś bulgotało w garnku, pachniała pieczona ryba.

- W lodówce jest piwo, usiądź tam i napij się - powiedziała, rzucając mi przelotne spojrzenie.

Wyjąłem z lodówki puszkę piwa, usiadłem przy stole i otworzyłem. Piwo było bardzo zimne, musiało się chłodzić w lodówce chyba od pół roku. Na stole stała mała biała popielniczka, buteleczka z sosem sojowym, leżała gazeta. Był też notes i długopis, na kartce zapisano numery telefonów i jakieś liczby, pewnie listę wydatków.

- Za jakieś dziesięć minut powinno być gotowe. Zaczekasz? Wytrzymasz tyle?

- Oczywiście, że wytrzymam.

- Mam nadzieję, że w tym czasie porządnie zgłodniejesz. Sporo mi tego wyszło.

Popijając zimne piwo, przyglądałem się stojącej tyłem Midori całkowicie pochłoniętej gotowaniem. Poruszała się szybko i zręcznie, jednocześnie szykując cztery potrawy. Tu próbowała czegoś, co się gotowało, tam coś siekała, tu wyjmowała coś z lodówki i układała na talerzu, szybko umyła niepotrzebny już garnek. Z tyłu przywodziła na myśl Hindusa grającego na tradycyjnym instrumencie perkusyjnym - zdawało się, że tu dzwoni jakimś dzwonkiem, tam uderza w deseczkę, a tu w kość bawołu. Każdy ruch precyzyjny i celowy, całość harmonijna. Przyglądałem się temu pełen podziwu.

- Chętnie ci w czymś pomogę - odezwałem się.

- Nie trzeba. Jestem przyzwyczajona, że wszystko robię sama - odrzekła Midori, spoglądając na mnie z uśmiechem. Miała na sobie wąskie dżinsy i granatowy T-shirt. Na plecach był wydrukowany duży znak Apple Records. Z tyłu jej biodra zdawały się zadziwiająco szczupłe.



Tak kruche, jakby je natura pominęła na etapie kształtowania i wzmacniania miednicy. Przez to wyglądała znacznie bardziej chłopięco niż przeciętna szczupła dziewczyna w obcisłych dżinsach. Światło wpadające z okna nad zlewem rozmazało kontury jej postaci.

- Nie musiałaś robić aż tak wyszukanych potraw - powiedziałem.

- Wcale nie są wyszukane - odparła, nie odwracając się. - Wczoraj byłam zajęta i nie mogłam zrobić porządnego zakupów. Skleciłam coś z tego, co miałam w lodówce. Dlatego w ogóle się nie przejmuj. Naprawdę. Do tego gościnność jest naszą domową tradycją. Moja rodzina, nie wiem dlaczego, bardzo lubi podejmować gości. To prawie chorobliwe. Nie jesteśmy jakoś wyjątkowo życzliwi czy sympatyczni, ale kiedy mamy gości, za wszelką cenę musimy ich godnie przyjąć. Wszyscy mamy taką naturę, na szczęście czy też na nieszczęście. Dlatego choć ojciec prawie wcale nie pije alkoholu, w domu jest go pełno. Jak myślisz, po co? Dla gości. Więc pij tyle piwa, ile chcesz. Nie krepuj się.

- Dziękuję.

Nagle przypomniałem sobie, że zostawiłem na dole żonkile. Kiedy zdejmowałem buty, odłożyłem je i o nich zapomniałem. Jeszcze raz zszedłem na dół i znalazłem dziesięć żonkili bielejących w półmroku. Midori wyjęła z szafki wysoką szklanekę i ułożyła w niej kwiaty.

- Bardzo lubię żonkile - powiedziała. - Dawno temu w liceum na jakiejś szkolnej imprezie śpiewałam *Seven Daffodils*. Znasz tę piosenkę?

- Znam, oczywiście.

- Dawniej byłam w zespole folkowym. Grałam na gitarze.

Nucąc *Seven Daffodils*, nakładała jedzenie na talerze.

Potrawy Midori przeszły moje najśmielsze oczekiwania - były wspaniałe. Makrela w zalewie octowej, puszysty omlet z dodatkiem wywaru z ryb i wodorostów, marynowana makrela, jaką podają w Kioto, duszone bakłażany, zupa z zielonymi jarzynami, ryż z grzybami, a do tego marynowana rzodkiew drobno posiekana i hojnie posypana ziarnem sezamowym. Potrawy przyprawione były delikatnie, w stylu Kansai.

- Pyszne - powiedziałem z podziwem.

- No co, Watanabe, powiedz szczerze, nie spodziewałeś się wiele po moim gotowaniu, co? Nie wyglądam na to?

- To fakt - odparłem szczerze.

- Jesteś z Kansai, więc pewnie lubisz tak przyprawione potrawy.

- Specjalnie dla mnie tak delikatnie przyprawiłaś?

- Żartujesz! Aż tak bym się nie wysilała. W domu zawsze tak przyprawiamy.

- To znaczy, że twoja mama albo ojciec pochodzą z Kansai?

- Nie, tata od dawna jest w Tokio, mama pochodzi z Fukushimy. Wśród moich krewnych nie ma nikogo z Kansai. Wszyscy jesteśmy z Tokio albo z północnego Kantó.

- Nic nie rozumiem. To dlaczego potrafisz tak dobrze gotować w klasycznym stylu Kansai? Ktoś cię nauczył?

- To długa historia - powiedziała, jedząc omelet. - Mama nie znosiła żadnych prac domowych, prawie nie gotowała. Do tego prowadziliśmy interes, więc kiedy byliśmy zajęci, mówiło się: "Może dzisiaj zamówimy na obiad coś z restauracji albo kupimy krokiety u rzeźnika".

Tak było bardzo często. Od dziecka tego nie znosiłam, naprawdę. Nie znosiłam, ale nie było rady. Gotowaliśmy gulasz w sosie curry na trzy dni i codziennie jedliśmy z ryżem. Pewnego dnia, w trzeciej klasie gimnazjum, zdecydowałam, że będę robić porządne obiady. Poszłam do księgarni Kinokuniya w Shinjuku, kupiłam najwspanialszą książkę kucharską, jaką mieli, i nauczyłam się wszystkiego: od pierwszej strony do ostatniej. Jak wybrać deskę do krojenia, jak ostrzyć noże, jak filetować rybę, jak ucierać suszoną rybę bonito; wszystkiego. A ponieważ autor książki pochodził z Kansai, wszystkie moje potrawy tak smakują.

- A więc nauczyłaś się tego z książki? - zapytałem zdumiony.

- Nie tylko. Potem oszczędzałam i chodziłam do restauracji na tradycyjne wyszukane potrawy. Zapamiętywałam smaki. Mam niezłą intuicję. Za to nie umiem myśleć logicznie.

- Uważam, że to duża rzecz nauczyć się tego wszystkiego bez niczyjej pomocy. Naprawdę.

- Nie było łatwo - powiedziała Midori, ciężko westchnąwszy. - Nikt w naszej rodzinie nie interesuje się kuchnią i nie zna się na tym. Nie chcieli mi dawać pieniędzy na porządne noże czy garnki. Mówili, że wystarczy to, co mamy. Szlag człowieka trafia! Czy tępym nożem da się filetować rybę? Nie musisz filetować ryb - odpowiadali. Nie było rady. Oszczędzałam z kieszonkowego i kupiłam dobre profesjonalne noże, garnki, sitka. Nie do wiary, prawda? Piętnastoletnia czy szesnastoletnia dziewczyna skąpi sobie, żeby zaoszczędzić na sitka, ostrzałki do noży czy garnek do smażenia tempury\*. A jej koleżanki dostają duże kieszonkowe i kupują

---

\* Tempura - potrawa składająca się z krewetek, warzyw i grzybów smażonych na oleju w cieście naleśnikowym z dodatkiem grubo mielonej tartej bulki.

sobie świetne sukienki, buty. Nie żal ci mnie?

Przytaknąłem, popijając zupę.

- W pierwszej klasie liceum koniecznie chciałam mieć patelnię do omletów. Taką prostokątną. Kupiłam ją za pieniądze przeznaczone na nowy stanik. To było straszne. Przez blisko trzy miesiące miałam jeden stanik. Nie do wiary, prawda? W nocy go prałam, suszyłam jak się dało, rano wkładałam. Była tragedia, jeżeli nie wysechł. Nie ma na świecie nic równie smutnego, jak wkładanie wilgotnego stanika. Często byłam bliska płaczu. Zwłaszcza gdy się pomyśli, że to z powodu patelni do omletów.

- Rozumiem cię - powiedziałem ze śmiechem.

- Nie powinno się tak mówić, ale odetchnęłam z ulgą, kiedy mama umarła. Kupiłam to, co chciałam, z pieniędzy na domowe wydatki. Teraz mam całkiem dobrze wyposażoną kuchnię. A tato nie ma pojęcia, na co idą pieniądze przeznaczone na życie.

- Kiedy mama umarła?

- Dwa lata temu - odpowiedziała krótko. - Rak. Guz mózgu. Półtora roku w szpitalu, okropnie cierpiała, w końcu straciła rozum, podawali jej ciągle narkotyki, mimo to nie umierała. W końcu praktycznie ją uśpili. To chyba najgorszy rodzaj śmierci. Człowiek się męczy, rodzina też. Przez to wydaliśmy wszystkie pieniądze. Jeden zastrzyk, trzask-prask, dwadzieścia tysięcy jenów, ciągła opieka pielęgniarki, i jeszcze to, i tamto. Ponieważ się nią opiekowałam, nie mogłam się uczyć i dostałam się na studia dopiero rok po maturze. Wszystko się waliło. I jakby jeszcze tego było mało... - zaczęła, ale rozmyśliła się, odłożyła pałeczki i westchnęła. - Zeszliśmy na ponure tematy. Dlaczego o tym rozmawiamy?

- Zaczęło się od staników - przypomniałem.

- Właśnie, ten omlet. Jedz go z szacunkiem - powiedziała Midori z poważną miną.

Spałaszowałem wszystko i byłem syty. Midori nie jadła zbyt wiele. Powiedziała, że kiedy się gotuje, samym gotowaniem się człowiek najada. Po obiedzie zebrała naczynia, wytarła stół, przyniosła skądś pudełko marlboro, włożyła papierosa do ust i zapaliła. Potem podniosła szklankę z żonkilami i przez chwilę im się przyglądała.

- Chyba tak lepiej wyglądają. Nie trzeba ich przekładać do wazonu. Tu wyglądają, jakby zostały przed chwilą zebrane gdzieś nad wodą i wstawione na chwilę do szklanki.

- Zerwałem je nad wodą przed dworcem Ótsuka.

Zachichotała. - Naprawdę jesteś stuknięty. Żartujesz z absolutnie poważną miną.

Z policzkiem opartym na dłoni wypaliła pół papierosa, resztę zdusiła mocno w popielniczce. Przetarła oczy palcami - widać naleciało jej dymu.

- Dziewczyna powinna gasić papierosa trochę bardziej dystyngowanie - powiedziałem. - Ty robisz to jak drwal. Powinnaś zgasić, obracając papierosa powoli na krawędzi popielniczki, zamiast rozgniatać na siłę. Wtedy by się tak nie pogniótł. Wygląda to strasznie. Poza tym pod żadnym pozorem nie możesz wypuszczać dymu nosem. No i normalna dziewczyna, jedząc obiad z mężczyzną, nie opowiada o tym, że przez trzy miesiące chodziła w jednym staniku.

- Ja jestem jak drwal - odrzekła, drapiąc się koło nosa. - Jakoś nie umiem być wytworna. Od czasu do czasu próbuję dla żartu, ale nie mogę na dłuższą metę. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Marlboro to nie są papierosy dla dziewczyn.

- Nie szkodzi. Wszystkie są równie niesmaczne - powiedziała. Obracała w dłoni pudełko. - Zaczęłam palić dopiero w zeszłym miesiącu. Tak naprawdę wcale nie chciało mi się palić, pomyślałam tylko, że spróbuję, jak to jest.

- Dlaczego tak pomyślałaś?

Midori zacisnęła leżące na stole dłonie i zastanawiała się przez chwilę.

- Tak sobie. A ty nie palisz?

- Rzuciłem w czerwcu.

- Dlaczego rzuciłeś?

- Bo to zawracanie głowy. Męczysz się, kiedy w środku nocy skończą ci się papierosy i tak dalej. Dlatego rzuciłem. Nie lubię takiego poczucia uzależnienia.

- Na pewno poważnie się nad wszystkim zastanawiasz. Masz już taki charakter.

- Być może - zgodziłem się. - Być może właśnie dlatego ludzie za mną nie przepadają. Zawsze tak było.

- Bo wyglądasz, jakby ci nie zależało, czy cię lubią czy nie. Niektórych ludzi doprowadza to pewnie do szału - wymamrotała, z brodą opartą na dłoni. - Ale ja lubię z tobą rozmawiać. Mówisz strasznie dziwne rzeczy. "Nie lubię takiego poczucia uzależnienia".

Pomogłem jej zmyć naczynia. Stałem obok, wycierałem je i stawiałem na szafce.

- Słuchaj, czy cała twoja rodzina dzisiaj wyszła? - zapytałem.

- Mama jest na cmentarzu. Umarła dwa lata temu.

- Przed chwilą mówiłaś.

- Siostra na randce z narzeczonym. Pewnie pojechali gdzieś na przejażdżkę. On pracuje w firmie samochodowej i dlatego bardzo lubi samochody. Ja niezbyt.

Midori zamilkła i dalej bez słowa myła talerze, ja się nie odzywałem, tylko wycierałem.

- Jest jeszcze tato - powiedziała po chwili.

- Racja.

- Tato w czerwcu zeszłego roku pojechał do Urugwaju i nie wraca.

- Do Urugwaju? - zapytałem zdziwiony. - Dlaczego akurat do Urugwaju?

- Chciał się tam przeprowadzić. To głupia historia. Kolega z wojska ma tam farmę i tato nagle oświadczył, że pojedzie, a dalej jakoś to będzie, i poleciał. Za wszelką cenę chcieliśmy go zatrzymać. Po co jechać w takie miejsce? Nie znasz języka, prawie nigdy nie wyjeżdżałeś z Tokio, mówiliśmy. Ale nic z tego. Oczywiście, śmierć mamy była dla niego wielkim szokiem. Z tego powodu w głowie mu się poprzestawiało. Tak bardzo kochał mamę, naprawdę.

Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy, więc patrzyłem bezmyślnie na Midori.

- Wiesz, co tato nam powiedział, kiedy mama umarła? "Jestem w rozpacz. Dla mnie byłoby lepiej, gdybyście to wy umarli zamiast mamy". Zatkąło nas, nie mogliśmy wykrztusić słowa. Rozumiesz, prawda? Takich rzeczy po prostu się nie mówi. Stracił ukochaną towarzyszkę życia, więc rozumiem jego ból, smutek, cierpienie. Żał mi go. Ale nie mówi się własnym córkom, że byłoby lepiej, gdyby umarli. To okropne, nie uważasz?

- Tak, masz rację.

- Przecież my też nie jesteśmy pozbawione uczuć. - Midori pokręciła głową. - Zresztą wszyscy w mojej rodzinie są trochę dziwni. Coś jest z nami trochę nie tak.

- Na to wygląda - przyznałem.

- Ale nie uważasz, że to wspaniałe, kiedy dwoje ludzi się kocha? Kochać żonę tak bardzo, żeby powiedzieć córkom: dobrze by było, gdybyście umarli zamiast niej?

- Może i masz rację.

- Potem pojechał do Urugwaju. Po prostu nas porzucił.

W milczeniu wycierałem talerze. Kiedy skończyłem, Midori starannie ustawiła naczynia na półkach.

- Nie masz od niego wiadomości? - zapytałem.

- Przyszła tylko jedna pocztówka. W tym roku, w marcu. Ale żadnych szczegółów. Tutaj jest

gorąco, owoce nie są tak smaczne, jak myślałem; tylko takie informacje. Szlag człowieka trafia! Na pocztówce z idiotycznym zdjęciem osła. Zwariował. Nie napisał nawet, czy spotkał się z tym kolegą, czy znajomym. Na końcu dodał, że jak się trochę urządzi, to ściągnie mnie i siostrę, ale od tego czasu ani słowa. Nie odpowiada też na listy.

- Co zrobisz, jeżeli powie: przyjeżdżaj do Urugwaju?

- Pojadę i się rozejrzę. Przecież tam może być ciekawie, prawda? Siostra mówi, że za nic nie pojedzie. Nie znosi brudu i brudnych miejsc.

- A Urugwaj jest taki brudny?

- Nie wiem. Ale ona tak uważa. Mówi, że na drogach pełno oślego łajna, nad nim roją się muchy, woda w toalecie się nie spuszcza, wszędzie pełzają jaszczurki i skorpiony. Pewnie widziała to gdzieś na filmie. Nie znosi owadów. Lubi przejażdżki eleganckim samochodem po wybrzeżu.

- Tak uważa?

- Ale Urugwaj jest w porządku, mogę jechać.

- Kto wobec tego prowadzi teraz księgarnię? - zapytałem.

- Moja siostra, choć niechętnie. Jeden krewny, który mieszka w pobliżu, codziennie pomaga i dostarcza klientom zamówione książki, ja też pomagam, jak mam czas. Prowadzenie księgarni nie jest trudne, więc jakoś sobie radzimy. Kiedy przestaniemy sobie dawać radę, sprzedamy ją.

- Kochasz ojca?

Midori pokręciła głową.

- Niespecjalnie.

- To dlaczego chcesz za nim jechać do Urugwaju?

- Bo mu ufam.

- Ufasz mu?

- Tak, niezbyt go kocham, ale mu ufam. Ufam komuś, kto w szoku po stracie żony zostawił i dom, i dzieci, i pracę i pojechał do Urugwaju. Rozumiesz dlaczego?

Westchnąłem. - Wydaje mi się, że rozumiem, a jednocześnie nie rozumiem.

Midori roześmiała się rozbawiona i klepnęła mnie po plecach. - W porządku, to nie ma znaczenia - powiedziała.

Tego niedzielnego popołudnia jedno po drugim miały miejsce różne wydarzenia. To był

niezwykły dzień. Tuż obok domu Midori wybuchł pożar, któremu przyglądaliśmy się z tarasu do suszenia bielizny na drugim piętrze, a potem jakoś doszło do tego, że się pocałowaliśmy. Brzmi to dosyć głupio, ale rzeczywiście tak się to potoczyło.

Rozmawiając o uniwersytecie, piliśmy poobiednią kawę, gdy rozległy się syreny straży pożarnej. Dźwięk narastał, wydawało się, że jest ich coraz więcej. Pod oknami kręcił się tłum ludzi, kilka osób krzychało. Midori poszła do pokoju wychodzącego na ulicę, otworzyła okno i wyjrzała, a potem powiedziawszy, żebym chwilę zaczekał, gdzieś znikła. Słysząc było szybkie kroki na schodach prowadzących na górę.

Pijąc kawę, zastanawiałem się, gdzie leży Urugwaj. Tu jest Brazylia, Wenezuela tam, po tamtej stronie Kolumbia, myślałem, ale za nic nie mogłem sobie uzmysłwić, gdzie jest Urugwaj. Wkrótce zeszła Midori i powiedziała, żebym szybko przyszedł na górę. Wdrapałem się za nią po wąskich, stromych schodach na końcu korytarza i znaleźliśmy się na obszernym tarasie do suszenia bielizny. Znajdował się znacznie wyżej niż dachy sąsiednich domów, więc mieliśmy dobry widok na okolicę. Znad dachu domu położonego o kilka posesji dalej buchał czarny dym. Lekki wiatr popychał go w stronę głównej ulicy. W powietrzu unosił się zapach spalenizny.

- To dom państwa Sakamoto - powiedziała Midori, wychylając się przez barierkę. - Przedtem był stolarzem. Teraz zakład jest zamknięty, zwinęli interes.

Ja też się wychyliłem i spojrzałem w tamtą stronę. Widok przesłaniał dwupiętrowy dom, dlatego nie było można dokładnie zobaczyć, co się dzieje, lecz zebrały się już trzy czy cztery wozy strażackie i zdawało się, że gaszą pożar. Ulica była wąska, więc mogły się tam zmieścić najwyżej dwa wozy, reszta stała w gotowości na głównej ulicy. Tam, jak zwykle w takich sytuacjach, zebrał się tłum gapiów.

- Jeżeli masz jakieś cenne rzeczy, zapakuj je i zdaje się, że lepiej się stąd ewakuować - powiedziałem do Midori. - Teraz na szczęście wiatr wieje w przeciwną stronę, ale może zmienić kierunek, a tu zaraz jest stacja benzynowa. Pomogę ci się spakować.

- Nie mam nic cennego.

- Na pewno coś masz. Książeczkę oszczędnościową, pieczątki, dokumenty, choćby takie rzeczy. Musisz mieć przynajmniej pieniądze.

- Spokojnie. Ja nie uciekam.

- Nawet jeżeli tu się będzie paliło?

- Uhm - powiedziała Midori. - Mogę umrzeć, nie zależy mi.

Spojrzałem jej w oczy. Odpowiedziała spojrzeniem. Nie miałem pojęcia, na ile mówi poważnie, a na ile żartuje. Przez chwilę na nią patrzyłem i doszedłem do wniosku, że będzie, co ma być.

- Dobrze, rozumiem. Zostaję z tobą - powiedziałem.

- Umrzesz ze mną? - zapytała Midori z błyszczącymi oczami.

- Żartujesz! Kiedy zrobi się niebezpiecznie, ucieknę. Jeżeli chcesz umrzeć, umieraj sama.

- Jesteś bez serca.

- Nie zamierzam z tobą umierać tylko dlatego, że zrobiłaś pyszny obiad. Gdybyś zrobiła kolację...

- Aha. No wszystko jedno, w każdym razie czekając tutaj na rozwój wypadków, możemy sobie pośpiewać piosenki. Jak coś się stanie, pomyślimy co dalej.

- Piosenki?

Midori przyniosła z dołu dwie poduszki do siedzenia, cztery puszki piwa i gitarę. Piliśmy piwo i obserwowaliśmy unoszący się czarny kłęb dymu. Potem Midori zaśpiewała piosenkę, akompaniując sobie na gitarze. Zapytałem, czy sąsiedzi nie będą na to krzywo patrzeć. Siedzenie na tarasie, picie i śpiewanie przy oglądaniu atrakcji w postaci pożaru w sąsiedztwie nie wydawało mi się normalne.

- Nie ma sprawy. Nigdy nie przejmujemy się sąsiadami - powiedziała Midori.

Zaśpiewała piosenkę w stylu folk, którą znała z czasów szkolnych. Nawet przy dobrej woli nie można było pochwalić ani wykonania, ani akompaniamentu, lecz Midori wyglądała na zadowoloną. *Lemon Tree, Puff the Magic Dragon, Five Hundred Miles, Where Have All the Flowers Gone?, Michael, Row the Boat Ashore* - jedna po drugiej. Na początku Midori instruowała mnie, jak brzmi drugi głos i usiłowaliśmy śpiewać razem, ale ponieważ robiłem to strasznie, zrezygnowała i śpiewała sama do upojenia. Popijając piwo i słuchając piosenek, z najwyższą uwagą obserwowałem, co się dzieje. Dym się nasilał, potem trochę uspokajał - i tak w kółko. Ludzie głośno się nawoływali padały rozkazy. Z donośnym warkotem nadleciał prasowy helikopter, zrobił zdjęcia i zniknął.

Mam nadzieję, że nas nie sfotografowali, pomyślałem. Policjant krzyczał przez megafon do gapiów, żeby się cofnęli. Jakieś dziecko wołało płacząco mamę. Skądś dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Niedługo kierunek wiatru zaczął się zmieniać i to z tej, to z tamtej strony w powietrzu zaczęły się unosić białe strzępy. Mimo to Midori dalej popijała małymi łykami piwo i



wesoło śpiewała. Kiedy wykonała cały swój repertuar, zaśpiewała dziwną piosenkę, którą sama napisała i skomponowała.

*Chciałabym dla ciebie zrobić gulasz,*

*Ale nie mam garnka.*

*Chciałabym dla ciebie zrobić szalik,*

*Ale nie mam wełny.*

*Chciałabym dla ciebie napisać wiersz,*

*Ale nie mam długopisu.*

- To utwór pod tytułem *Nie mam nic* - powiedziała Midori. I tekst, i muzyka były straszne.

Słuchając tej bezsensownej piosenki, myślałem o tym, że jeżeli iskra doleci do stacji benzynowej, dom zapewne wyleci w powietrze. Midori zmęczyła się śpiewaniem, odłożyła gitarę i wyciągnęła się oparta o moje ramię jak kot wygrzewający się na słońcu.

- Podobała ci się moja piosenka? - zapytała.

- Nietypowa i oryginalna, odzwierciedla twoją naturę - powiedziałem ostrożnie.

- Dziękuję. To piosenka o tym, że nie mam nic.

- To raczej oczywiste.

- Wiesz, kiedy mama umarła... - zaczęła, obróciwszy się ku mnie.

- Uhm?

- W ogóle nie było mi smutno.

- Uhm.

- Teraz tata zniknął i też nie jest mi wcale smutno.

- Nie?

- Nie. Nie uważasz, że to straszne? Nie myślisz, że jestem bez serca?

- Przecież nie stało się to bez powodu.

- No tak, miałam powody. Sytuacja w domu była dość skomplikowana. Jednak zawsze myślałam, że ponieważ to jednak moi rodzice, powinno mi być smutno, kiedy umrą albo odjadą. Ale nic z tych rzeczy. Nic nie czuję. Nie jest mi ciężko, smutno, samotnie, prawie ich nie wspominam. Tylko czasem mi się śni. Śni mi się, że mama uporczywie wpatruje się we mnie z głębi ciemności i robi mi wyrzuty: "Ty pewnie się cieszysz, że umarłam, co?". Przecież ja się

wcale nie cieszę. Tylko nie jest mi szczególnie smutno. Szczerze mówiąc, nie uroniłam ani jednej łzy. Chociaż kiedy w dzieciństwie umarł mi kot, płakałam całą noc.

Dlaczego jest tak dużo dymu, zastanawiałem się. Nie widać ognia ani oznak, że się rozprzestrzenia, tylko dym stale unosi się ku górze. To dziwne, co się może tak długo palić?

- To nie jest tylko moja wina. Owszem, ja jestem trochę bez serca. Przyznaję. Ale gdyby oni - tato i mama - gdyby trochę bardziej mnie kochali, to i ja nauczyłabym się innego odczuwania. Pewnie też byłoby mi znacznie bardziej smutno.

- Myślisz, że nie bardzo cię kochali?

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie, po czym energicznie nią kiwnęła.

- Coś pomiędzy "niewystarczająco" a "o wiele za mało". Zawsze byłam spragniona miłości. Chociaż raz chciałam tego doświadczyć - doznać wiele miłości. Tyle, żeby powiedzieć, już wystarczy, jestem syta, dziękuję. Raz by wystarczył, chociaż jeden raz. Ale oni nigdy mi tego nie dali. Kiedy się o coś przymilałam, odpychali mnie, słyszałam tylko wyrzekania, że za dużo ich kosztuję. Zawsze tak było. Wobec tego pomyślałam sobie, że sama znajdę kogoś, kto będzie mnie kochał jak rok długi, na sto procent. Tak postanowiłam w piątej czy szóstej klasie.

- Niesamowite - powiedziałem z podziwem. - Jakie były efekty?

- Trudna sprawa - odparła Midori. Potem patrząc na dym, przez chwilę o czymś myślała. - Pewnie dlatego, że tak długo musiałam czekać, szukam ideału. A to takie trudne.

- Trudno o idealną miłość?

- Nie. Nawet ja nie chcę aż tyle. Chciałabym tylko móc zachowywać się jak zwykła egoistka. Prawdziwa egoistka. Na przykład mówię, że chcę ciastko biszkoptowe z truskawkami, ty rzucasz wszystko i biegniesz je kupić. Wracasz zziębnięty i podajesz mi je: "Proszę, Midori, oto ciastko z truskawkami", a wtedy ja mówię: "Nie mam już na nie ochoty" i wyrzucam przez okno. Czegoś takiego potrzebuję.

- Zdaje mi się, że to nie ma żadnego związku z miłością - powiedziałem lekko zdumiony.

- Ma. Tylko ty tego nie wiesz. Są okresy w życiu dziewczyny, kiedy to jest nieprawdopodobnie ważne.

- Wyrzucanie przez okno ciastek z truskawkami?

- Tak. Chcę, żeby mój chłopak powiedział: "Zrozumiałem, Midori. Myliłem się. Powiniennem być się domyślić, że stracisz ochotę na to ciastko. Jestem głupi jak osioł i gruboskórny. W ramach przeprosin polecę jeszcze raz i kupię ci coś innego. Co byś chciała? Mus czekoladowy? A może

sernik?".

- I co wtedy?

- Wtedy będę go kochać, bo na to zasłużył.

- Myślę, że to kompletny nonsens.

- A dla mnie to jest miłość. Mimo że nikt tego nie rozumie - powiedziała Midori, lekko potrząsając głową opartą o moje ramię. - Dla pewnego rodzaju ludzi miłość zaczyna się od czegoś zupełnie drobnego, od głupstwa. Albo nie zaczyna się wcale.

- Pierwszy raz spotykam dziewczynę, która myśli tak jak ty.

- Dużo ludzi mi to mówi - powiedziała, skubiąc skórę przy paznokciu. - Ale poważnie mówiąc, ja inaczej nie potrafię myśleć. Mówię ci to szczerze. Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, że mój sposób myślenia jest inny i wcale mi na tej inności nie zależy. Ale kiedy mówię szczerze, wszyscy myślą, że żartuję albo udaję. I przez to czasami wszystkiego mi się odechciewa.

- I chcesz zginąć w pożarze, tak?

- A to zupełnie co innego. To tylko ciekawość.

- Jak się ginie w pożarze?

- Nie, nie o to chodziło. Chciałam zobaczyć, jak zareagujesz. Ani trochę nie boję się umierania jako takiego. Naprawdę. Otacza cię dym, tracisz przytomność i umierasz, to wszystko. Wcale bym się tego nie bała. W porównaniu z tym, jak umierała mama albo kilku krewnych. W mojej rodzinie wszyscy umierają w cierpieniach na ciężkie choroby. Mamy to chyba we krwi. Bardzo długo umieramy. Czasem pod koniec nie wiadomo, czy ta osoba jeszcze żyje, czy już nie. Jedyne, co pozostaje w świadomości, to ból i cierpienie.

Midori włożyła do ust marlboro i zapaliła.

- Boję się takiej śmierci. Powoli, powoli cień śmierci przesłania życie, ani się spostrzeżesz, kiedy już jest ciemno i nic nie widać, otoczenie myśli o tobie bardziej jak o trupie niż o żywej osobie. Nie chcę tego. Nie mogłabym tego znieść.

W końcu, po kolejnych trzydziestu minutach, pożar opanowano. Nie rozprzestrzenił się i nie było rannych. Wozy strażackie odjechały - został tylko jeden. Ludzie też się rozeszli, głośno rozmawiając. Został wóz policyjny, żeby regulować ruchem. Na jego dachu obracało się światło. Skądś przyleciały dwie wrony, usiadły na słupie telegraficznym i obserwowały, co się dzieje

poniżej.

Kiedy pożar zgasł, Midori wyglądała na kompletnie wykończoną. Leżała rozluźniona i gapiała się w niebo. Nic nie mówiła.

- Zmęczona? - zapytałem.

- Nie, to nie to. Dawno już się tak nie rozluźniłam. Jestem oszołomiona.

Popatrzyłem jej w oczy, ona zajrzała w moje. Objąłem ją ramieniem i pocałowałem. Tylko trochę zaskoczona, napięła ramiona, ale zaraz się rozluźniła i zamknęła oczy. Przez pięć czy sześć sekund nasze usta były złączone. We wczesnojesiennym słońcu jej rzęsy rzucały drżący cień na policzki.

To był delikatny spokojny pocałunek, do niczego nie zobowiązywał. Gdybyśmy nie siedzieli w popołudniowym słońcu na tarasie do suszenia bielizny, popijając piwo i obserwując pożar, nie pocałowałbym zapewne Midori tego dnia, sądzę, że ona odczuwała to podobnie. W nastroju pełnym ciepła i intymności przyglądaliśmy się przez dłuższy czas połyskującym dachom domów, dymowi, czerwonym ważkom i bezwiednie chcieliśmy coś z tego zachować. Taki to był pocałunek. Choć oczywiście, jak wszystkie pocałunki, nie był pozbawiony pewnej dozy ryzyka.

Pierwsza odezwała się Midori. Ujęła mnie delikatnie za rękę i z pewnym oporem powiedziała, że z kimś chodzi. Odrzekłem, że się tego spodziewałem.

- A ty masz dziewczynę?

- Mam.

- Ale niedziele zawsze masz wolne, prawda?

- To bardzo skomplikowane - odrzekłem.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że prysnął ulotny czar tego wczesnojesiennego popołudnia.

O piątej powiedziałem, że muszę iść do pracy i wyszedłem. Zaproponowałem Midori, żebyśmy razem poszli zjeść coś lekkiego, ale odmówiła, bo nadal czekała na telefon.

- Naprawdę nie znoszę siedzenia cały dzień w domu i czekania na telefon. Kiedy jestem sama, wydaje mi się, że po trochu gniję. Stopniowo rozkładam się, topnieję, aż zostaje ze mnie tylko lepka zielona ciecz, która wsiąka w ziemię. Potem jest już tylko ubranie. Mam takie wrażenie, kiedy tak czekam cały dzień.

- Jak znowu będziesz czekała na telefon, mogę ci dotrzymać towarzystwa. Pod warunkiem że będzie obiad - powiedziałem.

- Dobrze. Załatwię też jakiś pożar na deser.

Następnego dnia Midori nie pokazała się na wykładzie z historii teatru. Kiedy się skończył, poszedłem do studenckiej stołówki i sam zjadłem zimny, niesmaczny obiad, a potem usiadłem w słońcu i obserwowałem, co dzieje się dookoła. Tuż obok stały dwie studentki i prowadziły długą rozmowę. Jedna przytulała raketę tenisową do piersi jakby to było niemowlę, druga trzymała kilka książek i płytę Leonarda Bernsteina. Obie były ładne, wyglądało na to, że rozmowa sprawia im przyjemność. Od strony klubu studenckiego słyszeć było, jak ktoś na gitarze basowej ćwiczy gamy.

Tu i tam stały grupki studentów. Dyskutowali o czymś, śmiali się i przekrzykiwali. Na parkingu kilka osób ćwiczyło jazdę na deskorolkach. Profesor ze skórzaną teczką przechodził tamtędy, próbując ominąć jeżdżących. Na dziedzińcu siedziała studentka w hełmie i pochylona nad transparentem pisała ogromnymi literami coś o inwazji imperializmu amerykańskiego w Azji. Był to zwykły obraz południowej uniwersyteckiej przerwy, ale ponieważ dawno tu nie byłem, coś rzuciło mi się w oczy - wszyscy zdawali się szczęśliwi. Nie wiem, czy byli szczęśliwi, czy tylko tak wyglądali, w każdym razie w to przyjemne wrześnieowe popołudnie wszyscy ludzie zdawali się szczęśliwi i z tego powodu ogarnął mnie smutek. Pomyślałem sobie, że tylko ja jestem tu obcy.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, przyszło mi do głowy, że przez ostatnie lata chyba wszędzie czułem się obcy. Nie czułem bliskości z drugim człowiekiem od czasu tej gry w bilard z Kizukim niedaleko portu. Tego samego dnia wieczorem już nie żył i wtedy oddzieliła mnie od świata zapora zimnego powietrza. Kim był dla mnie Kizuki? - zastanawiałem się, lecz nie znalazłem odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że wraz z nim utraciłem całkowicie i definitywnie część swego dorostania. Widziałem to jasno i wyraźnie. Lecz co to oznaczało, jakie miało efekty - to przekraczało granice mego pojmowania.

Długo tak siedziałem. Dla zabicia czasu przyglądałem się kampusowi, przychodzącym i odchodzącym. Miałem nadzieję, że może uda mi się dostrzec Midori, lecz nie pojawiła się. Po południowej przerwie poszedłem do biblioteki przygotować się do niemieckiego.

W sobotę po południu Nagasawa przyszedł do mojego pokoju i zapytał, czy nie poszedłbym z nim dziś do miasta, bo może załatwić przepustki. Powiedziałem, że chętnie. Przez cały tydzień

miałem zamęt w głowie i ochotę na pójście z kimś do łóżka. Wieczorem wykapałem się, ogoliłem, włożyłem koszulkę polo, a na nią bawełnianą marynarkę. Następnie zjedliśmy z Nagasawa obiad w stołówce, po czym pojechaliśmy autobusem do Shinjuku. Wysiedliśmy na najgwałtowniejszym skrzyżowaniu, pokręciliśmy się bez celu po okolicy, a potem weszliśmy do naszego stałego baru i czekaliśmy na odpowiednie dziewczyny. To było specyficzne miejsce, do którego często dziewczyny przychodziły grupkami, ale akurat tego dnia żadne się do nas nie zbliżyły. Pijąc małym łyżkami whisky z wodą sodową - żeby się nie upić - przesiadaliśmy tam blisko dwie godziny. Dwie sympatycznie wyglądające dziewczyny usiadły przy barze i zamówiły gimleta oraz margaritę. Nagasawa natychmiast próbował zagaic rozmowę, ale okazało się, że czekają na swoich chłopaków. Mimo to we czwórkę bardzo miło nam się rozmawiało - do chwili, kiedy pojawili się oczekiwani mężczyźni i dziewczyny odeszły w ich stronę.

Nagasawa rzucił hasło zmiany lokalu i zaprowadził mnie do jeszcze jednego baru, przy bocznej uliczce. Większość klientów była już nieźle wstawiona i zachowywała się hałaśliwie. Przy stoliku w głębi siedziały trzy dziewczyny, więc dosiedliśmy się i zaczęliśmy rozmowę w piątkę. Nastrój nie był zły, wszyscy w dobrych humorach. Kiedy jednak zaproponowaliśmy, żeby pójść na drinka gdzieś indziej, dziewczyny powiedziały, że niedługo muszą wracać, bo zamkną im bramę. Mieszkały razem w akademiku jednego z żeńskich uniwersytetów. Nie mieliśmy tego dnia szczęścia. Potem znowu zmieniliśmy lokal, ale nic to nie dało. Z jakiegoś powodu dziewczyny nas dziś omijały.

O wpół do dwunastej Nagasawa powiedział, że chyba nic z tego nie będzie.

- Przepraszam, na darmo cię wyciągnąłem.
- Nie przejmuj się. Przyjemnie było zobaczyć, że nawet tobie zdarzają się takie dni.
- Tak, mniej więcej raz na rok.

Szczerze mówiąc, nie miałem już ochoty na seks. Włócząc się nocą przez trzy i pół godziny w zgiełku Shinjuku w sobotni wieczór i czując w powietrzu dziwną energię, powstała z pożądania pomieszanego z alkoholem, miałem wrażenie, że moja własna żądza jest mała i nieważna.

- Co będziesz teraz robił? - zapytał Nagasawa.
- Pójdę na całonocny seans. Dawno nie byłem w kinie.
- To ja pójdę do Hatsumi, dobrze?
- Chyba nie ma przeszkód - odrzekłem, śmiejąc się.

- Gdybyś chciał, mógłbym cię przedstawić dziewczynie, która by cię przenocowała. Co ty na to?

- Nie, dzięki, dzisiaj chcę iść do kina.

- Przepraszam. Kiedyś ci to wynagrodzę - powiedział i zniknął w tłumie. Wszedłem do fast foodu i zjadłem cheeseburgera, wypilem gorącą kawę, wytrzeźwiałem i poszedłem na *Absolwenta*. Nie był świetny, ale ponieważ nie miałem nic innego do roboty, obejrzałem go dwukrotnie. Potem wyszedłem z kina i spacerowałem bez celu po ulicach, rozmyślając o różnych rzeczach. W Shinjuku o czwartej nad ranem było zimno.

Kiedy zmęczyłem się chodzeniem, postanowiłem przy książce i kawie doczekać, aż zaczną jeździć pociągi, i wszedłem do całonocnej kawiarni. Wkrótce zapełniła się ludźmi podobnie jak ja czekającymi na pierwszy pociąg. Podszedł do mnie kelner i zapytał, czy ktoś mógłby się do mnie dosiąść. Oczywiście, powiedziałem. W końcu było mi wszystko jedno, kto siedzi naprzeciwko, kiedy czytam książkę.

Przysiadły się dwie dziewczyny. Chyba były w tym samym wieku co ja. Niezbyt ładne, ale wydawały się sympatyczne. Normalnie ubrane i umalowane nie wyglądały jak dziewczyny, które włóczą się po Kabukicho\* przed piątą rano. Pomyślałem, że pewnie z jakiegoś powodu spóźniły się na pociąg. Zdaje się, że odetchnęły z ulgą, widząc, że to ze mną mają dzielić stół. Wyglądałem porządnie, wieczorem się ogoliłem, co więcej, całkowicie pochłaniało mnie czytanie *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna.

Jedna z dziewczyn była potężna, miała na sobie szarą bawełnianą bluzę z kapturem, białe dżinsy, do tego okazała torbę ze skaju, a w uszach duże klipsy w kształcie muszelek. Druga była drobna, w okularach, na koszulę w kratkę zarzuciła niebieski zapinany sweter, a na jej palcu widniał pierścionek z turkusem. Ta mała miała nawyk zdejmowania co pewien czas okularów i przyciskania palcami powiek.

Obie zamówiły café au lait i po ciastku. Naradzając się nad czymś cichymi głosami, powoli jadły ciastka i piły kawę. Duża kilka razy przechylała pytająco głowę, a Mała czemuś zaprzeczała. Z powodu głośnej muzyki Marvin'a Gaye'a albo Bee Gees nie mogłem zrozumieć, co mówią, ale Mała była chyba zmartwiona czy zdenerwowana, a Duża ją uspokajała. Na zmianę czytałem i kątem oka obserwowałem dziewczyny.

---

\* Kabukicho - ciesząca się złą sławą część Shinjuku, pełna barów i salonów masażu, uczęszczana przez gangsterów i prostytutki.

Kiedy Mała, przyciskając torebkę do piersi, poszła do toalety, Duża zwróciła się do mnie: -  
Przepraszam?

Odłożyłem książkę i spojrzałem na nią.

- Przepraszam, ale czy znasz w pobliżu jakiś lokal, który serwuje jeszcze alkohol?

- Po piątej rano? - zdziwiony, odpowiedziałem pytaniem.

- Tak.

- Piąta dwadzieścia to taka pora, kiedy większość ludzi trzeźwieje i wraca do domu pospać.

- Tak, zdaję sobie sprawę - powiedziała mocno zawstydzona - ale koleżanka bardzo chce się napić. Jest w takiej sytuacji...

- Chyba możecie jedynie wrócić do domu i tam się napić.

- Ale ja jadę do Nagano pociągiem o siódmej trzydzieści.

- To nie pozostaje wam nic innego, jak kupić alkohol w automacie, usiąść gdzieś i wypić.

Zapytała nieśmiało, czy nie mógłbym im towarzyszyć, bo samym dziewczynom nie wypada robić takich rzeczy. W tamtych czasach mieszałem w Shinjuku różne dziwne przygody, ale po raz pierwszy obca dziewczyna namawiała mnie do picia alkoholu o piątej dwadzieścia rano. Nie chciało mi się wykręcać, poza tym miałem czas, więc kupiłem w pobliskim automacie kilka małych butelek sake, coś do przegryzienia i poszliśmy na pusty teren po zachodniej stronie dworca, gdzie naprędce urządziliśmy improwizowane przyjęcie.

Okazało się, że obie pracują w tym samym biurze podróży. W tym roku ukończyły szkoły pomaturalne, dopiero zaczęły pracować i zaprzyjaźniły się. Mała miała chłopaka, z którym chodziła od roku. Ostatnio dowiedziała się, że on sypia z inną dziewczyną, więc była strasznie przygnębiona. W skrócie mniej więcej o to chodziło. Duża miała dzisiaj wesele brata i zamierzała wczoraj wieczorem jechać do domu do Nagano, ale postanowiła zostać z przyjaciółką, spędzić noc w Shinjuku i pojechać pierwszym rannym ekspresem.

- Jak się dowiedziałaś, że sypia z inną? - zapytałem Małą. Małymi łyczkami popijając sake, skubała rosnące pod nogami zielsko.

- Weszłam do mieszkania, a oni właśnie to robili. Nie było żadnych wątpliwości.

- Kiedy to się stało?

- Przedwczoraj wieczorem.

- Aha. A drzwi nie były zamknięte na klucz?

- Nie.



- Ciekawe, dlaczego nie zamknął drzwi? - zastanowiłem się.

- Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć?

- To musiał być dla niej wielki szok, nie uważasz? Okropne, prawda? Jak ona musiała się poczuć? - martwiła się Duża, która wyglądała na dobrego człowieka.

- Trudno mi coś radzić, ale chyba lepiej poważnie z nim porozmawiać. Potem pojawi się problem, czy mu wybaczyć, czy nie - powiedziałem.

- Nikt nie rozumie, jak ja się czuję - wyrzuciła z siebie Mała, skubiąc bez przerwy trawę.

Z zachodu nadleciało stado wron i przepłynęło nad domem towarowym Odakyu. Zrobiło się już zupełnie widno. Gdy tak rozmawialiśmy, zbliżył się czas odjazdu pociągu Dużej, więc oddaliśmy pozostałą sake jakiemuś bezdomnemu przy zachodnim wejściu dworca, ja z Małą kupiliśmy bilety peronowe i odprowadziliśmy ją. Kiedy pociąg zniknął nam z oczu, poszedłem z Małą do hotelu - nie jestem pewien, jak do tego doszło. Żadne z nas nie miało specjalnej ochoty iść z drugim do łóżka, ale wydawało się, że musimy tę sprawę jakoś zakończyć.

W hotelu rozebrałem się pierwszy, wykąpałem się i leżąc w wannie, z desperacji napiłem się piwa. Ona też weszła do łazienki, we dwójkę wyciągnęliśmy się w wannie i milcząco, popijaliśmy piwo. Alkohol na nas nie działał, senność też nie nadchodziła. Dziewczyna miała białą gładką skórę i bardzo zgrabne nogi. Pochwaliłem je, a ona szorstko powiedziała: "Dziękuję".

Jednak w łóżku stała się inną osobą. Reagowała na każdy dotyk mojej ręki, wyginała się, jęczała. Kiedy wszedłem w nią, wbiła mi paznokcie w plecy, a gdy zbliżała się do orgazmu, szesnaście razy zawołała imię jakiegoś faceta - wiem, bo liczyłem, chcąc opóźnić wytrysk. Potem zasnęliśmy.

Otworzyłem oczy o pół do pierwszej, Małej już nie było. Nie było też żadnego listu ani kartki. Jedną stronę głowy miałem dziwnie ciężką - pewnie dlatego, że piłem nad ranem alkohol. Wziąłem prysznic, żeby się obudzić, ogoliłem się, a później siedząc nago przy stole, wypłem butelkę soku z lodówki. Próbowałem sobie po kolei przypomnieć wydarzenia ostatniej nocy. Wydawały mi się dziwnie dalekie i nierealne, jakby widziane przez podwójną lub potrójną szybę, ale bez wątpliwości to wszystko naprawdę mi się przytrafiło. Na stole zostały szklanki po piwie, w łazience leżały używane szczoteczki do zębów.

Zjadłem w Shinjuku lekki obiad, a następnie zadzwoniłem z budki do Midori Kobayashi. Może przypadkiem dzisiaj znowu sama czeka na telefon - pomyślałem. Odczekałem aż piętnaście dzwonek, lecz nikt nie odebrał. Po dwudziestu minutach jeszcze raz spróbowałem - z

identycznym skutkiem. Wsiadłem do autobusu i wróciłem do akademika.

W skrzynce pocztowej przy wejściu był ekspres. List od Naoko.

## 5

**Dziękuję** za list. Został od razu przesłany tutaj z domu, napisała Naoko. Mój list nie sprawił jej kłopotu. Szczerze mówiąc, ucieszył ją. Sama miała zamiar wkrótce do mnie napisać.

Przerwałem czytanie, otworzyłem okno, zdjąłem marynarkę i usiadłem na łóżku. Słysząc było gruchanie gołębi z pobliskiego gołębnika. Wiatr poruszał firankami. Z siedmiostronicowym listem w dłoni pograżyłem się w chaotycznych myślach. Już po pierwszych liniijkach miałem wrażenie, że otaczająca mnie rzeczywistość zaczyna gwałtownie tracić barwy. Zamknąłem oczy. Po długim czasie udało mi się uspokoić, wziąłem głęboki oddech i przeczytałem dalszy ciąg.

Jestem tu już prawie cztery miesiące - pisała Naoko. - Przez te cztery miesiące dużo o Tobie myślałam. Im dłużej myślałam, tym bardziej mi się wydawało, że postąpiłam wobec Ciebie niesprawiedliwie. Prawdopodobnie powinnam była zachować się uczciwiej, bardziej sprawiedliwie.

Ale być może należy ująć to inaczej. Nie wiem, dlaczego dziewczyny w moim wieku nie używają słowa "sprawiedliwość". Jest im zasadniczo obojętne, czy coś jest sprawiedliwe czy nie. Dla bardzo zwyczajnej dziewczyny ważniejsze jest, czy coś jest piękne oraz to, jak być szczęśliwą. "Sprawiedliwość" to słowo używane przez mężczyzn. Jednak mam wrażenie, że właśnie ono najbardziej mi teraz odpowiada. Kwestie tego, co jest piękne, jak być szczęśliwą, są dla mnie bardzo skomplikowane i kłopotliwe, więc mimowolnie zaczynam szukać innych kategorii, na przykład: czy coś jest sprawiedliwe, czy jest uczciwe, czy jest uniwersalną prawdą.

W każdym razie uważam, że nie byłam wobec Ciebie sprawiedliwa. Myślę, że Cię zamęczałam i prawdopodobnie zraniłam Twoje uczucia. Jednak tak samo męczyłam siebie i sobie też zadawałam rany. To nie są wymówki ani usprawiedliwienia, naprawdę tak było. Jeżeli Cię zraniłam, Twoje rany są także moimi ranami, więc proszę, nie czuj do mnie nienawiści z tego powodu. Jestem tylko niedoskonałym człowiekiem. Znacznie bardziej niedoskonałym, niż myślisz. Dlatego właśnie nie chcę, żebyś mnie nienawidził. Gdybyś mnie znienawidził, naprawdę rozsypałabym się na kawałki. Nie potrafię, tak jak Ty, przeczekać, zamknąć się w sobie, schować

jak ślimak w skorupie. Nie wiem, jaki jesteś naprawdę, ale niekiedy wydaje mi się, że właśnie taki. Czasami strasznie Ci zazdroszczę i niewykluczone, że dlatego tak bardzo Cię męczyłam.

Być może takie podejście jest zbyt analityczne. Tutejszej terapii nie można nazwać zbyt analityczną, lecz jeżeli ktoś jest w mojej sytuacji i przez kilka miesięcy poddaje się terapii, chcąc nie chcąc, zaczyna analizować. Stało się tak z takiego powodu, a to oznacza tamto i z tej przyczyny jest tak, itd. Nie wiem, czy taka analiza świat upraszcza, czy dzieli go na jeszcze mniejsze elementy.

W każdym razie, w porównaniu z tym, co było, czuję znaczną poprawę, inni także przyznają, że mam się lepiej. Po raz pierwszy od długiego czasu jestem w stanie usiąść spokojnie i napisać list. List, który wysłałam do Ciebie w lipcu, wydusiłam z siebie z wielkim trudem (szczerze mówiąc, w ogóle nie mogę sobie przypomnieć, co napisałam. Pewnie był to straszny list?), lecz tym razem piszę całkowicie odprężona. Czyste powietrze, spokojny świat odizolowany od świata zewnętrznego, regularny tryb życia, codzienny ruch - wygląda na to, że tego było mi trzeba. Bardzo przyjemnie jest móc napisać do kogoś list. To naprawdę cudowne, kiedy chcąc komuś przekazać własne myśli, można usiąść przy stole, wziąć długopis do ręki i pisać. Oczywiście, pisząc, jestem w stanie wyrazić tylko część tego, co chciałabym powiedzieć, ale to nie szkodzi. Dla mnie to szczęście, że w ogóle mam ochotę do kogoś napisać. Dlatego teraz piszę do Ciebie. Jest pół do ósmej wieczorem, po kolacji, po kąpieli. Dookoła cicho, za oknem zupełnie ciemno. Nigdzie żadnego światła. Zwykle pięknie widać gwiazdy, ale dzisiaj się zachmurzyło. Wszyscy tutaj znają się na gwiazdach i pokazują mi: to jest Panna, a to Strzelec. Zapewne dlatego, że po zachodzie słońca nie ma nic do roboty, więc chcąc nie chcąc, uczy się człowiek gwiazd. Z tego samego powodu przebywające tu osoby znają się świetnie na ptakach, kwiatach i owadach. Kiedy rozmawiam z nimi, uświadamiam sobie, jak mało wiedziałam o różnych rzeczach. To przyjemne uczucie.

Przebywa tutaj około siedemdziesięciu osób. Do tego personel (lekarze, pielęgniarki, administracja itd.) - ponad dwadzieścia osób. Ponieważ teren jest dość spory, nie jest nas wcale dużo. A raczej należałoby powiedzieć, że jesteśmy rozrzućeni daleko od siebie. Dużo miejsca, piękna przyroda, wszyscy żyją spokojnie. Jest tak spokojnie, że czasem zdaje mi się, że to ten świat jest normalny. Ale oczywiście tak nie jest. Żyjemy tu na podstawie pewnych założeń i dlatego tak się wydaje. Gram w tenisa i koszykówkę. Drużyna koszykówki składa się z pacjentów (nieprzyjemne słowo, ale nie ma rady) przemieszanych z personelem. W ferworze gry

stopniowo przestaję zwracać uwagę, kto jest pacjentem, a kto pracownikiem. Kiedy grając, rozglądam się dookoła, wszyscy wydają się mieć jakieś odchylenia - choć wiem, że to dziwnie brzmi.

Pewnego dnia powiedziałam o tym swojemu lekarzowi, który przyznał, że w pewnym sensie to, co czuję, jest prawdą. Twierdził, że jesteśmy tu nie po to, żeby te nasze odchylenia zlikwidować, tylko żeby się z nimi oswoić. Jeden z naszych problemów to brak umiejętności dostrzeżenia i zaakceptowania ich. Każdy człowiek ma swój sposób chodzenia i tak samo ma swój sposób odczuwania, sposób myślenia, patrzenia na świat i niełatwo je od razu zmienić. Jeżeli robi się to na siłę, gdzieś indziej coś się może popsuć.

To oczywiście jest bardzo uproszczone wyjaśnienie i tylko jeden z problemów, z którymi się borykamy. Mimo to zdaje mi się, że rozumiem, co chciał powiedzieć. To możliwe, że nie możemy się całkowicie pogodzić z naszymi odchyleniami. Dlatego nie potrafiąc znaleźć w sobie miejsca na rzeczywisty ból i cierpienie, które wywołują, przyjeżdżamy tu, chcąc się od nich oddalić. Dopóki tu jesteśmy, nie sprawiamy bólu innym, a oni nie mogą sprawić bólu nam. Dzieje się tak, ponieważ wiemy, że "mamy odchylenia".

Tym właśnie różnimy się od ludzi ze świata zewnętrznego, w którym wiele osób nie zdaje sobie sprawy z własnych odchyłeń. Lecz w tym naszym małym światku odchylenia są warunkiem wstępnym. My nosimy nasze odchylenia, jak Indianie noszący na głowach pióropusze, aby pokazać, do jakiego plemienia należą. I żyjemy ostrożnie, żeby nie poranić się nawzajem.

Poza sportami zajmujemy się także uprawą warzyw. Mamy pomidory, bakłażany, ogórki, arbuzy, truskawki, pory, kapustę, rzodkiew i różne inne. Właściwie uprawiamy większość warzyw i owoców. Mamy też szklarnie. Ludzie tutaj znają się dobrze na uprawie i zajmują się nią z zapalem. Czytają książki, zapraszają specjalistów, od rana do wieczora rozmawiają tylko o tym, które nawozy są dobre, jakie są właściwości gleby itp. Ja też bardzo polubiłam uprawę warzyw. Wspaniale jest obserwować, jak różne owoce i warzywa z dnia na dzień robią się coraz większe. Czy hodowałeś kiedyś arbuza? Rośnie zupełnie jak małe zwierzątko.

Codziennie jemy świeżo zebrane owoce i jarzyny. Oczywiście mięso i ryby też są, ale kiedy jest się tutaj, ma się na nie coraz mniejszą ochotę. Warzywa są świeżutkie i smaczne. Zdarza się też, że idziemy do lasu i zbieramy jadalne rośliny oraz zioła. I od tego są tu eksperci (właściwie w tym sanatorium roi się od ekspertów), którzy uczą nas, co się nadaje do zbierania, a co nie.

Dzięki temu od przyjazdu przytyłam aż trzy kilo. Moja waga jest teraz idealna. Zawdzięczam to ruchowi i regularnym, zdrowym posiłkom.

W pozostałym czasie czytamy książki, słuchamy płyt, robimy na drutach. Nie ma tu telewizji ani radia, ale za to jest dość dobrze zaopatrzona biblioteka, są też płyty do wypożyczenia. Mają wszystko od symfonii Mahlera po Beatlesów. Zawsze sobie coś pożyczam do słuchania w pokoju.

Wadą tego miejsca jest to, że gdy raz się tutaj przyjedzie, człowiek nie ma ochoty albo boi się wyjechać. Dopóki tu jesteśmy, czujemy się spokojni i bezpieczni. Naturalnie traktujemy swoje odchylenia. Czujemy, że się nam poprawiło. Ale nie mamy pewności, czy świat zewnętrzny też tak na to spojrzy.

Mój lekarz mówi, że czas już, żebym nawiązała kontakt z osobami z zewnątrz. "Osoby z zewnątrz" to normalni ludzie z normalnego świata. Kiedy o nich myślę, przed oczami pojawia mi się tylko Twoja twarz. Szczerze mówiąc, wcale nie mam ochoty zobaczyć się z rodzicami. Okropnie się mną przejmują i kiedy się spotykamy i rozmawiamy, popadam w fatalny nastrój. Do tego jest kilka spraw, które muszę Ci wytłumaczyć. Nie wiem, czy mi się uda, ale są to ważne rzeczy i nie mogę tego dłużej unikać.

Mimo to nie chcę być dla Ciebie ciężarem. Nie chcę być dla nikogo ciężarem. Czuję Twoją sympatię do mnie, cieszę się z niej i szczerze Ci o tym piszę. Przypuszczam, że teraz bardzo potrzebne mi są takie przyjazne uczucia. Przepraszam, jeżeli coś, co napisałam, sprawiło ci przykrość. Wybacz mi, proszę. Jak napisałam wcześniej, jestem znacznie bardziej niedoskonała, niż sądzisz.

Od czasu do czasu myślę sobie: co by się stało, gdybyśmy spotkali i polubili się w zupełnie normalnych okolicznościach? Jak by się wszystko potoczyło, gdybym ja była normalna, Ty też (Ty oczywiście jesteś normalny), i gdyby nie było Kizukiego. Ale za dużo tu gdybania. Staram się przynajmniej być sprawiedliwa i uczciwa - w tej chwili tylko na to mnie stać - i przekazać Ci choć część swoich uczuć.

W odróżnieniu od zwykłego szpitala tutaj nie ma ograniczeń w odwiedzinach. Możemy się spotkać w każdej chwili, musiałbyś tylko zadzwonić z jednodniowym wyprzedzeniem. Moglibyśmy razem jeść posiłki, mógłbyś też się tu zatrzymać. Proszę, przyjedź do mnie, kiedy będziesz mógł. Cieszę się na nasze spotkanie. Wysyłam Ci mapę. Przepraszam, że się tak rozpisałam.

Skończyłem czytać list, a potem przeczytałem jeszcze raz od początku. Zszedłem na dół, kupiłem w automacie colę i popijając ją, przeczytałem go ponownie. Schowałem siedmiostronicowy list do koperty i położyłem na stole. Na różowej kopercie napisane drobnymi, starannymi - jak na dziewczynę nieco zbyt starannymi - literami widniały moje nazwisko i adres. Siedząc przy biurku, przez jakiś czas wpatrywałem się w kopertę. Na odwrocie był adres nadawcy: Sanatorium Ami. Dziwna nazwa. Zastanawiałem się nad nią parę minut, dochodząc do wniosku, że prawdopodobnie pochodzi od francuskiego słowa *ami* - przyjaciel.

Schowałem list do szuflady biurka, przebrałem się i wyszedłem. Bałem się, że jeżeli będę miał list w zasięgu ręki, przeczytam go dziesięć, dwadzieścia razy. Wędrowałem bez celu po Tokio, w niedzielę - tak jak kiedyś z Naoko. Błądząc po ulicach, przypominałem sobie jej list linijka po linijce i po swojemu przemyślałem. Kiedy zaszło słońce, wróciłem do akademika i zadzwoniłem do sanatorium Ami. Odezwała się recepcjonistka, której wyłuszczyłem sprawę. Podałem nazwisko Naoko i powiedziałem, że gdyby to było możliwe, chciałbym ją odwiedzić jutro po południu. Kobieta spytała, jak się nazywam i poprosiła, żebym zatelefonował za pół godziny.

Zadzwoniłem po kolacji. Odebrała ta sama kobieta i powiedziała, że odwiedziny są możliwe, proszę przyjeżdżać. Podziękowałem, odłożyłem słuchawkę, zapakowałem do małego plecaka ubranie na zmianę i przybory toaletowe. Potem, czekając, aż zachce mi się spać, popijałem brandy i czytałem dalej *Czarodziejską górę*. Mimo to senność ogarnęła mnie dopiero po pierwszej w nocy.

## 6

**Obudziłem** się w poniedziałek o siódmej rano, szybko umyłem twarz, ogoliłem się i od razu, nie jedząc śniadania, poszedłem do kierownika akademika i powiedziałem, że jadę na dwa dni pochodzić po górach. Już przedtem, kiedy miałem wolne, kilka razy robiłem krótkie wypady, więc powiedział tylko: "Aha". Wsiadłem do zatłoczonego pociągu i dojechałem do Dworca Tokijskiego, kupiłem bilet bez miejscówki na superekspres do Kioto i dosłownie wskoczyłem do najszybszego - Hikari. Na śniadanie kupiłem gorącą kawę oraz kanapkę. Potem na godzinę zapadłem w drzemkę.

Do Kioto dotarłem trochę przed jedenastą. Zgodnie ze wskazówkami Naoko pojechałem

miejskim autobusem do Sanjó, poszedłem na dworzec prywatnych linii autobusowych i zapytałem, o której i z którego stanowiska odchodzi autobus numer szesnaście. Okazało się, że z ostatniego o jedenastej trzydzieści pięć i jazda potrwa nieco ponad godzinę. Kupiłem bilet, wszedłem do pobliskiej księgarni, kupiłem mapę i usiadłszy na ławce w dworcowej poczekalni, sprawdziłem, gdzie się mieści sanatorium Ami. Z mapy wynikało, że jest strasznie daleko w głębi gór. Autobus pokonuje kilka wzniesień, kieruje się na północ, dojeżdża do miejsca, gdzie kończy się droga i wraca do miasta. Mój przystanek był prawie na końcu trasy. Naoko napisała, że od przystanku autobusowego prowadzi w górę ścieżka, którą trzeba się do sanatorium wspinać dwadzieścia minut. Skoro jest tak daleko, rzeczywiście musi tam być spokój.

Zebrało się około dwudziestu pasażerów, autobus ruszył wzdłuż rzeki Kamo i skierował się na północ. W miarę jazdy domy stały coraz rzadziej, ukazały się pola ryżowe i niezabudowane tereny. Dachy z czarną dachówką i pokryte folią szklarnie świeciły oślepiająco, odbijając wczesnojesienne słońce. Wkrótce autobus wjechał w góry. Na krętej drodze kierowca musiał nieustannie kręcić kierownicą; poczułem lekkie mdłości. Miałem jeszcze w ustach smak wypitej na śniadanie kawy.

Po jakimś czasie liczba zakrętów zaczęła się stopniowo zmniejszać, wreszcie, kiedy mogłem znów spokojnie oddychać, autobus niespodziewanie wjechał w chłodny cedrowy las. Cedry, wysokie jak w pierwotnej puszczy, nie przepuszczały promieni słońca, więc wszystko było pogrążone w mrocznym cieniu. Przez otwarte okno powiał wiatr, nagle zrobiło się zimno, poczułem nieprzyjemną wilgoć. Dość długo posuwaliśmy się przez ten las doliną wzdłuż rzeki, a kiedy zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem cały świat nie został na zawsze porośnięty cedrową puszcza, las się skończył i wjechaliśmy do otoczonej górkami szczytami kotliny. Jak okiem sięgnąć, rozciągało się tam zielone pole ryżowe, wzdłuż drogi płynęła piękna rzeka. W oddali unosiła się pojedyncza nitka białego dymu, tu i tam wisiało rozwieszane pranie, czekały psy. Pod okapami dachów leżało poukładane drewno na opał, na nim smacznie drzemały koty. Wzdłuż drogi stały domy, ale nie dostrzegłem nikogo.

To powtórzyło się kilkakrotnie: autobus jechał cedrowym lasem, wjeżdżał do osady, a potem znów zaczynał się las. W każdej osadzie wysiadało kilku pasażerów. Nikt nie wsiadał. Po mniej więcej czterdziestu minutach jazdy dotarliśmy do przełęczy, z której otwierał się widok na okolicę. Kierowca zatrzymał autobus, powiedział, że kto chce, może wysiąść, bo będziemy tu stać przez kilka minut. Pasażerów została już tylko czwórka, ze mną włącznie. Wszyscy

wysiedliśmy rozprostować nogi, zapalić papierosa albo popatrzeć na rozpościerającą się daleko w dole panoramę Kioto. Kierowca wysikał się na stronie. Opalony mężczyzna koło pięćdziesiątki, który z ogromnym kartonem przewiazanym sznurkiem zapakował się do autobusu, zapytał, czy będę się wspinał po górach. Nie chciał mi się tłumaczyć, więc powiedziałem, że tak.

Wkrótce z naprzeciwka nadjechał autobus. Zatrzymał się, kierowca wysiadł, porozmawiał chwilę z naszym, a potem obaj wsiedli do swoich pojazdów. Pasażerowie też wrócili na miejsca. Ruszyliśmy, każdy w swoją stronę. Wkrótce stało się jasne, dlaczego czekaliśmy na przełęcz, aż przejedzie drugi autobus. Zjechaliśmy trochę niżej i droga gwałtownie się zwężyła - nie mogliśmy się tu wyminąć. Z naprzeciwka nadjechało kilka vanów i samochodów osobowych, ale za każdym razem jeden z pojazdów musiał się cofnąć do zakrętu, gdzie było trochę szerzej.

Osady i pola leżące wzdłuż drogi stały się mniejsze. Góry zdawały się bardziej strome, dochodziły nieomal do samej drogi. We wszystkich osadach było dużo psów, które na widok autobusu zaczynały szczekać na wyścigi.

Wokół przystanku, na którym wysiadłem, nie było nic. Ani domów, ani pól. Samotny znak z napisem "Przystanek", potok i początek szlaku turystycznego. Zarzuciłem plecak i ruszyłem doliną lekko pod górę. Po lewej stronie płynął potok, po prawej ciągnął się mieszany las. Po piętnastu minutach doszedłem do odchodzącej w prawo drogi. Była wąska, lecz od biedy mógłby nią przejechać samochód. Stała tam tablica z napisem: "Sanatorium Ami. Obcym wstęp wzbroniony".

Na leśnej drodze widniały wyraźne ślady opon. Wśród drzew czasami rozlegał się łopot ptasich skrzydeł. Brzmiał zadziwiająco czysto, jakby tylko on został sztucznie wzmocniony. Raz z daleka dobiegł odgłos podobny do wystrzału, ale był cichy, przytłumiony, wydawało się, że został przepuszczony przez kilka filtrów.

Po wyjściu z lasu zobaczyłem biały kamienny mur, lecz nie był to mur prawdziwy - sięgał mi zaledwie do ramion, nie było nad nim siatki ani sztachet i gdyby ktoś chciał, mógłby go z łatwością przeskoczyć. Czarna metalowa brama wyglądała na solidną, lecz była otwarta, budka strażnika zdawała się pusta. Przy bramie stała druga taka sama tablica: "Sanatorium Ami. Obcym wstęp wzbroniony". W budce były ślady czyjejs niedawnej bytności: w popielniczce trzy pety, w kubku nadpita herbata, na półce stało radio tranzystorowe, na ścianie zegar odmierzał czas suchym tykaniem. Poczekalem chwilę, aż wróci strażnik, ale ponieważ nie wyglądało na to, nacisnąłem kilka razy jakiś guzik wyglądający na dzwonek. Tuż za bramą był parking, stał tam



minibus, land cruiser i granatowe volvo. Mogło się tu zmieścić ze trzydzieści aut, ale stały tylko te trzy.

Minęły dwie, może trzy minuty, gdy na leśnej drodze pojawił się jadący na żółtym rowerze strażnik w granatowym mundurze. Był to wysoki mocno łysiejący mężczyzna koło sześćdziesiątki. Oparł rower o ścianę stróżówki i powiedział: - Przepraszam, że musiał pan czekać - choć jego ton nie brzmiał przepraszająco. Na błotniku roweru białą farbą namalowano 32. Wymieniłem nazwisko, a on zadzwonił dokądś, dwukrotnie je komuś powtórzył, potem odpowiedział: "Tak, tak, rozumiem", i odłożył słuchawkę.

- Niech pan idzie do głównego budynku i zapyta o profesor Ishidę - powiedział strażnik. - Pójdzie pan tą drogą między drzewami i dojdzie do okrągłego skweru. Tam niech pan skręci w drugą drogę po lewej. Zapamięta pan? W drugą drogę po lewej. Dojdzie pan do starego domu. Za nim skręci pan w prawo, przejdzie pan zagajnik i tam będzie betonowy budynek. To właśnie tam. Chyba pan trafi, wszędzie są drogowskazy.

Poszedłem - tak jak mi kazał - drugą drogą na lewo od skweru. U jej wylotu stał stary dom wyglądający na jakąś dawną willę letniskową. W ogrodzie pięknie rozmieszczono kamienie i tradycyjne kamienne latarnie, rośliny były zadbane. Ten teren musiał kiedyś być czyjąś prywatną posiadłością. Skręciłem w prawo, przeszedłem przez zagajnik i przed oczami ukazał mi się dwupiętrowy betonowy budynek. Ponieważ postawiono go w zagłębieniu, sprawiał wrażenie mniejszego, niż był w rzeczywistości. Był prosty i wyglądał nadzwyczaj czysto.

Wejście znajdowało się na pierwszym piętrze. Wszedłem po kilku stopniach i otworzyłem duże szklane drzwi. W recepcji siedziała młoda dziewczyna w czerwonej sukience. Podałem nazwisko i powiedziałem, że mam się zobaczyć z profesor Ishidą. Uśmiechnęła się i wskazując mi brązową kanapę w holu, poprosiła cichym głosem, żebym tam zczekał. Potem do kogoś zadzwoniła. Zdjąłem plecak, zapadłem się w wygodne poduszki kanapy i rozejrzałem się dookoła. W holu było czysto i przyjemnie. Stało kilka doniczek z roślinami, na ścianach wisiały gustowne abstrakcyjne obrazy, wypolerowana podłoga lśniła. Czekając, przyglądałem się przez cały czas swoim butom, odbijającym się w tej podłodze.

Recepcjonistka powiedziała tylko: - Zaraz przyjdzie. - Kiwnąłem głową. Co za niezwykle spokojne miejsce, pomyślałem. Nie było słycać żadnych odgłosów. Zupełnie jakby to był czas sjesty. Spokojne popołudnie, wszyscy - i ludzie, i zwierzęta, i owady, i rośliny - smacznie śpią. Ale niebawem usłyszałem odgłos miękkich, gumowych podeszew i pojawiła się kobieta w

średnim wieku z krótko ostrzyżonymi, szczeciniastymi włosami. Podeszła szybko, usiadła obok mnie, zakładając nogę na nogę. Wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. Nie puszczając mojej, obejrzała ją ze wszystkich stron.

- Nie grasz na żadnym instrumencie co najmniej od kilku lat, prawda? - zaczęła od pytania.

- Nie - odparłem zdziwiony.

- Widać to po twoich dłoniach - powiedziała z uśmiechem.

Robiła bardzo dziwne wrażenie. Jej twarz pokrywały zmarszczki, które od razu rzucały się w oczy, lecz nie postarzały jej, a wręcz przeciwnie, zdawały się podkreślać młodość. Pasowały do niej, jakby miała je od urodzenia. Gdy się śmiała, śmiały się razem z nią, kiedy robiła poważną minę, one także poważniały. A kiedy nie była ani rozbawiona, ani poważna, rozbiegały się po twarzy, nadając jej kpiący, lecz ciepły wyraz. Musiała mieć ponad trzydzieści pięć lat, wyglądała sympatycznie, a wręcz tchnęła jakimś nieodpartym urokiem. Polubiłem ją od pierwszego wejrzenia.

Nieporządnie ścięte włosy sterczały w różnych kierunkach, grzywka opadała na czoło nierównymi pasmami, lecz ta fryzura bardzo do niej pasowała. Na białym podkoszulku miała niebieską roboczą koszulę, do tego luźne bawełniane spodnie i tenisówki. Była szczupła, prawie nie miała piersi, ciągle kpiąco unosiła jeden kącik ust, a zmarszczki wokół oczu leciutko się poruszały. Wyglądała jak życzliwa, lecz nieco zmęczona życiem, znająca swój fach kobieta drwal. Cofnęła brodę, skrzywiła usta, przez jakiś czas mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Zdawało się nieomal, że za chwilę wyjmie z kieszeni miarkę i zacznie mi po kolei mierzyć wszystkie części ciała.

- Grasz na jakimś instrumencie?

- Nie, nie gram - odpowiedziałem.

- To szkoda, fajnie byłoby, gdybyś umiał.

Byłoby, powiedziałem. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego tyle rozmawiamy o instrumentach.

Wyjęła z kieszonki na piersiach seven starsy, włożyła jednego do ust, zapaliła zapalniczką i zaciągnęła się z przyjemnością.

- No tak, Watanabe, tak się nazywasz, prawda? Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak ci opowiem o tym miejscu, zanim spotkasz się z Naoko. Dlatego postanowiłam, że najpierw porozmawiamy we dwójkę. To miejsce różni się trochę od innych i jeżeli nic się o nim nie wie,

może się wydać zaskakujące. Pewnie nie wiesz o nim zbyt wiele, prawda?

- Prawie nic.

- A więc zacznę od tego, że... - zaczęła mówić, ale nagle pstryknęła palcami, jakby coś sobie uświadomiła. - Jadłeś obiad? Nie jesteś głodny?

- Jestem - przyznałem.

- Więc chodźmy. Porozmawiamy w jadalni. Pora jedzenia już minęła, ale myślę, że jeżeli zaraz pójdziemy, jeszcze coś nam dadzą.

Wstała i szybkim krokiem ruszyła korytarzem, zeszła schodami na parter do jadalni. Sala jadalna mogła pewnie pomieścić około dwustu osób, lecz teraz wykorzystywano tylko połowę pomieszczenia, a drugą zasłonięto parawanem, jak w ośrodku wypoczynkowym poza sezonem. Tego dnia obiad składał się z gulaszu z kluskami, sałaty, soku pomarańczowego i chleba. Zgodnie z tym, co Naoko pisała w liście, jarzyny były zadziwiająco smaczne. Wylizałem talerz do czysta.

- Jesz z takim apetytem - powiedziała z podziwem.

- Jest naprawdę pyszne. Do tego od rana nic nie jadłem.

- Jak masz ochotę, możesz zjeść moją porcję. Ja się już najadłam. Zjesz?

- Jeżeli rzeczywiście pani nie ma ochoty, to chętnie.

- Mam mały żołądek, niewiele się w nim mieści. Dopycham papierosami - powiedziała i znowu zapaliła seven stara. - A właśnie, możesz do mnie mówić: Reiko. Wszyscy mnie tak nazywają.

Reiko przyglądała się z zainteresowaniem, jak jem prawie przez nią nieruszony gulasz i zagryzam chlebem.

- Jesteś lekarzem prowadzącym Naoko? - próbowałem się dowiedzieć.

- Ja lekarzem? - zdziwiła się i zmarszczyła brwi. - Dlaczego miałabym być lekarzem?

- Powiedziano mi, że spotkam się z profesorem Ishidą.

- Aaa, rozumiem. Jestem tutaj nauczycielką muzyki. Niektórzy zwracają się do mnie "pani profesor". Ale jestem pacjentką. Przebywam tu już siedem lat, uczę wszystkich muzyki, pomagam w biurze i właściwie nie wiadomo już, czy jestem pacjentką, czy pracownikiem. Naoko nie mówiła ci o mnie?

Pokręciłem głową.

- Aha - powiedziała Reiko. - W każdym razie mieszkamy razem. Wesoło się z nią mieszka.

Rozmawiamy na różne tematy. Często o tobie.

- Co możecie o mnie mówić? - zapytałem.

- Czekaj, muszę ci opowiedzieć o tym miejscu - kompletnie zignorowała moje pytanie. - Przynajmniej chciałabym, żebyś zrozumiał, że to nie "szpital" w zwykłym tego słowa znaczeniu. Krótko mówiąc, to nie jest miejsce do leczenia, tylko do rekonwalescencji. Oczywiście jest kilku lekarzy i codziennie mamy około godziny terapii, ale przypomina ona raczej kontrolę stanu zdrowia, coś jak mierzenie temperatury. Nie ma tu tak zwanej aktywnej terapii stosowanej w innych szpitalach. Dlatego nie ma krat, brama jest zawsze otwarta. Ludzie są tu dobrowolnie i dobrowolnie stąd odchodzą. Zostają tu przyjęte wyłącznie osoby kwalifikujące się do takiej terapii. Nie każdy może się tu dostać, pacjenci wymagający specjalistycznej terapii idą do różnych specjalistycznych szpitali w zależności od przypadku. Dotąd wszystko jasne?

- Myślę, że tak. A na czym właściwie polega ta rekonwalescencja?

Reiko wypuściła dym, wypła resztę soku pomarańczowego.

- Samo życie tutaj jest rekonwalescencją. Jego regularny tryb, ruch, izolacja od świata zewnętrznego, spokój, czyste powietrze. uprawiamy ziemię i jesteśmy prawie samowystarczalni, nie mamy telewizji, radia. Przypominamy jedną z tych modnych teraz komun. Różni nas od nich jedynie fakt, że pobyt tutaj dość drogo kosztuje.

- Tak tu jest drogo?

- Nie potwornie drogo, ale tanio nie jest. Spójrz na wyposażenie. Mamy spory teren, pacjentów mało, obsługi dużo. Ja jestem tu już bardzo długo, częściowo należę do obsługi. Praktycznie jestem zwolniona z opłat, więc nie muszę się o to martwić. Słuchaj, napijesz się kawy?

Powiedziałem, że chętnie. Zgasła papierosa, wstała, z podgrzewanego dzbanka stojącego na ladzie naląka kawy do dwóch filiżanek i przyniosła. Posłodziła swoją, pomieszała i wypła, krzywiąc się.

- To sanatorium nie jest nastawione na zysk, dlatego może funkcjonować, pomimo że nie jest zbyt drogie. Pewien człowiek założył fundację i przekazał teren w formie darowizny. Kiedyś był jego posiadłością letniskową. Jeszcze dwadzieścia lat temu. Widziałeś po drodze stary dom?

Powiedziałem, że tak.

- Kiedyś to był jedyny budynek, tam przebywali pacjenci i tam odbywała się terapia

grupowa. Zaczęło się od tego, że syn donatora miał objawy choroby psychicznej i pewien specjalista zasugerował terapię grupową. Doktor wyznawał teorię, że jeżeli grupa pacjentów będzie mieszkać z dala od ludzkich osad, pomagając sobie nawzajem i pracując fizycznie, a lekarze będą nadzorować i służyć radą, to pewien rodzaj chorób psychicznych da się opanować. Tak się zaczęło. Stopniowo teren się powiększał, stworzono fundację, tereny uprawne też się rozrosły, pięć lat temu postawiono ten budynek.

- Czyli leczenie okazało się skuteczne, tak?

- Tak, choć oczywiście nie pomaga na wszystkie choroby, więc wiele osób nie odczuwa poprawy. Ale było też wielu takich, którym w innych szpitalach nie umieli pomóc, a tutaj im się polepszyło i mogli wrócić do normalnego życia. Najlepsze w tym sanatorium jest to, że ludzie sobie pomagają. Ponieważ wszyscy wiedzą, że są niedoskonali, więc starają się pomagać sobie nawzajem. W innych ośrodkach niestety tak nie jest. Lekarze są zawsze lekarzami, pacjenci zawsze pacjentami. Pacjenci oczekują pomocy od lekarzy, ci udzielają im pomocy. Ale tutaj pomagamy sobie nawzajem. Przyglądamy się sobie nawzajem, jak byśmy przeglądali się w lustrze. Lekarze są naszymi przyjaciółmi. Przyglądają nam się z boku, a kiedy widzą, że czegoś potrzebujemy, natychmiast nam pomagają, ale my też w pewnych sytuacjach im pomagamy. Czasami jesteśmy w czymś lepsi od nich. Ja uczę pewnego lekarza grać na pianinie, inny pacjent uczy pielęgniarkę francuskiego - o taką pomoc mi chodzi. Osoby cierpiące na takie choroby jak my są bardzo często w jakimś kierunku utalentowane. Dlatego tutaj wszyscy jesteśmy sobie równi. I pacjenci, i personel, teraz ty też. Przecież, kiedy tu jesteś, stajesz się jednym z nas, ja pomagam tobie, a ty mnie - Reiko uśmiechnęła się, zmarszczki leciutko się wygięły. - Ty pomożesz Naoko, a ona tobie.

- Co konkretnie powinienem robić?

- Przede wszystkim chcieć pomóc drugiej osobie. I wiedzieć, że nam też ktoś musi pomóc. Po drugie, być uczciwym. Nie kłamać, nie ukrywać niczego, nie pomijać tego, co dla nas niewygodne. To wystarczy.

- Postaram się. Ale dlaczego ty jesteś tu już siedem lat? Kiedy tak rozmawiamy, wcale nie wydaje mi się, że coś jest z tobą nie tak.

- W dzień nie - powiedziała ponuro. - Lecz niech tylko nadejdzie noc. Toczę pianę z pyska i miotam się po podłodze.

- Naprawdę?

- Coś ty! Przecież się wygłupiam - powiedziała zde gustowana, kręcąc głową. - Ja jestem wyleczona. Na razie. Przebywam tu nadal, bo bardzo lubię pomagać ludziom dochodzić do zdrowia, ucząc muzyki, hodując warzywa. Lubię to miejsce. Wszyscy są przyjaciółmi. A co mnie czeka na zewnątrz? Mam teraz trzydzieści osiem lat, zaraz przekroczę czterdziestkę. Nie tak jak Naoko. Na mnie nikt nie czeka, nie mam rodziny, która by mnie przyjęła, nie mam pracy, do której warto wrócić, prawie nie mam przyjaciół. Do tego jestem tutaj już siedem lat. Nie wiem, co się dzieje na świecie. Co prawda od czasu do czasu czytam w bibliotece gazetę, ale przez tych siedem lat nie ruszyłam się stąd na krok. Gdybym teraz wyszła, nie wiedziałabym, co począć.

- A może otworzyłyby się przed tobą nowe horyzonty - powiedziałem. - Warto spróbować.

- No tak, może masz rację - odparła, przez chwilę obracając w dłoni zapalniczkę. - Ale ja też mam swoje problemy. Jak chcesz, kiedyś ci o tym spokojnie opowiem.

Skinąłem potakująco głową.

- Czy stan Naoko się poprawia?

- Hm, tak nam się wydaje. Na początku była bardzo zdezorientowana, martwiliśmy się, co będzie dalej, ale teraz uspokoiła się, mówi znacznie sensowniej, potrafi wyrazić to, co chce powiedzieć... z pewnością wszystko idzie w dobrym kierunku. Lecz należało zacząć leczenie znacznie wcześniej. W jej przypadku objawy wystąpiły już, kiedy umarł ten jej chłopak, Kizuki. Rodzina musiała to zauważyć, ona sama pewnie zdawała sobie z tego sprawę. No i ta historia w rodzinie...

- Historia w rodzinie? - zapytałem zdumiony.

- Ach, nie wiedziałeś o tym? - Reiko była bardziej zdziwiona niż ja.

Milcząc, potrząsałem głową przecząco.

- To zapytaj ją o to bezpośrednio, tak będzie lepiej. Ona też ma ci ochotę powiedzieć różne rzeczy - Reiko znowu pomieszała kawę, wypła łyk. - Poza tym jest pewna sprawa dotycząca regulaminu i myślę, że lepiej powiedzieć ci o tym od razu - nie wolno wam być samym we dwoje. Taka jest zasada. Ludzie z zewnątrz nie mogą być sam na sam z osobą, którą odwiedzają. Dlatego zawsze musi być obecny obserwator - w tym przypadku będę to ja. Żal mi was, ale niestety będziecie musieli to jakoś znieść, dobrze?

- Dobrze - odrzekłem z uśmiechem.

- Możecie rozmawiać bez skrępowania, o czym chcecie, nie zwracajcie na mnie uwagi. O tym, co było między tobą i Naoko, wiem prawie wszystko.

- Wszystko?

- Prawie wszystko - odpowiedziała. - Przecież tu są terapie grupowe. Dlatego wiemy o sobie nieomal wszystko. Do tego rozmawiamy z Naoko o różnych rzeczach. Nie mamy tu zbyt wielu sekretów.

Pijąc kawę, patrzyłem na Reiko.

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem, czy słusznie postąpiłem w stosunku do Naoko w Tokio. Myślę o tym przez cały czas, ale nadal nie wiem.

- Tego i ja nie wiem - powiedziała Reiko. - Naoko też nie wie. Musicie we dwoje o tym porozmawiać i zdecydować. Zgadzasz się? Bez względu na to, co się wydarzyło, możecie z tego wyciągnąć jakąś korzyść. Jeżeli uda wam się nawzajem zrozumieć. A nad tym, czy to postępowanie było słuszne, czy nie, będzie się można później zastanowić.

Przytaknąłem.

- Myślę, że we trójkę będziemy mogli sobie nawzajem pomóc. Ty, Naoko i ja. Jeżeli będziemy szczerzy wobec

siebie, jeśli będziemy chcieli. Takie rozmowy bywają wyjątkowo owocne, jeśli biorą w nich udział trzy osoby. Jak długo możesz tu zostać?

- Chcę być w Tokio pojutrze wieczorem. Muszę iść do pracy, a w czwartek mam test z niemieckiego.

- To świetnie. Zatrzymaj się u nas. Nie poniesiesz żadnych kosztów i będziecie mogli spokojnie rozmawiać, nie martwiąc się, że robi się późno.

- U was to znaczy gdzie?

- U mnie i Naoko, oczywiście - powiedziała Reiko. - Mamy oddzielną sypialnię, a w salonie jest kanapa, będziesz mógł się wygodnie wyspać, nie martw się.

- A to jest dozwolone? Czy gość mężczyzna może nocować w jednym mieszkaniu z kobietami?

- Przecież chyba nie przyjdiesz do naszej sypialni w środku nocy i nie będziesz nas gwałcił?

- Oczywiście, że nie. No coś ty!

- No to nie ma sprawy. Zatrzymasz się u nas i spokojnie sobie porozmawiamy. Tak będzie najlepiej. W ten sposób uda nam się dobrze nawzajem zrozumieć i pogram dla ciebie na gitarze. Zupełnie nieźle to robię.

- Na pewno nie będę przeszkadzał?

Reiko sięgnęła po trzeciego papierosa i skrzywiwszy usta, zapaliła.

- Rozmawialiśmy już o tym. I obydwie cię zapraszamy. Powinieneś po prostu grzecznie przyjąć zaproszenie, nie uważasz?

- Oczywiście, z przyjemnością.

Reiko przyglądała mi się przez jakiś czas: zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły. - Masz przedziwny sposób mówienia - powiedziała. - Nie naśladujesz chyba tego chłopaka z *Buszującego w zbożu*?

- Żartujesz - zaśmiałem się.

Reiko też się uśmiechnęła z papierosem w ustach.

- Jesteś prostolinijny i szczerzy. To widać. Przez siedem lat napatrzyłam się tu na różnych ludzi, przychodzili, odchodzili, umiem to poznać. Jedni potrafią się otworzyć, inni nie. Ty potrafisz. A ściśle mówiąc, potrafisz, jeżeli zechcesz.

- A co się dzieje, kiedy człowiek się otworzy?

Reiko z rozbawieniem, nie wyjmując papierosa z ust, splotła dłonie na stoliku.

- Poprawia mu się - powiedziała. Popiół z papierosa spadł na stół, ale nie zwróciła na to uwagi.

Wyszliśmy z głównego budynku, wspięliśmy się na niewielkie wzgórze, obok basenu, kortów tenisowych i boiska do koszykówki. Dwóch mężczyzn ćwiczyło na korcie. Jeden chudy, w średnim wieku i drugi młody, przy kości - obaj niezłe grali, ale to, co robili, nie przypominało tenisa, a jakąś inną grę. Zdawało się, że są zainteresowani kwestią sprężystości piłki i próbują ją zbadać. Dziwnie skupieni, gorliwie odbijali piłkę. Obaj byli złani potem. Młody człowiek, ten bliżej drogi, na widok Reiko przerwał grę, podszedł i z uśmiechem zamienił z nią kilka słów.

Obok kortu mężczyzna z twarzą bez wyrazu kosił trawę dużą kosiarką.

Dalej był zagajnik, a w nim stało kilkanaście oddalonych od siebie domków w europejskim stylu. Przed większością zauważyłem żółte rowery, takie same jak rower stróża. Reiko wyjaśniła mi, że tu mieszka personel.

- Nie trzeba wyjeżdżać do miasta, wszystko, co potrzebne, mamy na miejscu. Jeżeli chodzi o jedzenie, to tak jak wcześniej mówiłam, jesteśmy prawie samowystarczalni. Jest też kurnik, więc mamy jajka. Są książki, płyty i urządzenia sportowe, jest także niewielki sklep. Co tydzień przyjeżdża fryzjer. W weekendy są pokazy filmów. O jakieś specjalne rzeczy zawsze można



poprosić pracowników, którzy jadą do miasta, ubrania zamówić z katalogu - słowem niczego nam nie brakuje.

- Do miasta nie można wychodzić?

- Tego nie wolno. Oczywiście jeżeli trzeba iść do dentysty albo jest jakaś taka szczególna sytuacja, to co innego, ale zasadniczo wychodzenie nie jest dozwolone. Masz całkowitą swobodę i zawsze możesz stąd wyjść, jednak jeśli raz wyjdiesz, nie wolno ci już wrócić. To tak jakby spalić za sobą mosty. Nie można wyjść do miasta na dwa, trzy dni, a potem znowu wrócić. No bo przecież gdyby pozwolić na coś takiego, wszyscy tylko wychodziliby i przychodziliby.

Za zagajnikiem było łagodne zbocze. Stały tam w nieregularnych odstępach piętrowe drewniane domy. Robiły dziwne wrażenie. Nie umiałbym wytłumaczyć, na czym polegało, to samo się czuje, patrząc na obrazy przedstawiające sielankowo nierealny świat. Pomyślałam, że taki byłby efekt, gdyby Walt Disney zrobił animowaną wersję malarstwa Muncha. Wszystkie domy miały idealnie ten sam kształt i kolor, były niemal sześcianami, idealnie symetrycznymi, z dużymi drzwiami frontowymi i wieloma oknami. Chodnik kluczył pomiędzy nimi jak imitacja uliczki w miasteczku ruchu drogowego. Przed każdym domem zasadzono kwiaty, wszystko było zadbane. Ani śladu człowieka, wszystkie okna zasłonięte.

- To jest osiedle C. Tutaj mieszkają panie, czyli my. Jest dziesięć takich budynków, każdy podzielony na cztery części, w każdej z nich mieszkają dwie osoby. W sumie może tu mieszkać osiemdziesiąt osób. Teraz są tylko trzydzieści dwie.

- Bardzo tu spokojnie - zauważyłam.

- W tej chwili nikogo nie ma - powiedziała Reiko. - Mnie tu traktują specjalnie, więc mogę sobie tak swobodnie spędzać czas, ale każdy pacjent ma indywidualny harmonogram. Jedni uprawiają sporty, inni zajmują się ogrodem, jeszcze inni uczestniczą w terapii grupowej. Niektórzy wychodzą poza teren i zbierają w górach jadalne rośliny i zioła. Każdy sam układa sobie program. Zaraz, co robi dzisiaj Naoko? Chyba zmienia gdzieś tapety albo maluje ściany. Nie pamiętam. Tego typu zajęcia trwają na ogół do piątej.

Weszła do budynku z numerem C7, wspięła się po schodach na pierwsze piętro i otworzyła drzwi po prawej stronie. Nie były zamknięte na klucz. Reiko oprowadziła mnie po mieszkaniu. Salon, sypialnia, kuchnia, łazienka - cztery pomieszczenia, proste, sympatyczne. Mimo braku dekoracji i nielicznych mebli, nie wydawało się nieprzytulne. Nie miało w sobie nic specjalnego, lecz można się było w nim poczuć swobodnie, tak samo jak w towarzystwie Reiko. W salonie

była kanapa i stolik, bujany fotel. W kuchni stał stół. Na obu stołach duże popielniczki. W sypialni dwa łóżka, dwa biurka i szafa. Pomiędzy łózkami mały stolik, na nim lampa do czytania, książka w kieszonkowym wydaniu, leżąca tytułem do dołu. W kuchni mała elektryczna kuchenka, a pod nią lodówka, można więc było przygotować proste potrawy.

- Nie ma wanny, jest tylko prysznic, ale i tak świetne mieszkanie, prawda? Duża łazienka i pralnia są wspólne.

- Świetne, aż za świetne. Mój pokój w akademiku ma tylko sufit i okna.

- Mówisz tak, bo nie widziałeś tutejszych zim - powiedziała Reiko, popychając mnie w kierunku kanapy i siadając obok mnie. - Są długie i surowe. Gdzie spojrzysz - śnieg, śnieg, śnieg, zimna wilgoć, która przenika aż do szpiku kości. Kiedy przyjdzie zima, dzień w dzień odwalamy śnieg. Cały czas spędzamy w ogrzanych pokojach, słuchamy muzyki, rozmawiamy, robimy na drutach. Dlatego musimy mieć tyle przestrzeni. Inaczej można by się udusić. Zrozumiesz, jeśli przyjedziesz tu zimą.

Westchnęła głęboko, jakby na myśl o długiej zimie, i splotła dłonie na kolanach.

- Rozłożymy to i przygotujemy dla ciebie pośłanie - powiedziała, poklepując kanapę, na której siedzieliśmy.

- My śpimy w sypialni, a ty będziesz tutaj, dobrze?

- Nie mam nic przeciwko temu.

- No to postanowione - powiedziała Reiko. - Myślę, że wrócimy koło piątej. Obie mamy teraz zajęcia. Zaczekasz tu sam?

- Tak, nauczę się niemieckiego.

Po wyjściu Reiko wyciągnąłem się na kanapie i zamknąłem oczy. Leżałem tak, rozkoszując się ciszą, gdy nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś z Kizukim pojechaliśmy motocyklem na wycieczkę. Wtedy też była jesień. Ile to lat temu? Cztery. Przypomniał mi się zapach jego skórzanej kurtki i głośny warkot czerwonej yamaha 125cc. Pojechaliśmy daleko, nad morze, i wrócili dopiero wieczorem bardzo zmęczeni. Nie wydarzyło się tam nic specjalnego, ale dobrze pamiętam tę wyprawę. Jesienny wiatr świszczwał w uszach, trzymałem się oburącz kurtki Kizukiego i gdy patrzyłem w górę na niebo, wydawało mi się, że mogę zostać uniesiony w kosmos.

Odpoczywałem tak dłuższą chwilę bez ruchu i wracały do mnie różne wspomnienia z tamtych czasów. Nie wiem dlaczego, kiedy leżałem w tym pokoju, głowę wypełniały mi dawne

wydarzenia i sceny, o których do tej pory wcale nie myślałem. Niektóre były przyjemne, inne trochę smutne.

Jak długo to trwało? Pograżony w tym nieoczekiwanym zalewie wspomnień (napływały jedno po drugim, jak woda tryskająca ze skalnej szczeliny), wcale nie zauważyłem, że Naoko delikatnie otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Nagle zorientowałem się, że stoi obok. Podniosłem głowę, przez chwilę wpatrywałem się w jej oczy. Usiadła na oparciu kanapy i patrzyła na mnie. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest wytworem mojej wyobraźni przywołanym wspomnieniami. Ale to była prawdziwa Naoko.

- Spałeś? - zapytała cichutko.

- Nie, tylko rozmyślałem - powiedziałem i podniosłem się na kanapie. - Co słyhać?

- W porządku - odparła, uśmiechając się. Jej uśmiech przypominał zamglony daleki krajobraz. - Nie mam zbyt dużo czasu. Nie powinnam tu teraz przychodzić, mam tylko chwilę. Zaraz muszę wracać. Mam okropne włosy, prawda?

- Wcale nie. Bardzo ci ładnie - powiedziałem. Była schludnie uczesana, zupełnie jak uczennica szkoły podstawowej. Z jednej strony, tak samo jak kiedyś, starannie podpięła włosy spinką. Ta fryzura bardzo do niej pasowała, jakby zawsze się tak czesała. Wyglądała jak jedna z tych pięknych dziewcząt ze średniowiecznych drzeworytów.

- Długie mi przeszkadzają, więc Reiko je obcina. Naprawdę tak myślisz? Ładnie?

- Naprawdę tak myślę.

- A mama mówi, że wyglądam okropnie - powiedziała. Zdjęła spinkę, rozpuściła włosy, przygładziła palcami

i znów zapięła. Spinka miała kształt motyla. - Chciałam najpierw sama się z tobą zobaczyć, zanim spotkamy się we trójkę. Nie mam ci nic specjalnego do powiedzenia, po prostu chciałam cię zobaczyć i przyzwycząić się do tego, że tu jesteś. Inaczej nie potrafiłabym się oswoić. Taka ze mnie niezdara.

- Przyzwycząiłaś się już trochę?

- Trochę - powiedziała, dotykając znowu spinki. - Ale nie mam już czasu. Muszę iść.

Przytaknąłem.

- Dziękuję, że przyjechałeś. Strasznie się cieszę. Jeżeli jednak pobyt tutaj cię zmęczy, chcę, żebyś mi wprost powiedział. To jest specyficzne miejsce, żyje się tu w specyficzny sposób. Niektórzy nie mogą się do tego przyzwycząić. Dlatego jeżeli cię to zmęczy, powiedz szczerze.

Nie będę z tego powodu rozczarowana. Wszyscy jesteście tu szczerzy. Mówimy sobie szczerze różne rzeczy.

- Powiem ci szczerze.

Naoko usiadła obok i oparła się o mnie. Otoczyłem ją ramieniem, a ona położyła na nim głowę, czubkiem nosa dotknęła mojej szyi. Zamarła bez ruchu w tej pozycji, jakby mierzyła mi temperaturę. Kiedy delikatnie ją obejmowałem, poczułem, że robi mi się ciepło na sercu. Wkrótce wstała bez słowa i wyszła tak samo cicho, jak się pojawiła.

Po jej odejściu usnąłem. Nie miałem zamiaru spać, lecz czując obecność Naoko, zasnąłem głęboko po raz pierwszy od dawna. W kuchni były naczynia, których używa, w łazience jej szczotka do zębów, w sypialni łóżko, w którym śpi. W tym mieszkaniu ogarnął mnie głęboki sen, jakbym wyciskał kropla po kropli zmęczenie z każdej komórki. Przyśnił mi się tańczący w półmroku motyl.

Kiedy się obudziłem, zegarek wskazywał czwartą trzydzieści pięć. Zmieniło się światło, wiatr się uspokoił, chmury przybrały inny kształt. Spociłem się, więc wyjąłem ręcznik z plecaka, wytarłem twarz, zmieniłem koszulę. Potem poszedłem do kuchni i napiłem się wody, wyjrzałem przez okno nad zlewem. Widać było okno domu naprzeciwko. Po wewnętrznej stronie wisiały papierowe wycinanki na nitkach. Starannie wycięte i połączone sylwetki ptaszka, chmury, krowy, kota. Dookoła nadal nie było śladu ludzi, nie dobiegały też żadne odgłosy. Zupełnie jakbym znalazł się sam na zadbanym cmentarzu.

Mieszkanki zaczęły wracać na osiedle C trochę po piątej. Przez okno w kuchni widziałem, jak pod domem przechodzą trzy kobiety. Wszystkie były w kapeluszach, więc nie widziałem rysów twarzy ani nie mogłem ocenić wieku, ale sądząc po głosach, nie były najmłodsze. Skręciły za róg i zniknęły, lecz niebawem z tego samego kierunku nadeszły cztery inne, skręciły w tym samym miejscu i zniknęły. Nadchodził zmierzch. Z okna w salonie widać było las i zarys gór. Nad nim jak krawędź ciągnęło się pasmo bladego światła.

Naoko i Reiko wróciły razem o pół do szóstej. Przywitałem się z Naoko, zupełnie jak byśmy się pierwszy raz widzieli. Zdawała się bardzo skrupowana. Reiko zatrzymała wzrok na książce, którą czytałem, i zapytała, co to jest. Powiedziałem, że *Czarodziejska góra* Tomasza Manna.

- Dlaczego musiałeś przywieźć tutaj akurat tę książkę? - zapytała zdeglustowana. Rzeczywiście miała rację.

Reiko zaparzyła dla wszystkich kawę. Powiedziałem Naoko, że Komandos nagle zniknął, lecz przed samym wyjazdem podarował mi świetlika.

- Szkoda, że zniknął. Bardzo chciałam więcej o nim usłyszeć - powiedziała Naoko z żalem w głosie. Reiko chciała się dowiedzieć, o co chodzi, więc znowu musiałem opowiadać o Komandosie. Oczywiście ona też się uśmieła. Dopóki krążą opowieści o Komandosie, świat będzie pełen spokoju i śmiechu.

Kiedy nadeszła szósta, poszliśmy na kolację do jadalni w głównym budynku. Ja z Naoko zjedliśmy smażoną rybę z sałatą, duszone jarzyny, ryż i zupę sojową. Reiko wzięła jedynie sałatkę z makaronem na zimno i kawę. Potem znowu zapaliła papierosa.

- Z wiekiem organizm się zmienia i nie trzeba tak dużo jeść - powiedziała jakby na usprawiedliwienie.

W jadalni siedzieli przy kolacji mniej więcej dwadzieścia osób. Kilka przyszło po nas, kilka wyszło. Gdyby pominąć różnice wieku między pacjentami, scena przypominała jadalnię w moim akademiku. W oczy rzucało się jedynie to, że wszyscy mówili mniej więcej tak samo. Nikt nie podnosił ani nie zniżał głosu. Nikt się głośno nie śmiał ani nie dziwił, nikt nie podnosił rąk i nikogo nie nawoływał. Wszyscy rozmawiali spokojnie, nikt ciszej, nikt głośniej. Jedli podzieleni na kilka grup, w większości trzyosobowych, w największej było pięć osób. Kiedy jedna osoba coś mówiła, pozostali słuchali, przytakując, następnie kolejna wypowiadała się na ten sam temat. Nie wiedziałem, o czym rozmawiają, ale przypomniało mi to dziwny mecz tenisowy, który widziałem w ciągu dnia. Zastanawiałem się, czy Naoko też tak mówi, kiedy jest wśród nich. Ku swojemu zdziwieniu, poczułem smutek przemieszany z zazdrością.

Przy stoliku za mną łysiejący mężczyzna w białym fartuchu, wyglądający jak typowy lekarz, szczegółowo wyjaśniał nerwowemu młodzieńcowi w okularach i kobiecie w średnim wieku o twarzy wiewiórki, jak stan nieważkości wpływa na wydzielanie soków trawiennych. Oboje słuchali, powtarzając "Ojej!" i "Naprawdę?". Przysłuchując się, zacząłem mieć wątpliwości, czy człowiek w białym fartuchu rzeczywiście jest lekarzem.

W jadalni nikt specjalnie nie zwrócił na mnie uwagi. Nikt mi się nie przyglądał, wyglądało na to, że nie zauważono mojej obecności, jakby moja obecność na kolacji była zupełnie naturalną rzeczą.

Tylko raz mężczyzna w białym kitlu nagle się odwrócił i zapytał:

- Do kiedy pan zostaje?

- Wyjeżdżam w środę, zostanę tu dwie noce - odpowiedziałem.

- O tej porze roku jest tutaj pięknie. Ale proszę przyjechać jeszcze w zimie. Też jest pięknie, kiedy wszystko jest białe.

- Być może Naoko wyjedzie stąd, zanim spadnie śnieg - zauważyła Reiko.

- No tak, ale zima jest piękna - powtórzył poważnie. Coraz bardziej wątpiłem, czy jest lekarzem.

- O czym wszyscy rozmawiają? - zapytałem Reiko, która jednak nie bardzo zrozumiała sens mojego pytania.

- O czym? Zwyczajnie, rozmawiają. O tym, co się wydarzyło tego dnia, o przeczytanych książkach, prognozie pogody i podobnych sprawach. Nie spodziewałeś się chyba, że nagle ktoś wstanie i krzyknie: "Dziś niedźwiedź polarny pożarł gwiazdę, więc jutro będzie deszcz!".

- Nie, oczywiście, nie o to mi chodzi - powiedziałem. - Wszyscy tak spokojnie mówią, że zastanawiałem się, o czym mogą rozmawiać.

- Tu jest spokojnie i dlatego wszyscy w naturalny sposób zaczynają mówić ciszej. - Naoko zręcznie oddzieliła ości od ryby, odsunęła je na skraj talerza i chusteczką otarła usta. - A poza tym nie ma potrzeby podnoszenia głosu. Nie trzeba nikogo przekonywać ani przyciągać niczyjej uwagi.

- Pewnie masz rację - powiedziałem, ale kiedy sobie spokojnie jadłem, o dziwo, zaczęło mi brakować gwaru. Zateśniłem do ludzkiego śmiechu, spontanicznych nawoływań, przesadnych wyrażań. Przedtem miałem dość takiego gwaru, lecz teraz, jedząc rybę w tej dziwnej ciszy, czułem się trochę niespokojny. Atmosfera jadalni przypominała mi specjalistyczne targi narzędzi mechanicznych. Ludzie bardzo zainteresowani ograniczoną dziedziną wiedzy zebrali się w ograniczonej przestrzeni i dzielą się informacjami zrozumiałymi tylko dla nich.

Kiedy po kolacji wróciliśmy do pokoju, Naoko i Reiko powiedziały, że idą do wspólnej łaźni osiedla C. Jeżeli wystarczy mi prysznic, mogę skorzystać z ich domowego. Odparłem, że tak zrobię. Po ich wyjściu rozebrałem się i wszedłem pod prysznic, umyłem włosy. Susząc je suszarką, wybrałem z półki płytę Billa Evansa i nastawiłem. Po chwili zdałem sobie sprawę, że to ta sama płyta, którą puszczałem kilka razy u Naoko w dzień jej urodzin. W ten dzień, kiedy płakała i wziąłem ją w ramiona - zaledwie pół roku temu, a mnie wydaje się to zamierzchłą przeszłością. Pewnie dlatego, że myślałem o tym wiele, wiele razy i w rezultacie czas jakby

sztucznie się rozciągnął.

Księżyc był bardzo jasny, więc zgasilem światło w pokoju i wyciągnąwszy się na kanapie, słuchałem pianina Billa Evansa. Mleczny blask wlewał się przez okno, wydłużał cienie różnych przedmiotów, pokrywał ścianę cieniutką warstwą rozrzedzonego wodą tuszu. Wyjąłem z plecaka metalową piersiówkę z brandy, pociągnąłem łyk, powoli przełknąłem. Czułem, jak ciepło rozchodzi się niespiesznie z gardła w dół przełyku do żołądka, a stamtąd przenika całe ciało. Po kolejnym łyku zakręciłem piersiówkę i włożyłem z powrotem do plecaka. Wydawało mi się, że światło księżyca drży w rytm muzyki.

Po mniej więcej dwudziestu minutach wrócili z łaźni.

- Przestraszyłam się, bo w oknie było zupełnie ciemno - zawołała Reiko. - Myślałam, że się spakowałeś i wróciłeś do Tokio.

- Żartujesz. Dawno nie widziałem tak jasnego księżyca, więc chciałem popatrzeć bez światła.

- Tak jest ślicznie - powiedziała Naoko. - Reiko, czy są jeszcze te świece, których używałyśmy, jak ostatnio nie było prądu?

- Chyba w szufladzie w kuchni.

Naoko poszła do kuchni, zajrzała do szuflady i wróciła z dużą białą świecą. Zapaliłem ją, nakapałem stearyny do popielniczki i umocowałem. Reiko przypaliła od niej papierosa. Wokół nadal panowała cisza i kiedy we trójkę siedzieliśmy tak wokół świecy, zdawało się, że jesteśmy sami gdzieś na krańcu świata. Na białej ścianie kładły się i przeplatały cienie rzucane przez spokojne światło księżyca i drżący płomień świeczki. Naoko i ja usiedliśmy koło siebie na kanapie, Reiko wybrała bujany fotel.

- Napijesz się wina? - zapytała.

- Tu wolno pić? - zdziwiłem się trochę.

- Tak naprawdę nie wolno - odparła jakby zakłopotana, drapiąc się w płatek ucha. - Ale zazwyczaj przymykają oczy, jeżeli to tylko wino albo piwo i nie pije się za dużo. Niekiedy proszę znajomego z obsługi, żeby mi coś kupił.

- Od czasu do czasu robimy sobie we dwie popijawę - powiedziała żartobliwie Naoko.

- Dobrze macie.

Reiko wyjęła z lodówki butelkę białego wina, odkorkowała i przyniosła trzy kieliszki.

Było to bardzo smaczne, lekkie wino, zupełnie jak domowe. Kiedy skończyła się płyta,

Reiko wyciągnęła spod łóżka futerał z gitarą, wyjęła instrument, nastroiła pieszczotliwie i powoli zaczęła grać fugę Bacha. Od czasu do czasu robiła drobne błędy, ale był to prawdziwy Bach grany z sercem. Ciepła, intymna muzyka przepełniona radością.

- Zaczęłam grać na gitarze po przyjeździe tutaj, bo nie mamy pianina. Jestem samoukiem, moje palce nie nadają się do gitary, dlatego nigdy nie nauczę się dobrze grać. Choć bardzo lubię. Gitara jest mała, prosta, łatwa... kojarzy mi się z niewielkim przytulnym pokoikiem.

Zagrała jeszcze jeden krótki utwór Bacha, jakąś suitę. Patrzyłem na płomień świecy i popijając wino, słuchałem muzyki i sam nie wiedząc kiedy, poczułem, że się odprężam. Po Bachu Naoko poprosiła, żeby zagrała Beatlesów.

- Koncert życzeń - zawołała Reiko, puszczając do mnie oko. - Odkąd się tu zjawiała Naoko, co dzień każe mi grać Beatlesów. Jestem pożałowania godnym niewolnikiem muzyki.

Mówiąc to, bardzo ładnie grała *Michelle*.

- Dobra piosenka. Bardzo ją lubię - powiedziała, upiła łyk wina i zapaliła papierosa. - Jakby na wielkiej łące wolno padał deszcz.

Potem była *Julia* i *Nowhere Man*. Czasami przymykała oczy i potrząsała głową. Znowu wypiła trochę wina i zaciągnęła się papierosem.

- Zagraj *Norwegiem Wood* - poprosiła Naoko.

Reiko przyniosła z kuchni skarbonkę w kształcie kota, a Naoko wyjęła z portmonetki sto jenów i wrzuciła.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Mamy umowę, że kiedy proszę o *Norwegiem Wood*, wrzucam sto jenów - powiedziała Naoko. - Płacę, bo ten utwór lubię najbardziej. Bo proszę z całego serca.

- A ja mam dzięki temu pieniądze na papierosy - dodała Reiko.

Rozluźniła palce i zagrała *Norwegiem Wood*. Wkładała serce w to, co grała, ale nie była sentymentalna. Wyjąłem z kieszeni sto jenów i wrzuciłem do skarbonki.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Reiko.

- Kiedy słucham tej piosenki, czasem robi mi się strasznie smutno. Nie wiadomo, czemu czuję się, jakbym błądziła sama w wielkim lesie - powiedziała Naoko. - Sama, samiuteńka, jest zimno, ciemno, nikt nie przychodzi na pomoc. Jeżeli specjalnie nie poproszę, nie gra tej piosenki.

- Zupełnie jak w *Casablance* - zaśmiała się Reiko.

Potem zagrała kilka utworów w rytmie bossa novy. Przyglądałem się Naoko. Tak jak



napisała w liście, wyglądała znacznie zdrowiej niż dawniej, opalona, wzmocniona sportem i pracą w polu. Nie zmieniły się głębokie jak jezioro czyste oczy i drżące z zawstydzenia drobne wargi, ale jej uroda stała się urodą dojrzałej kobiety. Zniknęła już niemal przesywająca chłodem ostrość rysów, która kryła się w cieniu piękności, pojawił się zaś szczególny łagodnie kojący spokój. Byłem poruszony jej urodą. I bardzo zaskoczony, że kobieta może tak się zmienić przez zaledwie pół roku. Nowa uroda Naoko pociągała mnie tak samo, a może nawet bardziej niż przedtem, lecz kiedy myślałem o tym, co straciła, ogarniał mnie żal. Nie wróci już ta samolubna, chodząca własnymi drogami uroda charakterystyczna dla dorastających dziewczyn.

Naoko chciała dowiedzieć się czegoś o moim życiu, więc opowiedziałem o strajku na uniwersytecie, potem o Nagasawie. Po raz pierwszy jej o nim wspominałem. Miałem trudności z dokładnym opisaniem jego dziwnego humanizmu, specyficznego sposobu myślenia i skrzywionej moralności, ale wydaje mi się, że Naoko wychwyciła to, co chciałem jej przekazać. Ukryłem, że chodziliśmy razem na dziewczyny. Ograniczyłem się do wyjaśnienia, że jedynym człowiekiem, z jakim mam bliższe kontakty w akademiku, jest ktoś tak nietypowy. W trakcie tej opowieści Reiko ćwiczyła jeszcze raz fugę Bacha, tak jak przedtem od czasu do czasu robiąc przerwy na wino i papierosa.

- Wydaje się przedziwny - powiedziała Naoko.

- Jest przedziwny - przyznałem.

- Ale lubisz go?

- Sam nie wiem. Chyba nie da się powiedzieć, że go lubię. Trudno go traktować w kategoriach lubienia czy nielubienia. Nie zależy mi, żeby go lubiano. W tym sensie jest bardzo uczciwy, nie próbuje nikogo oszukać, cechuje go wyjątkowy stoicyzm.

- To dziwne, że śpiąc z tyloma dziewczynami, jest stoikiem - powiedziała Naoko, śmiejąc się. - Mówiłeś, że z iloma spał?

- Pewnie doszło już do osiemdziesięciu. Choć w jego wypadku im wyższe są liczby, tym mniej znaczy sam akt. Myślę, że właśnie na tym mu zależy.

- I to ma być stoicyzm?

- Dla niego tak.

Przez chwilę Naoko zastanawiała się nad moimi słowami.

- Ten człowiek jest bardziej chory na głowę niż ja - powiedziała.

- Też tak myślę - przyznałem. - Ale on potrafi teoretycznie usystematyzować wszystkie

swoje odchylenia. Jest strasznie inteligentny. Gdyby przywieźć go tutaj, wyszedłby po dwóch dniach. Tak, to wiem, to też wiem, uhm, już wszystko rozumiem. To taki typ człowieka. Takich świat szanuje.

- Ja muszę być głupia. Jeszcze nie bardzo rozumiem to miejsce. Siebie też nie bardzo rozumiem.

- Nie jesteś głupia, tylko zwyczajna. Ja też nie rozumiem wielu rzeczy, które mnie dotyczą. To cecha ludzi zwyczajnych.

Naoko podciągnęła nogi na kanapę i oparła brodę na kolanach.

- Chciałabym wiedzieć więcej o tobie - powiedziała.

- Jestem zwyczajny. Urodziłem się w zwyczajnej rodzinie, zwyczajnie dorosłem, mam zwyczajną twarz, zwyczajne stopnie, myślę o zwyczajnych rzeczach.

- Czy to nie twój ulubiony Scott Fitzgerald pisał, że nie powinno się ufać nikomu, kto mówi, że jest zwyczajnym człowiekiem? To od ciebie pożyczyłam tę książkę - zauważyła żartobliwie, śmiejąc się.

- Rzeczywiście - przyznałem. - Ale ja nie upieram się przy tym świadomie, po prostu naprawdę uważam, że jestem zwyczajnym człowiekiem. Widzisz we mnie coś niezwykłego?

- Oczywiście - powiedziała z nutą zniecierpliwienia.

- Nawet tego nie rozumiesz? Gdyby tak nie było, dlaczego poszłabym z tobą do łóżka? Bo byłam tak pijana, że przespałabym się z każdym? Tak myślisz?

- Nie, oczywiście, że tak nie myślę - odrzekłem. Naoko milczała, wpatrując się w swoje stopy. Ja też nie wiedziałem, co powiedzieć, więc napiłem się wina.

- Z iloma kobietami spałeś? - zapytała cicho, jakby ta myśl nagle przysła jej do głowy.

- Z ośmioma czy dziewięcioma - odpowiedziałem szczerze.

Reiko przerwała ćwiczenia i gwałtownie odłożyła gitarę na kolana.

- Nie masz jeszcze dwudziestu lat! Jakie ty życie prowadzisz?

Naoko patrzyła na mnie w milczeniu tymi swoimi przejrzystymi oczami. Opowiedziałem Reiko o pierwszej dziewczynie, z którą spałem, i jak zerwaliśmy. Wytłumaczyłem, że za nic nie mogłem jej pokochać. Potem opowiedziałem, jak za namową Nagasawy spałem kolejno z nieznanymi dziewczynami.

- Nie próbuję się usprawiedliwiać, ale mnie wtedy było ciężko - powiedziałem Naoko. - Choć spotykaliśmy się prawie co tydzień, rozmawialiśmy, w twoim sercu był tylko Kizuki.

Wiedziałem o tym i było mi bardzo ciężko. Myślę, że dlatego sypiałem z obcymi dziewczynami.

Naoko kilka razy pokręciła głową, potem podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

- Wtedy zapytałeś, dlaczego nie spałam z Kizukim. Nadal chcesz wiedzieć?

- Chyba lepiej, żebym wiedział.

- Ja też tak myślę. Umarli pozostaną umarłymi, ale my musimy żyć dalej.

Przytaknąłem. Reiko ćwiczyła wciąż trudny pasaż.

- Byłam gotowa się z nim przespać - powiedziała Naoko, zdejmując spinkę i rozpuszczając włosy. Zaczęła się bawić spinką w kształcie motyla. - Oczywiście on też tego chciał. Dlatego próbowaliśmy, wiele razy. Nic z tego nie wyszło. Nie mogłam. Nie pojmowałam, dlaczego nie mogę, ciągle jeszcze nie rozumiem. Przecież go kochałam, nie przejmowałam się stratą dziewictwa. Z radością zrobiłabym wszystko, czego chciał. Ale nie mogłam.

Znów zebrała włosy i spięła je.

- W ogóle nie byłam wilgotna - ciągnęła cicho. - Nie mogłam się wcale otworzyć. Dlatego bardzo bolało. Byłam sucha i bolało. Próbowaliśmy na różne sposoby, ale wszystko na nic. Próbowaliśmy czymś zwilżać, i tak bolało. Dlatego robiłam to Kizukiemu ręką albo ustami. Rozumiesz, o co mi chodzi?

W milczeniu kiwnąłem głową. Naoko patrzyła na księżyc za oknem. Wydawał się jeszcze jaśniejszy i większy niż przedtem.

- Nie chciałam o tym mówić. Gdybym mogła, zachowałabym to dla siebie. Nie ma rady. Muszę powiedzieć. Nie umiem tego wytłumaczyć. Przecież kiedy z tobą spałam, byłam strasznie wilgotna, prawda?

- Uhm.

- W wieczór moich dwudziestych urodzin, od chwili kiedy przyszedłeś, przez cały czas byłam wilgotna. Cały czas chciałam, żebyś mnie wziął w ramiona. Chciałam, żebyś mnie objął, rozebrał, dotykał mojego ciała, wszedł we mnie. Po raz pierwszy myślałam w ten sposób. Dlaczego? Dlaczego takie rzeczy się zdarzają? Przecież naprawdę kochałam Kizukiego.

- A mnie nie kochałaś, o to ci chodzi?

- Przepraszam - powiedziała Naoko. - Nie chcę cię zranić, ale zrozum mnie. Mój związek z Kizukim był naprawdę wyjątkowy. Bawiliśmy się razem od trzeciego roku życia. Zawsze byliśmy razem, rozmawialiśmy o wszystkim, rozumieliśmy się nawzajem i tak dorastaliśmy. Pierwszy raz pocałowaliśmy się w szóstej klasie szkoły podstawowej, było cudownie. Kiedy

miałam pierwszy okres, poszłam do niego i płakałam jak dziecko. Byliśmy tak ze sobą związani. Dlatego kiedy umarł, w ogóle nie wiedziałam, jak odnosić się do innych. Nie wiedziałam, co to właściwie znaczy kogoś kochać.

Sięgnęła po wino ze stołu, ale kieliszek wypadł jej z ręki i potoczył się po podłodze. Wino wylało się na wykładzinę. Schyliłem się, podniosłem kieliszek i postawiłem na stole. Spytałem Naoko, czy chce jeszcze trochę wina. Przez chwilę milczała, a potem niespodziewanie się rozplakała. Cała drżąca zgięła się wpół, ukryła twarz w dłoniach i tak jak kiedyś zanosila się gwałtownym płaczem, nie mogąc złapać oddechu. Reiko odłożyła gitarę, podeszła do Naoko i delikatnie pogłaskała ją po plecach. Potem położyła rękę na jej ramieniu, a Naoko przytuliła głowę do piersi Reiko jak małe dziecko.

- Wiesz co, Watanabe? - powiedziała Reiko. - Przepraszam cię, ale nie poszedłbyś na spacer po okolicy, na jakieś dwadzieścia minut? Myślę, że to by pomogło.

Skinąłem głową, wstałem i włożyłem sweter. - Przepraszam - zwróciłem się do Reiko.

- W porządku. To nie twoja wina. Nie przejmuj się. Uspokoi się do twojego powrotu - odparła i puściła do mnie oko.

Drogą oświetloną dziwnie nierzeczywistym światłem księżycy doszedłem do lasu i pochodziłem po nim bez celu. W księżycowym blasku wszystkie odgłosy tajemniczo się zmieniały. Moje kroki brzmiały tak, jakbym chodził po dnie morza, rozlegały się głucho z jakiejś innej strony. Co pewien czas słyszałem za sobą ciche szelesty. W lesie panowało napięcie, jakby nocne zwierzęta wstrzymywały oddech, czekając, aż przejdę.

Wyszedłem z lasu, wspiąłem się na niewielkie wzniesienie, usiadłem na łagodnym zboczu i patrzyłem w stronę domu, w którym mieszkała Naoko. Łatwo znalazłem jej okno. Wystarczyło poszukać ciemnego pokoju, w głębi którego chwiało się niewyraźne małe światełko. Wpatrywałem się w nie bez ruchu. Kojarzyło mi się z ostatnim tchnieniem dopalającej się duszy. Chciałem ukryć je w dłoniach i chronić. Długo patrzyłem na ten wąty, pełgający blask jak Jay Gatsby zwykł wpatrywać się co wieczór w małe światełko na przeciwległym brzegu.

Wróciłem po trzydziestu minutach. Kiedy dochodziłem do drzwi budynku, usłyszałem, że Reiko ćwiczy na gitarze. Wszedłem cicho po schodach, zapukałem. W pokoju nie było Naoko, Reiko grała, siedząc na podłodze. Wskazała drzwi sypialni - tam musiała być Naoko. Reiko odłożyła gitarę i usiadła na kanapie, zapraszając, żebym usiadł obok niej. Rozlała resztę wina do

kieliszków.

- Z nią w porządku - powiedziała, klepiąc mnie po kolanie. - Nie ma się co martwić, musi tylko chwilę sama poleżeć, uspokoić się. Trochę się zdenerwowała. Może w tym czasie pójdziemy we dwoje na spacer?

- Dobrze - zgodziłem się.

Szliśmy powoli oświetloną latarniami drogą, aż dotarliśmy do kortów i boiska do koszykówki, tam usiedliśmy na ławce. Reiko wyjęła spod ławki dużą pomarańczową piłkę i przez chwilę obracała ją w rękach. Zapytała, czy umiem grać w tenisa. Odpowiedziałem, że gram, ale fatalnie.

- A w koszykówkę?

- Nie jest to mój mocny punkt.

- To co jest twoim mocnym punktem? - zapytała z uśmiechem. Zmarszczki wokół jej oczu zgęstniały. - Oprócz spania z dziewczynami.

- W tym nie jestem specjalnie dobry - powiedziałem trochę dotknięty.

- Nie złość się. Tylko żartowałam. A poważnie mówiąc, w czym jesteś dobry?

- Nie ma czegoś takiego. Są rzeczy, które lubię.

- Co lubisz?

- Piesze wędrówki. Pływanie. Czytanie książek.

- Czyli lubisz rzeczy, które robi się w pojedynkę.

- Chyba tak - przyznałem. - Nigdy nie interesowały mnie gry zespołowe. Jakoś mnie nie wciągają. Jest mi wszystko jedno, kto wygra.

- Więc zapraszamy cię zimą. Jeździmy tu na biegówkach. Na pewno ci się spodoba. Przez cały dzień wędrujesz po śniegu, aż jesteś cały mokry od potu - powiedziała Reiko. Potem, zupełnie jakby oglądała jakiś zabytkowy instrument, przyjrzała się w świetle latarni swojej prawej dłoni.

- Czy Naoko często się to zdarza? - spytałem.

- Od czasu do czasu - odparła, patrząc na swoją lewą rękę. - Od czasu do czasu wpada w taki stan. Jest wzburzona, płacze. Ale to nie szkodzi. Wyrzuca z siebie emocje. Problem powstaje, kiedy nie można ich z siebie wyrzucić. Wzbierają wtedy i kostnieją. Różne uczucia kostnieją i umierają. A wtedy dochodzi do strasznej sytuacji.

- Czy powiedziałem coś, czego nie powinienem?

- Nie, nic. Wszystko w porządku, nie martw się. Mów wszystko szczerze. Tak jest najlepiej. Nawet jeżeli ludzie się nawzajem poranią, albo, jak tym razem, ktoś się zdenerwuje, na dłuższą metę tak jest najlepiej. Bądź szczery, jeżeli naprawdę zależy ci na powrocie Naoko do zdrowia. Tak jak powiedziałam na początku, powinieneś myśleć nie o tym, jak jej pomóc, a o tym, że dzięki temu jej wyzdrowieniu, sam wyzdrowiejesz. Taka jest tutejsza metoda. Dlatego też powinieneś się starać mówić szczerze różne rzeczy, przynajmniej tutaj. Przecież na zewnątrz ludzie tak szczerze nie rozmawiają, prawda?

- Prawda - przyznałem.

- Jestem tutaj już siedem lat i wiele widziałam. Ludzie przychodzą i odchodzą. Pewnie widziałam za dużo. Wystarczy, że spojrzę na człowieka i nieomal intuicyjnie wyczuwam, czy mu się poprawi czy też nie. Jednak w przypadku Naoko nie jestem pewna. Nie mam pojęcia, co z nią będzie. Może w przyszłym miesiącu wyleczy się całkowicie, a może ten stan będzie trwał lata? Dlatego jedyne, co mogę ci poradzić, to bądź uczciwy albo pomagajcie sobie nawzajem - same ogólniki.

- Dlaczego akurat w przypadku Naoko nie możesz tego ocenić?

- Zapewne dlatego, że ją lubię. Być może z tego powodu nie potrafię spojrzeć obiektywnie, uczucia biorą górę. Bardzo lubię tę dziewczynę, naprawdę. Ale poza tym w jej przypadku różne problemy splątały się w supeł. Rozplątywanie go to ciężka praca i może zająć dużo czasu, ale może też być tak, że z jakiegoś powodu nagle wszystko się rozsypła. Tak to wygląda. Dlatego nie mogę nic definitywnego powiedzieć.

Znowu wzięła do rąk piłkę, pobawiła się nią, odbiła o ziemię i ciągnęła: - Najważniejsze, żeby się nie spieszyć. To jeszcze jedno ostrzeżenie: nie spiesz się. Nawet jeżeli sytuacja jest tak skomplikowana, że nic nie da się zrobić, nie wolno tracić nadziei, niecierpliwić się, robić czegoś na siłę. Wiedząc, że to musi potrwać, trzeba rozwiązać problemy powoli, jeden po drugim. Dasz radę?

- Spróbuję.

- Może to zająć dużo czasu, a i tak całkowitej poprawy nie będzie. Myślałeś o tym?

Przytaknąłem.

- Czekanie jest trudne - mówiła Reiko, odbijając piłkę. - Zwłaszcza dla kogoś w twoim wieku trudne jest takie spokojne czekanie, aż komuś się poprawi. A w dodatku nie ma terminu ani gwarancji. Poradzisz sobie z tym? Aż tak bardzo kochasz Naoko?

- Nie wiem - odpowiedziałem szczerze. - Ja też naprawdę nie wiem, jak to jest kogoś kochać. W innym sensie niż Naoko. Ale chciałbym zrobić, co tylko mogę. Inaczej nie będę sobie mógł znaleźć miejsca. Tak jak mówiłaś, Naoko i ja musimy się nawzajem ratować i myślę, że nie mamy innego wyjścia.

- Będziesz nadal sypiał z przygodnymi dziewczynami?

- Nie wiem, co z tym zrobić - powiedziałem. - Co właściwie należy robić? Mam się cały czas onanizować i tylko czekać? Nie potrafię nad tym zapanować.

Reiko położyła piłkę na ziemi, lekko klepnęła mnie po kolanie.

- Posłuchaj, nie mówię, że spanie z dziewczynami to coś złego. Jeżeli tobie odpowiada, to w porządku. Przecież to jest twoje życie, musisz sam zdecydować. Mówię tylko, że nie powinieneś się zużywać w nienaturalny sposób. Rozumiesz? Bo naprawdę nie warto. Dziewiętnaście czy dwadzieścia lat to bardzo ważny okres w dojrzewaniu, kształtowaniu charakteru, więc jeżeli w tym okresie pozwolisz sobie na głupie skrzywienie, po latach zaowocuje to cierpieniem. Naprawdę. Przemyśl to dobrze. Jeżeli chcesz dbać o Naoko, musisz też dbać o siebie.

Obiecałem, że to przemyślę.

- Ja też miałam kiedyś dwadzieścia lat. To było bardzo dawno temu - powiedziała Reiko. - Wierzysz mi?

- Oczywiście, że wierzę.

- Naprawdę wierzysz głęboko?

- Wierzę głęboko - zaśmiałem się.

- Byłam wtedy dosyć ładna. Co prawda nie tak jak Naoko, ale nie miałam tylu zmarszczek.

Powiedziałem, że bardzo mi się podobają jej zmarszczki, a ona podziękowała.

- Tylko na przyszłość pamiętaj, nie wolno mówić kobiecie, że ma czarujące zmarszczki. Chociaż mnie jest miło.

- Będę uważał - obiecałem.

Z kieszeni spodni wyciągnęła portmonetkę, a z niej fotografię, którą nosiła w przegródce na bilet miesięczny. Było to kolorowe zdjęcie mniej więcej dziesięcioletniej dziewczynki na nartach. Dziecko miało na sobie efektowny kombinezon i uśmiechało się wesoło na tle śniegu.

- Śliczna, prawda? To moja córka - powiedziała Reiko. - Przysłała mi tę fotografię na początku roku. Jest w czwartej klasie.

- Macie podobny uśmiech - stwierdziłem, oddając jej zdjęcie. Schowała portmonetkę do

kieszeni, lekko pociągnęła nosem, włożyła do ust papierosa i zapaliła.

- W młodości zamierzałam zostać pianistką. Miałam trochę talentu, wszyscy to przyznawali i rozpływali się nade mną. Wygrywałam konkursy, w konserwatorium miałam tylko najlepsze oceny, mój wyjazd na stypendium do Niemiec po skończeniu studiów był właściwie przesądzony. Młodość bez jednej ciemnej chmurki na horyzoncie. Wszystko układało się wspaniale, a jeżeli nawet coś się nie układało, był zawsze ktoś, kto się tym umiejętnie zajął. Jednakże wydarzyło się coś dziwnego i pewnego dnia wszystko się zawaliło. Byłam na czwartym roku studiów. Przygotowywałam się do dosyć ważnego konkursu, ćwiczyłam cały czas, lecz nagle zauważyłam, że nie mogę ruszyć małym palcem lewej ręki. Nie było wiadomo dlaczego, po prostu się nie ruszał. Robiłam masaże, moczyłam w gorącej wodzie, zrobiłam przerwę w ćwiczeniach na dwa, trzy dni, nic nie pomagało. Przestraszyłam się i poszłam do lekarza. Zrobił różne badania, ale nic nie wykazały. Powiedział, że w palcu nie ma żadnych zmian, nerwy są w porządku i powinien się ruszać, więc być może jest to problem natury psychicznej. Poszłam do psychiatry, lecz tam też nie dowiedziałam się niczego konkretnego. Orzekł tylko, że prawdopodobnie to stres przed konkursem. Zalecił, żebym na jakiś czas rozstała się z pianinem.

Reiko zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. Potem kilka razy pokręciła głową.

- Zdecydowałam się pojechać do babci na półwysep Izu i tam przez pewien czas odpocząć. Zrezygnowałam z udziału w konkursie, postanowiłam przez jakieś dwa tygodnie leniuchować, nie dotykać pianina, tylko zajmować się rzeczami przyjemnymi. Ale nie mogłam. Cokolwiek robiłam, w głowie miałam pianino. Nie mogłam myśleć o niczym innym. A jeżeli ten mały palec już nigdy nie będzie się ruszał? Jak ja będę wtedy żyła? Tylko takie myśli krążyły mi po głowie, w kółko te same. Nie ma się co dziwić - do tego czasu pianino wypełniało mi całe życie. Zaczęłam grać, kiedy miałam cztery lata, żyłam, myśląc tylko o tym. O innych sprawach prawie wcale nie myślałam. Nie pozwalano mi zajmować się żadnymi pracami domowymi, żebym oszczędzała palce, wszyscy się mną przejmowali tylko z powodu zdolności pianistycznych. Kiedy zabrać pianino dziewczynce wychowanej w ten sposób, co jej zostanie? I trach! Pękła mi w głowie jakaś śruba. Wszystko się poplątało i nastąpiła ciemność.

Rzuciła peta na ziemię i przydeptała, znowu pokręciła kilka razy głową. - To był koniec marzeń o karierze pianistycznej. Dwa miesiące w szpitalu. Po jakimś czasie mały palec zaczął się ruszać, udało mi się ukończyć studia. Ale coś już przepadło. Coś, jakieś źródło wewnętrznej energii wyschło. Lekarze mówili też, że mam za słabe nerwy, żeby zawodowo zajmować się



pianistyką, więc lepiej, żebym zrezygnowała, toteż po skończeniu studiów zaczęłam dawać lekcje w domu. Było mi jednak bardzo ciężko. Zupełnie jakby wszystko nagle się urwało. Miałam zaledwie dwadzieścia parę lat, kiedy najlepsza część mojego życia się skończyła. Nie uważasz, że to straszne? Miałam w zasięgu ręki tyle możliwości, a kiedy się ocknęłam, nagle nie było niczego. Nikt nie klaskał, nikt się nade mną nie rozplęwał, nikt nie chwalił. Siedziałam w domu i dzień za dniem zadawałam dzieciom z sąsiedztwa ćwiczenia Beyera i sonatiny. Czułam się nieszczęśliwa, ciągle płakałam. To była udreka. Kiedy słyszałam, że ktoś wyraźnie mniej utalentowany ode mnie zdobył drugie miejsce w jakimś konkursie albo miał recital w jakiejś sali koncertowej, płakałam z żalu jak bóbr.

Rodzice obchodzili się ze mną jak z jajkiem, ale ja wiedziałam, że są rozczarowani. Córka będąca do niedawna powodem do dumy wróciła właśnie ze szpitala psychiatrycznego. Nie mogli mnie nawet wydać za mąż. Kiedy mieszka się razem, wyczuwa się nastroje innych. To było okropne, nie do zniesienia. Bałam się wychodzić z domu, bo sąsiedzi plotkowali. I znowu - trach! Sprężyna pęknięta, nici poplątane, w głowie ciemność. Miałam dwadzieścia cztery lata. Spędziłam wówczas siedem miesięcy w sanatorium. Nie tutaj, tylko za solidnym, wysokim murem z zamykaną bramą. Brudno, pianina nie było... ja, ja naprawdę nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wiedziałam tylko, że chcę stamtąd jak najszybciej wyjść. Za wszelką cenę musiałam wyzdrowieć. Siedem miesięcy - to długo. I tak po trochu przybywało mi zmarszczek.

Reiko uśmiechnęła się szeroko.

- Wkrótce po wyjściu ze szpitala poznałam przyszłego męża, pobraliśmy się. Był młodszy ode mnie o rok, pracował jako inżynier w firmie produkującej samoloty, uczyłam go grać na pianinie. Dobry człowiek. Małomówny, za to szczery, ciepły. Po mniej więcej pół roku lekcji nagle mi się oświadczył. Nieoczekiwanie, pewnego dnia, kiedy po lekcji piliśmy herbatę. Nie do wiary, prawda? Nigdy przedtem nie byliśmy na randce, nawet nie trzymaliśmy się za ręce. Bardzo się zdziwiłam. Powiedziałam mu, że nie mogę za niego wyjść. Że uważam go za dobrego człowieka, lubię go, ale są powody, dla których nie powinnam wychodzić za mąż. Chciał się dowiedzieć dlaczego, więc wszystko mu szczerze wyjawiałam. Że dwa razy byłam w szpitalu, bo pomieszało mi się w głowie. Opowiedziałam szczegółowo, z detalami. Jakie były przyczyny, jakie skutki, że to może się powtórzyć. Odrzekł, że potrzebuje trochę czasu, powiedziałam więc: bardzo proszę, niech wszystko spokojnie przemyśli. I niech się wcale nie spieszy. Kiedy przyszedł w następnym tygodniu, oświadczył, że chce się żenić. Ja na to: "Zaczekaj trzy

miesiące. Przez trzy miesiące będziemy się spotykać. Jeżeli potem nadal będziesz chciał się zenić, wrócimy do tego". Przez trzy miesiące raz w tygodniu chodziliśmy na randki. Bywaliśmy w różnych miejscach, rozmawialiśmy o wielu sprawach. Bardzo go polubiłam. Kiedy byliśmy we dwoje, wydawało mi się, że wreszcie wróciłam do życia. Czułam ulgę, zapomniałam o różnych strasznych rzeczach - że nie mogłam zostać pianistką, że z powodu choroby znalazłam się w szpitalu psychiatrycznym. Przecież życie się na tym nie kończy. Jest w nim tyle wspaniałych rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Już choćby za to, że wprowadził mnie w taki nastrój, byłam mu z całego serca wdzięczna. Minęły trzy miesiące i on, tak jak obiecał, ponownie się oświadczył. "Chcesz ze mną spać, proszę bardzo - powiedziałam. - Z nikim jeszcze nie spałam, bardzo cię lubię, więc jeżeli chcesz się ze mną kochać - nie mam nic przeciwko temu. Ślub to zupełnie coś innego. Żeniąc się ze mną, żenisz się też z moimi problemami. To znacznie gorsze, niż myślisz. Czy nawet to ci nie przeszkadza?".

Odrzekł, że nie przeszkadza. "Nie chcę po prostu się z tobą przespać. Pragnę się z tobą ożenić, chcę dzielić z tobą wszystko, co w sobie nosisz". On tak naprawdę myślał. Mówił tylko to, co naprawdę myślał, a co powiedział - wprowadzał w czyn. Odrzekłam: "Dobrze, weźmy ślub". Cóż innego mogłam powiedzieć? Nasz ślub odbył się chyba cztery miesiące później. Z tego powodu pokłócił się z rodzicami i zerwał z nimi stosunki. To był stary ród z prowincji na wyspie Shikoku, zebrali o mnie dokładne informacje, dowiedzieli się, że dwukrotnie byłam w szpitalu psychiatrycznym. Sprzeciwili się małżeństwu i doszło do kłótni. Nic dziwnego, że się sprzeciwiali. Rozumiem ich. Dlatego nie było uroczystej ceremonii ślubnej. Poszliśmy do urzędu, załatwiliśmy formalności, pojechaliśmy na dwa dni w góry do Hakone. Ale byliśmy bardzo szczęśliwi, pod każdym względem. W końcu byłam dziewicą do dnia ślubu, do dwudziestego piątego roku życia. Trudno uwierzyć, prawda?

Reiko westchnęła, znowu podniosła piłkę.

- Myślałam, że z nim wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Że przy nim nic złego mi się nie stanie. W naszej chorobie najważniejsze jest zaufanie. Wystarczyło mu zaufać, wtedy wszystko było w porządku. Natychmiast zauważał, kiedy choć trochę mi się pogarszało, śruba się obluźowywała. Z wielką uwagą, cierpliwie mnie naprawiał: dokręcał śrubę, rozplątywał supeł - jeżeli ma się kogoś, komu można tak zaufać, choroba nie atakuje ponownie. Dopóki jest to poczucie, nic złego się nie dzieje. Byłam szczęśliwa. Myślałam sobie, że życie jest naprawdę wspaniałe. Czułam się tak, jakby ktoś wyciągnął mnie z lodowatego wzburzonego morza,

zawinął w koc i ułożył w ciepłym łóżku. Dwa lata po ślubie urodziłam dziecko, odtąd miałam pełne ręce roboty. Dzięki temu nieomal zapomniałam o chorobie. Rano wstawałam, zajmowałam się domem, opiekowałam się dzieckiem, kiedy mąż wracał do domu, podawałam obiad... Dzień w dzień to samo. Ale to było szczęście. To był chyba najszczęśliwszy okres w moim życiu. Jak długo trwał? Do czasu, kiedy skończyłam trzydzieści jeden lat. Wtedy znowu trach! Rozsypałam się.

Reiko zapaliła papierosa. Wiatr ucichł i dym wznosił się prosto do góry, znikając w ciemnościach nocy. Nagle zauważyłem, że na niebie jest pełno gwiazd.

- Coś się wydarzyło? - zapytałem.

- Tak - powiedziała Reiko. - Coś bardzo dziwnego. Zupełnie jakby cały czas jakaś pułapka, zasadzka, czekała, aż w nią wpadnę. Na myśl o tym do dziś przechodzi mnie dreszcz. - Potarła skronie ręką bez papierosa. - Przepraszam, że ciągle opowiadam ci tylko o sobie. Przyjechałeś specjalnie, żeby zobaczyć się z Naoko.

- Naprawdę chciałbym posłuchać - zapewniłem ją. - Opowiedz mi, proszę, jeśli możesz.

- Kiedy dziecko poszło do przedszkola, zaczęłam ponownie trochę grać na pianinie - podjęła opowieść Reiko.

- Dla nikogo, tylko dla samej siebie. Na początku krótkie utwory Bacha, Mozarta, Scarlattiego. Po tak długiej przerwie wycucie oczywiście nie wróciło od razu. Palce nie ruszały się tak jak kiedyś. Ale byłam szczęśliwa. Znowu mogę grać, myślałam. Uświadomiłam sobie, jak bardzo kocham muzykę. I jak bardzo mi jej brakowało. To cudowne móc grać dla siebie samej.

Jak mówiłam wcześniej, grałam od czwartego roku życia, ale teraz zdałam sobie sprawę, że nigdy przedtem nie grałam dla siebie samej. Grałam, żeby zdać egzamin, bo nauczyciel mi zadał albo żeby zrobić na kimś wrażenie. Oczywiście, to jest ważne dla doskonalenia własnych umiejętności. Kiedy jednak wejdzie się w pewien wiek, człowiek musi grać dla siebie samego. Na tym polega muzyka. Musiałam wypaść z kursu elitarniej kariery, skończyć trzydzieści parę lat, żeby to zrozumieć. Odprowadzałam dziecko do przedszkola, jak najszybciej wykonywałam prace domowe, a potem przez godzinę czy dwie grałam ulubione utwory. Do tego momentu nie było żadnych kłopotów. Mam rację?

Przytaknąłem.

- Pewnego dnia przyszła kobieta z sąsiedztwa, którą znałam z widzenia i kłaniałyśmy się sobie na ulicy. Powiedziała, że jej córka chciałaby się u mnie uczyć gry na pianinie, i zapytała,

czy zgodziłabym się zostać jej nauczycielką. To była osoba z sąsiedztwa, ale nie najbliższego, więc nie znałam tej dziewczynki, lecz matka twierdziła, że córka, przechodząc koło mojego domu, często słyszała, jak gram, i była poruszona. Zna mnie z widzenia i jest mną oczarowana. Jest w drugiej klasie gimnazjum, uczyła się do tej pory u kilku nauczycieli muzyki, lecz z różnych powodów się to nie ułożyło, więc teraz nikt jej nie prowadzi.

Odmówiłam. Miałam kilkuletnią przerwę. Powiedziałam, że gdyby to była osoba początkująca, to co innego, ale nie mogę się podjąć uczenia kogoś, kto od kilku lat bierze lekcje. A przede wszystkim jestem zajęta dzieckiem. Poza tym nie można dobrze nauczyć kogoś, kto ciągle zmieniał nauczycieli, choć matce tego nie powiedziałam. Jednak ta pani prosiła, żebym chociaż raz zgodziła się spotkać z jej córką. Była dość natarczywa i wydawało mi się, że niełatwo będzie się wykręcić, poza tym trudno odmówić, skoro prosi tylko o spotkanie, więc zgodziłam się, ale wyłącznie na owo spotkanie. Po trzech dniach przyszła córka, sama, bez matki. Była piękna jak anioł. Bił od niej blask. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam równie pięknej dziewczyny. Długie włosy, czarne jak atrament, smukłe, szczupłe ręce i nogi, błyszczące oczy, wargi drobne i delikatne, jakby świeżo wykrojone. Na jej widok na chwilę zaniemówiłam z wrażenia. Taka była piękna. Kiedy siedziała na kanapie w naszym salonie, pokój nagle stawał się wspaniały i wykwintny. Oczy aż bolały od patrzenia na nią. Taka to była niezwykła dziewczyna. Nawet teraz mam ją wyraźnie przed oczami.

Reiko przymrużyła na chwilę powieki, jakby rzeczywiście widziała w duszy twarz dziewczynki.

- Rozmawialiśmy godzinę przy kawie. O różnych rzeczach. O muzyce, o szkole. Wyglądała na mądrą dziewczynę. Wiedziała, jak ciekawie prowadzić rozmowę, poglądy miała sprecyzowane, a także wrodzony dar oczarowywania rozmówcy. Budziło to nieomal strach. Ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, na czym polega niebezpieczeństwo. Uderzyło mnie tylko, że jest niepokojąco inteligentna. Kiedy rozmawialiśmy, stopniowo traciłam zdolność do obiektywnego sądu. Była tak młoda i tak piękna, że poczułam się tym onieśmielona, miałam wrażenie, że do pięt jej nie dorastam, że jestem niezdarna i jeżeli przychodziło mi do głowy coś negatywnego na jej temat, zdawało mi się, że to jedynie nienormalne obrzydliwe myśli.

Reiko kilka razy pokręciła głową. - Gdybym miała taką urodę i mądrość jak ona, byłabym bardziej normalna. Czego więcej chcieć, kiedy jest się tak mądrym i ładnym? Dlaczego będąc tak uwielbianą, dokuczać i niszczyć gorszych i słabszych od siebie? Przecież nie ma powodu, żeby

się tak zachowywać, prawda?

- Czy zrobiła ci coś strasznego?

- Powiem ci wszystko po kolei. Była patologiczną kłamczucha. To zupełnie jak choroba. Zmyślała na każdy temat. Opowiadając różne historie, zaczynała w nie wierzyć. A potem stopniowo zmieniała wszystkie okoliczności, żeby pasowały do kolejnej opowieści. Była przerażająco bystra, więc zawsze zdążała przed tobą, dopasowywała wszystko, zanim zdążyło się pomyśleć: "Zaraz, chwileczkę, coś tu nie tak", dlatego rozmówca się nie orientował, że kłamie. Przede wszystkim nikt nie podejrzewa, że taka ładna dziewczynka może kłamać na temat jakichś głupstw. Mnie to też nie przyszło do głowy. Przez sześć miesięcy powiedziała mi mnóstwo kłamstw i ani razu nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Chociaż kłamała na każdym kroku. Naprawdę trudno w to uwierzyć.

- Jakie to były kłamstwa?

- Wszelkie możliwe - powiedziała Reiko i zaśmiała się sarkastycznie. - Jak przed chwilą mówiłam, kiedy raz się skłamię, trzeba dalej wymyślać, żeby dopasować wszystko do tego, co się wcześniej powiedziało. Na tym polega mitomania. Mitomani w większości przypadków kłamią niegroźnie, ich otoczenie to zauważa. Ale u niej było inaczej. Kłamała bez zmrużenia oka, krzywdząc innych - nie przebierała w środkach, aby siebie chronić. Zależnie od przeciwnika kłamała więcej lub mniej. Matce i najbliższym przyjaciółom - gdy kłamstwo mogło się łatwo wydać - w zasadzie nie kłamała, a jeżeli już, to bardzo ostrożnie. Tak, żeby na pewno się nie wydało. A kiedy mimo to się wydało, lała z tych pięknych oczu potoki łez i tłumaczyła się lub przeproszała błagalnym głosem. Nikt nie mógł się na nią gniewać.

Nadal nie rozumiem, dlaczego się mnie uczepliła. Nie wiem, czy wybrała mnie na ofiarę, czy szukała u mnie jakiejś pomocy. Nie mam pojęcia. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, a ja znalazłam się tutaj.

Milczała chwilę.

- Powtórzyła to, co powiedziała matka. Przechodząc koło mojego domu, usłyszała, jak gram, i była poruszona. Widziała mnie też kilka razy na ulicy i oczarowałam ją. Tak powiedziała: "oczarowałam ją". Zarumieniłam się. Oczarowałam dziewczynę piękną jak lalka. Ale sądzę, że nie kłamała. Choć byłam już po trzydziestce, ani tak ładna jak ona, ani tak inteligentna, ani specjalnie utalentowana, coś we mnie ją zafascynowało. Pewnie coś, czego jej brakowało. I właśnie dlatego tak się mną zainteresowała. Teraz tak mi się wydaje. To wcale nie są

przechwałki.

- Wiem, wiem, rozumiem - powiedziałem.

- Przyniosła ze sobą nuty, zapytała, czy może zagrać. Oczywiście, proszę bardzo, powiedziałam. Zagrała *Inwencję* Bacha. To było - jak by je określić? - interesujące wykonanie. Interesujące, a może raczej dziwne, ale przede wszystkim niezwykle. Oczywiście nie było dopracowane. Nie uczyła się w szkole muzycznej, lekcje brała dorywczo, grała więc absolutnie po swojemu. Słysząc było wyraźnie, że nie ćwiczyła regularnie. Gdyby zagrała tak na egzaminie wstępnym do szkoły muzycznej, przepadłaby natychmiast.

A jednak dało się tego słuchać. Dziewięćdziesiąt procent było straszne, ale pozostałe dziesięć dało się słuchać, to była muzyka. I do tego *Inwencja* Bacha! Wtedy się nią zainteresowałam. Co ta dziewczyna ma w sobie?

Na świecie jest mnóstwo dzieci, które znacznie, znacznie lepiej grają Bacha. Dwadzieścia razy lepiej niż ta dziewczyna. Lecz na ogół takie wykonania nie mają serca. Są puste. Gra tego dziecka, chociaż kiepska, miała w sobie coś, co innych, a przynajmniej mnie, zafascynowało. Wtedy pomyślałam, że być może warto ją uczyć. Oczywiście przygotowanie jej teraz do zawodu pianisty w ogóle nie wchodziło w rachubę. Ale może uda się z niej zrobić szczęśliwą pianistkę, grającą sobie dla własnej przyjemności - tak jak ja wtedy, zresztą teraz też. Płonne nadzieje. Nie była typem osoby, która po cichu robi coś tylko dla siebie. Precyzyjnie kalkulowała, jak wszelkimi sposobami wzbudzić podziw innych. Doskonale wiedziała, jak zdobywać pochwały. Wiedziała też, jak zagrać, żeby mnie zafascynować. Wszystko dokładnie zaplanowała; jestem o tym przekonana. I ćwiczyła wiele razy fragmenty, za pomocą których zamierzała wyrzucić na mnie wrażenie. Mogę to sobie wyobrazić.

Lecz mimo to nawet teraz uważam, że to było piękne wykonanie, i znów ciarki chodziłyby mi po krzyżu, gdybym je usłyszała jeszcze raz. Nawet wiedząc o jej przebiegłości, kłamstwach, wadach. W życiu takie rzeczy się zdarzają.

- I zaczęłaś ją uczyć?

- Tak. Raz w tygodniu. W sobotę przed południem. Wtedy miała wolne w szkole. Ani razu nie opuściła lekcji, ani razu się nie spóźniła, była idealną uczennicą. Porządnie ćwiczyła też w domu. Po lekcji rozmawiałymy przy herbacie. - W tym momencie Reiko spojrzała na zegarek, jakby coś sobie nagle przypomniała. - Chyba powinniśmy wracać. Trochę się martwię o Naoko. Mam nadzieję, że o niej nie zapomniłeś?

- Nie zapomniałem - zaśmiałem się. - Tylko wciągnęła mnie twoja opowieść.

- Jeżeli chcesz, dalszy ciąg opowiem ci jutro. To długa historia, nie da się opowiedzieć za jednym zamachem.

- Zupełnie jak Szeherezada.

- Uhm, nie będziesz mógł wrócić do Tokio. - Reiko też się roześmiała.

Wróciliśmy tą samą ścieżką przez las. Świeczka już się nie paliła, lampa w salonie też nie. Drzwi do sypialni były otwarte, paliła się lampka na stoliku i słabe światło wlewało się do salonu. W półmroku Naoko siedziała samotnie na kanapie. Przebrała się w coś podobnego do szlafroka. Założyła poły pod samą szyję. Siedziała z podwiniętymi nogami. Reiko podeszła i położyła jej rękę na głowie.

- Już dobrze?

- Tak, dobrze. Przepraszam - powiedziała cicho Naoko. Potem zwróciła się do mnie i zawstydzona przeprosiła. - Przestraszyłeś się?

- Trochę - odparłem, uśmiechając się.

- Chodź tutaj - poprosiła.

Kiedy usiadłem koło niej, nie zmieniając pozycji, przechyliła się ku mnie, zbliżyła usta do mojego ucha, jakby chciała powierzyć mi jakiś sekret, i delikatnie je pocałowała.

- Przepraszam - powiedziała cichutko jeszcze raz prosto do mojego ucha. Potem odsunęła się. - Czasami sama nie wiem, co się ze mną dzieje - dodała.

- Mnie się to zdarza na okrągło.

Naoko uśmiechnęła się i spojrzała mi w oczy. Powiedziałem, że jeżeli nie ma nic przeciwko temu, chętnie usłyszałbym coś więcej o niej. O życiu tutaj. Co robi każdego dnia, jacy są tu ludzie.

Opowiedziała o swoim codziennym życiu urywanymi zdaniami, ale jasno i wyraźnie. Rano wstaje o szóstej, je tutaj śniadanie, potem sprząta w ptaszarni, a następnie najczęściej pracuje w polu. Zajmuje się uprawą warzyw. Przed albo po obiedzie spotyka się na godzinę z lekarzem prowadzącym albo jest dyskusja grupowa. Po południu nie ma ustalonego programu, więc może wybrać dowolne zajęcia albo prace na dworze, albo sport. Chodzi na kilka kursów: francuski, robótki ręczne, lekcje gry na pianinie i historię starożytną.

- Na pianinie uczy mnie grać Reiko - powiedziała Naoko. - Uczy też gry na gitarze. Wszyscy są tutaj i uczniami, i nauczycielami. Ktoś znający dobrze francuski uczy francuskiego, były

nauczyciel historii uczy historii, ktoś, kto umie robić na drutach, uczy robić na drutach - powstaje coś w rodzaju niewielkiej szkoły. Niestety ja nie mogłabym nikogo niczego uczyć.

- Ja też nie.

- W każdym razie tutaj studiuję pilniej niż na uniwersytecie. Dużo się uczę i sprawia mi to radość.

- Co robisz po kolacji?

- Rozmawiam z Reiko, czytam książki, słucham płyt, chodzę do znajomych i gramy w różne gry, tego typu rzeczy.

- Ja ćwiczę grę na gitarze i piszę autobiografię - powiedziała Reiko.

- Autobiografię?

- Żartuję - zaśmiała się. - Chodzimy spać koło dziesiątej. Zdrowy tryb życia, prawda? Śpimy bardzo smacznie.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Więc wkrótce będziecie śpiące?

- Dzisiaj możemy posiedzieć trochę dłużej - powiedziała Naoko. - Tak dawno się nie widzieliśmy, chcę jeszcze porozmawiać. Opowiedz coś.

- Kiedy czekałem tu na was, nieoczekiwanie przypomniały mi się różne wydarzenia z przeszłości. Pamiętasz, jak we dwóch z Kizukim odwiedziliśmy cię w szpitalu? Nad morzem. To było latem w drugiej klasie liceum.

- Miałam operację klatki piersiowej - przypomniała sobie i uśmiechnęła się. - Dobrze pamiętam. Przyjechaliście z Kizukim na motocyklu. Przywieźliście czekoladki, które się całkiem rozpuściły. Trudno je było jeść. Wydaje się, że to strasznie dawne czasy.

- Tak. Wtedy napisałaś jakiś długi wiersz.

- Wszystkie dziewczyny w tym wieku piszą wiersze - powiedziała i zachichotała. - Dlaczego tak nagle ci się to przypomniało?

- Nie wiem. Po prostu mi się przypomniało. Zapach wiatru od morza, oleandry, wszystko w jednej chwili do mnie wróciło. Czy Kizuki często odwiedzał cię w szpitalu?

- Prawie wcale mnie nie odwiedzał. Potem się o to pokłóciliśmy. Przyszedł raz na początku, potem z tobą i to wszystko. Okropne, prawda? Za pierwszym razem był bardzo podenerwowany, wyszedł po jakichś dziesięciu minutach. Przyniósł pomarańcze, zamruczał coś pod nosem, tak że nic nie można było zrozumieć, obrał dla mnie jedną, znów wymruczał coś niezrozumiałego i



poszedł sobie. Powiedział, że bardzo źle się czuje w szpitalu - zaśmiała się. - W tym sensie zachowywał się jak dziecko. Nie uważasz? Nikt nie lubi szpitala. Dlatego właśnie bliskich trzeba odwiedzać i rozweselać. Podnosić ich na duchu. Ale on tego nie rozumiał.

- Kiedy byliśmy we dwóch u ciebie w szpitalu, nie było tak źle. Zachowywał się całkiem zwyczajnie.

- To z twojego powodu tak się zachowywał. Zawsze był taki w twoim towarzystwie, starał się ukryć swoje słabości. Na pewno bardzo cię lubił. Dlatego starał się pokazać od dobrej strony. Kiedy byliśmy we dwoje, był inny. Odpuszczał sobie trochę. Miewał bardzo zmienne nastroje. Perorował pełen zapału, a za chwilę popadał w przygnębienie. Tak było ciągle. Od dzieciństwa. Ale próbował się zmienić.

Naoko poprawiła się na kanapie.

- Zawsze starał się zmienić, poprawić, a kiedy się nie udawało, irytował się, smucił. Było w nim tyle rzeczy wspaniałych i pięknych, a on do końca nie wierzył w siebie. Muszę to zrobić, muszę to zmienić - tylko o tym myślał. Biedny Kizuki.

- Jeżeli starał się mi pokazać od dobrej strony, jego wysiłki nie poszły na marne. Przecież ja w nim widziałem wyłącznie dobre strony.

Naoko uśmiechnęła się. - Gdyby to usłyszał, na pewno by się ucieszył. Byłeś jego jedynym przyjacielem.

- Kizuki też był moim jedynym przyjacielem. Ani przedtem, ani potem nie miałem nikogo, kogo mógłbym tak nazwać.

- Dlatego bardzo lubiłam być z wami we trójkę. Wtedy widziałam tylko tę dobrą stronę Kizukiego i wpadałam w doskonały humor. Uspokajałam się. Dlatego tak to lubiłam. Nie wiem, co ty wtedy czułeś.

- Ja martwiłem się, nie wiedząc, co o tym myślisz - powiedziałem, potrząsając głową.

- Problem polegał na tym, że to nie mogło trwać wiecznie. Takie małe kółka nie mogą istnieć w nieskończoność. To rozumiał i Kizuki, i ja, i ty też wiedziałeś. Mam rację?

Przytaknąłem.

- Ale prawdę mówiąc, bardzo kochałam jego słabości. Zalety kochałam dokładnie tak samo. Nie było w nim ani podłości, ani przebiegłości. Po prostu był słaby i tyle.

Jednak nie wierzył, gdy mu to mówiłam. I tak mi zawsze odpowiadał: "Naoko, jesteśmy razem od trzeciego roku życia, znasz mnie za dobrze, dlatego nie odróżniasz wad od zalet i

mylisz je ze sobą". Zawsze tak mówił. Mógł sobie mówić co chciał, kochałam go i inni mnie w ogóle nie interesowali.

Popatrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

- Nasz wzajemny stosunek różnił się bardzo od takich zwykłych relacji między chłopcem a dziewczyną. To było tak, jak gdybyśmy byli fizycznie zrośnięci. Kiedy zdarzało się, że coś nas rozdzieliło, jakaś siła zbliżała nas ku sobie. Dlatego było całkowicie naturalne, że staliśmy się kochankami. Wcale się nad tym nie zastanawialiśmy, to nie była kwestia wyboru. Całowaliśmy się, kiedy mieliśmy po dwanaście lat, a od trzynastego roku życia pieściliśmy się nawzajem. Kiedy szłam do niego albo on przychodził do mnie, robiłam mu to ręką... Ale nie przyszło mi do głowy, że za wcześnie się rozwinęliśmy. Wydawało mi się to normalne. Jeśli chciał dotykać moich piersi czy wąginy, proszę bardzo, zupełnie mi to nie przeszkadzało. Nie przeszkadzało mi też, jeżeli chciał mieć wytrysk, mogłam mu w tym pomóc. Bylibyśmy zapewne zdziwieni albo wściekli, gdyby ktoś zarzucił nam, że źle postępujemy. Przecież nie robiliśmy nic niewłaściwego, a jedynie to, co było naturalne. Pokazaliśmy sobie nawzajem własne ciała, każdy skrawek, zdawało nam się niemal, że mamy jedno wspólne. Ale staraliśmy się nie posuwać dalej. Baliśmy się ciąży, wtedy nie wiedzieliśmy, jak jej uniknąć... Tak właśnie dojrzewaliśmy, razem, jako nierozzerwalna para, ręka w rękę. W odróżnieniu od doświadczeń normalnie dojrzewających nastolatków nie czuliśmy presji seksu, cierpień wywołanych kształtowaniem się ego. Jak wcześniej mówiłam, byliśmy całkowicie otwarci w sprawach seksu, a jeśli chodzi o ego, to ponieważ dzieliliśmy się swoimi, wchłanialiśmy je nawzajem, nie uświadamialiśmy ich sobie zbyt dobitnie. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak.

- Byliśmy tak związani, że nie umieliśmy być osobno. Gdyby Kizuki żył, zapewne bylibyśmy razem, kochalibyśmy się i stawalibyśmy się coraz bardziej nieszczęśliwi.

- Dlaczego?

Naoko kilka razy przeczesła palcami włosy. Wyjęła z nich spinkę i kiedy się pochyliła, zakryły jej twarz.

- Pewnie musielibyśmy spłacić światu to, co byliśmy mu winni - powiedziała, podnosząc głowę. - Ból dorastania. Przyszedł czas zapłaty, a my nie płaciliśmy i przez to rachunek jest ciągle nieuregulowany. I z tej przyczyny z Kizukim tak się skończyło, a ja wylądowałam tutaj. Byliśmy jak nagie dzieci na bezludnej wyspie. Gdy byliśmy głodni, jedliśmy banany, kiedy

czuliśmy się samotni, spaliśmy przytuleni do siebie. Ale to nie trwa wiecznie. Stopniowo dorastaliśmy, trzeba było wejść w społeczeństwo. Dlatego ty byłeś dla nas bardzo ważny. Stanowiłeś ogniwo łączące nas ze światem zewnętrznym. Za twoim pośrednictwem staraliśmy się dopasować do

tego świata najlepiej, jak umieliśmy. To się jednak nie udało.

Przytaknąłem.

- Nie myśl, że cię wykorzystywaliśmy. Kizuki bardzo cię lubił, naprawdę. Tak się złożyło, że kontakt z tobą był dla nas w ogóle pierwszym kontaktem z kimś z zewnątrz. I tak jest nadal. Kizuki umarł, ale ty dalej jesteś jedynym ogniwem, które łączy mnie ze światem zewnętrznym. I tak jak lubił cię Kizuki, teraz lubię cię ja. Zupełnie nie mieliśmy takiego zamiaru, ale chyba zraniliśmy cię w samo serce. Nawet nie przyszło nam do głowy, że może do tego dojść.

Naoko znowu opuściła głowę i zamilkła.

- A może filiżankę kakao? - zaproponowała Reiko.

- Tak, chętnie - odpowiedziała Naoko.

- Ja bym się napił brandy, którą przywiozłem, jeżeli wam to nie przeszkadza?

- Proszę, proszę - powiedziała Reiko. - Ja też mogę dostać łyk?

- Oczywiście - zaśmiałem się.

Reiko przyniosła dwie szklanki, wznieśliśmy toast. Potem poszła do kuchni i zrobiła kakao.

- Porozmawiajmy na jakiś pogodniejszy temat - zaproponowała Naoko.

Nie miałem pomysłu na pogodny temat. Z żalem pomyślałem o Komandosie. Gdyby tylko dalej mieszkał ze mną, miałbym nowe historyjki, które tak wszystkich bawią, byłoby o czym opowiadać. Co miałem robić?

Rozwlekłem powiedziałem o tym, w jakim brudzie żyją studenci w akademiku. Od samego opowiadania wpadłem w zły nastrój, ale dla nich to było coś niezwykłego i zaśmiewały się. Potem Reiko naśladowała pacjentów szpitala psychiatrycznego. To też było bardzo zabawne. Koło jedenastej Naoko zaczęła być senna, więc Reiko rozłożyła kanapę, przyniosła prześcieradło, koc i poduszkę i zrobiła mi posłanie.

- Możesz nas w nocy zgwałcić, ale nie pomyśl się. Naoko to ta bez zmarszczek w łóżku po lewej stronie.

- Nieprawda! Ja śpię po prawej - zawołała Naoko.

- A właśnie, załatwiłam nam jutro wolne od zajęć popołudniowych, możemy sobie zrobić

wycieczkę. W okolicy są bardzo ładne miejsca - dodała Reiko.

- Świetnie - ucieszyłem się.

Kolejno umyły w łazience zęby i poszły do sypialni, ja, popijając brandy, wyciągnąłem się na posłaniu. Myślałem o wszystkim, co się dziś zdarzyło. To był bardzo długi dzień. Pokój nadal wypełniał biały blask księżyca. W sypialni panowała cisza, nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy, tylko łóżko skrzypnęło od czasu do czasu. Kiedy zamknąłem oczy, w ciemności pod powiekami zatańczyły mi drobne figury geometryczne, w uszach pozostało jeszcze echo gitary Reiko, lecz wkrótce wszystko zniknęło. Nadszedł sen i pogrążył mnie w ciepłym błocie. Potem przyśniły mi się wierzby. Ciągnęły się po obu stronach górskiej drogi. Niesamowicie dużo wierzb. Wiał dość silny wiatr, lecz gałęzie nawet nie zdrząły. Zastanawiałem się dlaczego i zauważyłem, że na każdej gałęzi przycupnął mały ptaszek. To z powodu ich ciężaru wierzby się nie kołysały. Wziąłem kij i uderzyłem w najbliższą gałąź. Chciałem odgonić ptaki, żeby gałęzie mogły się huścić na wietrze. Ale ptaszki nie odleciały. Zamieniły się w metalowe figurki w kształcie ptaków, które z hałasem pospadały na ziemię.

Kiedy otworzyłem oczy, miałem wrażenie, że dalej śnię. Blade światło księżyca zalało pokój. Odruchowo spojrzałem na podłogę w poszukiwaniu metalowych ptaszków, lecz oczywiście niczego takiego tam nie było. W nogach kanapy siedziała nieruchomo Naoko i patrzyła za okno. Z podciągniętymi kolanami i opartą na nich brodą wyglądała jak wygłodniała sierota. Chciałem sprawdzić, która godzina, i poszukałem zegarka. Położyłem go wcześniej koło poduszki, ale zniknął. Po blasku księżyca oceniłem, że może być jakaś druga czy trzecia. Bardzo zaschło mi w gardle, lecz postanowiłem najpierw zobaczyć, co zamierza Naoko. Miała na sobie ten sam niebieski szlafrok, włosy nadal podtrzymywała z jednej strony spinka w kształcie motyla, dzięki czemu jej piękne czoło jaśniało w blasku księżyca. Dziwne, pomyślałem. Przed pójściem spać zdjęła spinkę.

Naoko zastygła nieruchomo. Wyglądała jak jakieś małe zwierzątko zauroczone światłem księżyca. Padało pod takim kątem, że jej wargi zdawały się uwypuklone. Delikatne, bezbronne usta drżały leciutko w rytm uderzeń serca, a może w rytm uczuć, które je wypełniały. Zdawało się, że zwracając się do ciemności, szepcze jakieś bezgłośnie słowa.

Przelknąłem ślinę, chcąc złagodzić suchość w ustach. W ciemnościach dźwięk wydał się strasznie głośny. Jakby na ten sygnał Naoko nagle wstała, podeszła bliżej z cichym szelestem materiału i uklękła na podłodze przy kanapie. Zajrzała mi głęboko w oczy. Patrzyłem w jej

żrenice, lecz niczego nie wyrażały. Były nienaturalnie przejrzyste. Zdawało się nieomal, że można by dostrzec świat po ich drugiej stronie, lecz choć się wpatrywałem, niczego tam nie znalazłem. Choć jej twarz była zaledwie trzydzieści centymetrów od mojej, wydawała się oddalona o lata świetlne.

Wyciągnąłem rękę i próbowałem jej dotknąć, lecz cofnęła się gwałtownie. Jej usta lekko zadrżały. Potem podniosła rękę i powoli zaczęła rozpinąć guziki szlafroka. Było ich siedem. Patrzyłem, jak piękne, szczupłe palce odpinają po kolei guziki, zupełnie jakbym dalej śnił. Kiedy odpięła ostatni biały guziczek, zrzuciła szlafrok do bioder, jak wąż zrzucający skórę. Pod szlafrokiem nie miała nic. Była naga z wyjątkiem spinki w kształcie motyla we włosach. Klęcząc na podłodze, spojrzała na mnie. Oblane łagodnym blaskiem księżyca ciało zdawało się wzruszająco świeże, lśniące, jak ciało noworodka. Poruszyła się lekko - był to doprawdy nieznaczny ruch - i część oświetlona księżycem nieco się przesunęła, zmieniła się linia granicy mroku. Ziarniste cienie rzucone przez krągłe piersi, niewielkie sutki, zagłębienie pępka, kości biodrowe, włosy łonowe zmieniały kształt, jak kręgi rozchodzące się po spokojnej powierzchni jeziora.

Co za idealne ciało, pomyślałem. Kiedy stało się takie idealne? Gdzie się podziało tamto, które trzymałem w ramionach owej wiosennej nocy?

Kiedy delikatnie rozbierałem wówczas płaczącą Naoko, miałem niejasne wrażenie, że jej ciało jest niedoskonałe. Piersi były twarde, sutki sterczały jakoś nietypowo, biodra zdawały się dziwnie sztywne. Oczywiście była piękną dziewczyną i pociągała mnie. Podnieciło mnie i uniosło z wielką siłą. Trzymając je w ramionach, pieszcząc i całując, byłem dziwnie poruszony jego brakiem harmonii, niezręcznością. Obejmując Naoko, chciałem jej wyjaśnić: odbywam z tobą teraz stosunek seksualny, wszedłem w ciebie, lecz to nic wielkiego, nic konkretnego. To przecież jedynie połączenie ciał. Mówimy sobie coś, co się da powiedzieć tylko przez zetknięcie się niedoskonałych ciał. Dzięki temu rozumiemy swoje niedoskonałości. Ale oczywiście nie można czegoś takiego wyjaśnić słowami. Milcząc, trzymałem ją mocno w ramionach. Czułem w jej ciele coś obcego, twardego, co do niego nie pasowało. To poczucie wypełniło mnie miłością i wywołało strasznie silną erekcję.

Ciało Naoko, które miałem teraz przed oczami, kompletnie się odmieniło. Przeszło kilka przeobrażeń, stało się doskonałe i narodziło się ponownie w świetle księżyca. Dziewicza pulchność zniknęła po śmierci Kizukiego i zastąpiła ją dojrzała kobiecość. Było tak idealnie

piękne, że nie czułem nawet seksualnego podniecenia. Patrzyłem osłupiały na jej piękną talię, krągłe, gładkie piersi, szczupły brzuch poruszający się lekko w rytm oddechu, cień miękkich włosów łonowych poniżej.

Pokazywała mi tak swoją nagość przez jakieś pięć minut. Wkrótce znów owinęła się szlafrokiem i po kolei zapięła od góry guziki. Kiedy skończyła, wstała lekko, cicho otworzyła drzwi i zniknęła w sypialni.

Przez dłuższą chwilę tkwiłem nieporuszony na kanapie. Potem wstałem, podniosłem zegarek, który spadł na podłogę i zwróciłem tarczę w stronę księżyca. Była trzecia czterdzieści. Wypiłem w kuchni kilka szklanek wody i znów się położyłem, lecz sen nie nadchodził, nawet kiedy o świcie słońce wypełniło wszystkie zakamarki pokoju, a biała plama księżycowego blasku całkowicie stopniała. Leżałem tak w półśnie, gdy przyszła Reiko, mocno klepnęła mnie w policzek i krzyknęła: - Rano, już rano!

Podczas gdy Reiko składała kanapę, Naoko szykowała w kuchni śniadanie. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: - Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Stałem obok i przez jakiś czas przyglądałem się, jak nucąc, nastawia wodę, kroi chleb. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że rozebrała się przede mną w nocy.

- Masz czerwone oczy. Co się stało? - zapytała, parząc kawę.

- Obudziłem się w środku nocy i potem już nie mogłem zasnąć.

- Chrapałyśmy? - zmartwiła się Reiko.

- Nie.

- To dobrze - powiedziała Naoko.

- On jest po prostu dobrze wychowany - stwierdziła Reiko, ziewając.

Na początku myślałem, że Naoko udaje w jej obecności, że nic się nie stało, albo że się wstydzi, ale kiedy Reiko na chwilę wyszła z pokoju, jej zachowanie wcale się nie zmieniło, oczy miała przejrzyste jak zawsze.

- Dobrze spałaś? - zapytałem.

- Jak kamień - odpowiedziała jak gdyby nigdy nic. Miała we włosach zwykłą spinkę bez żadnych ozdób.

Nie mogłem zrozumieć, co się dzieje i tak minęło śniadanie. Smarowałem chleb masłem, obierałem jajko ze skorupki, czekając na jakiś znak, czasami zerkałem na siedzącą naprzeciwko

Naoko.

- Dlaczego tak mi się od rana przyglądasz? - zapytała.

- On jest w kimś zakochany - powiedziała Reiko.

- Jesteś w kimś zakochany? - zapytała Naoko.

- Być może - odpowiedziałem ze śmiechem. Kiedy zobaczyłem, że żartują sobie i świetnie się bawią moim kosztem, przestałem myśleć o wydarzeniach ostatniej nocy, zająłem się kanapkami i kawą.

Po śniadaniu powiedziały, że idą nakarmić ptaki, a ja postanowiłem pójść z nimi. Przebrały się w robocze dzinsy i koszule, włożyły białe długie kalosze. Ptaszarnia znajdowała się za kortami tenisowymi w niedużym parku. Były tam różne ptaki: poczynając od kur, przez gołębie, pawie, do papug włącznie. Dookoła kwietniki, krzaki i ławki. Dwóch mężczyzn, wyglądających na pacjentów, zmiatało liście ze ścieżki. Obydwaj mieli między czterdzieści a pięćdziesiąt lat. Reiko i Naoko podeszły do nich się przywitać, Reiko chyba zażartowała, ponieważ obaj się roześmiali. Na klombie kwitły kwiaty, krzaki były starannie przycięte. Na widok Reiko ptaki podniosły krzyk i zaczęły latać w kółko po klatce.

Reiko z Naoko przyniosły ze składziku obok ptaszarni torbę z karmą i gumowy wąż. Naoko przymocowała go do kranu, odkręciła kurek. Potem uważając, żeby ptaki nie wydostały się na zewnątrz, weszły do klatki. Naoko splukiwała ptasie odchody, a Reiko szorowała podłogę szczotką ryżową. Rozpryskująca się woda odbijała promienie słońca, pawie uciekały, drepcząc i machając skrzydłami. Indyk przypominający gderliwego starca podniósł głowę i wlepił we mnie wzrok, papuga siedziała na drążku i bardzo niezadowolona machała skrzydłami. Reiko zamiauczała jak kot w stronę papugi, która cofnęła się w kąt klatki i nastroszyła, lecz po chwili zaskrzeczała: - Dziękuję, wariat, gówniarz.

- Kto ją tego nauczył? - zapytała Naoko z westchnieniem.

- Nie ja. Ja bym jej takich słów nie uczyła - odparła Reiko. I znowu miauknęła. Papuga umilkła.

- Miała kiedyś okropną przygodę z kotem, dlatego teraz strasznie się ich boi - wytłumaczyła Reiko ze śmiechem.

Kiedy skończyły sprzątać, odłożyły szczotki i obeszły karmniki, sypiąc do nich jedzenie. Indyk poczłapał do jednego, rozchlapując kałuże wody na podłodze, wsadził w niego łypek. Był tak pochłonięty jedzeniem, że nie zwracał uwagi na Naoko, która go klepała po kuprze.

- Robicie to codziennie rano? - zapytałem Naoko.

- Tak. Na ogół robią to nowo przyjęte pacjentki, bo to łatwa praca. Chcesz zobaczyć króliki?

Chciałem. Klatka była za ptaszarnią, na słomie leżało z dziesięć królików. Naoko zmiotła odchody, nasypała karmy do pojemników, potem podniosła jednego malucha i przytuliła do policzka.

- Słodki, prawda? - powiedziała zachwycona. Potem dała mi go potrzymać. Ciepłe małe stworzonko skuliło się w moich dłoniach i zastrzygło uszami.

- Wszystko dobrze. Tego pana nie trzeba się bać - uspokajała Naoko, palcem głaszcząc główkę króliczka i uśmiechając się do mnie radośnie. Był to promienny uśmiech bez cienia smutku, więc ja także musiałem się uśmiechnąć. Co się z nią działo ostatniej nocy? To z pewnością była ta sama, prawdziwa Naoko, to nie był sen. Niewątpliwie rozebrała się przede mną do naga.

Melodyjnie pogwizdując *Proud Mary*, Reiko zebrała śmieci, wsadziła je do plastikowej torby i zawiązała. Pomogłem odnieść przybory do sprzątanania i torbę z karmą do składziku.

- Najbardziej lubię poranki - oznajmiła Naoko.

- Wszystko zaczyna się od nowa. W południe jest już smutniej, wieczorów nie znoszę. I tak każdego dnia.

- Jeśli będziesz w ten sposób myślała, zestarzejesz się jak ja - powiedziała Reiko wesoło. - Nadchodzi poranek, potem noc, po niej kolejny poranek i nawet się nie obejrzysz, jak będziesz stara.

- Wygląda na to, że tobie starzenie się nie przeszkadza - powiedziała Naoko.

- Nie uważam, że starzenie się jest przyjemne, tylko na pewno nie chciałabym znowu być młoda.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Bo to zawracanie głowy. To chyba oczywiste - odpowiedziała. Nucąc *Proud Mary*, schowała miotłę do składziku i zamknęła drzwi.

Wróciliśmy do pokoju, Reiko i Naoko zdjęły kalosze, zmieniły je na zwykłe sportowe buty i powiedziały, że teraz idą na pole. Reiko zaproponowała, żebym został w domu i coś sobie poczytał, bo nie bardzo będzie tam co oglądać, a do tego pracują w grupach.

- Poza tym mógłbyś w tym czasie wyprać naszą brudną bieliznę, której jest pełno w wiadrze



w łazience - dodała.

- Żartujesz, prawda? - zapytałem zaskoczony.

- Oczywiście - odrzekła, śmiejąc się. - Oczywiście, że żartuję. Jesteś naprawdę słodki. Nie uważasz, Naoko?

- Och, tak - zgodziła się Naoko ze śmiechem.

- Pouczę się niemieckiego - westchnąłem.

- Dobry chłopiec. Wrócimy w południe, do tego czasu ucz się pilnie - powiedziała Reiko.

Wyszły, chichocząc. Zza okna dobiegł odgłos kroków i gwar rozmów przechodzących ludzi.

Poszedłem do łazienki, jeszcze raz opłukałem twarz, pożyczyłem sobie obcinacz i obciąłem paznokcie u rąk. Jak na łazienkę, z której korzystały dwie kobiety, było tu bardzo mało rzeczy. Co prawda stał krem, pomadka nawilżająca do ust, krem z filtrem od słońca i balsam nawilżający, ale prawie nie było kosmetyków do makijażu. Skończyłem z paznokciami, zaparzyłem sobie kawy, usiadłem przy stole w kuchni i popijając, rozłożyłem podręcznik do niemieckiego. W kałuży słońca wpadającego do kuchni rozebrałem się do podkoszulka i gdy uczyłem się na pamięć form gramatycznych, ogarnął mnie przedziwny nastrój. Wydało mi się, że nieregularne czasowniki niemieckie i ten kuchenny stół dzieli nieprzebyta przepaść.

O pół do dwunastej Naoko z Reiko wróciły z pola, kolejno wzięły prysznic, przebrały się w wygodniejsze stroje. Potem we trójkę poszliśmy do stołówki na obiad, a po nim ruszyliśmy w stronę bramy. Tym razem strażnik siedział jak należy w budce i ze smakiem zajadał przy biurku posiłek, który przyniesiono mu ze stołówki. Z tranzystora na półce dobiegała popularna piosenka. Kiedy wychodziliśmy, pomachał nam ręką, odpowiedzieliśmy dzień dobry.

Reiko powiedziała, że idziemy we trójkę na spacer i że mamy zamiar wrócić za jakieś trzy godziny.

- A, świetnie, proszę, proszę, pogoda jest ładna. Tylko te ostatnie deszcze rozmoczyły drogę w dolinie i tam jest trochę niebezpiecznie, poza tym w porządku, wszędzie w porządku - odrzekł strażnik. Reiko wpisała Naoko i siebie oraz godzinę do czegoś w rodzaju rejestru wyjść.

- Uważajcie na siebie - zawołał strażnik.

- Sympatyczny facet - zauważyłem.

- Tu ma trochę nie po kolei - Reiko postukała się palcem w czoło.

W każdym razie co do pogody miał rację, było pięknie. Niebo idealnie czyste, niebieskie, na nim niewyraźne smugi chmur, jakby ktoś wypróbował odcień białej farby. Przez jakiś czas

szliśmy wzdłuż niskiego kamiennego muru sanatorium Ami, potem oddaliliśmy się od niego i zaczęliśmy wspinaczkę gęsiego po stromej wąskiej dróżce: na czele Reiko, za nią Naoko, ja na końcu. Reiko szła po górskiej ścieżce pewnym krokiem osoby znającej okolicę jak własną kieszeń. Posuwaliśmy się w prawie całkowitym milczeniu, skoncentrowani na podejściu. Naoko miała na sobie niebieskie dzinsy i białą koszulę, kurtkę zdjęła i niosła w ręku. Idąc, przyglądałem się jej prostym włosom, które kołysały się na boki, uderzając o ramiona. Od czasu do czasu odwracała się i uśmiechała, kiedy nasze oczy się spotykały. Dróżka pięła się pod górę w nieskończoność, lecz Reiko nie zwolniła ani na chwilę. Naoko dotrzymywała jej kroku, czasami ocierając jedynie pot. Mnie brakowało oddechu, bo ostatnio nie chodziłem po górach.

- Często robicie takie wycieczki? - zapytałem Naoko.

- Na ogół raz w tygodniu - odparła. - Męczące, prawda?

- Trochę.

- Przeszliśmy już dwie trzecie drogi, jeszcze kawałek. Jesteś przecież mężczyzną. Weź się w garść - powiedziała Reiko.

- Nie mam kondycji.

- To dlatego, że ciągle latasz za dziewczynami - mruknęła Naoko jakby do siebie.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale brakowało mi oddechu, nie mogłem wydobyć słowa. Od czasu do czasu przelatywały nam tuż przed oczami czerwone czubate ptaki. Na tle niebieskiego nieba wyglądały bardzo kolorowo. Łąki dookoła porośnięte były niezliczonymi białymi, niebieskimi i żółtymi kwiatami, wszędzie dało się słyszeć bzyczenie pszczół. Podziwiając ten krajobraz, szedłem do przodu krok za krokiem, o niczym nie myślałem.

Po jakichś dziesięciu minutach podejście się skończyło i znaleźliśmy się na płaskowyżu. Zatrzymaliśmy się, otarliśmy pot, złapaliśmy oddech, napiliśmy się wody z bidonów. Reiko znalazła jakiś liść, zwinęła go i zagwizdała.

Droga zaczęła łagodnie schodzić w dół, po obu stronach rosły wysokie trawy. Szliśmy około piętnastu minut, aż dotarliśmy do jakiejś osady - ani śladu człowieka, kilkanaście opuszczonych, zaniedbanych domów. Otaczała je trawa po pas, w dziurach na ścianach białały wyschnięte gołębie odchody. Z niektórych domów zostały tylko słupy, bo reszta się zawaliła, a w innych wystarczyłoby otworzyć okiennice i można by od razu zamieszkać. Droga wiodła między tymi martwymi, milczącymi domami.

- Jeszcze siedem czy osiem lat temu mieszkali tu ludzie - zwróciła się do mnie Reiko. -

Wszędzie dookoła były pola. Ale teraz już wszyscy odeszli. Życie było za ciężkie. W zimie z powodu śniegu nie ma jak się ruszyć, ziemia niezbyt płodna. W mieście mogą więcej zarobić.

- Szkoda. Niektóre domy są jeszcze w całkiem niezłym stanie - powiedziałem.

- Dawniej hipisi próbowali tu mieszkać, ale kiedy przyszła zima, uciekli z krzykiem.

Kawałek za osadą wyszliśmy na ogrodzoną płotem przestrzeń, wyglądającą na duże pastwisko, w oddali pasło się kilka koni. Posuwaliśmy się wzdłuż płotu, kiedy podbiegł do nas, machając ogonem, duży pies. Oparł się na ramionach Reiko, obwąchał jej twarz, potem doskoczył do Naoko. Zagwizdałem, więc podszedł do mnie i długim językiem polizał mnie po dłoni.

- To pies pasterski - powiedziała Naoko, głaszcząc go po głowie. - Ma chyba ze dwadzieścia lat, słabe zęby, nie może jeść nic twardego. Śpi zawsze pod kawiarnią, a kiedy usłyszy kroki, biegnie i się łasi.

Reiko wyjęła z plecaka kawałek sera, pies wyczuł jego zapach, podbiegł i z widoczną radością złapał ser.

- Już niedługo będziemy się mogły z nim widywać - powiedziała Reiko, głaszcząc psa po głowie. - W połowie października konie i krowy pakuje się na ciężarówce i zawozi na dół do obór. Tutaj na letnim pastwisku było może się najeść trawy. Wtedy otwierają coś w rodzaju małej kawiarenki dla turystów, ale zachodzi tu najwyżej dwadzieścia osób dziennie. Napiłbyś się czegoś?

- Chętnie.

Pies szedł przodem, prowadząc nas do kawiarni. Był to mały budynek, pomalowany na biało, z werandą od frontu. Nad drzwiami wisiał wyblakły szyld w kształcie filiżanki do kawy. Pies wszedł pierwszy, wyciągnął się na werandzie i przymknął oczy. Usiedliśmy przy stoliku, a z wnętrza domu wyszła dziewczyna z końskim ogonem, w białych dzinsach i sportowej bluzie. Serdecznie przywitała się z Reiko i Naoko.

- To jest przyjaciel Naoko - przedstawiła mnie Reiko.

- Dzień dobry - powitała mnie dziewczyna.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.

Trzy kobiety gawędziły, a ja głaskałem po karku leżącego pod stołem psa. Rzeczywiście miał twardą żylastą szyję starego psa. Kiedy drapałem w te twarde miejsca, pies z zadowolenia przymykał oczy i wzdychał.

- Jak ma na imię? - zapytałem dziewczynę z kawiarni.

- Pepe.

- Pepe! - zawołałem, ale ani drgnął.

- Jest głuchy, musisz głośniej zawołać, żeby usłyszał - powiedziała dziewczyna. Sądząc po akcencie, pochodziła z Kioto.

- Pepe! - krzyknąłem głośniej. Pies otworzył oczy, zerwał się na równe nogi i szczeknął.

- Dobry pies, dobry, no, poleż sobie i żyj długo - powiedziała dziewczyna i Pepe znowu położył się pod moimi nogami.

Naoko i Reiko zamówiły zimne mleko, ja piwo. Reiko poprosiła o nastawienie radia na stację UKF, kelnerka włączyła odbiornik i znalazła stację. Z radia dobiegło *Spinning Wheel* grupy Blood, Sweat and Tears.

- Prawdę mówiąc, przychodzę tu, bo chcę posłuchać UKF - przyznała się zadowolona Reiko.

- W domu nie mamy radia, więc jeżeli nie przyjdę tu od czasu do czasu, nie wiem, jakiej muzyki słucha się teraz na świecie.

- Czy ty tu nocujesz? - zapytałem dziewczynę.

- Coś ty! - roześmiała się. - Gdybym została na noc w takim miejscu, umarłabym z samotności. Wieczorem ktoś z nadzoru pastwiska zawozi mnie tym do miasta, a rano znów przyjeżdżam - wyjaśniła, wskazując ciężarówkę z napędem na cztery koła, która stała zaparkowana kawałek dalej przed kantorkiem.

- Już wkrótce koniec sezonu, prawda? - zapytała Reiko.

- Tak, niedługo zamykamy - potwierdziła kelnerka. Reiko poczęstowała ją papierosem i razem sobie zapaliły.

- Smutno będzie bez ciebie - powiedziała Reiko.

- Przyjadę znowu w maju w przyszłym roku - odparła ze śmiechem dziewczyna.

Z radia dobiegał *White Room* grupy Cream, potem była reklama, a następnie *Scarborough Fair* Simona i Garfunkela. Po zakończeniu piosenki Reiko powiedziała, że ją bardzo lubi.

- Widziałem ten film.

- Kto gra?

- Dustin Hoffman.

- Nie znam go - powiedziała, smutno pokręciwszy głową. - Świat się ciągle zmienia, a ja nic nie wiem.

Poprosiła o pożyczenie gitary. Dziewczyna wyłączyła radio i przyniosła z zaplecza starą gitarę. Pies podniósł głowę, obwąchał ją.

- To nie do jedzenia - skarciła go Reiko. Wiatr przynosił zapach trawy aż na werandę. Grzbiety gór wyraźnie rysowały się na horyzoncie.

- Zupełnie jak w scenie z *The Sound of Music* - powiedziałem do Reiko, która stroiła gitarę.

- Co to takiego? - zapytała.

Zagrała pierwszy akord *Scarborough Fair*. Grała ze słuchu, pierwszy raz, i najpierw wahała się, szukając odpowiednich akordów, ale po kilku próbach i błędach udało jej się zagrać całą piosenkę. Za trzecim razem grała już, dodając tu i tam coś od siebie. - Dobry słuch - powiedziała, puszczając do mnie oko i pukając się w skroń. - Większość piosenek mogę zagrać bez nut. Wystarczy, że usłyszę ze trzy razy.

Cicho nucąc melodię, zagrała bezbłędnie całe *Scarborough Fair*. Zaklaskaliśmy we trójkę, a Reiko uprzejmie skłoniła głowę.

- Dawno temu, grając koncert Mozarta, dostałam większe oklaski.

Kelnerka powiedziała, że jeśli zagra *Here Comes the Sun* Beatlesów, mleko będzie na koszt firmy. Reiko podniosła kciuk do góry na znak, że się zgadza. I zaśpiewała. Nie miała zbyt mocnego głosu, przy tym z powodu papierosów był nieco ochrypły, ale brzmiał pięknie, trafiał do serca. Kiedy popijając piwo, patrzyłem na góry i słuchałem jej śpiewu, wydawało mi się, że rzeczywiście jeszcze raz wszędzie zza nich słońce. Ogarnął mnie przyjemny, błogi nastrój.

Kiedy skończyła, oddała dziewczynie gitarę i znów poprosiła o włączenie radia na UKF, a następnie zaproponowała, żebyśmy we dwoje z Naoko przeszli się z godzinę po okolicy.

- Ja sobie tutaj posłucham muzyki i pogawędzę z nią, wystarczy, jeśli wrócicie do trzeciej.

- Czy możemy być sami we dwoje tak długo? - zapytałem.

- Tak naprawdę, to niedozwolone, ale co tam. Przecież nie jestem przyzwoitką, chcę trochę pobyć sama. Do tego specjalnie przyjechałeś taki kawał, macie dużo spraw do omówienia, prawda? - zapytała, zapalając kolejnego papierosa.

- Chodźmy - powiedziała Naoko, wstając.

Ja też się podniosłem i ruszyłem za nią. Pies obudził się i kawałek za nami podreptał, lecz potem zrezygnował i wrócił na swoje miejsce. Szliśmy powoli po równinie wzdłuż płotu. Od czasu do czasu Naoko ścisnęła moją dłoń albo brała mnie pod rękę.

- Idziemy sobie tak jak kiedyś dawno, prawda?

- To nie było tak dawno. Wiosną tego roku - powiedziałem, śmiejąc się. - Jeszcze wiosną tak chodziliśmy. Jeżeli to jest dawno, to dziesięć lat temu byłoby już starożytnością.

- Dla mnie to jak starożytność - powiedziała Naoko. - Przepraszam cię za wczorajszy wieczór. Jakoś nerwy mnie poniosły. Przykro mi, bo przecież specjalnie do mnie przyjechałeś.

- Nie szkodzi. Myślę, że oboje nosimy jeszcze w sobie wiele uczuć, których warto się pozbyć. Jeżeli ktoś ma oberwać przy tej okazji, to mogę być ja. Może wtedy lepiej się zrozumiemy.

- A co będzie, kiedy zrozumiesz mnie lepiej?

- Nie rozumiesz. Nie chodzi o to, co będzie. Są na świecie ludzie, którzy przez cały dzień czytają dla przyjemności rozkład jazdy pociągów. Albo budują metrowy statek z zapalek. Dlatego to chyba nic dziwnego, że jest na świecie człowiek, próbujący cię zrozumieć?

- To coś w rodzaju hobby? - zapytała rozbawiona.

- Możesz to nazwać hobby. Większość normalnych ludzi powiedziała by, że to przyjaźń albo miłość, ale jeżeli chcesz, może być hobby.

- Powiedz mi, lubiłeś Kizukiego?

- Oczywiście.

- A co sądzisz o Reiko?

- Ją też bardzo lubię. Jest dobra.

- Dlaczego lubisz tylko takich ludzi? - zapytała Naoko. - Wszyscy jesteśmy pokręcani, pogmatwani, nie umiemy dobrze pływać i powoli toniemy. I ja, i Kizuki, i Reiko. Wszyscy tacy jesteśmy. Dlaczego nie przyjaźnisz się z kimś normalniejszym?

- Bo ja nie patrzę na to w ten sposób - odpowiedziałem po chwili namysłu. - Nie uważam, że ty, Kizuki i Reiko jesteście pokręcani. Ci, których uważam za pokręconych, żyją sobie spokojnie na zewnątrz.

- To my jesteśmy pokręcani. Ja wiem.

Przez jakiś czas szliśmy bez słowa. Droga oddaliła się od pastwiska i doprowadziła do okrągłej łąki otoczonej lasem, zupełnie jak małe jezioro.

- Czasami budzę się w środku nocy i tak się strasznie boję - powiedziała Naoko, przytulając się do mojego ramienia. - Boję się że tak pokręcona nie będę mogła wrócić do poprzedniego życia, będę się tu starzeć, aż spróchnięję. Na tę myśl zimno przenika mnie do szpiku kości. To straszne. Ciężko mi i zimno.

Otoczyłem ją ramieniem i przytuliłem.

- Zupełnie jakby z ciemności Kizuki wyciągał do mnie rękę, jakby mnie wzywał. "Hej, Naoko, nie możemy być tak daleko od siebie". Kiedy tak mnie woła, naprawdę nie wiem, co mam robić.

- I co wtedy robisz?

- Ale proszę cię, nie zrozum tego źle.

- Nie zrozumieć źle - obiecałem.

- Przytulam się do Reiko. Budzę ją, wślizguję jej się do łóżka, przytulam się do niej i płaczę.

Ona mnie głaszcze, aż się rozgrzeję. To dziwaczne, prawda?

- Wcale nie. Myślę tylko, że to ja chciałbym cię przytulać zamiast Reiko.

- Teraz mnie przytul, tutaj - poprosiła.

Usiedliśmy na wyschniętej trawie i objęliśmy się. Byliśmy całkowicie ukryci w trawie, nie widzieliśmy nic oprócz nieba i chmur. Powoli położyłem Naoko na ziemi, objąłem. Jej ciało było miękkie i ciepłe, jej ręce szukały mnie. Pocałowaliśmy się czule.

- Słuchaj - szepnęła mi do ucha.

- Tak?

- Chcesz się ze mną przespać?

- Oczywiście.

- Ale możesz poczekać?

- Oczywiście, że mogę.

- Zanim to zrobimy, chcę się jeszcze trochę pozbierać, żeby się nadawać na to twoje hobby.

Zaczekasz do tego czasu?

- Oczywiście, zaczekam.

- Czy to jest teraz twarde?

- Chodzi ci o moją podeszwę?

- Głuptasie - zachichotała.

- Jeżeli chodzi ci o to, czy mam erekcję, to tak, oczywiście.

- Czy możesz przestać mówić "oczywiście"?

- Mogę.

- Czy to trudno wytrzymać?

- Co?

- Kiedy jest twarde?

- Trudno? - zapytałem.

- To znaczy... czy cię to męczy?

- Zależy, jak na to spojrzysz.

- Mam ci pomóc?

- Ręką?

- Tak. Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu wpija mi się w bok i to boli.

Przesunąłem się kawałek. - Teraz lepiej?

- Dziękuję.

- Wiesz co, Naoko?

- Co?

- Fajnie by było, gdybyś to zrobiła.

- Dobrze - powiedziała, uśmiechając się. Rozpięła mi spodnie i ujęła twarde członek. - Jest ciepły.

Zacząła poruszać dłonią, ale powstrzymałem ją, odpiąłem jej bluzkę, wsunąłem rękę na plecy i rozpiąłem też stanik. Pocałowałem miękkie różowe sutki. Naoko zamknęła oczy i powoli zaczęła przesuwać palce.

- Dobra w tym jesteś.

- Bądź grzecznym chłopcem i siedź cicho.

Kiedy było po wszystkim, przytuliłem ją czule, jeszcze raz pocałowałem. Naoko poprawiła stanik i bluzkę, ja zapiąłem spodnie.

- Czy teraz łatwiej będzie ci iść? - zapytała.

- Tak, dzięki tobie.

- Skoro tak, to przejdźmy się jeszcze kawałek.

- Chętnie.

Przecieliśmy łąkę, przeszliśmy przez zagajnik, potem znowu znaleźliśmy się na łące. Naoko opowiedziała mi o swojej zmarłej starszej siostrze. Do tej pory nikomu o tym nie mówiła, lecz uznała, że mnie powinna powiedzieć.

- Była ode mnie starsza o sześć lat, miałyśmy różne charaktery, ale bardzo się kochałyśmy - zaczęła Naoko. - Ani razu się nie pokłóciłyśmy. Naprawdę. Oczywiście, byłem od niej o tyle



młodsza, że nie było o co się kłócić.

Jej siostra była zawsze najlepsza we wszystkim, czegokolwiek się chwyciła. Pierwsza w nauce, pierwsza w sporcie, popularna, z talentem przywódczym, sympatyczna, otwarta, miała powodzenie u chłopaków, lubiana przez nauczycieli, dostała ze sto różnych dyplomów. W każdej szkole jest jedna taka dziewczyna.

- Nie mówię tak dlatego, że była moją siostrą. Ona naprawdę nie była rozpieszczona, próżna, nie zadzierała nosa. Nie lubiła się chwalić i rzucać w oczy. Po prostu wszystko, do czego się zabrała, samo jej wychodziło i stawała się w tym najlepsza. Więc od czasu, kiedy byłam małą, zdecydowałam, że będę "ładną dziewczyną" - opowiadała Naoko, obracając w palcach źdźbło trawy. - Dorastałam przecież, słuchając, jaka ona jest mądra, jaka dobra w sportach, jaka lubiana. Wiedziałam, że nigdy jej nie dorównam. Tylko twarz miałam chyba trochę ładniejszą, więc i rodzice zdaje się postanowili wychować mnie na tę "ładną córkę". Dlatego już od podstawówki posyłałam mnie do prywatnych szkół, ubierali w aksamitne sukienki, bluzeczki z falbankami i lakierki, chodziłam na lekcje pianina, na balet. Dzięki temu siostra była dla mnie bardzo kochana. Byłam jej małą słodką siostrzyczką. Kupowała mi różne drobiazgi, prowadziła w ciekawe miejsca, pomagała w nauce. Zabierała mnie nawet na randki. Była wspianią starszą siostrą.

Nikt nie wie, dlaczego popełniła samobójstwo. Tak samo jak z Kizukim. Zupełnie tak samo. Też miała siedemnaście lat, nic w jej zachowaniu nie wzbudzało podejrzeń, że może się zabić, nie zostawiła pożegnального listu. Identycznie, prawda?

- Rzeczywiście - przyznałam.

- Wszyscy mówili, że była za mądra albo książek za dużo czytała. Rzeczywiście dużo czytała. Miała masę książek, po jej śmierci przeczytałam ich sporo. To było takie smutne: jej uwagi na marginesach, zasuszone kwiaty między kartkami, listy od chłopaków. Często płakałam.

Naoko znowu przez chwilę milczała, bawiła się trawką.

- Należała do ludzi, którzy wszystko robią sami. Nikogo się nie radziła, od nikogo nie potrzebowała pomocy. To nie była kwestia dumy. Prawdopodobnie uważała to za oczywiste. Rodzice też przywykli do tego, że starszej córki nie muszą pilnować. Często pytałam ją o zdanie, serdecznie mi pomagała w różnych sprawach, ale sama nikogo o nic nie pytała, w pojedynkę dawała sobie radę. W pojedynkę dawała sobie radę. Nigdy się nie złościła, nie wpadała w zły humor. Naprawdę. Nie przesadzam. Kobiety, kiedy mają okres, często wpadają w zły humor, wyładowują się na innych, w mniejszym lub większym stopniu. Tego też nie robiła. Zamiast

złego humoru ogarniało ją przygnębienie. Zdarzało się to mniej więcej raz na dwa, trzy miesiące. Na jakieś dwa dni zamykała się w swoim pokoju i leżała. Nie szła do szkoły, prawie nic nie jadła. Nie zapalała światła, nic nie robiła, po prostu patrzyła w przestrzeń. Ale nie był to zły humor. Kiedy wracałam ze szkoły, wołała mnie do siebie, sadzała obok i pytała, jak minął dzień. Nie rozmawiałyśmy o niczym poważnym, tylko o tym, w co się bawiłam z koleżankami, co powiedział nauczyciel, jak mi poszła klasówka. Wysłuchawszy uważnie, mówiła, co o tym sądzi, udzielała rad. Lecz kiedy wychodziłam - na przykład szłam się bawić z koleżankami czy na balet, znowu kładła się i leżała nieruchomo. Mijały dwa dni i samo jej to przechodziło, szła znów wesolo do szkoły. To się ciągnęło przez jakieś cztery lata. Na początku rodzice się przejmowali, radzili lekarza, ale ponieważ zawsze po dwóch dniach przychodziła do siebie, uznali, że należy zostawić ją w spokoju i z czasem jakoś się to ułoży. Przecież to taka rozsądna, mądra dziewczyna.

Po śmierci siostry kiedyś podsłuchałam rozmowę rodziców. Mówili o młodszym bracie taty, który umarł dawno temu. Też był bardzo inteligentny, lecz przez cztery lata, od siedemnastego do dwudziestego pierwszego roku życia, siedział zamknięty w domu, aż pewnego dnia nagle wyszedł i rzucił się pod pociąg. I wtedy tato powiedział: "Może to dziedziczne w mojej rodzinie?".

Mówiąc, Naoko nieświadomie obrywała nasiona z kłosa trawy i rozrzucała na wietrze. Kiedy już wszystkie oberwała, owinęła sobie źdźbło wokół palca.

- To ja ją znalazłam martwą - ciągnęła. - W szóstej klasie szkoły podstawowej, jesienią, w listopadzie. Padał deszcz, był ciemny, pochmurny dzień. Siostra była wtedy w trzeciej klasie liceum. O pół do siódmej wróciłam do domu po lekcji pianina. Mama przygotowała kolację i wysłała mnie na górę po siostrę. Weszłam na piętro, zapukałam do drzwi jej pokoju, zawołałam, że kolacja. Nie było odpowiedzi, kompletna cisza. Pomyślałam, że to trochę dziwne, jeszcze raz zapukałam, delikatnie otworzyłam drzwi i zajrzałam. Myślałam, że może zasnęła. Ale siostra nie spała. Stała koło okna, z głową przechyloną tak na bok, nieruchomo wyglądała przez okno. Zupełnie jakby się zamyśliła. W pokoju było ciemno, światło się nie paliło, nie było dobrze widać. "Co robisz? Jest już kolacja" - powiedziałam. Wtedy zauważyłam, że wydaje się wyższa niż zwykle. To dziwne, co się stało? - pomyślałam. - Może ma wysokie obcasy albo stoi na jakimś podwyższeniu? Podeszłam bliżej i właśnie miałam się odezwać, kiedy nagle dostrzegłam nad jej głową sznur. Z belki na suficie prościutko zwisał sznur - naprawdę wyjątkowo prosto,

jakby ktoś narysował linijką kreskę od sufitu. Siostra miała na sobie białą bluzkę - taką zwykłą jak ta i szarą spódnicę, jej stopy były skierowane w dół, jak u baletnicy, pomiędzy czubkami palców a podłogą była pusta, około dwudziestocentymetrowa przestrzeń. Widziałam wszystko dokładnie. Twarz też. Widziałam jej twarz. Musiałam zobaczyć. Od razu pomyślałam, że trzeba zejść na dół, zawiadomić mamę, krzyknąć. Lecz moje ciało nie słuchało. Poruszało się samo bez związku ze świadomością. Chociaż świadomość chciała szybko zbiec na dół, ciało działało samowolnie i próbowało zdjąć ciało siostry ze sznura. Oczywiście dziecko nie miało tyle siły, więc stałam tam przez pięć, może sześć minut, zupełnie jak nieprzytomna. Nie wiedziałam, co się dzieje. Jakby coś we mnie umarło. Stałam tam obok siostry, aż mama przyszła zobaczyć, co się dzieje. W tym ciemnym, zimnym miejscu...

Naoko pokręciła głową. - Przez trzy dni nie mogłam wykrztusić słowa. Leżałam w łóżku jak martwa, tylko oczy miałam otwarte. Nie wiedziałam, co się dzieje - przytuliła się do mojego ramienia. - Napisałam ci w liście, prawda? Jestem o wiele bardziej niedoskonała, niż myślisz. Jestem o wiele bardziej chora, niż myślisz, źródła tej choroby są głębokie. I dlatego chciałabym, żebyś, jeżeli możesz, szedł naprzód sam. Na mnie nie czekaj. Jeżeli chcesz, śpij z kimś innym. Nie oglądaj się na mnie, rób, na co masz ochotę. W przeciwnym razie może skończyć się na tym, że pociągnę cię za sobą, a tego jednego bym nie chciała. Nie chcę być przeszkodą w twoim życiu. Nikomu nie chcę być zawadą. Jak przedtem mówiłam, przyjedź do mnie czasem i zawsze o mnie pamiętaj. Tylko tego pragnę.

- Lecz ja chcę nie tylko tego - powiedziałam.

- Marnujesz sobie życie, zadając się ze mną.

- Niczego nie marnuję.

- Być może nigdy nie wyzdrowieję. Mimo wszystko będziesz na mnie czekał? Potrafisz czekać dziesięć, dwadzieścia lat?

- Za bardzo się obawiasz - powiedziałam. - Ciemności, złych snów, mocy zmarłych. Musisz o tym zapomnieć. Jeżeli tylko zapomnisz, na pewno wydobrzejesz.

- Gdybym mogła zapomnieć - Naoko pokręciła głową.

- Gdybyś mogła stąd wyjechać, zamieszkałabyś ze mną? - zapytałam. - Wtedy mógłbym cię chronić przed ciemnościami i snami, i ja przytulałbym cię, zamiast Reiko, kiedy byłoby ci ciężko na sercu.

Naoko mocniej przywarła do mojego ramienia.

- Gdyby to było możliwe, byłoby wspaniale - powiedziała.

Wróciliśmy do kawiarni trochę przed trzecią. Reiko czytała książkę i słuchała drugiego koncertu fortepianowego

Brahmsa nadawanego na UKF. Na skraju łąki, gdzie w zasięgu wzroku nie było żywego ducha, Brahms brzmiał wspaniale. Reiko pogwizdywała razem z wiolonczelą, rozpoczynając trzecią część koncertu.

- Backhaus i Bohm - powiedziała. - Dawno temu tak często słuchałam tej płyty, że nieomal rowki się wytarły. Naprawdę zniknęły. Słuchałam jej od początku do końca. Dosłownie wyssałam z niej wszystko.

Zamówiliśmy z Naoko gorącą kawę.

- Nagadaliście się? - zapytała Reiko.

- Tak, o wielu rzeczach - odpowiedziała Naoko.

- Potem mi dokładnie opowiesz, jakiego ma, dobrze?

- Nie robiliśmy nic z tych rzeczy. - Naoko poczerwieniała.

- Naprawdę nic nie robiliście? - Reiko skierowała pytanie do mnie.

- Nic.

- Nudy - powiedziała ze znudzonym wyrazem twarzy.

- Fakt - zgodziłem się, popijając kawę.

Kolacja wyglądała mniej więcej tak samo jak poprzedniego dnia. Atmosfera, szmer rozmów, wyraz twarzy ludzi - wszystko były identyczne, jedynie jadłospis się różnił. Mężczyzna w białym fartuchu, ten, który opowiadał wczoraj o wydzielaniu kwasu żołądkowego w stanie nieważkości, przysiadł się do naszego stolika i rozprawiał na temat związku pomiędzy wielkością mózgu a inteligencją. Jedząc kotlet z soi, musieliśmy słuchać o pojemności mózgu Bismarcka czy Napoleona. Mężczyzna odsunął na bok talerz i narysował na kartce mózg. Wiele razy poprawiał rysunek, powtarzając: "Nie, tu jest trochę inaczej". Kiedy skończył, starannie złożył kartkę i schował do kieszonki, długopis wrócił do kieszeni na piersi. Miał w niej już trzy długopisy, ołówek i linijkę. Gdy skończył jeść, powiedział dokładnie to samo, co wczoraj: - Tu jest bardzo piękna zima. Następnym razem proszę koniecznie przyjechać zimą - i odszedł.

- Czy to lekarz, czy pacjent? - zapytałem Reiko.

- A jak sądzisz?
- Nie mam pojęcia. Tak czy inaczej nie wygląda na całkiem normalnego.
- To lekarz. Doktor Miyata - powiedziała Naoko.
- Ale to najbardziej zwariowany człowiek w okolicy. Mogę się założyć - dodała Reiko.
- Strażnik, pan Ómura, też jest nieźle stuknięty - oświadczyła Naoko.
- Uhm, jest stuknięty - zgodziła się Reiko, nabijając na widelec kawałek brokuła. -

Codziennie rano robi jakąś szaloną gimnastykę, wykrzykując nie wiadomo co. Przed przyjazdem Naoko była w księgowości dziewczyna, nazywała się Kinoshita. Miała nerwicę i próbowała popełnić samobójstwo, a w zeszłym roku z powodu zaawansowanego alkoholizmu zwolniono panią Tokushimę, pielęgniarkę.

- Można by zamienić pacjentów z personelem - powiedziałem zaskoczony.

- Trafiłeś w sedno - odparła Reiko, bawiąc się widelcem. - Wygląda na to, że po trochu zaczynasz rozumieć, o co tu chodzi.

- Na to wygląda.

- Nasza normalność polega na tym, że zdajemy sobie sprawę z własnej nienormalności.

Po powrocie do pokoju postanowiliśmy z Naoko zagrać w karty, a Reiko ćwiczyła na gitarze Bacha.

- O której jutro wyjeżdżasz? - zapytała Reiko, przerywając grę i zapalając papierosa.

- Po śniadaniu. Po dziewiątej jest autobus. Akurat zdążę na wieczór do pracy.

- Szkoda, że nie możesz trochę dłużej zostać.

- Wtedy pewnie zostałbym na stałe - powiedziałem ze śmiechem.

- To też prawda - rzuciła Reiko i zwróciła się do Naoko - muszę iść do pani Oka po winogrona. Zupełnie zapomniałam.

- Iść z tobą? - zapytała Naoko.

- Nie, ale może mogłabym pożyczyć Watanabego?

- Proszę bardzo.

- No to chodźmy znowu na wieczorny spacer - powiedziała Reiko, biorąc mnie za rękę. - Wczoraj już prawie do czegoś między nami doszło, więc dziś się pewnie nie pohamujemy.

- Proszę bardzo, nie krępujcie się - zachichotała Naoko.

Wiał zimny wiatr, więc Reiko narzuciła na bluzkę jasnoniebieski zapinany sweter i wsunęła

ręce do kieszeni spodni. Podniosła głowę ku niebu, wężąc jak pies. - Pachnie deszczem - powiedziała. Ja też próbowałem węszyć, lecz nic nie poczułem. Niebo rzeczywiście zasnuło się chmurami, za którymi skrył się księżyc.

- Kiedy człowiek jest tu długo, potrafi mniej więcej przewidzieć pogodę po zapachu powietrza.

Weszliśmy do zagajnika, w którym znajdowały się mieszkania personelu, i Reiko kazała mi zaczekać. Podeszła do jednego z domków i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła kobieta - chyba pani domu. Zamieniła z Reiko parę słów, potem zniknęła we wnętrzu i po chwili wyłoniła się z dużą plastikową torbą. Reiko podziękowała jej, życzyła dobrej nocy i wróciła do mnie.

- Patrz, dostałam winogrona - rozchyliła torbę. Była pełna kiści owoców.

- Lubisz winogrona?

- Lubię.

Podniosła leżące na wierzchu grono i podała mi. - Są umyte, można jeść.

Ruszyliśmy przed siebie. Jadłem winogrona, pestki oraz skórki wypluwałem na ziemię. Owoce były świeże i orzeźwiające. Reiko też jadła.

- Uczę trochę jej synka gry na pianinie i w zamian dostaję różne rzeczy. Tamto wino też było od nich. Czasem robią dla mnie niewielkie zakupy w mieście.

- Chciałbym usłyszeć dalszy ciąg wczorajszego opowiadania - powiedziałem.

- Dobrze. Ale czy Naoko nie zacznie nas o coś podejrzewać, jeżeli będziemy co wieczór późno wracać?

- I tak chcę usłyszeć, nawet gdyby miała podejrzewać.

- Dobrze, to porozmawiamy gdzieś pod dachem. Dziś jest trochę chłodno.

Przed kortami tenisowymi skręciliśmy w lewo, zeszliśmy po wąskich schodkach i znaleźliśmy się przed rzędem niewielkich baraków używanych jako magazyny. Reiko otworzyła drzwi do pierwszego z nich, weszła i zapaliła światło. - Zapraszam. Nie ma tu niestety nic ciekawego.

Wzdłuż ścian stały rzędy porządnie ustawionych nart biegowych, kijków i butów, narzędzia do odwalania śniegu i worki z solą do posypywania.

- Dawniej przychodziłam tu ćwiczyć grę na gitarze. Kiedy chciałam być sama. Przytulnie tu, prawda?

Przysiadła na worku i wskazała mi miejsce obok siebie. Usiadłem posłusznie.

- Mogę zapalić? Trochę się tu nadymi.

- Proszę bardzo.

- Tej jednej rzeczy nie mogę sobie odmówić - powiedziała Reiko, krzywiąc się; ze smakiem zaciągnęła się papierosem. Rzadko widuje się kogoś palącego z taką przyjemnością. Jadłem winogrona, wyrzucając pestki i skórki do blaszanej puszki, która służyła tu za kosz na śmieci.

- Dokąd wczoraj doszłam? - zapytała Reiko.

- Do tego, jak nocą pośród burzy wspinasz się po stromej skale, żeby dotrzeć do jaskółczego gniazda.

- Jesteś zabawny, bo żartujesz ze śmiertelnie poważną miną. Chyba doszłam do tego, że w każdą sobotę rano uczyłam tę dziewczynkę gry na pianinie?

- Tak.

- Gdyby podzielić ludzi na dwa rodzaje: tych, którzy umieją uczyć, i tych, którzy nie umieją, pewnie zaliczałabym się do tych pierwszych. W młodości tak nie myślałam. Może nie chciałam tak myśleć. Doszłam do tego dopiero w pewnym wieku, kiedy byłam w stanie to ocenić. Jestem dobrą nauczycielką. Jestem w tym naprawdę dobra.

- Na pewno - zgodziłem się.

- Dla innych mam o wiele więcej cierpliwości niż dla siebie i łatwiej mi dostrzec u nich dobre strony. Mam taki charakter. Krótko mówiąc, jestem chropowata jak warstwa siarki na boku pudełka zapalek. Nie szkodzi. Specjalnie mi to nie przeszkadza. Lepiej być dobrej jakości pudełkiem niż poślednią zapałką. Zaczęłam uczyć tę dziewczynkę i mniej więcej wtedy zdałam sobie z tego jasno sprawę. W młodości dawałam lekcje kilku osobom, ale szczególnie się nad takimi rzeczami nie zastanawiałam. Dopiero przy niej. Ojej, ja świetnie uczę! Tak dobrze nam szły lekcje.

Jak ci wczoraj mówiłam, ta dziewczynka nie była zbyt dobra technicznie, ale nie chciała zostać pianistką; dzięki temu nie czułam żadnej presji i łatwo było mi uczyć. Poza tym chodziła do żeńskiego liceum, z którego mogła automatycznie dostać się na uczelnię, pod warunkiem że będzie miała w miarę przyzwoite stopnie, więc w naukę nie musiała wkładać wielkiego wysiłku. Matka też mówiła, że "lekcje mają być przyjemne". Dlatego do niczego jej nie zmuszałam. Od pierwszej chwili zorientowałam się, że pewnie bardzo niechętnie zareaguje na jakikolwiek przymus. Grzecznie wszystkiemu przytakując zawsze robiła to, na co miała ochotę. Dlatego przede wszystkim pozwalałam jej grać tak, jak chciała. W stu procentach tak jak chciała. Potem

grałam dla niej ten sam utwór na różne sposoby. Następnie naradzałyśmy się, które wykonanie jest dobre, które nam się podoba. A na koniec kazałam jej zagrać jeszcze raz. I wtedy grała znacznie lepiej niż na początku. Dostrzegała, co było dobre, i przyswajała to.

Reiko przerwała i wpatrzyła się w rozżarzony czubek papierosa. Ja w milczeniu jadłam winogrona.

- Mam dość dobre wyczucie muzyczne, lecz ta dziewczyna mnie przewyższała. Co za szkoda, myślałam. Gdyby od dzieciństwa uczyła się systematycznie u dobrego nauczyciela, pewnie do czegoś by doszła. Lecz myliłam się. Nie zniosłaby regularnej nauki. Są tacy ludzie. Obdarzeni wielkim talentem, który roztrwaniają, niezdolni do wysiłku, żeby talent usystematyzować. Poznałam kilka takich osób. Najpierw myśli się: "To naprawdę coś!". Na przykład niektóre dzieci potrafią zagrać bardzo trudny utwór, tylko raz spojrzawszy na nuty. I zagrać zupełnie dobrze. Słuchaczom odbiera mowę z podziwu. Ja bym czegoś takiego nie potrafiła. Ale na tym koniec. Nie robią postępów. Dlaczego nie robią? Bo się nie starają. Bo nikt im nie wpoił nawyku systematycznego ćwiczenia. Są rozpieszczone. Mają talent, więc od dzieciństwa wszyscy je wychwalali. Nawet nie starając się, nieźle sobie radziły, toteż wszelkie staranie wydaje im się głupie. Utwór, którego opanowanie zabiera innym dzieciom trzy tygodnie, im nie zajmuje nawet połowy tego czasu, więc nauczyciel też zakłada, że dziecko już umie, i przechodzi do następnego utworu. Ten następny też zajmuje tylko połowę tego czasu, co innym dzieciom. I do kolejnego. I tak nie wiedząc, co znaczy systematyczne ćwiczenie, tracą pewne cechy potrzebne do budowy charakteru. To tragedia. Ja też miałam takie inklinacje, ale na szczęście moja nauczycielka była bardzo surowa i udało mi się tego uniknąć.

Bardzo przyjemnie było uczyć tę dziewczynkę. Jakby się jechało sportowym samochodem o wielkiej mocy po autostradzie, kiedy silnik reaguje natychmiast na najmniejszy ruch kierownicy. Nawet jeżeli czasami reaguje odrobinę za szybko. Tajemnica uczenia takich dzieci polega na tym, żeby ich za bardzo nie chwalić. Od dzieciństwa przywykły do komplementów, więc chwalone myślą sobie: znowu to samo. Wystarczy czasami umiejętnie zachęcić. I nie robić nic na siłę. Dać im wybór. Nie iść coraz dalej naprzód, a zatrzymać się i kazać pomyśleć. Tylko tyle. Wtedy wszystko dobrze pójdzie.

Reiko rzuciła niedopałek na ziemię i rozdeptała. Wzięła głęboki oddech, jakby próbując uspokoić wzburzone emocje.

- Po lekcji piłyśmy herbatę i rozmawiałyśmy. Czasami naśladowałam pianistów jazzowych i



uczyłam, jak to robić. Tak grał Bud Powell, a tak Thelonious Monk. Zazwyczaj jednak ona mówiła. Ciekawie opowiadała i wciągały mnie jej historie. Tak jak ci wczoraj mówiłam, w większości były zmyślane, ale i tak interesujące. Miała świetny zmysł obserwacji, używała trafnych wyrażen, ironicznych i dowcipnych. Naprawdę umiała trafić do słuchacza, wzruszyć go. Wiedziała o tej swojej umiejętności i starała się jak najlepiej, jak najefektywniej z niej korzystać. Potrafiła igrać z uczuciami drugiej osoby, tak jak chciała - umiała rozgniewać, zasmucić, wzbudzić współczucie, rozczarować, ucieszyć. Oczywiście dopiero potem zdałam sobie z tego sprawę. Na początku nie wiedziałam.

Reiko potrząsnęła głową i zjadła kilka winogron.

- To choroba - rzekła. - Toczyła ją od środka. Jak zgniłe jabłko wywołujące gnicie innych owoców. I tej choroby nikt nie mógł wyleczyć. Będzie chorowała do śmierci. Dlatego w pewnym sensie można by współczuć tej dziewczynie. Pewnie też bym tak myślała, gdybym nie stała się jej ofiarą. Ją też uważałabym za ofiarę.

Zjadła jeszcze jedno winogrono. Zdawała się zastanawiać, jak dalej opowiadać.

- Przez pół roku było bardzo przyjemnie. Czasami czymś mnie zaskakiwała, coś mnie dziwiło. Albo przerażała mnie, opowiadając o tym, jak straszliwie kogoś nienawidzi i nienawiść owa zdawała się przekraczać granice rozsądku. Dziewczyna bywała też niesłychanie przenikliwa i zastanawiałam się, co naprawdę myśli. Ale przecież każdy ma jakieś wady, prawda? A poza tym byłam tylko nauczycielką gry na pianinie. Nie do mnie należało krytykowanie jej osobowości czy charakteru. Mnie wystarczyło, że ćwiczy przed lekcjami, prawda? A do tego bardzo ją lubiłam.

Jednak starałam się nie rozmawiać z nią o sprawach osobistych. Jakoś instynktownie czułam, że lepiej tego unikać. Więc chociaż mnie wypytywała - bardzo chciała wszystko o mnie wiedzieć - podawałam jej same mało ważne informacje. Gdzie się wychowałam, do której szkoły chodziłam, mniej więcej tego typu rzeczy. Twierdziła, że chciałaby się więcej o mnie dowiedzieć. Odparłam, że nie mam jej nic ciekawego do powiedzenia: wiodę nudne życie, mam zwykłego męża, dziecko, dużo pracy w domu. - Ale ja panią tak bardzo lubię - mówiła błagalnie, wpatrując się we mnie. Pod wpływem tego spojrzenia przeszedł mnie dreszcz. Przyjemny dreszcz. Mimo to nie powiedziałam jej nic niepotrzebnego.

To chyba było w maju. W czasie lekcji nagle oznajmiła, że jej niedobrze. Rzeczywiście zbladła, na twarzy miała krople potu. Zapytałam, czy chce iść do domu, a ona na to, żebym

pozwoliła jej się na chwilę położyć, to poczuje się lepiej. Powiedziałam, że proszę bardzo i że może się położyć na moim łóżku. Prawie zaniósłam ją do swojego pokoju. Mieliśmy bardzo małą kanapę, więc musiałam ją zabrać do sypialni. Przepraszała, że sprawia kłopot, ale powiedziałam, żeby się tym nie martwiła. Zapytałam, czy napije się wody albo czegoś innego. Ona na to, że nie i że bym tylko z nią posiedziała. Posiedzieć oczywiście mogłam.

Po chwili pyta cierpiącym głosem: - Przepraszam, czy nie mogłaby mi pani pomasażować pleców? - Widzę, że jest cała spocona, więc zaczęłam masować ze wszystkich sił. - Bardzo przepraszam, czy mogłaby mi pani rozpiąć stanik? Ciśnie mnie. - Cóż miałam robić? Rozpięłam. Miała na sobie bardzo dopasowaną bluzkę, więc rozpięłam guziki i odpięłam stanik na plecach. Jak na trzynastolatkę miała duże piersi, ze dwa razy większe od moich. Stanik też nie był dziewczęcy, a prawdziwy, dorosły i do tego bardzo dobrej jakości. No ale to przecież też nie miało znaczenia. Dalej masowałam jej plecy, jak idiotka. Ona ciągle przepraszała za kłopot, a ja powtarzałam, żeby się nie przejmowała.

Reiko strząsnęła popiół z kolejnego papierosa na podłogę. Ja przestałam już jeść winogrona i siedziałam zasluchany.

- Wkrótce zaczęła szlochać. - Co się stało? - zapytałam.

- Nic, nic.

- Nie "nic", tylko powiedz prawdę.

- Czasami wpadam w taki stan. Czuję, że nie mam wyjścia. Jestem samotna, smutna, nie mogę na nikim polegać, nikogo nie obchodzę. To boli i wpadam w taki stan. Nocami nie mogę spać, prawie nie mam apetytu. Moja jedyna przyjemność to lekcje u pani.

- Powiedz mi, co cię dręczy. Wysłucham cię.

Odrzekła, że w jej rodzinie się nie układa. Nie kocha rodziców i rodzice jej nie kochają. Ojciec ma inną kobietę i nie zawsze wraca na noc do domu, matka nieomal wariuje z tego powodu i wyładowuje się na niej. Codziennie ją bije. Nie chce wracać do domu. I zanosi się płaczem. Piękne oczy wypełnione łzami. Nawet kamień by się wzruszył na ten widok. Powiedziałam więc, że jeżeli aż tak jej źle w domu, może do mnie częściej przychodzić, nie tylko na lekcje. Na to ona przywarła do mnie i mówi: - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie wiem, co bym bez pani zrobiła. Proszę mnie nie odpychać. Jeśli pani mnie nie przyjmie, nie będę miała dokąd pójść.

Nie było wyjścia, przytuliłam jej głowę do piersi i głaskałam, mówiąc, że już dobrze, dobrze.

A wtedy ona położyła mi rękę na plecach i zaczęła głaskać. Doznałam uczucia, jakby moje ciało wypełniło się gorącem. Siedzę przecież na łóżku, trzymając w ramionach dziewczynę piękną jak z obrazka, która głaszcz mnie po plecach i do tego głaszcz bardzo zmysłowo. Mój mąż nie dorastał jej do pięt. Miałam wrażenie, że przy każdym dotknięciu obluzowują się we mnie po trochu wszystkie śruby. Było tak cudownie.

Nagle się zorientowałam, że zdjęła mi stanik i głaszcz moje piersi. Wtedy w końcu do mnie dotarło - ta dziewczyna to prawdziwa lesbijka. Kiedyś już mi się to zdarzyło. W liceum, z dziewczyną ze starszej klasy. Przestań - powiedziałam. - Tak nie wolno.

Bardzo proszę. Choć troszeczkę. Ja jestem naprawdę samotna. Nie kłamię. Naprawdę samotna. Mam tylko panią. Proszę mnie nie odpychać - odparła, ujęła moją dłoń i położyła sobie na piersi. Miała piękne piersi i kiedy ich dotknęłam, przeszedł mnie prąd. Mimo że jestem kobietą. Nie wiedziałam, co zrobić, więc tylko powtarzałam jak głupia: Nie wolno. Tak nie wolno. Lecz byłam jak sparaliżowana. W liceum udało mi się wywinąć, ale tym razem nic z tego. Ciało mnie nie słucha. Dziewczyna lewą ręką przyciska sobie do piersi moją dłoń, jednocześnie liżąc i delikatnie gryząc moje sutki, a prawą pieści moje plecy, boki, pośladki. Teraz nie mieści mi się w głowie, że w sypialni z zasuniętymi zasłonami dałam się do naga rozebrać trzynastolatce - nie wiadomo kiedy zdjęła ze mnie jedną rzecz po drugiej - i wiłam się z rozkoszy, gdy mnie pieściła. To idiotyczne, prawda? Ale wtedy czułam się, jakby rzuciła na mnie czar. Ssać moje sutki, powtarzała: - Jestem samotna. Mam tylko panią. Proszę mnie nie odpychać. Jestem naprawdę samotna - ja odpowiadałam: Nie wolno, tak nie wolno.

Reiko przerwała i zaciągnęła się papierosem.

- Wiesz, pierwszy raz mówię o tym mężczyźnie - powiedziała, patrząc na mnie. - Mówię ci, bo zdaje mi się, że powinnam ci powiedzieć, ale jest mi strasznie wstyd.

- Przepraszam - odparłem, ponieważ nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Trwało to jakiś czas, a później jej prawa ręka zsunęła się niżej. I dotknęła mnie tam przez bieliznę.

Wtedy byłam już nieprawdopodobnie mokra. Wstyd się przyznać. Nigdy przedtem ani potem nie byłam taka wilgotna. Do tamtej pory myślałam, że jestem dość oziębła. Dlatego wtedy trochę mnie zatkało. Potem jej długie miękkie palce wślizgnęły się pod bieliznę i... no wiesz mniej więcej, prawda? Nie mogę tego powiedzieć. Było zupełnie inaczej, niż kiedy dotykają cię niezdarne palce mężczyzny. Naprawdę wspaniale. Jakby mnie łaskotało piórko. Zdawało mi się,

że przepali mi się w mózgu bezpiecznik. Ale jednocześnie w nieprzytomnej głowie dalej kołatała mi się myśl, że tak nie wolno. Jeśli raz to zrobię, będę musiała to powtarzać w nieskończoność, a poza tym posiadanie takiej tajemnicy na pewno znowu pomiesza mi w głowie. I pomyślałam o dziecku. Co zrobię, jeżeli mnie zobaczy w takiej sytuacji? W soboty do trzeciej bawiła się zawsze u moich rodziców, lecz co będzie, jeżeli nagle wróci? Na tę myśl zebrałam w sobie wszystkie siły, wstałam i zawołałam: Przestań! Proszę cię!

Lecz ona nie przestała. Wtedy ściągnęła mi już majtki i lizała mnie. Ze wstydu nawet mężowi rzadko na to pozwalałam, a tu liże mnie trzynastolatka. Nie wiem, co począć. Chce mi się płakać. A do tego jest mi dobrze jak w raj.

- Przestań! - wrzasnęłam jeszcze raz i wymierzyłam jej policzek. Z całej siły. Dopiero wtedy przestała. Podniosła się i spojrzała mi w oczy. Siedziałyśmy obie zupełnie nagie na łóżku i wpatrywałyśmy się w siebie.

Ona miała trzynaście lat, ja trzydzieści jeden... Ale na jej widok czułam się oszołomiona. Nawet teraz wyraźnie stoi mi przed oczami. Nie mogłam uwierzyć, że to ciało trzynastolatki, teraz też nie mogę uwierzyć. W porównaniu z nią moje było taką nędzną namiastką kobiecego ciała, że na płacz się zbierało.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

- Dlaczego nie? - zapytała. - Przecież pani też to lubi. Od początku wiedziałam. Lubi pani, prawda? Umiem się poznać na takich rzeczach. To dużo lepsze niż robienie tego z mężczyzną, prawda? Przecież jest pani strasznie mokra. Mogę pani zrobić znacznie, znacznie lepiej. Naprawdę. Tak dobrze, że się pani rozplynie z rozkoszy. Dobrze? - Rzeczywiście, było tak, jak mówiła. Naprawdę. Było mi z nią dużo lepiej niż z mężem, i chciałam, żeby dalej to robiła. Ale to było niemożliwe. - Róbmy to raz w tygodniu. Wystarczy raz. Nikt się nie dowie. To będzie nasza tajemnica - powiedziała.

Ale ja już wstałam, narzuciłam szlafrok i powiedziałam, żeby sobie poszła i już nigdy nie wracała. Utkwiła we mnie wzrok. Jej oczy były inne niż zwykle, zupełnie pozbawione wyrazu. Jakby namalowane na kawałku kartonu. Nie miały głębi. Patrzyła na mnie nieruchomo przez pewien czas, a potem w milczeniu zebrała ubranie, specjalnie wkładała je powoli, jakby się popisывała, wróciła do pokoju z pianinem; wyjąwszy z torby szczotkę, uczesała się, otarła chusteczką krew z warg, nałożyła buty i wyszła. Na progu powiedziała: - Jest pani lesbijką, naprawdę. To się nigdy nie zmieni, choćby nie wiem ile pani udawała.

- Czy to prawda? - zapytałem.

Reiko skrzywiła usta i zamyśliła się na chwilę. - I tak, i nie. Więcej poczułam, robiąc to z nią niż z mężem. To fakt. Dlatego przez pewien czas naprawdę się martwiłam, czy nie jestem lesbijką. Że może po prostu przedtem się nie zorientowałam. Lecz ostatnio już tak nie uważam. Oczywiście nie mogę zaprzeczyć, że mam w sobie taką skłonność. Lecz nie jestem lesbijką w dosłownym tego słowa znaczeniu, dlatego że nigdy nie czuję pożądania, patrząc na kobietę. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

- Tylko pewnego typu dziewczyny coś do mnie czują i mnie się to udziela. Jedynie w takich wypadkach się to zdarza. Dlatego na przykład nic specjalnego nie czuję, obejmując Naoko. W gorące dni chodzimy po domu prawie nago, razem idziemy do łaźni, czasami nawet śpimy pod jedną kołdrą... Lecz nic się nie dzieje. Nic nie czuję. Widzę, że ma piękne ciało, ale na tym koniec. Kiedyś bawiłyśmy się, udając lesbijki. Chcesz o tym słuchać?

- Opowiedz.

- Kiedy jej o tym opowiedziałam - rozmawiamy o wszystkim - Naoko na próbę mnie pogłaskała, na różne sposoby. Obie się rozebrałyśmy. Ale nic z tego, zero. Dostałam tylko strasznych łaskotek. Na samo wspomnienie wszystko mnie swędzi. Ona jest w takich sprawach bardzo niezdarna. No, trochę się uspokoiłeś?

- Szczerze mówiąc, tak.

- To mniej więcej wszystko - powiedziała, drapiąc się koniuszkiem małego palca powyżej brwi. Po jej wyjściu przez pewien czas siedziałam bezmyślnie na krześle. Nie byłam pewna, co należy zrobić. Gdzieś w głębi ciała głucho i donośnie łomotało mi serce, ręce i nogi ważyły tonę, w ustach tak zaschło, jakbym się najadła piasku. Pomyślałam, że dziecko niedługo wróci, więc lepiej się wykąpać i dokładnie umyć to pieszczone i lizane przez nią ciało. Lecz choć mocno tarłam się mydłem, czułam się lepka, nie mogłam się domyć. Pewnie tak mi się tylko wydawało. Tego wieczoru przespałam się z mężem. Chciałam zmyć to zbrukanie. Oczywiście nic mu nie powiedziałam. Czegoś takiego nie mogłam powiedzieć. Poprosiłam go tylko, mówiąc, że mam na to ochotę. Powiedziałam, żeby się nie spieszył, żeby robił to wolniej niż zazwyczaj. Strasznie się postarał. Poświęcił na to mnóstwo czasu. Miałam pełny orgazm. Och! Po raz pierwszy od ślubu miałam taki orgazm. Jak myślisz dlaczego? Bo na ciele pozostał dotyk jej palców. To wszystko. Wstyd opowiadać o takich rzeczach. Aż się spociłam. Robił mi to. Miałam orgazm. - Znów

skrzywiła usta w uśmiechu. - Lecz na nic się to nie zdało. Nawet po dwóch, trzech dniach czułam na sobie jej dotyk. A w głowie dźwięczało mi i odbijało się echem ostatnie zdanie.

W następną sobotę nie przyszła. Siedziałam w domu z bijącym sercem, zastanawiając się, co zrobię, jeśli przyjdzie. Nie mogłam się na niczym skupić. Lecz nie przyszła. Pewnie nie przyjdzie, pomyślałam. Trudno jej po czymś takim, ma przecież swoją dumę. W następnym tygodniu i w kolejnym też się nie pokazała, minął miesiąc. Sądziłam, że z biegiem czasu o tym zapomnę, ale nie mogłam. Kiedy byłam sama w domu, czułam wokół jej obecność i męczył mnie niepokój. Nie mogłam grać na pianinie ani myśleć. Nie mogłam się do niczego zabrać. I po miesiącu pewnego dnia nagle się zorientowałam, że kiedy wychodzę z domu, coś jest nie tak. Sąsiedzi jakoś szczególnie na mnie patrzą: jak na obcą, dziwnym wzrokiem. Oczywiście nadal mi się kłaniają, lecz ich ton, zachowanie są inne. Sąsiadki, które czasem do mnie wpadały, zaczęły mnie unikać. Staralam się w miarę możliwości tym nie przejmować. Kiedy sobie człowiek bierze takie rzeczy do serca, występują pierwsze symptomy choroby.

Pewnego dnia przyszła do mnie bliska znajoma. Byłyśmy w tym samym wieku, nasze matki się znały i nasze dzieci chodziły do tego samego przedszkola, więc dość dobrze się znałyśmy. Przyszła niespodziewanie i zapytała, czy wiem, że krążą o mnie straszne plotki. Powiedziałam, że nie wiem.

- Jakie plotki?

- Bardzo trudno mi o tym mówić.

- Nawet jeśli ci trudno, skoro tyle już powiedziałaś, powiedz resztę.

I choć się wzbraniała, wszystko z niej wyciągnęłam. Przyszła przecież po to, żeby mi powiedzieć. Zarzekała się, ale w końcu i tak wszystko powiedziała. Otóż ludzie mówili, że jestem zdeklarowaną lesbijką i wiele razy byłam w szpitalach psychiatrycznych. Że rozebrałam do naga jedną ze swoich uczennic, chcąc z nią pofiglować, że ona się opierała, a ja tak ją uderzyłam, aż spuchła jej twarz. Ta dziewczyna wszystko przeinaczyła! To było straszne. Ale bardziej mnie zdziwiło, skąd się dowiedziała, że byłam w szpitalu psychiatrycznym?

- Wszystkim mówię, że cię znam od dawna i że nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła - ciągnęła znajoma. - Niestety, jej rodzice w to wierzą i wszystkim dookoła rozpowiadają. Ponieważ córka powiedziała im, że ją napastowałaś, więc próbowali się czegoś o tobie dowiedzieć i okazuje się, że podobno byłaś chora psychicznie.

Ponoć pewnego dnia, to musiał być tamten dzień, dziewczyna wróciła zapłakana do domu po

lekcji pianina i matka wypytała ją, co się stało. Miała spuchnięty policzek, przeciętą i krwawiącą wargę, oderwane guziki u bluzki i lekko podartą bieliznę. Nie do uwierzenia, prawda? Oczywiście sama to wszystko zrobiła, żeby móc opowiedzieć tę zmyśloną historię. Specjalnie pobrudziła bluzkę krwią, oderwała guziki, podarła koronkę stanika, płakała, aż jej się oczy zaczerwieniły, potargała włosy, a potem wróciła do domu i nakłamała, ile się dało. Bez trudu mogę to sobie wyobrazić.

Nie można jednak mieć pretensji do wszystkich, którzy w to uwierzyli. Ja na ich miejscu pewnie też bym uwierzyła. Dziewczyna piękna jak laleczka - choć ma język diablicy - przychodzi ze szlochom do domu. Nie chcę, nie powiem, wstydzę się, mówi, lecz potem wszystko wyznaje i każdy wierzy. Do tego niestety prawdą jest to, że byłam w szpitalu psychiatrycznym. To, że ją mocno uderzyłam, to też prawda. Kto mi w takiej sytuacji uwierzy? Tylko mąż.

Wahałam się bardzo przez kilka dni, a potem zdecydowałam się wszystko mu wyznać. On mi oczywiście uwierzył. Opowiedziałam o wszystkim, co się stało tamtego dnia. Zaczęła mi robić różne rzeczy jak lesbijka, więc ją uderzyłam. Oczywiście nie mówiłam mu o tym, jak mi było dobrze. To jednak byłoby mimo wszystko nie do pomyślenia. - Co za głupota! Pójdę tam i wprost się z nimi rozmówię! - zawołał strasznie zdenerwowany. - Przecież wyszłaś za mnie za mąż i nawet mamy dziecko. Dlaczego mają cię nazywać lesbijką? Co za kompletna bzdura!

Powstrzymałam go. Prosiłam, żeby nie szedł. Żeby to zostawił, że inaczej ludzie jeszcze bardziej nas zranią. Widzisz, ja już wiedziałam, że ona jest chora, bo widziałam wielu chorych ludzi. Przegniła na wylot. Pod tą piękną skórą jest zgniły mięsz. To strasznie brzmi, ale taka jest prawda. Lecz ludzie tego nie wiedzą i nigdy z nią nie wygramy. Świetnie manipulowała uczuciami dorosłych, a my nie mieliśmy żadnych atutów. Kto by uwierzył, że trzynastoletnia dziewczynka dobierała się do kobiety po trzydziestce? Nie ma rady, ludzie uwierzą w to, w co chcą wierzyć. Im bardziej będziemy się bronić, tym gorsza będzie nasza sytuacja.

Wyprowadźmy się stąd, powiedziałam. Nie ma innego wyjścia. Jeżeli dłużej tu zostaniemy, z nerwów znowu pęknie mi w głowie jakaś sprężyna. Nawet teraz dość niepewnie się czuję. Przeprowadźmy się gdzieś daleko, gdzie nikogo nie znamy. Ale mąż nie chciał się stamtąd wynosić. Jeszcze się nie zorientował, jak poważna to sprawa. W tamtym okresie miał bardzo interesującą pracę, dopiero co udało nam się kupić własny niewielki domek, córka przywykła do tamtejszego przedszkola. Poczekaj, powiedział, przecież nie można się tak zakręcić na pięcie i

wyprowadzić. Nie znajdę od razu pracy, musimy najpierw sprzedać dom, musimy znaleźć przedszkole dla dziecka. Zajmie nam to przynajmniej dwa miesiące, nawet jak się bardzo pospieszymy.

Nie. Jeśli będziemy czekać, tak mi się pogorszy, że już się nie pobieram, powiedziałam. Nie straszę cię, to prawda. Czuję to. Już wtedy po trochu zaczęło się dzwonić w uchu, słyszałam głosy, nie mogłam spać. W takim razie sama wyjeżdż, a ja tu wszystko pozafatwiam i przyjadę za tobą, powiedział.

- Nie chcę. Nie chcę nigdzie sama jechać. Jeżeli się od ciebie oddalę, rozlecę się na kawałki. Jesteś mi teraz potrzebny. Nie zostawiaj mnie samej - odparłam.

Przytulił mnie i powiedział, żebym jeszcze trochę wytrzymała. Wytrzymaj tylko miesiąc. Przez ten czas ja się wszystkim zajmę. Uporządkuję sprawy w firmie, sprzedam dom, znajdę przedszkole, nową pracę. Jak dobrze pójdzie, może będzie wolny etat w Australii. Dlatego poczekaj miesiąc. Wtedy wszystko się ułoży. Co mogłam odpowiedzieć? Im więcej mówiłam, tym bardziej czułam się samotna.

Reiko westchnęła i podniosła wzrok na lampę na suficie.

- Ale nie trwało to nawet miesiąc. Pewnego dnia sprężyna w głowie z trzaskiem się zerwała. Trach! Tym razem było strasznie. Połknęłam środki nasenne i odkręciłam gaz. Nie udało mi się umrzeć, obudziłam się w szpitalu. I to był koniec. Po kilku miesiącach, kiedy trochę się uspokoiliłam i mogłam spokojnie myśleć, poprosiłam męża o rozwód. Tak będzie najlepiej dla ciebie i dla dziecka, mówiłam. Odparł, że nie ma zamiaru się rozwodzić.

- Możemy zacząć od początku. Pojedźmy gdzieś w nowe miejsce i zaczniemy we trójkę od początku.

- Już za późno. Wszystko się skończyło, kiedy powiedziałeś, żebym miesiąc poczekała. Jeżeli naprawdę chciałeś zacząć wszystko od początku, nie powinieneś był wtedy tego mówić. Wszystko jedno gdzie pojedziemy, jak daleko się przeprowadzimy, będzie tak samo. Wtedy ja znowu sprawię ci ból, prosząc o to samo, a nie chcę już więcej tego robić.

I rozwiedliśmy się. A raczej ja się z nim na siłę rozwiodłam. Dwa lata temu powtórnie się ożenił, ale ja i tak myślę, że dobrze postąpiłam. Naprawdę. Wtedy wiedziałam już, że takie będzie całe moje życie i nie chciałam nikogo w nie wplątywać. Nie chciałam nikogo zmuszać do życia w strachu, że kiedyś znowu coś mi trzaśnie w głowie.

Był dla mnie bardzo dobry. To godny zaufania uczciwy człowiek, silny, cierpliwy - był dla



mnie idealnym mężem. Ze wszystkich sił próbował mnie wyleczyć, ja też starałam się wyzdrowieć. Dla niego i dla dziecka. I myślałam, że wyzdrowiałam. Przez sześć lat po ślubie byłam szczęśliwa. Był w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach idealny. Zabrakło jednego, tylko jednego procenta. I trach! Wszystko, co razem zbudowaliśmy, w jednej chwili legło w gruzach. Nie zostało nic. Z powodu tej jednej dziewczynki.

Reiko zebrała rozdeptane niedopałki i wrzuciła do puszeki.

- Straszna historia. Z takim trudem po trochu, po troszeczkę tyle zbudowaliśmy, a wszystko legło w gruzach w jednej sekundzie. W jednej sekundzie wszystko zniknęło.

Reiko wstała i wsunęła ręce do kieszeni spodni. - Wracajmy. Już późno.

Niebo jeszcze bardziej zasnuło się czarnymi chmurami, księżyc zupełnie za nimi zniknął. Teraz nawet ja czułem w powietrzu woń deszczu. Mieszał się z nim świeży zapach pozostałych w torbie winogron.

- Dlatego nie mogę się stąd oddalić - powiedziała Reiko. - Boję się zetknięcia ze światem zewnętrznym. Boję się spotykać różnych ludzi i myśleć o różnych rzeczach.

- Dobrze cię rozumiem, ale myślę, że poradziłabyś sobie. Że mogłabyś wyjść na zewnątrz i normalnie żyć.

Naoko siedziała na kanapie i czytała książkę. Założyła nogę na nogę i przyciskała palcami skronie. Zdawało się, że sprawdza po kolei słowa, które wchodziły jej do głowy. Zaczęło już kropić. Światło lampy otaczało ją jak chmura drobnego pyłu. Widząc Naoko po rozmowie z Reiko, uświadomiłem sobie, jaka jest młoda.

- Przepraszamy, że tak długo nas nie było - powiedziała Reiko, głaszcząc Naoko po głowie.

- Przyjemnie spędziliście razem czas? - zapytała, podnosząc głowę.

- Oczywiście - odparła Reiko.

- A co robiliście? - zapytała mnie.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

Naoko zachichotała i odłożyła książkę. Potem jedliśmy winogrona, słuchając deszczu.

- Kiedy tak pada, mam wrażenie, że na całym świecie jest tylko nas troje - powiedziała Naoko. - Gdyby ciągle padało, moglibyśmy zostać tak na zawsze.

- Wy byście się kochali, a ja, jak mało rozgarnięta czarna niewolnica, wachlowałabym was wachlarzem na długiej rączce albo dostarczałabym nastrojowego podkładu muzycznego na

gitarze. Nie, nie chcę tak - oświadczyła Reiko.

- Przecież czasem bym ci go pożyczała - roześmiała się Naoko.

- Skoro tak, mogłoby być nieźle. Padaj deszczu, padaj.

Deszcz nie ustawał. Od czasu do czasu rozlegał się grzmot. Zjedliśmy do końca winogrona i Reiko tak jak wczoraj zapaliła papierosa i wyciągnęła spod łóżka gitarę. Zagrała *Desafinado*, *Dziewczynę z Ipanemy*, a potem utwory Bacharacha oraz Lennona i McCartneya. Ja z Reiko znów piliśmy wino, a kiedy się skończyło, podzieliliśmy się pozostałą w piersiówce brandy. Rozmawialiśmy na różne tematy w przytulnej atmosferze pokoju. Ja też pomyślałem, że deszcz mógłby tak wiecznie padać.

- Przyjedziesz jeszcze kiedyś? - zapytała Naoko, spoglądając na mnie.

- Oczywiście, że przyjadę.

- I napiszesz?

- Będę pisał co tydzień.

- Do mnie też napiszesz parę słów? - zapytała Reiko.

- Dobrze. Napiszę, z przyjemnością.

O jedenastej Reiko rozłożyła i posłała dla mnie kanapę. Powiedzieliśmy sobie dobranoc, zgasiliśmy światło i położyliśmy się. Nie mogłem spać, więc z plecaka wyciągnąłem latarkę oraz *Czarodziejską górę* i zabrałem się do czytania. Trochę przed dwunastą lekko otworzyły się drzwi sypialni, pojawiła się w nich Naoko, podeszła i wsunęła się pod moją kołdrę. Była to zwyczajna Naoko, różna od tej z poprzedniej nocy. Jej oczy nie były zamglone, poruszała się żywo. Zbliżyła wargi do mego ucha i cicho powiedziała: - Jakoś nie mogę spać.

Odparłem, że ja też nie mogę. Odłożyłem książkę, zgasilem latarkę, a potem przytuliłem i pocałowałem Naoko. Spowijały nas miękka ciemność i szum deszczu.

- A Reiko?

- Nie martw się, śpi jak zabita. Jak raz uśnie, nie budzi się - odpowiedziała Naoko. - Naprawdę znów do mnie przyjedziesz?

- Przyjadę.

- Choć nic nie mogę dla ciebie zrobić?

W ciemności skinąłem głową. Czułem wyraźnie przyciśniętą do mnie pierś Naoko. Powiodłem rękami po jej pokrytym szlafrokiem ciele. Wiele razy powoli przesuwalem ręce z jej ramion na plecy, na biodra i zapamiętywałem jej kształty. Przez dłuższą chwilę trzymałem ją w

delikatnym uścisku. Później Naoko leciutko pocałowała mnie w policzek i wyslizgnęła się z łóżka. Jej bladoniebieski szlafrok zaśnieżył i zadrżał w ciemności jak rybia łuska.

- Do widzenia - powiedziała cicho. Słuchając deszczu, zapadłem w spokojny sen.

Rano deszcz ciągle jeszcze padał. W odróżnieniu od wczorajszego był to ledwie widoczny, drobny jesienny deszczyk. Zorientowałem się, że pada, po krząkach tworzących się na kałużach i odgłosie kropli skapujących z dachu. Gdy otworzyłem oczy, za oknem unosiła się biała jak mleko mgła, lecz znikwała rozproszona wiatrem, który wzmógł się po wschodzie słońca, i po trochu zaczęły się ukazywać zarysy lasów i górskich grani.

Tak jak poprzedniego ranka zjedliśmy we troje śniadanie i poszliśmy posprzątać w ptaszarni. Naoko i Reiko miały na sobie żółte peleryny przeciwdeszczowe z kapturami, a ja włożyłem na sweter nieprzemakalną kurtkę. Powietrze było wilgotne i nieprzyjemnie chłodne. Ptaki, jakby unikając deszczu, zbiły się w ciasną grupkę w głębi klatki.

- Zimno jest, kiedy pada - powiedziałem do Reiko.

- Z każdym deszczem będzie coraz zimniej, aż w końcu deszcz przerodzi się w śnieg. Nadpływają chmury z Morza Japońskiego, zasypują tę okolicę śniegiem i płyną dalej.

- A co ptaki robią w zimie?

- Oczywiście przenosi się je pod dach. Przecież nie sądzisz chyba, że z nastaniem wiosny odkopujemy spod śniegu zamrożone ptaki, odmrażamy je, przywracamy do życia i wołamy: "Czas coś zjeść!".

Postukałem palcem w siatkę, a papuga zatrzepotała skrzydłami i wrzasnęła: - Gówniarz! Dziękuję! Wariat!

- Tę to bym chętnie zamroziła - powiedziała Naoko melancholijnie. - Jak tak codziennie tego słucham, wydaje mi się, że naprawdę zwariuję.

Po posprzątaniu ptaszarni wróciliśmy do pokoju. Ja pakowałem rzeczy, a one wybierały się na farmę. Razem wyszliśmy z budynku i pożegnaliśmy się niedaleko kortu tenisowego. One skręcały w prawo, a ja szedłem prosto. Powiedzieliśmy sobie do widzenia. Ja dodałem, że znowu przyjadę, a Naoko uśmiechnęła się i zniknęła za rogiem.

Po drodze do bramy minąłem kilka osób. Wszyscy mieli na sobie żółte peleryny jak Naoko i głowy ukryte w kapturach. W deszczu wszystkie kolory wydawały się żywsze. Ziemia była czarna, gałęzie sosen lśniły świeżą zielenią, a owinięci w żółte peleryny ludzie wyglądali jak

tajemnicze dusze, którym pozwolono wędrować po ziemi jedynie w deszczowe poranki. Poruszali się lekko i bezgłośnie, niosąc narzędzia rolnicze, koszyki, jakieś worki.

Strażnik przy bramie pamiętał moje nazwisko i zazaczył coś przy nim na liście odwiedzających.

- Przyjechał pan aż z Tokio - powiedział, patrząc na mój adres. - Tylko raz kiedyś tam byłem. Mają dobrą wieprzowinę.

- Ach tak? - odparłem niezobowiązująco, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

- Nie wszystko mi tam smakowało, ale wieprzowina była bardzo smaczna. Pewnie mają jakiś specjalny sposób hodowli.

Powiedziałem, że nic mi o tym nie wiadomo. Po raz pierwszy słyszę, że w Tokio jest dobra wieprzowina.

- Kiedy to było? Kiedy był pan w Tokio?

- Kiedy to mogło być? - staruszek pokręcił głową. - Chyba w czasie ślubu następcy tronu, w pięćdziesiątym dziewiątym. Syn był w Tokio i namawiał, żebym się choć raz wybrał, no i pojechałem. To było wtedy.

- To wtedy pewnie wieprzowina była smaczna.

- A ostatnio jak?

Odpowiedziałem, że nie jestem pewien. Nie słyszałem, żeby cieszyła się szczególnie dobrą opinią. Zdawało się, że moje słowa go rozczarowały. Chyba miał ochotę dłużej pogadać, lecz przerwałem rozmowę, mówiąc, że spieszę się na autobus, i ruszyłem dalej drogą wiodącą wzdłuż potoku. Tu i tam zostały jeszcze strzępy mgły. Unoszone wiatrem, przesuwały się ku górskim zboczom. Idąc, zatrzymywałem się kilka razy, oglądałem za siebie i wzdychałem bez żadnego określonego powodu. Zdawało mi się, że jestem na jakiejś innej planecie o innej grawitacji. No tak, tu jest inny świat, pomyślałem ze smutkiem.

Dotarłem do akademika o pół do piątej. Zaniósłem bagaż do pokoju, szybko się przebrałem i wyszedłem do pracy - do sklepu z płytami w Shinjuku. Od szóstej do dziesiątej trzydzieści pilnowałem sklepu i sprzedawałem płyty. W tym czasie bezmyślnie się gapiłem na przeróżnych ludzi przesuwających się ulicami. Kolejno przechodziły rodziny, pary, pijacy, gangsterzy, żwawe dziewczyny w krótkich spódnickach, mężczyźni z hipisowskimi brodami, hostessy z nocnych klubów i inne, bliżej nieokreślone osoby. Kiedy nastawiłem hard rocka, przed sklepem zebrała

się grupka hipisów i włóczęgów. Tańczyli, wachali klej albo po prostu siedzieli, nie mając nic do roboty. Zmieniłem płytę na Tony'ego Bennetta i wszyscy gdzieś poznikali.

Obok znajdował się sklep z zabawkami dla dorosłych. Mężczyzna w średnim wieku i o sennym spojrzeniu sprzedawał w nim dziwne przyrządy erotyczne. Nie miałem pojęcia, kto chciałby kupować tego typu asortyment, lecz sklep zdawał się zupełnie nieźle prosperować. W uliczce po przeciwnej stronie wymiotował jakiś student, który za dużo wypił. Naprzeciwko był salon gier, gdzie kucharz z pobliskiej restauracji spędzał przerwę, grając w bingo na pieniądze. Przed jakimś zamkniętym sklepem skulił się nieruchomy bezdomny o pociemniałej twarzy. Do sklepu płytowego weszła dziewczyna z ustami pomalowanymi bladą różową szminką. Mogła być najwyżej w gimnazjum - i poprosiła o nastawienie *Jumpin' Jack Flash* Rolling Stonesów. Znalazłem płytę i puściłem, a ona zaczęła tańczyć po sklepie, kręcąc biodrami i strzelając palcami w rytm. Potem zapytała, czy mam papierosa. Dałem jej jednego z larków zostawionych przez kierownika. Wypaliła go z widoczną przyjemnością, lecz gdy płyta dobiegła końca, wyszła, nawet mi nie podziękowała. Co piętnaście minut słyszałem syrenę karetki albo samochodu policyjnego. Trzech facetów w garniturach - wszyscy tak samo pijani - śmiało się i raz po raz wykrzykiwało: "Ale dupa!", do ładnej, długowłosej dziewczyny, która dzwoniła z budki.

Obserwując to wszystko, poczułem zamęt w głowie i przestałem rozumieć, co się dzieje. Co to właściwie jest? Co te sceny oznaczają?

Kierownik sklepu wrócił po kolacji i zawołał: - Hej, Watanabe, przedwczoraj przeleciałem tę dziewczynę z butiku. - Już od dawna miał oko na sprzedawczynię z sąsiedniego butiku, czasami wynosił ze sklepu płyty i dawał jej w prezencie. Powiedziałem, że to świetnie, a on mi wszystko opowiedział ze szczegółami. - Jak chcesz się przespać z dziewczyną - mówił tonem znawcy - musisz przede wszystkim dawać jej dużo prezentów. Następnie dajesz jej dużo wypić, niech się upije. To najważniejsze. A potem - do roboty. Proste, no nie?

Ciągle mając zamęt w głowie, wróciłem pociągiem do akademika. Zasłoniłem okno, zgasiłem światło i poszedłem do łóżka. Zdawało mi się, że za chwilę wślizgnie się pod kołdrę Naoko. Zamknąłem oczy i poczułem ucisk jej miękkich piersi, usłyszałem szept, dłonie pamiętały kształt jej ciała. W ciemnościach powróciłem do jej małego świata. Czuję zapach łąki, usłyszałem szum nocnego deszczu. Pomyślałem o nagiej Naoko w świetle księżyca i wyobraziłem sobie, jak taka piękna i miękka, owinięta żółtą peleryną sprząta w ptaszarni i pieli grządki. Ująłem swój sztywny członek i myśląc o Naoko, doprowadziłem się do wytrysku.

Zdawało mi się, że zamęt w głowie trochę mi się zmniejszył, lecz mimo to sen nie nadchodził. Nie mogłem usnąć, choć byłem straszliwie zmęczony i śpiący.

Wstałem, podszedłem do okna i przez chwilę wpatrywałem się bezmyślnie w maszt na dziedzińcu. Biały słup bez flagi jak olbrzymia kość stercząca w mroku. Zastanawiałem się, co teraz robi Naoko. Na pewno śpi. Śpi smacznie spowita ciemnością tego przedziwnego, małego świata. Modliłem się, żeby nie miała złych snów.

## 7

**Następnego** dnia był czwartek i przed południem miałem zajęcia wychowania fizycznego. Przepłynąłem kilkakrotnie pięćdziesięciometrowy basen. Poczułem się odświeżony tym energicznym treningiem, nabrałem też apetytu. Zjadłem obfity obiad w pobliskiej jadalni i w drodze do czytelnicy wydziału literatury, w której chciałem coś sprawdzić, natknąłem się na Midori Kobayashi. Szła obok drobnej dziewczyny w okularach, lecz zobaczywszy mnie, opuściła towarzyszkę i podeszła.

- Dokąd idziesz? - zapytała.
- Do czytelnicy.
- Może dasz sobie z tym spokój i zjesz ze mną lunch?
- Właśnie zjadłem.
- No to co? Zjedz jeszcze raz.

W rezultacie poszliśmy do pobliskiej kawiarni. Midori zamówiła ryż z sosem curry, a ja kawę. Dziś ubrana była w białą bluzkę z długimi rękawami, dzianą żółtą kamizelkę w rybki, na szyi miała złoty łańcuszek, a na ręce disneyowski zegarek. Zjadła curry z wielkim apetytem i popiła trzema szklankami wody.

- Ostatnio cię nie było, prawda? Dzwoniłam do ciebie mnóstwo razy.
- Miałaś do mnie jakąś sprawę?
- Nie, nie miałam sprawy. Tak po prostu dzwoniłam.
- Aha.
- Aha? Co masz na myśli?
- Nic specjalnego. Po prostu podtrzymuję rozmowę - odparłem. - No i jak? Ostatnio nie było pożarów?

- Nie, ale wtedy było bardzo wesoło. Straty były niewielkie, za to pełno dymu, więc pożar wydawał się bardzo rzeczywisty. Takie rzeczy są fajne - powiedziała Midori i znów napiła się wody wielkimi łykami, odetchnęła i spojrzała na mnie poważnie. - Słuchaj, Watanabe, co ci się stało? Wyglądasz, jakbyś był nieprzytomny. Masz błędny wzrok.

- Jestem trochę zmęczony po wycieczce. Nic się nie stało.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Aha.

- Słuchaj, masz po południu zajęcia?

- Niemiecki i religioznawstwo.

- Mógłbyś się urwać?

- Z niemieckiego nie mogę. Dziś jest test.

- O której się kończy?

- O drugiej.

- To może potem pojedziemy do miasta na drinka?

- O drugiej?

- Czasem można i o drugiej. Wydajesz się nieobecny, napijesz się ze mną i odżyjesz. Ja też chcę się z tobą napić i odżyć. No, jak? Zgadzasz się?

- Dobra, pójdziemy na drinka - powiedziałem z westchnieniem. - Będę czekał o drugiej na dziedzińcu wydziału literatury.

Po moim niemieckim pojechaliśmy autobusem do Shinjuku. Weszliśmy do baru DUG\*, znajdującego się w suterynie na tyłach księgarni Kinokuniya, i zamówiliśmy po dwie wódki z tonikiem.

- Czasem tu przychodzę. Nawet pijąc od południa, człowiek nie czuje się w tym barze nieswojo.

- Często tak pijesz od południa?

- Od czasu do czasu - powiedziała Midori, potrząsając lodem w szklance. - Od czasu do czasu, kiedy życie staje się ciężkie, przychodzę tu i piję wódkę z tonikiem.

---

\* DUG - słynny tokijski klub jazzowy. Otwarty w 1961 roku jako kawiarnia jazzowa pod nazwą DIG, w 1967 przemianowany na DUG. Kilkrotnie przenoszony z miejsca na miejsce istnieje do dzisiaj. Występują w nim znani muzycy z całego świata.

- Teraz życie jest ciężkie?
- Od czasu do czasu. Ja też mam swoje problemy.
- Na przykład jakie?
- Domowe, z chłopakiem, z nieregularnymi miesiączkami... różne.
- Może jeszcze jednego drinka?
- Oczywiście.

Przywołałem gestem kelnera i zamówiłem dwie wódki z tonikiem.

- Pamiętasz, w tamtą niedzielę mnie pocałowałaś. Dużo o tym myślałam. Było bardzo fajnie.

Strasznie fajnie.

- To fajnie.
- To fajnie - znowu mnie przedrzeźniała. - Naprawdę dziwnie się wyrażasz.
- Może i tak.

- No, mniejsza o to. Wtedy sobie pomyślałam, jakby to było cudownie, gdyby to był mój pierwszy w życiu pocałunek. Gdybym mogła pozmieniać kolejność w życiu, dałabym ten pocałunek na początek. Na pewno. A potem resztę życia przeżyłabym, zastanawiając się, co teraz robi Watanabe, ten chłopak, z którym się pierwszy raz całowałam na dachu, wśród suszącej się bielizny. Ma teraz pięćdziesiąt osiem lat. Nie uważasz, że byłoby cudownie?

- Może byłoby cudownie - odparłem, rozłupując orzeszki pistacjowe.

- Słuchaj, dlaczego jesteś taki otyła? Już drugi raz cię pytam.

- Pewnie jeszcze nie przywykłem do świata. Zdaje mi się jakoś, że nie jest prawdziwy - odrzekłem po namyśle. - Że ludzie dookoła nie są prawdziwi. Miejsca też nie.

Midori oparła łokieć o bar i wpatrywała się we mnie.

- Było chyba coś takiego w piosence Jima Morrisona.

- *People are strange, when you are a stranger.*

- *Peace.*

- *Peace.*

- Powinieneś pojechać ze mną do Urugwaju - powiedziała ciągle oparta o bar. - Rzucić dziewczynę, rodzinę, uczelnię, wszystko.

- Niezły pomysł - roześmiałem się.

- Nie uważasz, że wspaniale byłoby rzucić wszystko i pojechać gdzieś, gdzie nikogo nie znamy? Czasami mam straszną ochotę to zrobić. Dlatego gdybyś mnie zabrał gdzieś bardzo



daleko, urodziłabym ci mnóstwo dzidziusiów silnych jak byczki. I żylibyśmy sobie wesoło wszyscy razem. Tarzając się po podłodze.

Roześmiałem się i dopiłem trzecią wódkę z tonikiem.

- Chyba jeszcze nie bardzo chcesz mieć dzidziusie silne jak byczki? - zapytała.

- Dlaczego? Bardzo mnie to interesuje. Chciałbym je zobaczyć.

- Nie szkodzi, nie musisz chcieć. - Midori dalej jadła orzeszki. - Ja przecież piję od wczesnego popołudnia i plotę, co mi ślina na język przyniesie. Że chcę wszystko rzucić i gdzieś wyjechać. A w Urugwaju jest pewnie tylko ośle łajno.

- Może i masz rację.

- Jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko ośle łajno. Czy jest się tu, czy tam. Świat to ośle łajno. Masz, weź ten twardy - powiedziała, podając mi niedający się rozłupać orzeszek. Z trudem zdjąłem z niego skorupkę.

- W tamtą niedzielę strasznie mi ulżyło. Siedzieliśmy sobie na dachu z suszącą się bielizną, oglądaliśmy pożar, piliśmy i śpiewaliśmy piosenki. Dawno nie było mi tak lekko na sercu. Przecież wszyscy mnie do czegoś zmuszają. Jak tylko mnie widzą, od razu: zrób to, zrób tamto. Ty mnie przynajmniej do niczego nie zmuszasz.

- Nie znam cię na tyle, żeby cię do czegoś zmuszać.

- To znaczy, że jak mnie lepiej poznasz, też zaczniesz mnie zmuszać do różnych rzeczy? Tak jak inni?

- Jest pewnie taka możliwość. W realnym świecie wszyscy zmuszają się nawzajem do różnych rzeczy.

- Ty byś chyba tego nie robił. Ja się na tym znam. Jestem kimś w rodzaju autorytetu w kwestii zmuszania i bycia zmuszanym. Nie jesteś tego typu człowiekiem, dlatego się przy tobie uspokajam. Wiesz co? Na świecie jest dość dużo ludzi, którzy lubią zmuszać i być zmuszani. I potem robią zamieszanie, że kogoś zmusili, że ktoś ich zmusił. Lubią takie rzeczy. Ale ja tego nie lubię. Robię to tylko dlatego, że muszę.

- A do czego zmuszasz i jesteś zmuszana?

Midori włożyła do ust kostkę lodu i ssała ją przez chwilę.

- Chciałbyś mnie lepiej poznać?

- Czemu nie? To mogłoby być ciekawe.

- Słuchaj, zapytałam cię, czy chciałbyś mnie lepiej poznać. I to jest twoja odpowiedź?

- Chciałbym cię lepiej poznać.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nawet jeżeli miałbyś ochotę odwrócić wzrok?

- Jesteś taka straszna?

- W pewnym sensie - odpowiedziała Midori i zmarszczyła brwi. - Chciałabym jeszcze jednego drinka.

Zawołałem kelnera i zamówiłem czwartą kolejkę. Midori siedziała z głową opartą o dłoń, czekając, aż podadzą nam drinki. Ja słuchałem Theloniousa Monka grającego *Honeysuckk Rose*. W barze było kilkoro innych gości, lecz tylko my piliśmy alkohol. Aromatyczny zapach kawy stworzył w ciemnym lokalu intymną atmosferę popołudnia.

- Masz czas w niedzielę? - zapytała Midori.

- Chyba już kiedyś ci mówiłem, że w niedzielę zawsze mam czas. Z wyjątkiem pracy od szóstej.

- To mógłbyś się ze mną umówić?

- Dobra.

- Przyjdę po ciebie do akademika w niedzielę rano. Nie wiem dokładnie o której. Masz coś przeciwko temu?

- Proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu.

- Słuchaj, Watanabe, wiesz, na co mam teraz ochotę?

- Hm... nie mam pojęcia.

- Przede wszystkim chciałabym się położyć w wielkim miękkim łóżku. Jestem bardzo przyjemnie wstawiona, wokół wcale nie ma oślego łajna. Obok leżysz ty. I powoli mnie rozbierasz. Strasznie delikatnie, jak matka rozbierająca małe dziecko.

- Aha.

- Ja do pewnego momentu jestem zadowolona i odurzona, lecz nagle przychodzę do siebie i krzyczę: "Przestań, Watanabe! Lubię cię, ale chodzę z kim innym i nie mogę robić takich rzeczy. Jestem w tych sprawach dość zasadnicza. Dlatego przestań. Proszę". Lecz ty nie przestajesz.

- Przestałbym.

- Wiem. Ale to jest na niby, więc może tak być - powiedziała Midori. - I wtedy mi go pokazujesz. Stoi ci z podniecenia. Ja szybko odwracam wzrok, lecz i tak widzę kątem oka. I

mówię: "Przestań, naprawdę przestań. Coś tak wielkiego i twardego za nic się nie zmieści".

- Nie jest taki duży. Zwyczajny.

- Nie szkodzi. Przecież to wszystko jest na niby. I wtedy ty robisz strasznie smutną minę. A mnie jest ciębie żal i cię pocieszam. No, już dobrze, dobrze, biedaku.

- I na to masz teraz ochotę?

- Tak.

- O rany.

Wyszliśmy z baru po wypiciu pięciu wódek z tonikiem. Kiedy próbowałem zapłacić, Midori trzepnęła mnie po ręce, wyciągnęła z portmonetki nowiutkie dziesięć tysięcy jenów i sama zapłaciła. - Nie musisz płacić. Dostałam wypłatę, a poza tym to ja cię zaprosiłam - powiedziała. - Oczywiście jeżeli jesteś zagorzałym szowinistą i za nic nie pozwolisz kobiecie postawić sobie drinka, to zupełnie inna sprawa.

- Nie, wcale tak nie myślę.

- A poza tym nie pozwoliłam sobie włożyć.

- Bo był twardy i wielki.

- Właśnie. Bo był twardy i wielki.

Midori była trochę pijana, potknęła się na schodach i o mało nie poleciliśmy na sam dół. Wyszliśmy na dwór. Zniknęła cienka warstwa chmur, która pokrywała przedtem niebo, i chylące się ku zachodowi słońce zalało ulicę łagodnym światłem. Pospacerowaliśmy trochę po ulicach. Midori oznajmiła, że chce wejść na drzewo, lecz niestety w Shinjuku nie było odpowiednich drzew, a park Shinjuku-gyoen właśnie zamykano.

- Szkoda, ja tak bardzo lubię chodzić po drzewach.

Spacerowaliśmy, oglądając wystawy, i miasto nie wydawało mi się już tak nierzeczywiste jak przedtem.

- Chyba dzięki temu, że cię dziś spotkałem, znów przywykłem trochę do świata - powiedziałem.

Midori zatrzymała się i uważnie zajrzała mi w oczy. - To prawda. Masz dużo mniej błędny wzrok. Kontakt ze mną dobrze ci robi, prawda?

- Nie da się ukryć.

O pół do szóstej Midori powiedziała, że musi iść do domu, żeby zrobić obiad. Ja

zamierzałem wrócić autobusem do akademika. Odprowadziłem ją do dworca Shinjuku i tam się rozstaliśmy.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę? - zapytała, gdy się żegnaliśmy.

- Nie mam pojęcia, co ci mogło przyjść do głowy.

- Żeby porwali nas piraci, żeby rozebrali nas do naga, ustawili twarzami do siebie i ciasno związali.

- Po co mieliby to robić?

- To byliby zboczeni piraci.

- Zdaje się, że ty jesteś znacznie bardziej zboczona.

- Zamykają nas pod pokładem, mówiąc, że za godzinę wrzucą nas do morza i do tego czasu mamy się sobą nacieszyć.

- No i?

- Przez godzinę się nacieszamy. Turlamy się, ocieramy o siebie.

- I na to masz teraz największą ochotę?

- Uhm.

- O rany - powiedziałem, kręcąc głową.

Midori przyszła po mnie w niedzielę o pół do dziesiątej. Dopiero co się obudziłem i nawet nie zdążyłem się umyć. Ktoś walnął w drzwi i krzyknął: "Hej, Watanabe! Kobieta do ciebie przyszła!". Zszedłem na dół i zobaczyłem w holu Midori w nieprawdopodobnie krótkiej dżinsowej spódnicy. Siedziała na krześle z nogą założoną na nogę i ziewała. Wszyscy faceci przechodzący koło niej w drodze na śniadanie gapili się na jej smukłe nogi. Rzeczywiście były bardzo zgrabne.

- Czy przyszłam za wcześnie? - zapytała. - Zdaje się, że dopiero wstałeś.

- Zaraz się umyję i ogolę. Poczekasz piętnaście minut?

- Mogę poczekać, tylko wszyscy się gapią na moje nogi.

- Nic dziwnego. Przyszłaś do męskiego akademika w takiej krótkiej spódnicy. To oczywiste, że się gapią.

- Ale to nie szkodzi, bo włożyłam dziś uroczą bieliznę. Ozdobioną śliczną różową koronką. Jak falbanką.

- To jeszcze gorzej - powiedziałem z westchnieniem. Wróciłem do pokoju i pośpiesznie się

umyłem i ogoliłem. Włożyłem niebieską koszulę, a na nią tweedową marynarkę. Zszedłem na dół i wyprowadziłem Midori za bramę akademika. Byłem zlany zimnym potem.

- To tutaj wszyscy się onanizują? Na okrągło? - zapytała Midori, ogarniając wzrokiem budynek.

- Prawdopodobnie.

- Czy mężczyźni robią to, myśląc o dziewczynach?

- Pewnie tak. Chyba nikt nie masturbuje się, myśląc o giełdzie, odmianie czasowników albo Kanale Sueskim. Pewnie większość robi to, myśląc o dziewczynach.

- O Kanale Sueskim?

- To tylko przykład.

- Myślą o konkretnej dziewczynie?

- Słuchaj, nie możesz o to spytać swojego chłopaka? Dlaczego ja ci muszę tłumaczyć takie rzeczy w niedzielę rano?

- Po prostu chcę się dowiedzieć. A poza tym gdybym go zapytała o coś takiego, strasznie by się wściekł. Powiedziałby, że kobiety nie powinny wypytywać o takie rzeczy.

- No, to jest normalny punkt widzenia.

- Ale ja chcę wiedzieć. To czysta ciekawość. Czy podczas masturbacji myśli się o określonej dziewczynie?

- Myśli się. Przynajmniej ja myślę. Nie jestem pewien, co inni robią - odparłem zrezygnowany.

- A czy ty kiedyś robiłeś to z myślą o mnie? Powiedz szczerze, nie będę zła.

- Szczerze mówiąc, nigdy - odparłem szczerze.

- Dlaczego? Bo nie jestem pociągająca?

- Nie o to chodzi. Jesteś pociągająca, ładna i pasują do ciebie prowokacyjne stroje.

- No to dlaczego o mnie nie myślisz?

- Po pierwsze dlatego, że uważam cię za koleżankę i nie chcę się wykorzystywać do czegoś takiego. Do takich seksualnych fantazji. Po drugie...

- Dlatego, że ktoś inny przychodzi ci na myśl.

- Właśnie.

- Jesteś taktowny nawet w takich sprawach. To mi się w tobie podoba. Ale nie mógłbyś mi raz pozwolić wystąpić w tych seksualnych fantazjach czy wizjach? Chciałabym się w coś

takim pojawić. Proszę cię, jak kolegę. Przecież nie mogę o to poprosić nikogo innego. Nie każdemu mogę powiedzieć: "Jak się będziesz dziś wieczorem onanizował, pomyśl trochę o mnie". Ciebie mogę poprosić właśnie dlatego, że jesteś kolegą. I chcę, żebyś mi potem powiedział, jak było. Co robiłeś i tak dalej.

Westchnąłem.

- Tylko nie możesz mi włożyć. Bo jesteśmy przyjaciółmi. Dobrze? Możesz robić wszystko inne, tylko nie wkładaj. Możesz o wszystkim myśleć.

- No, nie wiem. Nigdy nie robiłem tego z takimi ograniczeniami.

- Ale zastanowisz się?

- Zastanowię.

- Słuchaj, Watanabe, nie myśl, że jestem rozpustna, niewyżyta albo chcę cię sprowokować. Mnie po prostu takie rzeczy strasznie interesują. Przecież chodziłam do żeńskiej szkoły, wokoło były same dziewczyny. I bardzo chcę się dowiedzieć, jak myślą mężczyźni, jak są zbudowani. Nie z dodatków do magazynów dla kobiet, a na podstawie tak zwanego *case study*.

- *Case study* - wymamrotałem załamany.

- Kiedy chcę się dowiedzieć i spróbować różnych rzeczy, mój chłopak wpada w zły humor i wścieka się. Mówi, że jestem rozpustna. Że mam fioła. Nie pozwala mi nawet na seks oralny. A ja strasznie chcę to przestudiować.

- Aha.

- Nie lubisz, jak ci dziewczyna to robi?

- Nie powiedziałbym, że nie lubię.

- No to raczej lubisz?

- Raczej lubię. Słuchaj, może porozmawiamy o tym przy następnej okazji? Teraz jest bardzo przyjemny niedzielny poranek, nie chcę go zepsuć rozmowami o masturbacji czy seksie oralnym. Pogadajmy o czymś innym. Twój chłopak studiuje na naszym uniwersytecie?

- Nie, na innym, oczywiście. Poznaliśmy się w czasach liceum. Ja byłam w szkole żeńskiej, on w męskiej. To się często zdarza, prawda? Wspólne koncerty czy coś takiego. Zaczęliśmy ze sobą chodzić po maturze. Słuchaj, Watanabe.

- Co?

- Naprawdę o mnie pomyśl, wystarczy raz.

- Spróbuję - powiedziałem zrezygnowany.

Pojechaliśmy pociągiem do Ochanomizu. Ponieważ nie jadłem śniadania, podczas przesiadki kupiłem sobie kanapkę w budce na dworcu Shinjuku. Zjadłem, popijając kawą, która smakowała jak gotowana farba drukarska. Pociąg był pełen rodzin i par wybierających się gdzieś z powodu niedzieli. Po wagonie biegała grupka chłopców w identycznych strojach z kijami baseballowymi. Kilka dziewczyn miało krótkie spódniczki, lecz żadna nie była tak krótka jak spódniczka mojej towarzyszki. Midori co pewien czas obciążała ją w dół. Paru mężczyzn gapilo się na jej uda, co mnie irytowało, ale ona najwyraźniej nie przejmowała się takimi rzeczami.

- Wiesz, na co mam teraz największą ochotę? - zapytała cicho w okolicy Ichigaya.
- Nie mam pojęcia i proszę cię, nie mów takich rzeczy w pociągu. Ktoś może usłyszeć.
- Szkoda. Wymyśliłam coś niesamowitego - powiedziała z żalem.
- A właśnie, dlaczego jedziemy do Ochanomizu?
- Jak pójdziesz ze mną, to się dowiesz.

W niedzielę w Ochanomizu było pełno gimnazjalistów i licealistów idących na próbne egzaminy albo zajęcia przygotowawcze. Midori chwyciła mnie prawą dłonią za rękę, lewą przytrzymując torebkę i szybko przedzierała się przez tłum uczniów.

- Słuchaj, Watanabe, potrafisz jasno wytłumaczyć różnicę między czasem przeszłym i teraźniejszym *subjunctive* w angielskim? - zapytała niespodziewanie.

- Myślę, że potrafię.
- Chciałabym cię zapytać, do czego się coś takiego przydaje w codziennym życiu?
- W codziennym życiu chyba raczej do niczego się nie przydaje. Ale sądzę, że zamiast się zastanawiać, do czego się konkretnie przydaje, lepiej to uznać za kształcenie umiejętności systematycznego myślenia na różne tematy.

Midori zastanawiała się nad tym przez chwilę z poważną miną. - Podziwiam cię. Mnie nigdy nic takiego nie przyszło do głowy. Myślałam tylko o tym, że *subjunctive*, rachunek różniczkowy czy symbole chemiczne do niczego się nie przydają. Dlatego do tej pory ignorowałam takie duperele. Czy moje życie było pomyłką?

- Do tej pory ignorowałaś?
- Uhm, tak. Jakby takich rzeczy nie było. Nie rozumiem w ogóle, co to sinus i cosinus.
- Że też ci się udało skończyć liceum i dostać na studia - powiedziałem z niedowierzaniem.
- Nic nie rozumiesz. Nie wiedziałeś, że do zdania egzaminu na studia niepotrzebna jest

wiedza, a wystarczy dobra intuicja? Ja mam świetną intuicję. Widzę: "Wybierz prawidłową odpowiedź z trzech podanych poniżej", i od razu wiem, którą wybrać.

- Ja nie mam takiej dobrej intuicji, więc muszę sobie do pewnego stopnia przyswoić umiejętność systematycznego myślenia. Jestem jak sroka gromadząca w dziupli odłamki szkła.

- Czy to się do czegoś przydaje?

- Hm... - zastanowiłem się. - Niektóre rzeczy stają się łatwiejsze.

- Na przykład jakie?

- Myślenie metafizyczne, opanowanie kilku języków, na przykład.

- A to się do czegoś przydaje?

- Zależy komu. Jednym się przydaje, innym nie. Ale to jest w końcu tylko trening myślowy, a to, czy się przydaje, czy nie, to inna kwestia. Tak jak powiedziałem na początku.

- Aha! - zawołała Midori z podziwem i ciągnąc mnie za rękę, szła prowadzącą w dół ulicą. - Umiesz świetnie tłumaczyć.

- Tak?

- Tak. Pytałam wiele osób, do czego się przydaje angielski *subjunctive* i nikt mi tego tak porządnie nie wyjaśnił. Nawet nauczyciel angielskiego. Wszyscy są zakłopotani moim pytaniem albo się złością, albo traktują mnie jak idiotkę. Nikt mi naprawdę nie odpowiedział. Gdybym wtedy miała kogoś takiego jak ty, kto porządnie wyjaśnia, może zainteresowałabym się *subjunctivem*.

- Aha.

- Czytałaś *Kapitał*? - zapytała Midori.

- Czytałem. Oczywiście nie cały. Jak większość ludzi.

- Zrozumiałaś?

- Niektóre rzeczy rozumiałem, innych nie. Do tego, żeby właściwie odczytać *Kapitał*, trzeba sobie przyswoić pewien system myślenia. Oczywiście chyba mniej więcej rozumiem, na czym ogólnie opiera się marksizm.

- Czy sądzisz, że student pierwszego roku, który nie czytał książek tego typu, może od razu zrozumieć *Kapitał*?

- Chyba by nie zrozumiał.

- Na początku studiów zapisałam się do klubu muzyki folkowej. Bo chciałam śpiewać piosenki. Ale to była banda pozerów; na samo wspomnienie przechodzi mnie dreszcz. Zapisałam



się i najpierw kazali mi przeczytać Marksa. Przeczytaj od tej strony do tej. Ktoś wygłosił przemówienie, że piosenki w stylu folk muszą się wiązać ze społeczeństwem i ruchami radykalnymi. Nie było rady. Wróciłam do domu i z wielkim zapałem zabrałam się do Marksa. Ale w ogóle nie rozumiałam. Jeszcze gorzej niż z subjunctivem. Po trzech stronach się poddałam.

Na następnym spotkaniu klubu zgłosiłam się i powiedziałam, że próbowałam czytać, lecz nic nie rozumiałam. Od tego czasu zaczęli mnie traktować jak idiotkę. Że nie pojmuję problemu walki klasowej, że mi brakuje świadomości społecznej. Szlag mnie trafił! Przecież tylko powiedziałam, że nie rozumiałam książki. Nie uważasz, że to straszne?

- Uhm.

- Dyskusje też były straszne. Wszyscy udawali, że zrozumieli, i używali trudnych słów. A ja, ponieważ nic nie rozumiałam, ciągle zadawałam pytania: Co to jest ten wyzysk imperialistyczny? Co to ma wspólnego z East India Company? Albo: Czy zniweczenie powiązań przemysłu z edukacją oznacza, że po studiach nie możemy pracować w prywatnej firmie? Ale nikt mi nic nie wytłumaczył, a wręcz przeciwnie, byli naprawdę wściekli. W głowie się nie mieści, prawda?

- Mieści się.

- Co ty sobie wyobrażasz?! Nie rozumiesz takich rzeczy?! Jak ty żyjesz?! O czym ty myślisz?! I to był koniec. Nie mogłam tego wytrzymać. Nie jestem zbyt mądra. Należę do mas. Ale świat opiera się na masach i to masy są wyzyskiwane. Przerzucanie się słowami, których masy nie rozumieją, to nie rewolucja. Co to za rewolucja społeczna?! Ja przecież chcę naprawić świat. Jeżeli ktoś jest naprawdę wyzyskiwany, uważam, że trzeba z tym skończyć. I właśnie dlatego pytam. Mam rację?

- Masz.

- I wtedy pomyślałam, że to sami pozerzy. Na pokaz przerzucają się trudnymi słowami, bardzo z siebie dumni, chcą zrobić wrażenie na nowo przyjętych dziewczynach, a myślą tylko o tym, jak im wsadzić rękę pod spódnicę. Na ostatnim roku studiów strzygą się na krótko, lecą do pracy w Mitsubishi, TBS, IBM albo Fuji Bank, biorą sobie ładne żony, które nigdy nie czytały Marksa, i nadają dzieciom obrzydliwie wymyślne imiona. Gdzie tu jest niweczenie powiązań przemysłu z edukacją? Koń by się uśmieł. Inne nowo przyjęte osoby też były straszne. Nikt nic nie rozumiał, ale wszyscy udawali, że rozumieją, i śmieli się ze mnie. Potem powiedzieli mi, że jestem głupia, bo nawet kiedy się nie rozumie, wystarczy wszystkiemu przytakiwać. Jedna rzecz jeszcze bardziej mnie wkurzyła. Mogę ci opowiedzieć?

- Słucham.

- Pewnego dnia późno wieczorem było zebranie polityczne i wszystkie dziewczyny miały przynieść po dwadzieścia onigiri\* na kolację. Szlag mnie trafił! Przecież to czysta dyskryminacja kobiet. Ale pomyślałam, że zawsze się czemuś sprzeciwiam, więc tym razem nie będę i grzecznie przyniosłam dwadzieścia onigiri. Z marynowanymi śliwkami i owiniętych w wodorosty. I jak myślisz, co powiedzieli? Że w moich onigiri były tylko śliwki i nie przyniosłam żadnych innych zakąsek. Inne dziewczyny nadziały swoje kawałkami łososia i ikrą dorsza, zrobiły też tamagoyaki\*\*. To było tak idiotyczne, że zaniemówiłam. Dlaczego ludzie, którzy dyskutują o rewolucji i tak dalej, czepiają się takich drobiazgów jak onigiri? Przecież nadziane śliwką i owinięte wodorostami nie są wcale złe. Pomyślcie o głodnych dzieciach w Indiach!

Roześmiałem się. - No i co dalej się stało z tym klubem?

- W czerwcu się wypisałam, bo mnie wkurzyli. Większość ludzi na tej uczelni to pozerzy. Żyją w strachu, strasznie się boją, nikt nie może się dowiedzieć, że czegoś nie wiedzą. I dlatego wszyscy czytają takie same książki, przerzucają się takimi samymi słowami, słuchają Johna Coltrane'a i wruszają filmami Pasoliniego. To ma być rewolucja?

- Hm, nie wiem. Nie mogę się wypowiadać, bo nigdy nie widziałem prawdziwej rewolucji.

- Jeżeli to ma być rewolucja, to ja nie chcę żadnej rewolucji. Na pewno by mnie rozstrzelali za to, że nadziałam onigiri tylko marynowanymi śliwkami. Ciebie też by rozstrzelali. Za to, że rozumiesz *subjunctive*.

- Niewykluczone.

- Należę do mas, więc wiem, że bez względu na to, czy wybuchnie rewolucja czy nie, nadal będziemy wiedli ciężkie życie w jakiejś norze. Co to byłaby za rewolucja? Zmieniłyby się tylko nazwy urzędów. Ale ci, którzy przerzucają się tymi głupimi słowami, tego nie rozumieją. Widziałeś kiedyś pracownika urzędu skarbowego?

- Nie widziałem.

- A ja widziałam wiele razy. Pakuje ci się do domu i się rządzi. "To ma być księga rachunkowa? No, jak wy prowadzicie ten interes? Czy to naprawdę są koszty? Pokażcie no rachunki. Rachunki!". My się kulimy gdzieś w kącie, a kiedy przychodzi pora posiłku, z

---

\* Onigiri - owinięta w wodorosty kulka ugnieciona z ryżu, nadziewana rybą, marynowanymi śliwkami itp.

\*\* Tamagoyaki - gruby omlet smażony z dodatkiem cukru i odrobiną sosu sojowego, pokrojony w prostokątne kawałki.

restauracji zamawiamy najdroższe sushi. A przecież mój tata nigdy nie oszukiwał w sprawach podatkowych. Naprawdę nigdy. To taki człowiek, stara szkoła. Mimo to ci z urzędu skarbowego czepiają się wszystkiego. "Te dochody są chyba trochę za niskie, co?". Szlag człowieka trafia! Przecież skoro są małe dochody, to znaczy, że się mało zarobiło. Nie mogłam tego słuchać. Miałam ochotę wrzasnąć: "Idźcie się czepiać bogatszych!". Myślisz, że gdyby była rewolucja, ci z urzędu skarbowego zaczęliby się inaczej zachowywać?

- Bardzo wątpliwe.

- No to ja nie wierzę w żadne rewolucje. Wierzę tylko w miłość.

- *Peace.*

- *Peace.*

- Nawiasem mówiąc, dokąd idziemy? - zapytałem.

- Do szpitala. Tata jest w szpitalu. Dzisiaj muszę spędzić u niego cały dzień. Moja kolej.

- Twój tata? - powtórzyłem zdziwiony. - Nie jest w Urugwaju?

- To było kłamstwo - oznajmiła Midori jak gdyby nigdy nic. - Od dawna nudzi, że chciałby pojechać do Urugwaju, ale nie ma mowy, żeby pojechał. Nie może się nawet zdobyć na wyjazd poza Tokio.

- W jakim jest stanie?

- To tylko kwestia czasu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- Wiem, bo ma to samo, na co mama chorowała. Guz na mózgu. Nie do wiary, prawda? Mama umarła na to zaledwie dwa lata temu. A teraz ojciec ma to samo.

Korytarze kliniki uniwersyteckiej wypełniali, liczni z powodu niedzieli, odwiedzający oraz zdrowi pacjenci. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach szpitala: zmieszana woń środków dezynfekcyjnych, kwiatów przynoszonych chorym, moczu i pościeli. Rozlegał się suchy stukot obcasów chodzących od sali do sali pielęgniarek.

Ojciec Midori leżał w pokoju dwuosobowym przy drzwiach. Jak śmiertelnie ranne zwierzę spoczywał bezsilnie na boku, lewe ramię z kroplówką było wyciągnięte bezwładnie. Nie poruszał się. Był to szczupły, drobny mężczyzna i miało się wrażenie, że będzie coraz bardziej chudł i małał. Głowę miał obwiązaną białym bandażem, a blade ramię pokrywały ślady po zastrzykach albo kroplówkach. Oczy miał półprzymknięte, spojrzenie nieobecne, zdawało się, że wpatruje się

w jakiś punkt, lecz kiedy wszedłem, przekrwione oczy poruszyły się lekko i spojrzały na mnie. Przyglądał mi się przez około dziesięć sekund, a potem znów skierował bezsilny wzrok w przestrzeń.

Spojrząwszy mu w oczy, zdałem sobie sprawę, że niedługo umrze. Nie dostrzegłem w nim prawie wcale sił witalnych, pozostał jedynie słaby, leciutki ślad życia. Był jak czekający na rozbiórkę stary dom, z którego wyniesiono wszystkie meble, okna i drzwi. Wokół spieczonych warg rosły jak chwasty kępki niegolonego zarostu. Nawet komuś, kto tak opadł z sił, nadal rośnie broda, pomyślałem.

Midori powiedziała "dzień dobry" pulchnemu mężczyźnie w średnim wieku, zajmującemu łóżko przy oknie. Najwyraźniej nie mógł mówić, bo tylko z uśmiechem skinął głową. Zakaszła parę razy i napił się wody ze stojącej przy łóżku szklanki, później przewrócił się mozolnie na bok i skierował wzrok na okno. Widać w nim było słupy telegraficzne i druty. Nic poza tym, nawet chmur.

- No jak, tato, dobrze się czujesz? - zapytała Midori, schylając się do ucha ojca. Mówiła, jakby sprawdzała mikrofon. - No, jak dzisiaj?

Ojciec ledwo poruszył wargami. - *Niedobrze* - powiedział. A raczej nie "powiedział", a spróbował przekształcić w słowa suche powietrze, które miał w gardle. - *Głowa* - dodał.

- Głowa cię boli? - zapytała Midori.

- *Tak*. - Wyglądało na to, że może powiedzieć najwyżej trzy sylaby naraz.

- Nie ma rady. Musi boleć zaraz po operacji. Bardzo ci współczuję, ale wytrzymaj jeszcze trochę. To jest Watanabe. Mój kolega.

Powiedziałem, że bardzo mi miło go poznać. Ojciec Midori lekko otworzył i zamknął usta.

- Usiądź tam - poleciła Midori, wskazując plastikowy stołek przy końcu łóżka. Posłusznie usiadłem.

Midori podała ojcu wodę w specjalnym kubku z dziobkiem i zapytała, czy nie zjadłby galaretki albo owoców.

- *Nie chcę* - odparł.

- Musisz trochę jeść - nie ustępowała Midori, a wtedy dodał:

- *Zjadłem*.

Przy łóżku stał mały stolik, a na nim dzbanek, kubek, talerz, niewielki zegarek. Pod nim była papierowa torba, z której Midori wyjęła czystą piżamę, bieliznę i inne drobiazgi, uporządkowała i

wsadziła do szafki przy wejściu do pokoju. Na dnie torby znajdowało się jedzenie dla chorego: dwa grapefruity, galaretka owocowa i trzy ogórki.

- Ogórki? - powiedziała Midori zaskoczona i rozczarowana. - Dlaczego tu są ogórki? Nie wiem, co siostrze przyszło do głowy. Nie mam pojęcia. Mówiłam jej przecież przez telefon, co ma kupić. Nie wspominałam nic o ogórkach.

- Może źle usłyszała "kiwi"?\* - zapytałam.

Midori strzeliła palcami. - Rzeczywiście, prosiłam ją o kiwi. To dlatego. Ale przecież chyba mogła się zastanowić? Dlaczego chory miałby jeść surowe ogórki? Tato, masz ochotę na ogórka?

- *Nie chcę.*

Midori siadła u wezłowania i zaczęła mu opowiadać o różnych rzeczach: że telewizor zaczął źle odbierać, więc wezwała człowieka do naprawy, że ciocia z Takaido obiecała przyjść do szpitala za dwa lub trzy dni, że aptekarz, pan Miyawaki, przewrócił się na motocyklu. Ojciec w odpowiedzi mruzczał tylko: - *Uhm, uhm.*

- Naprawdę nie masz ochoty nic jeść, tato?

- *Nie chcę.*

- Watanabe, chcesz grapefruta?

- Nie chcę.

Nieco później Midori zabrała mnie do sali telewizyjnej, usiedliśmy na kanapie i Midori zapaliła papierosa. Siedziało tu trzech pacjentów w piżamach. Oni też palili i oglądali jakąś dyskusję na tematy polityczne.

- Ten facet o kulach od pewnego czasu zerka na moje nogi. Ten w niebieskiej piżamie, w okularach - powiedziała Midori rozbawiona.

- Oczywiście, że zerka. Wszyscy się gapią, bo włożyłaś taką spódniczkę.

- A niech sobie zerka. Tu się wszyscy nudzą i niech sobie czasem popatrzą na nogi młodej dziewczyny. Może jak się podnieca, szybciej wyzdrowieją.

- Tylko żeby im nie zaszkodziło.

- Wiesz, mój tata nie jest złym człowiekiem. Czasami się wściekam, bo mówi straszne rzeczy, ale jest z gruntu uczciwy i kochał mamę z całego serca. On też na swój sposób żył jak umiał najlepiej. Miał trochę słaby charakter, nie miał głowy do interesów, ludzie za nim nie przepadali, lecz w porównaniu z wieloma oszustami, obrotnymi chytrusami, jest naprawdę

---

\* Ogórek nazywa się po japońsku kyuuri, a nazwa owocu kiwi wymawiana jest kiwi.

porządnym człowiekiem. Co prawda, bez przerwy się kłóciliśmy, bo ja też jak coś powiem, to nie ustąpię, ale to dobry człowiek.

Midori podniosła moją rękę, jakby podnosiła coś z podłogi, i położyła sobie na kolanach. Pół mojej dłoni leżało na spódnicy, a drugie pół na udzie. Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Słuchaj, Watanabe, przepraszam, że cię przyprowadziłam w takie miejsce. Mógłbyś jeszcze trochę tu ze mną zostać?

- Mam czas do piątej i mogę zostać. Lubię z tobą spędzać czas i nie mam nic innego do roboty.

- A co zwykle robisz w niedzielę?

- Pranie. I prasowanie.

- Nie bardzo chcesz mówić o tej dziewczynie, prawda? Tej, z którą chodzisz?

- Tak, nie bardzo chcę o niej mówić. To skomplikowane i nie umiałbym za dobrze tego wytłumaczyć.

- To nie szkodzi. Nie musisz mi tłumaczyć. A mogę ci powiedzieć, co sobie wyobrażam?

- Proszę bardzo. Zawsze sobie wyobrażasz ciekawe rzeczy, więc chętnie posłucham.

- Myślę, że jest mężatką.

- Aha.

- Ma trzydzieści dwa, a może trzydzieści trzy lata, ma bogatego męża, jest ładna. Z tych, co noszą futra, buty firmy Charles Jourdan, jedwabną bieliznę. Do tego jest strasznie niewyżyta. I robi potwornie nieprzyzwoite rzeczy. Widujecie się popołudniami w ciągu tygodnia i nie możecie się sobą nasycić. Ale w niedziele mąż jest w domu i ona nie może się z tobą spotykać. Mam rację?

- Bardzo ciekawa historia.

- Na pewno każe sobie wiązać ręce, zasłaniać oczy i lizać każdy skrawek ciała. Do tego pozwala sobie wsadzać różne dziwne rzeczy, robi to w akrobatycznych pozycjach i każe ci fotografować polaroidem.

- Brzmi bardzo przyjemnie.

- Jest strasznie niewyżyta, robi dosłownie wszystko. Codziennie o tym rozmyśla. Ma przecież czas. Jak przyjdzie Watanabe, zrobimy to, a może tamto. I kiedy idziecie do łóżka, jest tak napalona, że w tych różnych pozycjach ma trzy orgazmy. I mówi do ciebie: "No jak? Mam piękne ciało, prawda? Młode dziewczyny nie dadzą ci już satysfakcji. Robią ci takie rzeczy? No

jak? Dobrze ci? Nie możesz jeszcze kończyć".

- Myślę, że oglądasz za dużo filmów pornograficznych - powiedziałem ze śmiechem.

- Może i masz rację. Bardzo lubię filmy pornograficzne. Pójdziemy kiedyś razem?

- Dobrze. Pójdziemy, jak będziesz miała czas.

- Naprawdę? Strasznie się cieszę. Chodźmy na sado-masochistyczny. Taki, w którym biją batem i każą dziewczynie sikać przy wszystkich. Bardzo takie lubię.

- Dobrze.

- Słuchaj, Watanabe, wiesz, co najbardziej lubię w oglądaniu filmów pornograficznych?

- Nie, nie mam pojęcia.

- Kiedy dochodzi do sceny łóżkowej, słysząc, jak wszyscy widzowie przełykają ślinę. Bardzo lubię ten dźwięk. Cudowny.

Wróciliśmy do pokoju ojca i Midori znowu coś mu opowiadała, a on tylko potakiwał: *Aha. Uhm.* Albo słuchał w milczeniu. Koło jedenastej przyszła żona pacjenta z sąsiedniego łóżka i zajęła się nim. Zmieniała mu piżamę, obierała owoce. Była to sympatycznie wyglądająca kobieta o okrągłej twarzy. Gawędziły z Midori na rozmaite tematy. Pojawiła się pielęgniarka, podłączyła nową kroplówkę, porozmawiała chwilę z Midori i tamtą kobietą i wyszła. W tym czasie ja, nie mając nic do roboty, rozglądałem się po pokoju, patrzyłem na słupy telegraficzne za oknem. Czasami przylatywały wróble i siadały na drutach. Midori to zagadywała coś do ojca, to ocierała mu pot z czoła, czasem podawała ligninę, żeby wypłuł flegmę, rozmawiała z żoną drugiego pacjenta i pielęgniarką, od czasu do czasu zwracała się do mnie, sprawdzała kroplówkę.

O pół do dwunastej był obchód, więc poczekaliśmy na korytarzu. Kiedy lekarz wyszedł z sali, Midori zapytała:

- Panie doktorze, jaki jest stan ojca?

- Jest świeżo po operacji i na środkach przeciwbólowych, więc jest dość wyczerpany - odparł lekarz. - Dopiero za jakieś dwa, trzy dni będzie wiadomo, jak się udała i czy wszystko będzie dobrze; a jeśli nie, to wtedy się zastanowimy.

- Nie będziecie mu chyba znowu otwierać czaszki?

- Na razie nie mogę nic powiedzieć. Ależ dziś masz krótką spódniczkę!

- Ładna, prawda?

- Ale jak ty wchodzisz po schodach?

- Po prostu wchodzę. Niech wszyscy widzą - powiedziała Midori, a stojąca z tyłu pielęgniarka zachichotała.

- Ty sama powinnaś przyjść do szpitala, dać sobie otworzyć głowę i sprawdzić, co tam masz - odparł lekarz zaskoczony. - A tu w szpitalu raczej korzystaj z windy. Nie chcę mieć więcej chorych. Ostatnio i tak mamy pełne ręce roboty.

Niedługo po obchodzie przysłała pora posiłku. Pielęgniarka jeździła z naładowanym wózkiem z sali do sali i rozdawała porcje. Ojciec Midori dostał przecieraną zupę, owoce, ugotowany do miękkości filet z ryby i coś wyglądającego na galaretkę z tartych jarzyn. Midori odwróciła ojca na plecy, za pomocą korby w nogach podniosła łóżko do pozycji siedzącej i zaczęła karmić ojca zupą. Po kilku łyżkach odwrócił głowę i powiedział: - *Nie chcę.*

- Trochę musisz zjeść - nalegała Midori.

- *Potem.*

- No i co ja mam z tobą zrobić? Jak nie będziesz porządnie jadł, to nie wyzdrowiejesz. Nie chcesz jeszcze siusiu?

- *Nie.*

- Słuchaj, Watanabe, może pójdziemy coś zjeść do stołówki na dole? - zapytała Midori.

Zgodziłem się, choć szczerze mówiąc, nie miałem ochoty na jedzenie. Stołówkę wypełniali lekarze, pielęgniarki i odwiedzający. Było to wielkie pozbawione okien pomieszczenie w podziemiu, z rzędami stolików, przy których ludzie jedli i rozmawiali - pewnie o chorobach - a ich głosy odbijały się echem jak w tunelu. Co pewien czas to echo zagłuszał megafon wzywający lekarza lub pielęgniarkę. Zająłem stolik, a Midori poszła po jedzenie i wróciła z aluminiową tacą z dwoma "zestawami dnia". Białe plastikowe naczynia - takie same jak podawane pacjentom - wypełniały krokiety z sosem śmietanowym, sałatka ziemniaczana, siekana surowa kapusta, gotowane jarzyny, ryż i zupa miso. Zjadłem mniej więcej połowę, resztę zostawiłem. Midori pochłonęła wszystko z apetytem.

- Nie jesteś głodny? - zapytała, siorbiąc gorącą herbatę.

- Niezbyt.

- To z powodu szpitala - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Wszyscy, którzy do tego nie przywykli, tak

reagują. Zapach, dźwięki, nieświeże powietrze, twarze chorych, napięcie, irytacja, rozczarowanie, ból, zmęczenie ściskają żołądek i zabijają apetyt. Jak człowiek się przyzwyczai,



to nie zwraca uwagi. Poza tym jeśli człowiek porządnie nie zje, to nie może się opiekować chorym. Naprawdę. Ja się na tym znam, bo zajmowałam się czworgiem pacjentów - dziadkiem, babcią, mamą i teraz ojcem. Zdarza się, że nie udaje się zjeść następnego posiłku, więc trzeba jeść na zapas, póki można.

- Rozumiem.

- Czasami krewni przychodzą w odwiedziny i razem tu jemy obiad. I wszyscy zjadają tylko połowę, tak jak ty. A kiedy ja zmiotam wszystko z talerza, taka ciocia mówi: "Zazdroścę ci, Midori, tej energii. Mnie tak to leży na sercu, że nie mogę nic jeść". Przecież to ja opiekuję się chorym. Szlag mnie trafia! Oni przychodzą tylko czasem i współczują. To ja zajmuję się kupami, pomagam mu odpluć flegmę, myję go w łóżku. Gdyby współczuciem można było radzić sobie z kupą, współczułabym pięćdziesiąt razy więcej niż oni. A mimo to kiedy zjadam cały obiad, wszyscy patrzą na mnie krytycznie: "Zazdroścę ci, Midori, tej energii". Czy uważają mnie za oślicę zaprzęgniętą do wózka? Mają już swoje lata, więc dlaczego nic nie rozumieją? Mądrzyć się każdy umie, ale liczy się tylko to, czy sprząta się kupy, czy nie. Mnie przecież też czasem coś zrani. Ja też bywam wykończona. Mnie też się czasem chce płakać. Lekarze hurmem rzucają się na pacjenta niemającego szans na wyzdrowienie, otwierają mu czaszkę i grzebią w środku. Robią to tyle razy, pacjentowi jest coraz gorzej i po trochu traci rozum. Niech spróbują się temu dzień po dniu przyglądać! Nie mogę tego znieść. Do tego topnieją nam oszczędności i nie wiem, czy będę mogła jeszcze przez trzy lata studiować albo czy siostra będzie mogła w tej sytuacji urządzić wesele.

- Ile razy w tygodniu tu przychodzisz? - zapytałem.

- Mniej więcej cztery. Tutaj jest teoretycznie zapewniona pełna opieka, lecz w rzeczywistości pielęgniarki nie dają sobie rady. Naprawdę ciężko pracują, tylko jest ich za mało i mają za dużo pracy. Dlatego rodzina musi się zajmować chorym. Siostra pilnuje księgarni, a ja wpadam między zajęciami. Nie ma innego wyjścia, prawda? Siostra i tak przychodzi tu trzy razy w tygodniu, a ja cztery. I wykorzystując nieliczne wolne chwile, chodzimy na randki. Harmonogram napięty do ostateczności.

- Skoro jesteś taka zajęta, dlaczego tak często się ze mną widzisz?

- Lubię z tobą spędzać czas - powiedziała, bawiąc się pustym plastikowym kubkiem.

- Idź sobie na dwie godziny na spacer po okolicy. Ja się pozajmuję twoim ojcem.

- Dlaczego?

- Dobrze ci zrobi, jak się stąd oddalisz i beztrudnie spędzisz czas. Nie będziesz z nikim rozmawiała, przewietrzysz sobie głowę.

Midori zastanawiała się trochę, lecz po chwili przytaknęła: - Tak. Może i masz rację. Ale czy ty wiesz, jak się nim zajmować?

- Przyglądałem ci się, więc mniej więcej wiem. Będę sprawdzał kroplówkę, podawał mu wodę, ocierał pot, pomagał odpluć flegmę, basen jest pod łóżkiem, a jeśli zgłodnieje, dam mu resztę obiadu. Jeżeli nie będę czegoś wiedział, zapytam pielęgniarkę.

- Skoro tyle wiesz, to sobie poradzisz - uśmiechnęła się Midori. - Tylko że jemu teraz zaczyna się mieszać w głowie i czasami mówi dziwne rzeczy. Nie wiadomo, o co mu chodzi. Więc nie przejmuj się, jeśli coś takiego powie.

- W porządku - odparłem.

Wróciliśmy do pokoju i Midori powiedziała ojcu, że musi wyjść coś załatwić, a w tym czasie ja się nim zajmę. Chyba nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia. A może wcale jej nie rozumiał. Leżał na plecach i nieruchomo wpatrywał się w sufit. Gdyby nie to, że czasem mrugał powiekami, wyglądałby jak nieżywy. Oczy miał przekrwione jak po przepiciu, kiedy brał głębszy oddech, nozdrza lekko mu się poruszały. Nawet nie drgnął i nie odpowiadał, gdy Midori się do niego zwracała. Nie miałem pojęcia, nad czym może rozmyślać, co rozważa w głębi swej zamglonej świadomości.

Po odejściu Midori chciałem coś do niego zagadać, lecz nie miałem pojęcia, co powiedzieć, więc milczałem.

Wkrótce zamknął oczy i zasnął. Siedziałem na stołku przy łóżku i modląc się, żeby akurat teraz nie umarł, obserwowałem, jak czasami poruszają mu się nozdrza. Zastanawiałem się, że dziwnie byłoby, gdyby odszedł w mojej obecności. Przecież dopiero go poznałem, jedynym łącznikiem między nami była Midori, a jedynym łącznikiem między mną a Midori był fakt, że oboje chodzimy na wykłady z historii dramatu.

Lecz on wcale nie umierał, tylko po prostu smacznie spał. Przysunąłem ucho do jego ust i usłyszałem cichy oddech. Uspokoilem się i zacząłem rozmawiać z żoną drugiego pacjenta. Chyba myślała, że jestem chłopakiem Midori, ponieważ ciągle o niej mówiła.

- To naprawdę dobra dziewczyna. Świetnie opiekuje się ojcem, jest życzliwa, łagodna, bystra, ma głowę na karku, a do tego ładna. Musisz o nią dbać. Nie możesz jej wypuścić z rąk.

Niewiele jest takich dziewczyn.

- Będę o nią dbał - obiecałem, bo nie chciało mi się tłumaczyć.

- Ja mam dwudziestojednoletnią córkę i siedemnastoletniego syna, ale oni wcale nie przychodzą do szpitala. Kiedy mają wolne, od razu gdzieś lecą, na surfing, na randkę, to tu, to tam. Straszne, prawda? Wyciągają ode mnie tyle kieszonkowego, ile mogą, a potem znikają.

O pół do drugiej powiedziała, że wyskoczy po zakupy, i wyszła. Obaj chorzy głęboko spali. Do pokoju wlewało się łagodne światło wczesnego popołudnia. Ja też nieomal usnąłem, siedząc na stołku. Na stoliku przy oknie stał wazon z białymi i żółtymi chryzantemami oznajmiającymi, że nadeszła jesień. Pokój wypełniała słodkawa woń gotowanej ryby z nietkniętego obiadu. Pielęgniarki dalej chodziły po korytarzu, postukując obcasami, i rozmawiały donośnymi głosami. Czasami któraś zaglądała i widząc, że obaj pacjenci śpią, wychodziła, rzucając mi uśmiech. Nie miałem nic do czytania - w pokoju nie było książek, czasopism ani gazet. Na ścianie wisiał tylko kalendarz.

Pomyślałem o Naoko. O nagiej Naoko, niemającej na sobie nic z wyjątkiem spinki we włosach. O jej zaokrąglonych biodrach i cieniu włosów na łonie. Dlaczego się przede mną rozebrała? Czyżby była w lunatycznym transie? A może był to jedynie wytwór mojej wyobraźni? Im więcej czasu mijało i im bardziej oddalałem się od tamtego małego świata, tym bardziej traciłem pewność, że to, co stało się tamtej nocy, było rzeczywistością. Kiedy wmawiałem sobie, że to prawda, zdawało mi się, że musi tak być, lecz gdy zaczynałem się zastanawiać, że być może tylko sobie to wszystko wyobraziłem, nie mogłem i tego wykluczyć. Jak na sen na jawie szczegóły zdawały się zbyt konkretne, lecz jednocześnie wszystko było zbyt piękne jak na rzeczywistość. I ciało Naoko, i blask księżycy.

Ojciec Midori obudził się nagle i zaczął kaszleć, więc przerwałem rozmyślenia. Otarłem mu flegmę chusteczką, ręcznikiem osuszyłem pot z czoła.

- Napije się pan wody? - zapytałem, a on nieznacznie skinął głową. Podałem mu kubek z wodą. Pił powoli, małymi łyčzkami. Drżały mu spieczone wargi i poruszała się grdyka. Wypił całą letnią wodę.

- Napije się pan jeszcze? - spytałem. Zdawało się, że chce coś powiedzieć. Zbliżyłem ucho do jego warg. - *Już wystarczy* - rozległ się cichy bezdźwięczny głos. Stał się cichszy i bardziej bezdźwięczny niż przedtem.

- A może pan coś zje? - zaproponowałem. - Musi pan być głodny. - Znów leciutko skinął

głową. Tak jak wcześniej Midori, kręcąc korbą, podniosłem łóżko do pozycji siedzącej i karmiłem go łyżeczką na zmianę galaretką warzywną i gotowaną rybą. Zjedzenie połowy zajęło mu strasznie dużo czasu, potem lekko pokręcił głową, jakby mówiąc, że już dość. Zdawało się, że poruszanie głowy sprawia mu ból, więc wykonywał tylko minimalne ruchy. Zapytałem, czy ma ochotę na owoce.

- *Nie chcę.*

Otarłem mu rącznikiem usta, przywróciłem łóżko do pozycji poziomej i wystawiłem naczynia na korytarz. - Smakowało panu? - zapytałem.

- *Nie.*

- Rzeczywiście, nie wyglądało zbyt smacznie - roześmiałem się. Ojciec Midori wpatrywał się we mnie w milczeniu i zdawało się, że nie może się zdecydować, czy zamknąć oczy, czy nie. Nagle przyszło mi do głowy, że być może nie wie, kim jestem. Zdawał się teraz bardziej zrelaksowany niż przy Midori. Może brał mnie za kogoś innego? Z mojego punktu widzenia tak byłoby lepiej.

- Jest dziś bardzo ładny dzień - powiedziałem, zakładając nogę na nogę. - Wczesna jesień, niedziela, ładna pogoda, wszędzie pełno ludzi. W taki dzień najlepiej siedzieć tak sobie spokojnie w pokoju. Nie zmęczy się człowiek. W zatłoczonych miejscach można się tylko zmęczyć i nie ma czym oddychać. Ja zwykle w niedzielę robię pranie. Rano piorę, rozwieszam na dachu akademika, po południu zbieram i od razu prasuję. Nawet lubię prasowanie. To bardzo przyjemne, kiedy wymięte rzeczy stają się gładkie. Zupełnie nieźle prasuję. Oczywiście na początku nie bardzo umiałem. Na wszystkim robiłem zapraski. Ale po miesiącu się nauczyłem. I dlatego niedziela to mój dzień na pranie i prasowanie. Dzisiaj nie mogłem się tym zająć. Szkoda, bo jest taka piękna pogoda na pranie. Nie ma sprawy. Wstanę wcześniej i upiorę jutro rano. Nie musi się pan o to martwić. W niedzielę i tak nie mam nic innego do roboty.

Jutro upiorę, rozwieszę, a o dziesiątej mam wykład. Midori też na niego chodzi. "Historia dramatu, część II". Teraz przerabiamy Eurypidesa. Zna pan Eurypidesa? Żył dawno temu w Grecji, obok Ajschylosa i Sofoklesa jest uważany za trzeciego dramaturga wielkiej trójcy twórców tragedii greckiej. Mówiono, że zmarł ugryziony przez psa w Macedonii, choć są też inne teorie. No, tak to było z Eurypidesem. Ja osobiście wolę Sofoklesa, lecz to kwestia gustu.

Charakterystyczną cechą jego dramatów jest to, że wszystkie wątki się plączą, bohaterowie są w pułapce. Wie pan, o co mi chodzi? Pojawiają się różne postaci, każda jest postawiona w

pewnej sytuacji, ma swoje racje, wymówki i dąży do sprawiedliwości oraz szczęścia. I przez to jest w kropce. To zrozumiałe. Jest zasadniczo niemożliwe, żeby każdy osiągnął szczęście i sprawiedliwości stało się zadość. Następuje beznadziejny chaos. I jak pan myśli, jak się to wszystko kończy? To bardzo proste: na koniec pojawia się bóg i kieruje ruchem. Ty idź tam, a ty chodź tutaj, ty bądź z tym, a ty siedź na razie spokojnie. On wszystko naprawia. I wszystko zostaje rozwiązane. To się nazywa deus ex machina. W sztukach Eurypidesa bez przerwy pojawia się deus ex machina i dlatego opinie na jego temat są podzielone.

Byłoby dobrze, gdyby w rzeczywistości istniało takie deus ex machina. Kiedy myśli człowiek, że jest w kłopotach, że nie ma wyjścia, z góry szybko schodzi bóg i wszystko załatwia. Byłoby bardzo dobrze. No, w każdym razie to właśnie robimy na historii dramatu. Na uniwersytecie uczymy się mniej więcej takich rzeczy.

Kiedy mówiłem, ojciec Midori w milczeniu przyglądał mi się nieco nieobecny wzrokiem. Nie mogłem po jego oczach ocenić, czy rozumiał cokolwiek z tego, co powiedziałem.

- *Peace* - dodałem.

Tak dużo mówiłem, że strasznie zgłodniałem. Prawie nic nie zjadłem na śniadanie i zostawiłem połowę obiadu.

Bardzo żałowałem, że porządnie nie zjadłem, ale żalowanie nic nie pomoże. Zajrzałem do szafki, szukając czegoś do jedzenia. Znalazłem jedynie puszkę z wodorostami, pastylki na kaszel i sos sojowy. W papierowej torbie były ogórki i grapefruity.

- Jestem głodny. Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym zjadł ogórka? - zapytałem.

Ojciec Midori milczał. Umyłem w umywalce trzy ogórki. Wylałem na talerzyk trochę sosu sojowego i chrupałem, owijając w wodorosty i zanurzając w sosie.

- Smaczne - powiedziałem. - Proste, świeże, pachną życiem. Dobre ogórki. Dużo lepsze żarcie od kiwi.

Zjadłem jednego ogórka i zabrałem się do następnego. W pokoju rozlegał się przyjemny odgłos chrupania. Po dwóch zrobiłem przerwę. Zagotowałem na kuchence w korytarzu wodę, zaparzyłem zieloną herbatę i napiłem się.

- Napije się pan wody albo soku? - zapytałem.

- *Ogórka*.

Uśmiechnąłem się szeroko. - Proszę bardzo. Owinąć w wodorosty?

Leciutko przytaknął. Znów podniosłem łóżko, pokroiłem ogórek nożem do owoców, żeby

mu było łatwiej jeść, owinąłem w wodorosty, zanurzyłem w sosie, nadziałem na wykałaczkę i podałem mu. Przeżuł i połknął, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- No i jak? Smaczne, prawda?

- *Smaczne.*

- To dobrze, jak jedzenie smakuje. Znak, że się żyje.

Zjadł cały ogórek. Potem chciał wody, więc go napoiłem. Wkrótce powiedział, że chce siku. Wyciągnąłem spod łóżka kaczkę i podałem mu, wsadzając jego członek w odpowiedni otwór. Poszedłem do toalety opróżnić naczynie. Wróciwszy do pokoju, wypilem resztę herbaty.

- Jak się pan czuje? - zapytałem.

- *Trochę. Głowa.*

- Głowa trochę boli?

Lekko zmarszczył brwi, jakby potwierdzał.

- Jest pan tuż po operacji, nie ma rady. Ja co prawda nigdy nie miałem operacji, więc się nie znam.

- *Bilet.*

- Bilet? Jaki bilet?

- *Midori. Bilet.*

Nie wiedziałem, o co chodzi, więc milczałem. On też przez chwilę milczał. Potem dodał: - *Proszę cię.*

O co mnie prosi? Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się we mnie. Zdawało się, że chce mi coś przekazać, lecz nie miałem pojęcia, o co mu może chodzić.

- *Ueno. Midori.*

- Dworzec Ueno? Lekko skinął głową.

- Bilet. Midori. Dworzec Ueno - powtórzyłem wszystkie słowa razem, ale dalej nie wiedziałem, co znaczą. Myślałem, że pewnie świadomość ma nieco zamgloną i wszystko mu się miesza, lecz jego oczy były zupełnie przytomne. Wyciągnął do mnie rękę bez kroplówki. Najwyraźniej wymagało to wielkiego wysiłku, bo ręka zawisała drżąca w powietrzu. Wstałem i ścisnąłem tę pomarszczoną dłoń. Słabo odwzajemnił uścisk i powtórzył: - *Proszę cię.*

Powiedziałem, żeby się nie martwił, że wszystko będzie w porządku. Zajmę się i biletom, i Midori. Opuścił rękę, wyczerpany zamknął oczy i zasnął, ciężko oddychając. Upewniwszy się, że nie umarł, wyszedłem na korytarz, zagotowałem wodę i znów napiłem się herbaty.

Uświadomiłem sobie, że czuję sympatię do tego umierającego kruchego człowieka.

Niedługo wróciła żona drugiego pacjenta i zapytała, czy wszystko było w porządku. Odpowiedziałem, że tak. Jej mąż też spał spokojnie, słyszałem, jak głęboko oddycha.

Midori wróciła po trzeciej.

- Chodziłam bez celu po parku. Tak jak mi kazałeś, sama, z nikim nie rozmawiałam, o niczym nie myślałam.

- Jak było?

- Dziękuję. Zdaje się, że bardzo mi ulżyło. Jeszcze jestem trochę ociężała, ale znacznie mi lżej niż przedtem. Chyba nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem zmęczona.

Ojciec Midori smacznie spał i nie mieliśmy specjalnie nic do roboty, więc kupiliśmy sobie w automacie kawę i poszliśmy do sali telewizyjnej. Zdałem Midori sprawozdanie ze wszystkiego, co zaszło w czasie jej nieobecności: ojciec się przespał, obudził, zjadł połowę obiadu, widząc, jak chrupię ogórek, stwierdził, że też ma ochotę, i zjadł całego, potem się wysusiał i poszedł spać.

- Watanabe, jesteś niesamowity - powiedziała z podziwem. - Nie chce jeść i wszyscy się męczą, próbując mu coś wmusić, a przy tobie zjadł cały ogórek. Aż trudno w to uwierzyć!

- Może dlatego, że ja jadłem z takim smakiem.

- A może wpływasz na ludzi uspokajająco?

- Żartujesz - roześmiałem się. - Wiele osób mówi mi coś wręcz przeciwnego.

- Co sądzisz o moim ojcu?

- Polubiłem go. Nic szczególnego nie powiedział, ale mam wrażenie, że to miły człowiek.

- Dobrze się zachowywał?

- Bardzo dobrze.

- Z tydzień temu był naprawdę straszny - pokręciła głową Midori. - Mieszało mu się w głowie i wpadał w pasję. Rzucił we mnie kubkiem. "Ty idiotko! Niech cię szlag trafi!", krzyczał. Przy tej chorobie czasami się to zdarza. W pewnym momencie chorzy stają się strasznie złośliwi. Nie wiem dlaczego. Z mamą też tak było. Jak sądzisz, co do mnie powiedziała? "Nie jesteś moją córką. Nienawidzę cię". Na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami. To charakterystyczne dla tej choroby. Coś naciska na mózg, drażni i człowiek plecie trzy po trzy. Wiem o tym. Wiem, a i tak mnie to boli. Mimo wszystko. Tak się staram, ze wszystkich sił, dlaczego mam jeszcze tego wysłuchiwać? Staje się człowiek bezlitosny.

- Rozumiem cię.

Nagle przypomniałem sobie, że jej ojciec mówił coś niejasnego.

- Bilet? Dworzec Ueno? - powtórzyła Midori. - O co mu może chodzić? Nie wiem.

- Powiedział też "proszę cię" i "Midori".

- Pewnie prosił, żebyś się mną zaopiekował.

- Albo chce, żebyś poszła na dworzec Ueno i kupiła mu bilet. W każdym razie kolejność tych słów jest taka dziwna, że nie wiadomo, o co chodzi. Nie przychodzi ci nic do głowy w związku z dworcem Ueno?

- Dworzec Ueno... - zastanawiała się Midori. - Jedyne, co mi się kojarzy z dworcem Ueno, to dwie ucieczki z domu. Raz byłam w trzeciej klasie, drugi raz w piątej. Wsiadałam w pociąg na dworcu Ueno i jechałam do Fukushima. Brałam pieniądze z kasy. Coś mnie wkurzało i robiłam to ze złości. W Fukushima mieszka ciocia. Dostyc ją lubiłam, więc jechałam do niej. Tata po mnie przyjeżdżał i zabierał do domu. Taki kawał, aż do Fukushima. Wsiadaliśmy do pociągu i jedząc drugie śniadanie, wracaliśmy do Ueno. Wtedy opowiadał mi trochę o różnych rzeczach. O wielkim trzęsieniu ziemi w Tokio<sup>\*</sup>, o wojnie, o tym, jak się urodziłam, o rzeczach, o których zwykle nie mówił. Właściwie jedynie przy tych okazjach rozmawialiśmy sobie spokojnie tylko we dwoje. Słuchaj, wiesz, że w czasie tego wielkiego trzęsienia ziemi tata był w samym środku miasta i nawet się nie zorientował, że ziemia się trzęsie. Trudno uwierzyć, prawda?

- Niemożliwe! - zawołałem zdumiony.

- To prawda. Jechał na rowerze z przyczepą w okolicy Koishikawa i podobno nic nie poczuł. Kiedy wrócił do domu, zobaczył, że z dachów pospadały wszystkie dachówki, a rodzina dygoce z przerażenia, trzymając się kurczowo słupów. Nie wiedział, co się dzieje, więc zapytał: "Co wy wyprawiacie?". I tak właśnie zapamiętał wielkie trzęsienie ziemi w Tokio - powiedziała Midori, śmiejąc się. - Wszystkie jego opowieści wspomnieniowe są właśnie takie. Zupełnie pozbawione dramatyzmu. Coś w nich nie gra. Słuchając, człowiek ma wrażenie, że przez ostatnich pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat w Japonii nie miało miejsca żadne ważne wydarzenie. Wypadki dwudziestego szóstego lutego<sup>\*\*</sup>, wojna na Pacyfiku. A rzeczywiście, było coś takiego. Dziwne,

---

<sup>\*</sup> W 1923 roku w okolicach Tokio i Jokohamy było wielkie trzęsienie ziemi. Tokio legło w gruzach, było ponad sto tysięcy ofiar.

<sup>\*\*</sup> Wypadki 26 lutego - zamach wojskowy przeprowadzony w 1936 roku przez prawie 1500 oficerów przeciwnych polityce rządu. Zginęło w nim kilku ministrów. Bunt został stłumiony na rozkaz cesarza po trzech



prawda?

Opowiadał mi trochę takich rzeczy po drodze z Fukushimy do Ueno. A na koniec zawsze mówił: "Midori, wszędzie jest tak samo". I ja wtedy po dziecinnemu myślałam, że naprawdę tak jest.

- I to jest twoje wspomnienie o dworcu Ueno?

- Uhm. A ty, Watanabe, uciekłeś kiedyś z domu?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie przyszło mi do głowy, żeby uciec.

- Jesteś zwariowany - powiedziała Midori, kręcąc z podziwem głową.

- Może i tak.

- W każdym razie myślę, że ojcu chodziło o to, żebyś się mną zaopiekował.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Czuję takie rzeczy instynktownie. No i co mu odpowiedziałeś?

- Nie bardzo rozumiałem, więc powiedziałem, żeby się nie martwić i że wszystko będzie w porządku. Że zajmę się i tobą, i biletem, i będzie w porządku.

- Czyli przyrzekłeś mu to? Że będziesz się mną opiekował? - zapytała Midori i poważnie spojrzała mi w oczy.

- Nie o to chodzi - wyjaśniłem pospiesznie. - Nie wiedziałem, o co mu chodzi i...

- Dobrze, dobrze, żartuję. Zgrywam się tylko - roześmiała się Midori. - Strasznie jesteś słodki.

Po dopiciu kawy wróciliśmy do pokoju. Ojciec Midori dalej głęboko spał. Pochyliłem się nad nim i usłyszałem cichy oddech. Popołudniowe światło za oknem stawało się coraz bardziej jesienne, nabrało miękkiej, stonowanej barwy. Nadleciało stadko ptaków, przysiadło na chwilę na drutach, a po chwili odleciało. Siedzieliśmy z Midori obok siebie w kącie i cicho rozmawialiśmy. Przepowiedziała mi przyszłość z ręki: dożyjesz stu pięciu lat, ożenisz się trzy razy i zginiesz w wypadku samochodowym. Niezłe życie, stwierdziłem.

Ojciec obudził się po czwartej. Midori usiadła przy nim, otarła mu pot z czoła, napiła wodą, pytając, czy boli go głowa. Przyszła pielęgniarka, zmierzyła choremu gorączkę, sprawdziła, ile razy oddał mocz i czy kroplówka działa prawidłowo. Ja pooglądałem trochę transmisję meczu

---

dniach.

piłki nożnej, siedząc na kanapie w sali telewizyjnej.

- Muszę zaraz iść - powiedziałem Midori o piątej. Potem zwróciłem się do jej ojca: - Muszę iść do pracy - wyjaśniłem. - Od szóstej do dziesiątej sprzedaję w Shinjuku płyty.

Spojrzał na mnie i lekko skinął głową.

- Słuchaj, Watanabe, nie bardzo wiem, jak wyrazić, że jestem ci strasznie wdzięczna za dzisiaj. Dziękuję - powiedziała Midori w holu na dole.

- Nic wielkiego nie zrobiłem. Jeżeli mogę ci się przydać, przyjdę też za tydzień. Chciałbym się znów zobaczyć z twoim ojcem.

- Naprawdę?

- W akademiku i tak nie mam co robić, a tu mogę sobie zjeść ogórków.

Midori stała z założonymi rękami, postukując obcasem o linoleum.

- Chciałabym znowu iść z tobą na drinka. - Lekko przechyliła głowę.

- A co z filmem pornograficznym?

- Obejrzymy film, a potem się napijemy. I jak zawsze będziemy mówić o nieprzyzwoitych rzeczach.

- Ja nie mówię. Ty mówisz - zaprotestowałem.

- Wszystko jedno. W każdym razie będziemy pili, mówili o takich rzeczach, upijemy się na umór i pójdziemy do łóżka.

- Dalej mogę sobie mniej więcej wyobrazić - powiedziałem z westchnieniem. - Ja będę próbował coś zrobić, a ty będziesz odmawiała?

Midori parsknęła śmiechem.

- No w każdym razie przyjdź po mnie w przyszłą niedzielę rano, tak jak dzisiaj. Razem tu przyjedziemy.

- Mam włożyć trochę dłuższą spódniczkę?

- Uhm - potwierdziłem.

Ale w rezultacie nie poszedłem do szpitala w następną niedzielę. Ojciec Midori zmarł w piątek rano.

Midori zadzwoniła o szóstej rano, żeby mnie zawiadomić. Odezwał się dzwonek sygnalizujący, że jest do mnie telefon, więc narzuciłem na piżamę zapinany sweter, zszedłem do holu i podniosłem słuchawkę. Na dworze padał bezgłośnie zimny deszcz. - Tata przed chwilą

umarł - powiedziała Midori cichym, cienkim głosem. Zapytałem, czy mogę jej w czymś pomóc.

- Dziękuję, nie trzeba. Jesteśmy przyzwyczajone do pogrzebów. Chciałam cię po prostu zawiadomić.

Usłyszałem jakby westchnienie.

- Nie przychodź na pogrzeb. Nie lubię takich uroczystości. Nie chcę się tam z tobą spotykać.

- Dobrze.

- Naprawdę zabierzesz mnie na film pornograficzny?

- Oczywiście, że tak.

- Na strasznie nieprzyzwoity?

- Dobra, znajdę coś odpowiedniego.

- Zadzwoń do ciebie - powiedziała. I odłożyła słuchawkę.

Minął tydzień, lecz nie zadzwoniła. Nie widziałem jej też w sali wykładowej. Za każdym razem wracając do akademika, miałem nadzieję, że będzie dla mnie wiadomość, lecz nigdy nikt nie dzwonił. Pewnego wieczoru zgodnie z obietnicą próbowałem się onanizować, myśląc o Midori, ale nic z tego nie wychodziło, więc poddałem się i przerzuciłem na Naoko. Jednak tym razem nawet jej obraz nie pomagał. Poczulem się głupio i zrezygnowałem. Napilem się whisky, umyłem zęby i poszedłem spać.

W niedzielę rano napisałem list do Naoko. Opisałem jej historię ojca Midori. Poszedłem odwiedzić w szpitalu ojca koleżanki ze studiów i zjadłem niepotrzebne ogórki. Kiedy on to zobaczył, też nabrał ochoty na ogórek i zjadł ze smakiem. Lecz po pięciu dniach zmarł o świcie. Jeszcze ciągle słyszę chrupanie ogórka. Śmierć pozostawia po sobie wyrwykowe dziwne wspomnienia.

Napisałem, że kiedy budzę się rano, leżę w łóżku i myślę o tym, jak poszedłem z nią i Reiko do ptaszarni. O pawiu, gołębiach, papugach, indykach i o królikach.

Pamiętam ten deszczowy ranek i wasze żółte peleryny z kapturami. Bardzo przyjemnie jest myśleć o Tobie, leżąc w ciepłym łóżku. Zdaje mi się, że jesteś przy mnie i smacznie śpisz zwinięta w kłębek. I myślę o tym, jakby to było cudownie, gdyby naprawdę tak się zdarzyło.

Czasami czuję się strasznie samotny, ale zasadniczo mam się dobrze. Tak jak Ty każdego ranka zajmujesz się ptakami i pracujesz w polu, ja też po swoim nakręcam swoją własną sprężynę. Wstaję z łóżka, myję zęby, golę się, jem śniadanie, ubieram się, wychodzę z akademika i zazwyczaj w drodze na uniwersytet przekręcam sprężynę mniej więcej trzydzieści sześć razy. No, dziś też muszę przeżyć tak jak trzeba, myślę sobie. Podobno ostatnio często sam do siebie mówię, choć tego nie zauważyłem. Pewnie mamrocę coś przy nakręcaniu sprężyny.

Ciężko mi, bo nie mogę się z Tobą zobaczyć, ale sądzę, że gdyby nie Ty, moje życie w Tokio byłoby jeszcze gorsze. Kiedy rano w łóżku o Tobie pomyślę, mogę sobie powiedzieć: no, trzeba nakręcić sprężynę i żyć jak należy. Ty się tam starasz, a się muszę starać tutaj.

Dziś jest niedziela i nie nakręcam rano sprężyny. Zrobiłem pranie i teraz piszę w pokoju list. Kiedy skończę, nakleję znaczek i wrzucę list do skrzynki, nie będę miał do wieczora nic do roboty. W niedzielę się nie uczę. W dni powszednie studiuje dość porządnie w czytelni między wykładami, więc nic mi nie zostaje na niedzielę. Niedzielne popołudnia są ciche, spokojne i samotne. Czytam książki albo słucham muzyki. Czasami próbuję sobie przypomnieć wszystkie trasy naszych niedzielnych spacerów. Nawet pamiętam, w co byłaś ubrana. W niedzielne popołudnia naprawdę wracają do mnie różne wspomnienia. Pozdrów ode mnie Reiko. Wieczorami bardzo tęsknię za jej grą na gitarze.

Skończyłem list, poszedłem dwieście metrów do skrzynki, żeby go wrzucić, kupiłem w pobliskiej piekarni kanapkę z jajkiem i coca-colę, usiadłem na ławce w parku i zjadłem drugie śniadanie. Dwie dziecięce drużyny rozgrywały mecz baseballowy, więc popatrzyłem trochę dla zabicia czasu. Z nadejściem jesieni niebo stawało się coraz bardziej niebieskie i dalekie. Podniosłem głowę i zauważyłem dwie białe linie spalin samolotów: bieging równoległe prosto na zachód, jak tory kolejowe. Odrzuciłem piłkę, która wypadła na aut, chłopcy zdjęli czapki i grzecznie podziękowali. Jak w większości gier dziecięcych wiele baz ukradziono lub zdobyto za darmo. Minęło południe. Wróciłem do pokoju i zabrałem się do czytania książki, lecz nie mogłem się na tym skupić i zacząłem wpatrywać się w sufit, myśląc o Midori. Zastanawiałem się, czy jej ojciec naprawdę usiłował mnie poprosić o opiekę nad córką. Ale oczywiście nie miałem jak się dowiedzieć, o co mu chodziło. Pewnie mnie z kimś pomylił. W każdym razie umarł w piątek, w zimny deszczowy poranek i nie było już jak się upewnić. Wyobrażałem sobie, że umierając, pewnie jeszcze bardziej się skurczył i zmałał. A potem został spalony i zmienił się

w kupkę popiołu. Pozostawił po sobie tylko nijaką księgarnię w nijakim pasażu handlowym i dwie córki - z których jedna była dość ekscentryczna. Co to za życie, zastanawiałem się. O czym myślał, gdy patrzył na mnie, leżąc w tym szpitalnym łóżku z pociętą i pełną zamętu głową?

Kiedy tak rozmyślałem o ojcu Midori, wpadałem w coraz większe przygnębienie, więc postanowiłem wcześniej zebrać rozwieszzone na dachu pranie i dla zabicia czasu, pojechać do Shinjuku, żeby pochodzić po mieście. Poczułem ulgę w niedzielnym tłumie wypełniającym ulice. W księgarni Kinokuniya, zatłoczonej jak pociąg podczas porannego szczytu, kupiłem *Światłość w sierpniu* Faulknera, wybrałem kawiarnię jazzową z jak najgłośniejszą muzyką i słuchając płyt Ornette'a Colemana i Buda Powella, piłem gorącą, mocną i niesmaczną kawę czytałem tę książkę. O pół do szóstej zamknąłem ją, wyszedłem i zjadłem skromną kolację. Nagle zastanowiłem się, ile przyjdzie mi jeszcze spędzić takich niedziel? Kilkadziesiąt? Kilkaset? - Cicha, spokojna, samotna niedziela - powiedziałem. W niedzielę nie nakręcę sprężyny.

## 8

**W połowie** następnego tygodnia głęboko przeciąłem sobie szkłem wnętrze dłoni. Nie zauważyłem, że pękła szklana przegródka na półce z płytami. Sam się zdziwiłem, widząc, jak bardzo ręka mi krwawi. Krew kapiała z rany i wkrótce na podłodze utworzyła się czerwona kałuża. Kierownik sklepu przyniósł ręcznik, którym jak bandażem mocno owinął mi dłoń. Potem dowiedział się przez telefon, gdzie jest ostry dyżur. Zwykle z kierownika nie było żadnego pożytku, ale tego typu sprawy załatwiał bardzo szybko. Szpital był na szczęście niedaleko, lecz zanim tam dotarłem, ręcznik zabarwił się czerwienią, przesiąknął i krew zaczęła skapywać na asfalt. Ludzie pospiesznie schodzili mi z drogi. Chyba myśleli, że zostałem ranny w jakiejś bójce. Nie czułem dotkliwego bólu, lecz rana ciągle krwawiła.

Lekarz beznamiętnie odwiązał pokrwawiony ręcznik, mocno ścisnąwszy mi nadgarstek, zatamował krew, zdezynfekował ranę, założył szwy i kazał przyjść następnego dnia. Wróciłem do sklepu i kierownik powiedział, że mogę iść do domu i że nie odliczy mi tych godzin. Wsiadłem do autobusu i wróciłem do akademika. Wstąpiłem do Nagasawy. Z powodu rany byłem podniecony i chciałem z kimś porozmawiać, a poza tym zdawało mi się, że od bardzo dawna się nie widzieliśmy.

Był u siebie. Pijąc piwo z puszki, oglądał w telewizji kurs hiszpańskiego. Na widok bandaża

zapytał, co mi się stało. Odpartem, że trochę się skaleczyłem, ale to nic poważnego. Zaproponował mi piwo, lecz odrzekłem, że nie mam ochoty.

- Zaraz się skończy, poczekaj chwilę - powiedział Nagasawa i zaczął ćwiczenia z wymowy hiszpańskiej. Zagotowałem wodę, zaparzyłem herbatę z torebki i napiłem się. Jakaś Hiszpanka odczytywała przykłady. - Pierwszy raz widzę taki straszny deszcz. W Barcelonie zerwało kilka mostów. - Nagasawa przeczytał te zdania, a potem dodał: - Straszne przykłady. W kursach językowych używają tylko takich. Co za głupota.

Kurs dobiegł końca i Nagasawa wyłączył telewizor, wyjął z niewielkiej lodówki kolejne piwo.

- Nie przeszkadzam? - zapytałem.

- Mnie? Wcale nie przeszkadzasz. Nudziłem się. Naprawdę nie chcesz piwa?

Powiedziałem, że nie.

- A właśnie, niedawno ogłosili wyniki egzaminów. Zdałem.

- Egzaminów Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

- Uhm, oficjalnie nazywa się to egzamin kwalifikacyjny pierwszej klasy dla przyszłych pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Idiotyczne, nie uważasz?

- Gratuluję - powiedziałem i wyciągnąwszy lewą rękę, uściśniłem mu dłoń.

- Dziękuję.

- Co prawda wcale mnie to nie dziwi.

- No tak, mnie też nie dziwi - odparł Nagasawa ze śmiechem. - No, ale dobrze, że to już oficjalne.

- Po rozpoczęciu pracy w ministerstwie pojedziesz za granicę?

- Nie, przez pierwszy rok jest szkolenie w kraju. A potem na dłuższy czas wysyłają za granicę.

Popijałem herbatę, a on ze smakiem sączył piwo.

- Jeśli chcesz, dam ci tę lodówkę, kiedy będę się wyprowadzał. Chcesz, prawda? Jak się ma lodówkę, można się napić zimnego piwa.

- Jeżeli możesz, to bardzo chętnie, ale chyba tobie też może być potrzebna? Przecież i tak będziesz musiał wynająć jakieś mieszkanie.

- Nie wygłupiaj się. Jak się stąd wyprowadzę, kupię sobie większą lodówkę i będę żył luksusowo. Cztery lata się męczę w tym prymitywie. Nie będę mógł patrzeć na rzeczy, których tu

używałem. Dam ci, co będziesz chciał. Telewizor, termos, radio.

- Chętnie wszystko wezmę - powiedziałem i podniosłem z biurka podręcznik do hiszpańskiego. - Zacząłeś się uczyć hiszpańskiego?

- Uhm. Każdy obcy język się przydaje, a poza tym mam do tego zdolności. Przecież francuskiego sam się nauczyłem i mówię prawie perfekt. Języki przypominają gry. Jak raz zrozumiesz zasadę, okazuje się, że da się zastosować do wszystkich. Tak samo jak z kobietami.

- Co za refleksyjne podejście do życia! - skomentowałem ironicznie.

- A propos, nie poszlibyśmy kiedyś na kolację?

- Nie chodzi znowu o polowanie na dziewczyny?

- Nie, na prawdziwą kolację. Pójdziemy we trójkę z Hatsumi do porządnej restauracji i zjemy kolację. Opijemy mój zdany egzamin. Pójdziemy do najdroższej. I tak zapłaci mój ojciec.

- Chyba lepiej, żebyś poszedł sam z Hatsumi?

- Przy tobie będziemy się swobodniej czuli. I ja, i ona.

O rany, pomyślałem. Tak samo jak z Kizukim i Naoko.

- Później pójdę na noc do Hatsumi, ale kolację zjedzmy we trójkę.

- No, dobrze, jeżeli oboje sobie tego życzyacie. A co zamierzasz zrobić w związku z Hatsumi? Po szkoleniu pojedziesz na granicę i przez kilka lat nie wrócisz, prawda? Co się z nią stanie?

- To jej sprawa, nie moja.

- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Położył nogi na biurku, napił się piwa, a potem ziewnął.

- Po prostu nie mam zamiaru się z nikim żenić i Hatsumi też o tym uprzedziłem. Jeżeli będzie chciała wyjść za kogoś za mąż, niech wychodzi. Ja jej nie będę powstrzymywał. Jak będzie chciała na mnie czekać, może czekać. O to mi chodzi.

- Aha. - Byłem pod wrażeniem.

- Uważasz, że jestem świnia, prawda?

- Uważam.

- Świat jest zasadniczo niesprawiedliwy. To nie moja wina. Od zawsze tak było. Nigdy Hatsumi nie oszukałem. I dlatego powiedziałem jej, że jestem świnia, i jak jej się to nie podoba, może mnie rzucić.

Nagasawa dopił piwo, a następnie zapalił papierosa.

- Czy niczego się w życiu nie boisz? - zapytałem.

- Słuchaj, ja nie jestem kompletnym idiotą. Oczywiście czasem się czegoś w życiu boję, ale to chyba normalne? Ja tylko nie uznaję tego za przeszkodę. Dam z siebie wszystko i zajdę tak daleko, jak mi się uda. Wezmę to, co będę chciał, odrzucę to, czego nie będę chciał. I tak będę żył. A jeżeli coś się nie uda, wtedy się zastanowię. niesprawiedliwe społeczeństwo to jednocześnie społeczeństwo, w którym można wykorzystać własne zdolności.

- Brzmi to bardzo egoistycznie.

- Ale ja nie czekam bezczynnie, aż coś mi samo wpadnie w ręce. Po swojemu wysilam się jak mogę. Wysilam się z dziesięć razy bardziej niż ty.

- Pewnie tak - przyznałem.

- Dlatego czasem rozglądam się dookoła i mam naprawdę dosyć. Dlaczego inni się nie wysilają? Dlaczego nie wysilają się, tylko narzekają?

Patrzyłem na niego zaskoczony.

- A ja mam wrażenie, że ludzie nieustannie pracują w pocie czoła, ale może się mylę?

- To nie wysiłek, a zwykła praca - odpowiedział krótko Nagasawa. - Ja nie mówię o takich wysiłkach, tylko o takim, który się narzuca sobie w pewnym celu.

- Tak jak uczenie się hiszpańskiego, mimo że masz zapewnioną pracę; inni w tej samej sytuacji się relaksują?

- Właśnie tak. Do końca wiosny całkowicie opanuję hiszpański. Angielski, niemiecki i francuski mam już za sobą, włoski też już nieomal znam. Myślisz, że byłoby to możliwe bez wysiłku?

Palił, a ja myślałem o ojcu Midori. Pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zacząć się uczyć hiszpańskiego z kursów telewizyjnych. Chyba się nie zastanawiał, co różni wysiłek od pracy. Prawdopodobnie był zbyt zajęty by rozważać takie kwestie. Był zajęty pracą i musiał jeździć do Fukushimy po córkę, która uciekała z domu.

- A co do tej kolacji, co byś powiedział na sobotę?

Odparłem, że dobrze.

Nagasawą wybrał elegancką francuską restaurację przy cichej uliczce w dzielnicy Azabu<sup>\*</sup>. Podał przy wejściu nazwisko i wprowadzono nas do prywatnej sali w głębi. Był to niewielki

---

<sup>\*</sup> Jedna z najelegantszych dzielnic tokijskich.



pokój. Na ścianach wisiało z piętnaście grafik. Czekając na przybycie Hatsumi, popijaliśmy z Nagasawą dobre wino i rozmawialiśmy o powieściach Josepha Conrada. Nagasawą miał na sobie kosztownie wyglądający szary garnitur, a ja zupełnie zwyczajną granatową marynarkę.

Po około kwadransie zjawiła się Hatsumi. Była bardzo starannie umalowana, miała złote kolczyki w uszach, śliczną ciemnoniebieską sukienkę i czerwone pantofle w wyrafinowanym fasonie. Pochwaliłem kolor sukienki; Hatsumi powiedziała, że to *midnight blue*.

- Co za elegancka restauracja! - zawołała.

- Kiedy ojciec przyjeżdża do Tokio, zawsze tutaj przychodzi. Raz tu z nim byłem. Ja niezbyt lubię takie pretensjonalne dania.

- Przecież od czasu do czasu przyjemnie zjeść coś takiego. Nie uważasz? - zwróciła się do mnie.

- No tak, jeżeli nie musi człowiek sam płacić.

- Ojciec zwykle przychodzi z kobietą - powiedział Nagasawa. - Ma w Tokio kochankę.

- Ach tak? - zdziwiła się Hatsumi. Popijałem wino, udając, że nie słyszę.

Wkrótce pojawił się kelner i złożyliśmy zamówienia. Wybraliśmy zakąski i zupy. Jako główne danie Nagasawa zamówił kaczkę, a my z Hatsumi sandacza. Dość długo czekaliśmy na wszystkie potrawy, więc rozmawialiśmy na różne tematy, popijając wino. Najpierw Nagasawa opowiedział o egzaminie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mówił, że większość zdających to śmiecie nadające się tylko na przemiał, lecz było też wśród nich kilku normalnych ludzi. Zapytałem, czy ich procent był niższy, czy wyższy niż w społeczeństwie.

- Taki sam, to oczywiste - odparł Nagasawa, jakby to było zupełnie oczywiste. - Zawsze i wszędzie jest taki sam. Stały.

Po pierwszej butelce wina Nagasawa zamówił drugą, a dla siebie podwójną szkocką.

Hatsumi zaczęła znowu mówić o dziewczynie, którą chce mi przedstawić. Temat powracał przy każdym spotkaniu. Chciała mi przedstawić "młodszą koleżankę z klubu, bardzo ładną", a ja zawsze się wykręcałem.

- Ale to naprawdę dobra dziewczyna. I piękna. Następnym razem ją przyprowadzę i wtedy z nią porozmawiasz. Na pewno ci się spodoba.

- Nie ma mowy - odparłem. - Jestem za biedny na chodzenie z dziewczyną z twojego uniwersytetu. Nie mam pieniędzy, nie dogadalibyśmy się.

- Nic podobnego. To bardzo bezpośrednia i dobra dziewczyna. Wcale nie jest pretensjonalna.

- Raz możesz się chyba z nią spotkać? - powiedział Nagasawa. - Nie musisz od razu iść z nią do łóżka.

- To chyba oczywiste. Nie mógłbyś tego zrobić. Jest dziewicą.

- Tak jak ty kiedyś - rzucił Nagasawa.

- Właśnie, tak jak ja kiedyś - roześmiała się Hatsumi. - To, że jesteś biedny i tak dalej, nie ma żadnego znaczenia. Na moim roku jest parę strasznie pretensjonalnych nadętych dziewczyn, ale pozostałe są zwyczajne, jak ja. Jemy w stołówce obiady za dwieście pięćdziesiąt jenów...

- Posłuchaj, Hatsumi - przerwałem jej. - W stołówce u mnie są trzy zestawy obiadowe: A, B i C. Zestaw A kosztuje sto dwadzieścia jenów, B sto, a C osiemdziesiąt jenów. I kiedy czasami zamawiam A, wszyscy patrzą na mnie z niechęcią. A ci, których nie stać na C, jedzą ramen\* za sześćdziesiąt jenów. To taka uczelnia. Myślisz, że byśmy się dogadali?

Hatsumi wybuchnęła śmiechem. - Bardzo tanio. Może ja też tam pójść na obiad? Ale z ciebie dobry chłopak i na pewno byście się dogadali. Mogłyby jej się spodobać obiady za sto dwadzieścia jenów.

- Żartujesz - odparłem ze śmiechem. - Nikomu by się nie mogły podobać. Jemy je, bo nie mamy wyboru.

- Nie sądź po pozorach. Fakt, że moja uczelnia to luksusowa szkoła dla pańienek z dobrych domów, lecz jest tam wiele dziewczyn myślących i poważnie traktujących życie. Nie wszystkie marzą o chłopaku ze sportowym samochodem.

- Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę.

- Watanabe ma dziewczynę - powiedział Nagasawa. - ale nie wspomina o niej ani słowem. Jest strasznie skryty. Wszystko jest owiane mgłą tajemnicy.

- Naprawdę? - zwróciła się do mnie Hatsumi.

- Naprawdę. Ale to nie żadna tajemnica. Po prostu sytuacja jest bardzo skomplikowana i trudno mi ją wyjaśnić.

- Zakazana miłość czy coś w tym rodzaju? Możesz się mnie poradzić.

Napiłem się wina, chcąc uniknąć odpowiedzi.

- No, proszę, jaki skryty - powiedział Nagasawa, popijając trzecią whisky. - Jak raz postanowi coś trzymać w tajemnicy, za nic nie zmieni zdania.

- Szkoda.

---

\* Ramen - chińska zupa z makaronem.

Hatsumi odkroiła i zjadła mały kawałek terrine.

- Gdyby wszystko dobrze się układało z tą dziewczyną, moglibyśmy pójść na podwójną randkę.

- Moglibyśmy się też upić i pozamieniać partnerami - dodał Nagasawa.

- Nie mów głupstw.

- To nie głupstwo, bo Watanabe cię lubi.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - odpowiedziała cicho. - On by nie zrobił czegoś takiego. Szanuje i dba o to, co posiada. To widać. Dlatego chciałam go poznać z tą dziewczyną.

- Myśmy się kiedyś zamienili dziewczynami. Prawda, Watanabe? - zapytał Nagasawa obojętnie, dopił whisky i zamówił następną.

Hatsumi odłożyła sztućce i lekko otarła usta serwetką. Potem spojrzała na mnie. - Naprawdę zrobiłeś coś takiego?

Milczałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Powiedz jej. Mnie to nie przeszkadza - oświadczył Nagasawa.

Co za nieprzyjemna sytuacja, pomyślałem. Czasami, kiedy się upije, Nagasawa staje się złośliwy. I dziś wieczór ofiarą tej złośliwości padłem nie ja, lecz Hatsumi. Zdawałem sobie z tego sprawę i dlatego czułem się bardzo niezręcznie.

- Opowiedz, proszę. Zdaje się, że to bardzo ciekawa historia - powiedziała Hatsumi.

- Byliśmy pijani.

- Nie przejmuj się, przecież nie mam do ciebie pretensji. Chcę tylko wiedzieć, co się zdarzyło.

- Piliśmy we dwóch w barze w Shibuya i poznaliśmy dwie dziewczyny. Chodziły do jakiejś szkoły pomaturalnej, one też były już nieźle wstawione i w końcu wylądowaliśmy w pobliskim hotelu, i poszliśmy do łóżka. Wynajęliśmy z Nagasawą dwa sąsiednie pokoje. W środku nocy Nagasawą zapukał do mojego i powiedział: "Hej Watanabe, zamieńmy się dziewczynami", więc poszedłem do jego pokoju, a on został w moim.

- Te dziewczyny się nie zezłościły?

- One też były pijane i było im wszystko jedno, tak jak nam.

- Miałem swoje powody - dodał Nagasawą.

- Jakie powody?

- Te dziewczyny trochę za bardzo się od siebie różniły. Jedna była ładna, a druga straszna, i

pomyślałem, że to niesprawiedliwe. Bo ja sobie wziąłem tę ładną i to było nie fair w stosunku do Watanabego. Dlatego się zamieniłem. Tak było, prawda, Watanabe?

- Tak - odparłem - choć prawdę mówiąc, ta nieładna dziewczyna dosyć mi się podobała. Ciekawie się z nią rozmawiało i była miła. Po seksie leżeliśmy w łóżku i całkiem przyjemnie sobie gadaliśmy, kiedy przyszedł Nagasawa i zaproponował zamianę. Zapytałem tę dziewczynę, czy się zgadza, a ona powiedziała, że dobrze, jeżeli nam na tym zależy. Pewnie myślała, że chcę się przespać z tamtą ładną.

- Dobrze się bawiłeś?

- Przy tej zamianie?

- Przez cały wieczór.

- Niespecjalnie. To był tylko seks. Spanie z dziewczyną w ten sposób nie należy do wielkich przyjemności.

- To dlaczego to robisz?

- Bo ja go namawiam - powiedział Nagasawa.

- Pytałam Watanabego - rzuciła ostro Hatsumi. - Czemu to robisz?

- Bo czasami mam straszną ochotę się z kimś przespać.

- Przecież masz dziewczynę. Nie możesz sobie jakoś poradzić przy jej pomocy? - zapytała po namyśle.

- To skomplikowana sytuacja.

Hatsumi westchnęła.

Otworzyły się drzwi i przyniesiono jedzenie. Przed Nagasawa pojawiła się pieczona kaczka, a mnie i Hatsumi podano sandacza. Na talerzach ułożono obfite porcje jarzyn na gorąco i wszystko polano sosami. Kelnerzy się wycofali i znów zostaliśmy we trójkę. Nagasawa ukroił kawałek kaczki, zjadł ze smakiem i popił whisky. Ja spróbowałem szpinaku. Hatsumi nawet nie tknęła jedzenia.

- Słuchaj, Toru, nie wiem, w jakiej jesteś sytuacji, lecz myślę, że tego rodzaju zachowanie nie pasuje do ciebie

i jest niewłaściwe. Jak uważasz? - zapytała Hatsumi. Oparła dłonie na stole i przyglądała mi się.

- No, tak. Sam czasem tak myślę.

- To dlaczego nie przestaniesz?

- Czasami pragnę ciepła - odpowiedziałem szczerze. - Bez ludzkiego ciepła czuję się niekiedy taki samotny, że nie mogę tego znieść.

- Krótko mówiąc, chodzi o to, że Watanabe ma dziewczynę, tylko z jakichś powodów nie może z nią sypiać - wtrącił się Nagasawa. - Dlatego mówi sobie, że seks to tylko seks, i załatwia tę sprawę inaczej. To chyba nie szkodzi? Ma sens. Nie może przecież ciągle siedzieć w pokoju i się masturbować?

- Ale jeżeli naprawdę ją kochasz, chyba powinieneś umieć się powstrzymać?

- Może i tak - odparłem, podnosząc do ust kawałek sandacza w sosie śmietanowym.

- Ty nie rozumiesz męskiego pożądania - powiedział Nagasawa do Hatsumi. - Na przykład ja chodzę z tobą od trzech lat. W tym czasie spałem z wieloma innymi dziewczynami, lecz w ogóle ich nie pamiętam. Nie znam ich imion, nie przypominam sobie twarzy. Z każdą śpię tylko raz. Poznają dziewczynę, idziemy do łóżka i rozstajemy się. To wszystko. Co w tym złego?

- Nie mogę znieść tej twojej arogancji - odrzekła cicho Hatsumi. - Nie chodzi o to, czy śpisz z innymi dziewczynami, czy nie. Do tej pory ani razu poważnie się nie rozgniewałam o to chodzenie na dziwki, prawda?

- Nie można tego nazwać chodzeniem na dziwki. To tylko gra. Nikogo nie krzywdzę.

- Mnie krzywdzisz. Czy ja ci nie wystarczam?

Nagasawa milczał przez chwilę, potrząsając szklaneczką whisky.

- Nie chodzi o to, że nie wystarczasz. To zupełnie inna kwestia. Mam w sobie jakieś pragnienie, które domaga się zaspokojenia. I bardzo mi przykro, jeżeli to cię rani. Wcale nie chodzi o to, że ty mi nie wystarczasz. Po prostu muszę zaspokajać to pragnienie, taki już jestem. Nie ma rady.

Hatsumi dopiero teraz podniosła sztućce i zaczęła jeść sandacza.

- Ale przynajmniej nie powinieneś w to wciągać Watanabego.

- Jesteśmy do siebie podobni. Obaj zasadniczo interesujemy się wyłącznie sobą. Choć różnimy się tym, że ja jestem arogancki, a on nie. Interesuje nas tylko to, o czym myślimy, co czujemy, jak postępujemy. Dlatego potrafimy rozważać rozmaite sprawy, całkowicie odcinając się od innych. Właśnie to w nim lubię. Tylko że on jeszcze sobie tego prawdziwie nie uświadomił, waha się i pozwala się ranić.

- Każdy się waha i pozwala ranić innym. Czy też twierdzisz, że ty sam nigdy się nie zawahałeś i nikt cię nie zranił?

- Oczywiście, że się waham i pozwalam ranić. Tylko dzięki odpowiedniej dyscyplinie można to zredukować. Myszy w labiryncie rażone prądem także uczą się wybierać mniej bolesne trasy.

- Ale myszy się nie zakochują.

- Myszy się nie zakochują - powtórzył Nagasawa i spojrzał na mnie. - Urocze, prawda? Przydałaby się jakaś muzyka w tle. Orkiestra z dwiema harfami...

- Nie drwij ze mnie. Ja mówię poważnie.

- Teraz jemy kolację. Jest z nami Watanabe. Sądzę, że dobre wychowanie wymaga, by poważne rozmowy zostawić na inną okazję.

- Może ja wyjdę? - zaproponowałem.

- Proszę, nie wychodź. Wolę, żebyś został - powiedziała Hatsumi.

- Skoro już tu jesteśmy, warto zjeść deser - dodał Nagasawa.

- Ja naprawdę mogę wyjść.

Przez pewien czas jedliśmy w milczeniu. Zjadłem sandacza do ostatniego kęsa, Hatsumi zostawiła połowę. Nagasawa już dawno skończył i pił whisky.

- Sandacz był bardzo dobry - przerwałem milczenie, lecz nikt nie odpowiedział. Jakbym wrzucił kamyk do głębokiej studni.

Sprzątnięto talerze i przyniesiono sorbet cytrynowy oraz kawę z ekspresu. Nagasawa prawie tego nie tknął i zapalił papierosa. Hatsumi nawet nie spróbowała sorbetu. O rany, pomyślałem, kończąc ze smakiem sorbet i kawę. Hatsumi przyglądała się własnym dłoniom leżącym na stole. Pasowały do wszystkich jej strojów - eleganckich, wyszukanych i kosztownych. Pomyślałem o Naoko i Reiko. Co mogą teraz robić? Może Naoko leży na kanapie i czyta książkę, a Reiko gra na gitarze *Norwegian Wood*? Poczulem gwałtowne pragnienie, żeby znaleźć się z nimi w tym niewielkim pokoju. Co ja właściwie tutaj robię?

- Mamy z Watanabem jeszcze jedną wspólną cechę: wcale nam nie zależy, by inni nas rozumieli - powiedział Nagasawa. - To nas różni od innych. Wszyscy się martwią o to, żeby otoczenie ich rozumiało. Mnie na tym nie zależy. Watanabemu też nie. Nie przeszkadza nam, że ludzie nas nie rozumieją. My to my, inni nas nie dotyczą.

- Czy to prawda? - zapytała mnie Hatsumi.

- A skąd! Nie jestem taki silny. Wcale nie uważam, że nikt nie musi mnie rozumieć. Są ludzie, z którymi chciałbym się nawzajem rozumieć. Natomiast jeśli chodzi o innych: chyba nie ma rady na to, że nie rozumieją mnie w pełni. Nic się na to nie poradzi. Ale on nie ma racji, że

obojętne mi, czy ludzie mnie rozumieją czy nie.

- Ja powiedziałem prawie to samo - powiedział Nagasawa, unosząc łyżeczkę do kawy. - Naprawdę to samo. To tak jak różnica między późnym śniadaniem a wczesnym lunchem. Je się to samo, o tej samej porze, tylko nazwa jest inna.

- A czy tobie nie zależy też specjalnie na tym, żebym ja cię rozumiała? - zapytała Hatsumi.

- Ty chyba nie rozumiesz, że człowiek rozumie drugiego, kiedy przychodzi na to odpowiedni czas, a nie dlatego, że ten drugi chce być zrozumiany.

- Czyli błędem jest pragnienie, żeby ktoś mnie zrozumiał? Na przykład ty?

- Nie, to nie jest błąd. Normalni ludzie nazwaliby to miłością. Tylko mój system wartości znacznie różni się od systemu wartości innych.

- Więc mnie nie kochasz, tak?

- Chodzi o system. Jeżeli byś...

- Nic mnie nie obchodzi żaden system! - krzyknęła Hatsumi. Pierwszy i ostatni raz widziałem ją krzyczącą.

Nagasawa nacisnął guzik dzwonka z boku stołu i kelner przyniósł rachunek. Nagasawa wyjął kartę kredytową i podał mu.

- Przepraszam cię za dzisiaj, Watanabe - powiedział. - Odwiozę teraz Hatsumi, ty wróć sam, dobra?

- Nie ma za co. I jedzenie było dobre - odparłem, lecz nikt nie odpowiedział.

Kelner odniósł kartę, Nagasawa sprawdził sumę i podpisał rachunek. Potem wyszliśmy na ulicę. Nagasawa próbował złapać taksówkę, lecz Hatsumi go powstrzymała.

- Dziękuję ci, ale dziś nie chcę już spędzać z tobą więcej czasu. Dlatego nie musisz mnie odwozić. Dziękuję za kolację.

- Jak chcesz.

- Watanabe mnie odwiezie.

- Jak chcesz. Tylko on jest prawie taki sam jak ja: życzliwy i łagodny, lecz nie potrafi nikogo pokochać całym sercem. Zawsze jest czujny i ma w sobie tylko nieugaszone pragnienie. Ja potrafię to poznać.

Zatrzymałem taksówkę, wsadziłem do niej Hatsumi, mówiąc Nagasawie, że ją odwiozę.

- Przepraszam za kłopot - odrzekł, ale widać było, że myśli już o czymś innym.

- Dokąd jedziemy? Wracasz do domu do Ebisu? - zapytałem Hatsumi.

Potrząsnęła przecząco głową.

- To może pójdziemy gdzieś na drinka?

- Uhm - przytaknęła.

- Proszę do Shibuya - powiedziałem kierowcy. Hatsumi siedziała z założonymi rękami i przymkniętymi oczami, wciśnięta w kąt przy drzwiach. W czasie jazdy błyskały czasami, małe złote kolczyki. Jej sukienka, jak na zamówienie w kolorze *midnight blue*, dopasowała się do ciemności panującej w taksówce. Pomalowane jasną szminką, kształtne wargi poruszały się co pewien czas, jakby zaczynała coś do siebie mówić i rezygnowała. Kiedy tak na nią patrzyłem, zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego Nagasawa wybrał ją sobie na towarzyszkę. Jest na pewno wiele piękniejszych kobiet i Nagasawa na pewno mógłby ich mieć na pęczki, lecz Hatsumi miała w sobie coś, co chwytało za serce. Nie była to jakaś wielka wstrząsająca siła. Z Hatsumi emanowało coś subtelnego, co odbijało się echem w sercu innych. Obserwowałem ją przez całą drogę do Shibuya, zastanawiając się, czym jest to drżenie, które wywołuje w moim własnym sercu. Lecz nie znalazłem odpowiedzi.

Zrozumiałem to dopiero po dwunastu czy trzynastu latach. Pojechałem do Santa Fe w Nowym Meksyku, żeby przeprowadzić wywiad z pewnym malarzem. Siedziałem przy pizzy i piwie, obserwując piękny jak marzenie zachód słońca. Cały świat zabarwił się czerwienią. Moje dłonie, talerz, stół, absolutnie wszystko w zasięgu wzroku poczerwieniało. Była to świeża czerwień, jakby ktoś polał świat jakimś sokiem owocowym. W świetle tego oszałamiającego zachodu nagle pomyślałem o Hatsumi. I wtedy zrozumiałem, czym było to drżenie serca, które kiedyś we mnie wywołała. Była to jakby tęsknota dzieciństwa, niezaspokojona i nigdy niemająca zostać zaspokojona. Bardzo dawno temu zgubiłem gdzieś to palące niewinne pragnienie i długo nie mogłem sobie nawet przypomnieć, że kiedyś było we mnie coś takiego. Hatsumi obudziła od dawna uszpioną część mnie. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, poczułem nagle taki smutek, że nieomal się rozplakałem. Naprawdę, naprawdę była niezwykłą kobietą. Ktoś powinien był ją uratować. Lecz nie mogłem tego zrobić ani ja, ani Nagasawa. Hatsumi odebrała sobie życie, tak jak wielu moich znajomych, którzy popełnili samobójstwo, kiedy doszli do pewnego etapu życia, zupełnie jakby nagle przyszło im to do głowy. W dwa lata po wyjeździe Nagasawy do Niemiec wyszła za mąż za kogoś innego, a po kolejnych dwóch latach podcięła sobie żyły żyłką.

O jej śmierci dowiedziałem się oczywiście od Nagasawy. Napisał do mnie z Bonn. "Po śmierci Hatsumi coś zniknęło i to wywołuje wielki smutek i cierpienie. Nawet u kogoś takiego



jak ja". Podarłem i wyrzuciłem ten list. Nigdy więcej do niego nie napisałem.

Poszliśmy do niewielkiego baru i wypiliśmy po kilka drinków. Oboje prawie się nie odzywaliśmy. Siedzieliśmy naprzeciw siebie jak zmęczone sobą małżeństwo, piliśmy i jedliśmy fistaszki. Wkrótce w barze zrobiło się tłoczno, więc postanowiliśmy się przejść. Hatsumi chciała zapłacić rachunek, ale powiedziałem, że to ja ją zaprosiłem, i sam zapłaciłem.

Zapadła noc i bardzo się ochłodziło. Hatsumi narzuciła na ramiona jasnoszary zapinany sweter. Szła obok mnie ciągle w milczeniu. Wędrowaliśmy powoli przed siebie nocnymi ulicami. Trzymałem ręce w kieszeniach. Nagle pomyślałem, że tak samo chodziłem kiedyś z Naoko.

- Watanabe, nie wiesz, gdzie w pobliżu można zagrać w bilard? - zapytała nagle Hatsumi.
- W bilard? - powtórzyłem zdziwiony. - Grasz w bilard?
- Tak, jestem zupełnie niezła. A ty?
- Umiem grać w four-ball, ale nie jestem zbyt dobry.
- No to chodźmy.

Znaleźliśmy w pobliżu salon bilardowy. Był to niewielki lokal na końcu ślepej uliczki. Strasznie rzucaliśmy się w oczy - ona w swojej szykowanej sukience, ja w granatowej marynarce i krawacie w paski - lecz Hatsumi wcale się tym nie przejęła. Wybrała kij, potarła koniec kredą, wyjęła z torebki spinkę i podpięła włosy na skroni, żeby jej nie przeszkadzały w grze.

Zagraliśmy dwie partie four-ball. Hatsumi rzeczywiście była bardzo dobra, a do tego ja grałem gorzej niż zwykle, ponieważ miałem rękę grubo obwiązaną bandażem. Dwa razy przegrałem z kretelem.

- Dobra jesteś - powiedziałem z podziwem.
- Pozory mylą, prawda? - odparła z uśmiechem, starannie oceniając położenie kuli.
- A gdzie się tego nauczyłaś?
- Dziadek ze strony ojca, prawdziwy bon vivant, miał w domu stół bilardowy. Podczas pobytu u dziadków oboje z bratem lubiliśmy dla zabawy uderzać w bile. Kiedy trochę podrośliśmy, dziadek nauczył nas, jak to robić prawidłowo. Był wspaniały. Elegancki, przystojny. Już nie żyje. Szczycił się tym, że kiedyś w Nowym Jorku poznał Deannę Durbin.

Zdobyła trzy punkty, jeden po drugim, za czwartym razem jej się nie powiodło. Ja z trudem zdobyłem jeden, a potem popsułem bardzo łatwe uderzenie.

- To dlatego, że masz bandaż - pocieszyła mnie Hatsumi.

- To dlatego, że od dawna nie grałem. Nie grałem od dwóch lat i pięciu miesięcy.
- Dlaczego tak dokładnie pamiętasz?
- Grałem z przyjacielem i on umarł tego samego wieczoru. Dlatego dobrze pamiętam.
- I wtedy przestałeś grać w bilard?
- Nie, to nie było tak - odparłem po namyśle. - Po prostu od tego czasu nie miałem okazji

grać. To wszystko.

- A jak umarł twój przyjaciel?
- W wypadku samochodowym.

Wykonała kilka uderzeń. Przed każdym poważniały jej oczy. Dokładnie wymierzała ich siłę. Patrzyłem, jak odrzuca do tyłu starannie ufryzowane włosy, błyska złotymi kolczykami, dokładnie wybiera pozycję stóp i przyciskając smukłymi pięknymi palcami filc na stole, uderza w bilę, a wtedy drugorzędny salon bilardowy stawał się sceną jakiegoś eleganckiego wydarzenia towarzyskiego. Po raz pierwszy byliśmy z Hatsumi sami i sprawiało mi to wielką przyjemność. W jej towarzystwie czułem, że wznoszę się na jakiś wyższy poziom życia. Po trzeciej partii - w której także oczywiście mnie rozgromiła - rana na dłoni zaczęła poboлеwać i postanowiliśmy zakończyć grę.

- Przepraszam. Nie powinnam była proponować bilardu - powiedziała Hatsumi bardzo skruszona.

- Nic nie szkodzi. To nie jest żadna wielka rana, a poza tym było bardzo przyjemnie.

Kiedy wychodziliśmy, chuda kobieta w średnim wieku wyglądająca na właścicielkę zwróciła się do Hatsumi:

- Ma panienka do tego smykałkę.
- Dzięki - odparła Hatsumi z uśmiechem i zapłaciła rachunek.
- Boli? - zapytała, kiedy wyszliśmy na dwór.
- Nie bardzo.
- Może rana się otworzyła?
- Chyba jest w porządku.

- Słuchaj, chodźmy do mnie. Obejrzę tę ranę i zmienię ci opatrunek. Mam bandaże i środki dezynfekujące, to niedaleko.

Powiedziałem, że nie musi się tym tak przejmować i że z raną wszystko jest w porządku, ale Hatsumi nalegała, że trzeba sprawdzić, czy się nie otworzyła.

- A może masz już dość mojego towarzystwa i chcesz jak najprędzej wrócić do siebie? - zapytała żartobliwie.

- Coś ty!

- Więc nie krępuj się i chodź. To tylko kawałek.

Na dojście do mieszkania Hatsumi potrzebowaliśmy około piętnastu minut, idąc spacerem z Shibuya w kierunku Ebisu.

Budynek nie był może luksusowy, ale dość elegancki, z niewielkim holem na parterze i windą. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi: jadalni połączonej z kuchnią i sypialni. Hatsumi posadziła mnie przy kuchennym stole i poszła się przebrać do sąsiedniego pokoju. Wróciła w bluzie z kapturem, z napisem Princeton University, i bawełnianych spodniach. Zniknęły złote kolczyki. Przyniosła apteczkę, odwiązała bandaż i upewniwszy się, że rana się nie otworzyła, zdezynfekowała ją na wszelki wypadek i owinęła czystym bandażem. Zrobiła to bardzo fachowo.

- Dlaczego umiesz robić tyle różnych rzeczy? - zapytałem.

- Kiedyś pracowałam jako wolontariuszka w szpitalu. Taka zabawa w pielęgniarkę. I tam się nauczyłam.

Skończyła opatrunek i wyjęła z lodówki dwie puszki piwa. Ona wypła pół, a ja resztę. Pokazała mi zdjęcie, na którym były jej młodsze koleżanki z klubu. Rzeczywiście niektóre ładne.

- Jak będziesz chciał poznać dziewczynę, zawsze możesz mnie poprosić. Zaraz ci kogoś znajdę.

- Tak jest.

- Uważasz mnie za swatkę? Powiedz prawdę.

- Trochę tak - odpowiedziałem szczerze i roześmiałem się. Hatsumi też się roześmiała.

Uśmiech bardzo do niej pasował.

- Co ty o tym sądzisz? O mnie i Nagasawie?

- W jakim sensie?

- Co powinnam zrobić?

- To, co ja myślę, nie ma znaczenia - powiedziałem, popijając zimne piwo.

- Nie szkodzi, powiedz, co o tym myślisz. Nie krępuj się.

- Na twoim miejscu rozstałbym się z tym facetem. Znalazłbym kogoś, kto ma normalniejszy sposób myślenia, i żyłbym długo i szczęśliwie. Nawet patrząc na to optymistycznie, nie ma siły,

żeby związek z nim dał ci szczęście. W jego życiu nie ma miejsca na zastanawianie się, jak być szczęśliwym, czy jak uszczęśliwić innych. Przy nim wysiadają człowiekowi nerwy. Z mojego punktu widzenia to cud, że chodzisz z nim aż trzy lata. Ja oczywiście też go na swój sposób lubię, jest interesujący, ma wiele zalet. Ma też zdolności i siłę, o których ktoś taki jak ja może tylko pomarzyć. Ale jego sposób myślenia i życia nie jest normalny. Czasami, kiedy z nim rozmawiam, zaczyna mi się wydawać, że kręcę się w kółko w tym samym miejscu. Ten sam proces jego wynosi coraz wyżej, a ja tylko krążę. I czuję się w środku strasznie pusty. Po prostu nasze systemy wartości się różnią. Wiesz, o czym mówię?

- Bardzo dobrze wiem - odparła Hatsumi i wyjęła dla mnie z lodówki kolejne piwo.

- A poza tym po rocznym szkoleniu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wyjedzie na dłuższy czas za granicę. Co wtedy zrobisz? Będziesz na niego czekała? On nie ma zamiaru się zenić.

- To też wiem.

- No to nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Uhm.

Powoli nalałem piwa do szklanki i wypilem.

- Coś mi przyszło do głowy, kiedy graliśmy w bilard - powiedziałem. - Nie mam rodzeństwa i wychowałem się jako jedynak, lecz nigdy nie czułem się samotny ani nie chciałem mieć rodzeństwa. Mogę być sam, mówiłem sobie. Ale kiedy graliśmy w bilard, nagle pomyślałem, że chciałbym mieć taką siostrę. Elegancką, szykowną, której ładnie w sukienkach w kolorze *midnight blue* i złotych kolczykach, świetnie grającą w bilard.

Hatsumi roześmiała się uszczęśliwiona i spojrzała na mnie.

- Nie słyszałam nic równie miłego od co najmniej roku. Naprawdę.

- Dlatego ja też chcę, żebyś była szczęśliwa - powiedziałem, czując, że się lekko czerwienię.

- Tylko to bardzo dziwna sprawa. Zdawałoby się, że ktoś taki jak ty umiałby być szczęśliwy prawie z każdym, więc dlaczego musiałaś się związać akurat z kimś takim jak Nagasawa?

- Na to pewnie nie ma rady. Ja sama nic nie mogę na to poradzić. Nagasawa powiedziałby, że sama jestem za to odpowiedzialna. Jego to nie dotyczy.

- Prawdopodobnie tak właśnie by powiedział - zgodziłem się.

- Ale wiesz, ja wcale nie jestem taka mądra. Jestem raczej głupia i staromodna. Nie obchodzi mnie ani system wartości, ani odpowiedzialność. Chcę tylko wyjść za mąż, spać co dzień w

ramionach kochanego człowieka i rodzić dzieci. To wszystko. Niczego więcej nie pragnę.

- A on pragnie czegoś zupełnie innego.

- Lecz ludzie się zmieniają, prawda?

- Chodzi ci o to, że zaczynają żyć w społeczeństwie, życie daje im w kość, upadają na duchu, dorośleją...?

- Uhm. A poza tym jeżeli będzie długo daleko ode mnie, jego uczucia dla mnie też mogą się zmienić, prawda?

- Tak byłoby w przypadku zwyczajnego człowieka. Zwyczajnym ludziom takie rzeczy mogą się zdarzyć. Ale on jest inny. Ma niewyobrażalnie silną wolę i dzień po dniu, dzień po dniu jeszcze ją wzmacnia. Chce, żeby niepowodzenia czyniły go silniejszym. Przecież on woli połknąć ślimaki, niż okazać słabość. Czego właściwie się spodziewasz po takim człowieku?

- Wiesz, ja teraz mogę tylko czekać - powiedziała Hatsumi, opierając głowę na dłoni.

- Tak bardzo go kochasz?

- Kocham - odparła bez wahania.

- O rany - westchnąłem i dopiłem piwo. - Wspaniale musi być kogoś kochać z taką pewnością.

- Jestem po prostu głupia i staromodna. Napijesz się jeszcze piwa?

- Nie, dziękuję. Już pójdę. Dziękuję za opatrunek i za piwo.

Wstałem i kiedy wkładałem w przedpokoju buty, zadzwonił telefon. Hatsumi spojrzała na mnie, potem na telefon i znów na mnie. - Dobranoc - powiedziałem, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Zamykając za sobą drzwi, widziałem, jak podnosi słuchawkę. Było to nasze ostatnie spotkanie.

Wróciłem do akademika o pół do dwunastej. Udałem się prosto do Nagasawy i zapukałem. Pukałem z dziesięć razy i nagle przypomniałem sobie, że jest sobotni wieczór. Pod pozorem, że nocuje u krewnych, Nagasawa miał na wszystkie soboty pozwolenie na spędzenie nocy poza akademikiem.

Poszedłem do siebie, zdjąłem krawat, powiesiłem marynarkę i spodnie, włożyłem piżamę i umyłem zęby. O rany, jutro znowu niedziela, pomyślałem. Zdawało mi się, że niedziela wypada mniej więcej co cztery dni. Miną jeszcze dwie niedziele i skończę dwadzieścia lat. Położyłem się na łóżku, patrzyłem na kalendarz na ścianie i czułem, jak ogarnia mnie przygnębienie.

W niedzielę rano - jak co tydzień - usiadłem przy biurku i napisałem długi list do Naoko, popijając kawę z dużego kubka i słuchając starej płyty Milesa Davisa. Za oknem padał drobny deszczyk i w pokoju było chłodno jak w akwarium. Sweter, świeżo wyciągnięty z pudła z ciepłą odzieżą, przesiąkł zapachem naftaliny. W górze szyby okiennej siedziała nieporuszona gruba mucha. Nie było wiatru i flaga narodowa przylgnęła do masztu jak pomięta toga rzymskiego senatora. Na dziedzińcu pojawił się chudy brązowy pies o niepewnym wyrazie pyska - nie wiadomo, jak się tam dostał. Obchodził w koło klomb i obwąchiwał wszystkie kwiatki. Nie miałem pojęcia, dlaczego pies łązi w deszczowy dzień i wącha kwiaty.

Siedziałem przy biurku i pisałem, a kiedy od długopisu zaczynała mnie boleć zraniona ręka, przerywałem i wyglądałem bezmyślnie przez okno na dziedziniec. Najpierw napisałem o tym, jak podczas pracy w sklepie z płytami przeciąłem sobie głęboko prawą dłoń. O tym, jak w sobotę wieczorem wraz z Nagasawą i Hatsumi urządziliśmy coś w rodzaju oblewania jego egzaminu w ministerstwie. Opisałem restaurację i menu. Potrawy były bardzo smaczne, lecz w trakcie kolacji atmosfera nieco się pogorszyła itd.

Wahałem się trochę, czy wspomnieć o Kizukim w związku z tym, że grałem z Hatsumi w bilard, lecz w końcu postanowiłem napisać. Zdawało mi się, że powinienem.

Dokładnie pamiętam tor ostatniej bili, którą uderzył tego dnia - dnia swojej śmierci. Było to bardzo trudne uderzenie wymagające użycia podpórki i myślałem, że na pewno mu się nie uda. Ale - musiało to być jakieś zrządzenie losu - strzał był doskonały, biała i czerwona bila potoczyły się po zielonym filcu, zderzyły się lekko, nieomal bezszelestnie, i to był ostatni punkt gry. Strzał był tak piękny i zrobił na mnie takie wrażenie, że to wspomnienie jest bardzo żywe.

Od tamtego czasu nie grałem w bilard przez prawie dwa i pół roku, lecz wczoraj grając z Hatsumi, pomyślałem o Kizukim dopiero po zakończeniu pierwszej partii i był to dla mnie niemały szok, bo sądziłem, że bilard zawsze będzie mi się kojarzył z nim. Jednak przypomniałem go sobie dopiero przy kupowaniu pepsi w automacie po pierwszej grze. A stało się tak dlatego, że w salonie bilardowym, do którego chadzaliśmy, też był automat z napojami i często ten, kto przegrał, stawiał pepsi.

Zdawało mi się, że zawiniłem w stosunku do niego, nie pomyślawszy o nim od razu. Czułem się, jakbym go porzucił. Potem, po powrocie do domu, przyszło mi do głowy, że od tego czasu

minęło dwa i pół roku, a on ma dalej siedemnaście lat. To nie znaczy, że zbladły moje wspomnienia o nim. Rany wywołane jego śmiercią są nadal świeże, niektóre nawet świeższe niż wtedy. Chcę przez to powiedzieć, że niedługo skończę dwadzieścia lat i część tego, co dzieliłem z Kizukim w szesnastym i siedemnastym roku życia, już zniknęła i nie wróci, choćby ją opłakiwać. Nie mogę tego lepiej wytłumaczyć, ale myślę, że pewnie zrozumiesz, co czuję, co próbuję wyrazić. I zdaje mi się, że nikt prócz Ciebie nie mógłby tego zrozumieć.

Myślę o Tobie jeszcze częściej niż przedtem. Dzisiaj pada deszcz. Deszczowe niedziele powodują, że mam zamęt w głowie. Nie mogę zrobić prania i dlatego też nie mogę prasować. Nie da się iść na spacer ani leżeć na dachu. Nie ma nic do roboty i można tylko usiąść przy biurku i słuchając w kółko *Kind of Blue* nastawionego na automatyczne powtarzanie, bezmyślnie patrzeć na dziedziniec. Tak jak wcześniej pisałem, w niedzielę nie nakręcam sprężyny i dlatego ten list zrobił się taki strasznie długi. Na tym go zakończę. Pójdę do stołówki na obiad. Do widzenia.

## 9

**Następnego** dnia, w poniedziałek, Midori znów nie pojawiła się na wykładzie. Zastanawiałem się, co się z nią dzieje. Od naszej ostatniej rozmowy telefonicznej minęło już dziesięć dni. Chciałem do niej zadzwonić, ale przypomniałem sobie, że to ona miała się odezwać, więc zrezygnowałem.

W czwartek spotkałem w stołówce Nagasawę. Przyniósł tacę z jedzeniem i usiadł koło mnie. Przeprosił za sobotę.

- Nie szkodzi. To ja chciałem ci podziękować za kolację. Choć rzeczywiście był to dość nietypowy sposób oblewania nowej pracy.

- Nie da się ukryć.

Przez pewien czas jedliśmy w milczeniu.

- Pogodziliśmy się z Hatsumi - odezwał się Nagasawa.

- Tak myślałem.

- Zdaje mi się, że i tobie powiedziałem coś przykrego.

- Czyżbyś miał wyrzuty sumienia?! Może jesteś chory?

- Może i tak - pokiwał głową. - A właśnie, podobno ostrzegłeś Hatsumi, że powinna się ze mną rozstać.

- To chyba oczywiste.
- Może i tak.
- To bardzo dobra dziewczyna - powiedziałem, siorbiąc zupę miso.
- Wiem - odparł Nagasawa z westchnieniem. - Dla mnie nieco za dobra.

Kiedy odezwał się dzwonek, sygnalizujący, że jest do mnie telefon, spałem jak kamień. Wyrwał mnie z samego dna snu i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem i co się dzieje. Czuję się, jakbym we śnie był zanurzony w wodzie i jakby mózg mi nią nasiąknął. Zegarek pokazywał piętnaście po szóstej, ale nie byłem pewien, czy to rano, czy wieczór. Nie mogłem sobie przypomnieć, który jest dzisiaj, jaki dzień tygodnia. Wyrząłem na dziedziniec; na maszcie nie było flagi. To znaczyło, że prawdopodobnie jest szósta piętnaście wieczorem. Flaga też się jednak do czegoś przydaje.

- Słuchaj, Watanabe, masz teraz czas? - zapytała Midori.
- Czy dziś jest niedziela?
- Piątek.
- I jest wieczór?
- To chyba oczywiste. Jesteś stuknięty. Jest... poczekaj chwilę... osiemnaście po szóstej.

Jednak wieczór, pomyślałem. Czytałem książkę, leżąc na łóżku, i zasnąłem. Spałem jak zabity. Piątek - próbowałem zmusić głowę do myślenia. W piątek wieczorem nie pracuję. - Mam czas. Skąd dzwonisz?

- Z dworca Ueno. Zaraz jadę do Shinjuku. Może się tam umówimy?

Ustaliliśmy miejsce oraz przybliżoną godzinę spotkania i na tym zakończyła się rozmowa.

Kiedy dotarłem do baru DUG, tego, w którym byliśmy poprzednio, Midori już tam siedziała i piła drinka. Miała na sobie wymięty, biały, prosty męski prochowiec, a pod nim cienki żółty sweter i džinsy. Na ręce dwie bransoletki.

- Co pijesz? - zapytałem.
- Toma Collinsa - odparła.

Zamówiłem whisky z wodą sodową i zauważyłem, że na podłodze stoi duża skórzana torba.

- Byłam na wycieczce. Dopiero co wróciłam - powiedziała Midori.
- Gdzie byłaś?
- W Narze i Aomori\*.

---

\* Nara znajduje się około 500 km na południowy zachód od Tokio, a Aomori około 700 km na północ.



- W czasie tej samej wycieczki? - zapytałem zdziwiony.

- Coś ty! Jestem może zwariowana, ale nie jeżdżę jednocześnie do Nary i Aomori. Pojechałam najpierw w jedno miejsce, potem w drugie. Do Nary z chłopakiem, a do Aomori sama sobie wyskoczyłam.

Wypiłem łyk whisky i podałem Midori ogień; w ustach miała marlboro.

- Musiało ci być ciężko. Na pogrzebie i tak dalej.

- Na pogrzebie było bardzo łatwo. Przywykłyśmy. Wystarczy włożyć czarne kimono i siedzieć z nabożną miną, a inni wszystko organizują. To jakiś krewny, to sąsiedzi. Przynoszą sake, zamawiają sushi z restauracji, pocieszają, płaczą, robią zamieszanie, biorą sobie, co chcą na pamiątkę - nic nie trzeba robić. Pogrzeb to betka. Naprawdę betka w porównaniu z opiekowaniem się chorym dzień pod dniem, od rana do wieczora. Byłyśmy z siostrą wykończone. Nawet nie mogłyśmy płakać. Opadłyśmy z sił i nie mogłyśmy płakać. Naprawdę. I ludzie zaczęli nas obgadywać. Te dziewczyny są bez serca, nawet łzy nie uронią, a wtedy nam na złość jeszcze bardziej odechciewało się płakać. Mogłybyśmy udawać, ale za nic nie chciałyśmy. Na złość. Wszyscy spodziewali się, że będziemy płakać, i dlatego jeszcze bardziej zaparłyśmy się w sobie. Pod tym względem bardzo dobrze się rozumiemy. Chociaż zupełnie różnymi się charakterami.

Midori pomachała ręką, przywołując kelnera. Zabręczały bransoletki. Zamówiła jeszcze jednego Toma Collinsa i orzeszki pistacjowe.

- Kiedy po pogrzebie wszyscy sobie poszli, siedzieliśmy do rana, pijąc sake. Wypiłyśmy ze dwa i pół litra. I obgadałyśmy wszystkich po kolei. Ten facet to idiota, a tamten gówniarz, parszywy pies, świnia, hipokryta, złodziej. Długo tak sobie pozwalałyśmy. Bardzo nam ulżyło.

- Nie wątpię.

- No i upiłyśmy się, wlażyłyśmy pod kołdry i spałyśmy kamiennym snem. Bardzo dobrze nam się spało. Dzwonił telefon, ale ignorowałyśmy go i dalej spałyśmy. Obudziłyśmy się, zamówiłyśmy sobie sushi i po naradzie zdecydowałyśmy, że na pewien czas zamkniemy księgarnię i będziemy robić, co będziemy chciały. Chyba zasłużyłyśmy, bo do tej pory obie dawałyśmy z siebie wszystko. Siostra postanowiła spędzić spokojnie czas ze swoim chłopakiem, a ja zdecydowałam pojechać ze swoim na trzydniową wycieczkę i wyżyć się za wszystkie czasy - powiedziała Midori i umilkła. Podrapała się za uchem. - Przepraszam. Nie powinnam się tak wyrażać.

- Nie ma za co. I dlatego pojechałaś do Nary.

- Uhm. Od dawna lubię jeździć do Nary.

- No i wyżyłaś się za wszystkie czasy?

- Nawet raz się nie udało - powiedziała z westchnieniem. - Weszliśmy do pokoju w hotelu, postawiliśmy bagaże i w tym momencie zaczęła mi się miesiączka. Lało się ze mnie.

Wybuchnąłem śmiechem.

- W tym nie ma nic śmiesznego! Zaczęła się o tydzień za wcześnie. Chciało mi się płakać. Pewnie cykl mi się zrobił nieregularny, bo miałam tyle stresów. On się wściekł. Zawsze się o coś złości. No, ale nie było rady. Przecież nie chciałam jej dostać. A do tego mam dość bolesne miesiączki. Przez pierwsze dwa dni nic mi się nie chce. Lepiej wtedy się ze mną nie spotykaj.

- Dobrze. Tylko jak mam to poznać?

- Może jak mi się zacznie miesiączka, przez dwa czy trzy dni będę nosiła czerwoną czapkę. Po tym poznasz - powiedziała ze śmiechem. - Kiedy spotkasz mnie na ulicy w czerwonej czapce, możesz się do mnie nie odzywać i od razu uciec.

- Szkoda, że wszystkie kobiety tego nie robią. No to co robiliście w Narze?

- Nie mieliśmy wyboru, więc bawiliśmy się z sarenkami, chodziliśmy na spacer, a potem wróciliśmy do Tokio. Było beznadziejnie. Pokłóciłam się z nim i od tamtej pory się nie widzieliśmy. Wróciłam do Tokio, powłóczyłam się przez parę dni i pomyślałam, że pojedę sobie sama na wycieczkę i nie będę się musiała nikim przejmować. I pojechałam do Aomori. Mam w Hirosaki koleżankę i zatrzymałam się u niej przez dwa dni, później byłam w Shimokita, Tappi i innych miejscach. Tam jest strasznie fajnie. Kiedyś napisałam komentarz do mapy tamtych okolic. Byłeś tam?

Odparłem, że nie.

- I kiedy tak sama jeździłam - mówiła Midori, popijając Toma Collinsa i obierając orzeszki - przez cały czas myślałam o tobie, Watanabe. I o tym, jak fajnie byłoby, gdybyś tam ze mną był.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzyła i spojrzała na mnie, jakby mnie nie rozumiała. - Jak to dlaczego?

- No, dlaczego o mnie myślałaś.

- Dlatego, że cię lubię. To chyba oczywiste?! Jaki mógłby być inny powód? Chciałbyś być z kimś, kogo nie lubisz?

- No, ale przecież ty masz chłopaka i nie musisz wcale o mnie myśleć - powiedziałem, pociągając powoli whisky.

- Jak mam chłopaka, to nie wolno mi o tobie myśleć?

- Nie, nie o to mi chodziło...

- Słuchaj no, Watanabe. - Midori pogroziła mi palcem. - Ostrzegam cię. Mam w sobie mieszankę udręk z całego miesiąca. Piorunującą mieszankę. Więc nie mów już takich okropnych rzeczy. Bo inaczej się tu rozbeczę, a jak zacznę płakać, to nie przestanę do rana. Co wtedy zrobisz? Będę ryczała jak bawół, nie zwracając uwagi na otoczenie. Naprawdę.

Skinąłem głową i zamilkłem. Zamówiłem drugą whisky i jadłem orzeszki. Słysząc było, jak barman potrząsa shakerem, szklanki uderzają o siebie, grzechocze lód wyjmowany z zamrażarki; a w tle Sarah Vaughan śpiewała jakąś starą piosenkę o miłości.

- Od czasu incydentu z tamponem stosunki między nami były napięte - powiedziała Midori.

- Incydentu z tamponem?

- Uhm. Jakiś miesiąc temu poszliśmy na drinka w piątkę czy szóstkę z jego kolegami. I ja opowiedziałam o tym, jak pewna kobieta z sąsiedztwa kichnęła i wyleciał jej tampon. Śmieszne, prawda?

- Śmieszne - zgodziłem się rozbawiony.

- Wszystkim się strasznie podobało. Tylko on się zezłościł. "Nie bądź wulgarna!". No i od tego czasu się popsulo.

- Aha.

- To dobry chłopak, ale pod tym względem ma uprzedzenia. Na przykład złości się, kiedy noszę kolorową, a nie białą bieliznę. Nie uważasz, że to uprzedzenia?

- Hm... może i tak, to kwestia gustu. - Dziwiłem się, że taki facet w ogóle mógł zakochać się w kimś typu Midori, lecz tego jej nie powiedziałem.

- A ty co robiłeś?

- Nic. Jak zawsze - odparłem i przypomniałem sobie, że zgodnie z obietnicą próbowałem masturbacji, myśląc o Midori. Wspomniałem jej o tym, zniżając głos, żeby nikt nie usłyszał.

Oczy jej zabłyśły i strzeliła palcami. - I jak było? Udało się?

- W trakcie zrobiło mi się jakoś wstyd i przestałem.

- Zmiękł ci?

- No... tak.

- To niedobrze - spojrzała na mnie z ukosa. - Nie możesz się wstydić. Możesz pomyśleć o czymś strasznie nieprzyzwoitym. Chyba możesz, skoro sama ci pozwalałam? Czekaj, następnym

razem zadzwonię i będę do ciebie mówiła, na przykład: "Och... tak! Tam, tam... Strasznie mi dobrze... Nie mogę... ja... nie wytrzymam... och, och... nie rób takich rzeczy...". A ty będziesz to robił, słuchając.

- Telefon jest przy wejściu do akademika, w holu. Wszyscy tamtędy przechodzą - wyjaśniłem. - Gdybym się onanizował w takim miejscu, kierownik na pewno by mnie zabił.

- Tak? To nic z tego.

- Dlaczego nic z tego? Niedługo znowu sam spróbuję.

- Postaraj się.

- Dobra.

- A może ja po prostu nie jestem zbyt seksowna?

- Nie, to nie o to chodzi. Jakby to powiedzieć? To kwestia okoliczności.

- Mam strasznie wrażliwe erotycznie plecy. Kiedy mnie ktoś głaszcze.

- Będę uważał.

- Słuchaj, a może poszlibyśmy teraz na świński film? Taki mocny, sadomasochistyczny?

W restauracji specjalizującej się w potrawach z węgorza, zjedliśmy rybę, a następnie poszliśmy do jednego z najpodlejszych kin w Shinjuku i obejrzelśmy zestaw trzech filmów dla dorosłych. Po sprawdzeniu w gazecie okazało się, że tylko tam wyświetlano między innymi film sadomasochistyczny. W kinie śmierdziało czymś nieokreślonym. Trafiliśmy akurat na początek filmu. Opowiadał o pewnej urzędnicze i jej młodszej siostrze, licealistce, które zostają schwytane przez kilku mężczyzn, uwięzione gdzieś i poddane sadystycznym torturom. Grożąc, że zgwałcą młodszą siostrę, mężczyźni zmuszają starszą do robienia naprawdę strasznych rzeczy, lecz w trakcie okazuje się, że kobieta jest prawdziwą masochistką, a młodsza siostra, która musi na to wszystko patrzeć, wariuje. Film był nie tylko nadmiernie uduziwniony i ponury, ale do tego jeszcze ciągle działało się w nim to samo, więc zaczął mnie nudzić.

- Ja na miejscu tej młodszej siostry bym tak łatwo nie zwariowała. Dłużej bym się przyglądała - powiedziała Midori.

- Nie wątpię.

- Nie sądzisz, że ta młodsza ma za ciemne sutki jak na licealistkę?

- Rzeczywiście.

Midori wkładała całą duszę w oglądanie filmu, pożerała wzrokiem ekran. Byłem pełen podziwu - komuś, kto wkłada w oglądanie całą duszę, zwraca się z nawiązką koszt biletu.

Powiadamała mnie o wszystkim, co przyszło jej do głowy.

- Słuchaj, to niesamowite, że robią takie rzeczy. - Albo: - To straszne. Jeżeli robiłoby to dziewczynie trzech na raz, rozleciałaby się. - Albo: - Wiesz, Watanabe, chciałabym to z kimś wypróbować. - Obserwowanie Midori było znacznie ciekawsze od oglądania filmu.

Podczas przerwy zapalono światła i rozejrzałem się po sali. Chyba nie było tu żadnej kobiety prócz Midori. Siedzący w pobliżu chłopak, chyba student, zobaczywszy ją, przesiadł się dalej.

- Słuchaj, Watanabe, jak oglądasz coś takiego, to ci staje? - zapytała Midori.

- No, czasami tak. Przecież po to te filmy są robione.

- To znaczy, że kiedy zaczyna się taka scena, wszystkim nagle stają? Trzydzieści czy czterdzieści w jednej chwili? Nie uważasz, że to trochę niesamowite, jak się nad tym zastanowić?

Powiedziałem, że to rzeczywiście niesamowite.

Drugi film był normalniejszy, ale za to jeszcze nudniejszy od poprzedniego. Było w nim wiele seksu oralnego. Za każdym razem przy takiej scenie albo przy sześć na dziewięć po całej sali niosły się echem dobiegające z głośników symulowane odgłosy siorbania i mlaskania.

Słuchając tych dźwięków, byłem naprawdę poruszony myślą, że żyję na takiej dziwnej planecie.

- Kto wymyśla takie dźwięki? - zastanawiałem się.

- Ja za nimi przepadam - odparła Midori.

Były też odgłosy penisa poruszającego się w waginie. Nigdy przedtem nie zauważyłem, że takie dźwięki w ogóle istnieją. Mężczyzna ciężko dyszał, kobieta wiła się i powtarzała raczej trywialne: "Dobrze! Mocniej!". Słysząc też było skrzypienie łóżka. Takie sceny ciągnęły się w nieskończoność. Na początku Midori patrzyła z zainteresowaniem, ale w końcu nawet ona się znudziła i oświadczyła, że ma dość. Wyszliśmy i wzięliśmy głęboki oddech. Po raz pierwszy w życiu powietrze w Shinjuku wydało mi się orzeźwiającej.

- Fajnie było - powiedziała Midori. - Pójdźmy kiedyś jeszcze raz.

- Choćbyś sto filmów obejrzała, zawsze robią to samo.

- Na to nie ma rady. Przecież my też ciągle robimy to samo.

Rzeczywiście, miała rację.

Potem znowu weszliśmy do jakiegoś baru na drinka. Ja wypilem whisky, a Midori kilka dziwnych cocktaili. Po wyjściu na ulicę oznajmiła, że chce wejść na drzewo.

- W tej okolicy nie ma żadnych drzew. Poza tym jak człowiek tak się chwieje na nogach, nie

powinien chodzić po drzewach - powiedziałem.

- Zawsze mówisz tak rozsądnie i wprawiasz człowieka w przygnębienie. Upiłam się, bo chciałam się upić. Chyba mogę? Nawet pijana dam radę wejść na drzewo. Myślisz, że nie potrafię? Wleżę na wysokie ogromne drzewo i obsikam wszystkich z góry jak pies.

- Czy ty przypadkiem nie chcesz iść do toalety?

- Chcę.

Zaprowadziłem ją do płatnej toalety na dworcu Shinjuku, zapłaciłem za nią, a potem kupiłem w kiosku wieczorne wydanie gazety i czytając, czekałem, aż wyjdzie. Lecz nie wychodziła. Minęło piętnaście minut i zacząłem się martwić. Pojawiła się w końcu, kiedy zastanawiałem się, czy iść zobaczyć, co się z nią dzieje. Była znacznie bledsza.

- Przepraszam. Usnęłam na siedząco.

- Jak się czujesz? - zapytałem, podając jej płaszcz.

- Niezbyt dobrze.

- Odwiozę cię. Powinnaś wrócić do domu, wykapać się i położyć spać. Jesteś zmęczona.

- Nie wracam do domu. Nikogo tam nie ma i nie chcę sama spać.

- O rany. No to co masz zamiar zrobić?

- Pójdziemy tu do jakiegoś love hotelu, przytulisz mnie i usnę. Będę smacznie spała do rana.

A rano zjemy gdzieś śniadanie i pójdziemy na uczelnię.

- Zadzwońiłaś do mnie z takim zamiarem?

- Oczywiście.

- Chyba w takim celu lepiej było się umówić ze swoim chłopakiem, nie ze mną? Przecież to chyba pod każdym względem normalniejsze? Po to się ma chłopaka.

- Ale ja chcę być z tobą.

- To niemożliwe - odpowiedziałem krótko. - Po pierwsze muszę przed dwunastą wrócić do akademika. Inaczej będzie to "nocleg poza akademikiem bez przepustki". Raz kiedyś nie wróciłem i było straszne zawracanie głowy. Po drugie jeżeli będę spał z dziewczyną w jednym łóżku, na pewno nabiorę ochoty na seks, a nie lubię się powstrzymywać i męczyć. Może nawet bym cię zmusił.

- Uderzyłbyś mnie, związał i zgwałcił od tyłu?

- Słuchaj, nie wygłupiaj się!

- Ja jestem samotna. Straszliwie samotna. Wiem, że robię ci kłopot. Ciągłe domagam się

różnych rzeczy, niczego w zamian nie dając. Gadam ile chcę, umawiam się z tobą i ciągam cię to tu, to tam. Ale nie mam nikogo innego. Nikogo, kto by mi na to pozwolił. Przez dwadzieścia lat nigdy w życiu nie mogłam być egoistką. Ani tata, ani mama nawet trochę mi nie pobłazali, a mój chłopak też nie jest taki. Wścieka się, kiedy jestem samolubna. I zaczynamy się kłócić. Dlatego tylko tobie mogę powiedzieć takie rzeczy. A poza tym jestem teraz naprawdę zmęczona, skołowana i chcę, żeby mi ktoś mówił, że jestem urocza i ładna, gdy będę usypiała. To wszystko. Kiedy się obudzę, będę się znów świetnie czuła i nigdy już nie poproszę cię o nic tak samolubnie. Nigdy. Będę bardzo grzeczna.

- Rozumiem, ale nic na to nie poradzę.

- Proszę cię. Bo inaczej siądę tu i będę całą noc zalewała się łzami. I pójdę do łóżka z pierwszym facetem, który mnie zaczepi.

Nie miałem wyboru; zadzwoniłem do akademika i poprosiłem Nagasawę. Chciałem, żeby jakoś upozorował mój powrót. Powiedziałem, że jestem z dziewczyną. Odparł, że bardzo chętnie mi pomoże w takiej sprawie.

- Odwrócę tabliczkę z twoim nazwiskiem, jakbyś był u siebie. Nie martw się i się nie spiesz. A jutro rano możesz wejść przez okno mojego pokoju.

- Przepraszam za kłopot. Będę twoim dłużnikiem - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

- Udało się? - zapytała Midori.

- Jakoś się udało - odparłem z głębokim westchnieniem.

- No to chodźmy do dyskoteki, bo jest jeszcze wcześnie.

- Przecież byłaś zmęczona?

- Na coś takiego spokojnie starczy mi sił.

- O rany!

Rzeczywiście wyglądało na to, że kiedy Midori trochę potańczy, stopniowo nabiera energii. Wypiła dwie whisky z colą i tańczyła, aż na jej czole wystąpiły kropelki potu.

- Strasznie fajnie - powiedziała, odpoczywając chwilę przy stoliku. - Dawno już tyle nie tańczyłam. Kiedy człowiek zaczyna się ruszać, dusza jakby uwalnia się z więzów.

- Wydaje się, że twoja jest zawsze na wolności.

- Coś ty! Nic podobnego - z uśmiechem pokręciła głową. - Mniejsza o to. Teraz, kiedy nabrałam energii, zachciało mi się jeść. Może poszlibyśmy na pizzę?

Zabrałem ją do pizzerii, do której często chodziłem, i zamówiliśmy piwo beczkowe oraz pizzę z anchois. Nie byłem zbyt głodny, więc zjadłem tylko cztery z dwunastu kawałków, a Midori całą resztę.

- Bardzo szybko ozdrowiałaś. Niedawno byłaś blada i ledwo trzymałaś się na nogach - powiedziałem zdumiony.

- To dlatego, że ktoś mi pozwolił na samolubstwo. Od tego przeszło mi zmęczenie. Ta pizza jest naprawdę bardzo dobra.

- Słuchaj, naprawdę nikogo u ciebie nie ma?

- Uhm, nie ma. Siostra przeniosła się na parę dni do przyjaciółki. Jest strasznym tchórzem i boi się sama spać, kiedy mnie nie ma.

- Wiesz, dajmy sobie spokój z tym love hotelem. W takich miejscach człowiek czuje się pusty. Lepiej chodźmy do ciebie. Chyba znajdziesz dla mnie jakąś pościel?

Midori zastanawiała się chwilę, lecz wkrótce przytaknęła. - Dobrze, prześpiemy się u mnie.

Pojechaliśmy do Otsuka pociągiem linii Yamanote. Podnieśliśmy żaluzję w Księgarni Kobayashich. Przyklejono do niej kartkę z napisem "Urlop". Sklep musiał być od dawna nieotwierany, ponieważ w ciemności unosił się zapach zakurzonego papieru. Połowa półek była pusta, a większość czasopism powiązano w paczki do zwrotu. Księgarnia wydawała mi się bardziej pusta i zimniejsza niż za pierwszym razem. Wyglądała jak wrak porzucony na brzegu morza.

- Nie będziecie już prowadzić księgarni? - zapytałem.

- Postanowiłyśmy ją sprzedać - powiedziała krótko Midori. - Sprzedamy i podzielimy się pieniędzmi. Będziemy żyły same, bez niczyjej opieki. Siostra wyjdzie w przyszłym roku za mąż, a mnie zostały jeszcze trzy lata studiów. Na to powinno nam wystarczyć. Będę też sobie jakoś dorabiać. Jak sprzedamy, wynajmiemy gdzieś we dwie mieszkanie.

- Myślisz, że uda wam się sprzedać?

- Pewnie tak. Mamy znajomą, która chce otworzyć sklep z włóczkami i niedawno pytała, czy nie zamierzamy sprzedać księgarni? Ale szkoda mi taty. Pracował jak mrówka, dorobił się księgarni, po trochu zwrócił długi i w końcu prawie nic z tego nie zostało. Wszystko prysło, jak bańka mydlana.

- Ty zostałaś.

- Ja? - Midori zaśmiała się rozbawiona, a potem odetchnęła głęboko. - Chodźmy na górę. Tu



jest zimno.

Na górze posadziła mnie przy stole i przygotowywała kąpiel. Tymczasem zagotowałem w czajniku wodę i zaparzyłem herbaty. Usiedliśmy potem naprzeciwko siebie przy stole i pijąc herbatę, czekaliśmy, aż podgrzeje się woda w wannie\*. Midori oparła głowę na dłoni i przez pewien czas mi się przyglądała. Nie było słyhać nic prócz tykania zegara i włączającej się co pewien czas lodówki. Dochodziła północ.

- Wiesz, Watanabe, jak ci się dobrze przyjrzeć, masz nawet ciekawą twarz.

- Tak sądzisz? - powiedziałem lekko urażony.

- Wolę przystojnych chłopaków, ale jak się człowiek dobrze przyjrzy twojej twarzy, to dochodzi do wniosku, że ten facet właściwie może być.

- Ja też czasem dochodzę do wniosku, że właściwie mogę być.

- Ja nie mówię tego w złym znaczeniu. Nie jestem zbyt dobra w ubieraniu uczuć w słowa i przez to ciągle wywołuję nieporozumienia. Chciałam powiedzieć, że cię lubię. Mówiłam ci to już?

- Mówiłaś.

- Po prostu ja też po trochu uczę się czegoś o mężczyznach.

Midori przyniosła paczkę marlboro i zapaliła. - Trzeba się wiele nauczyć, jak człowiek zaczyna od zera.

- Pewnie tak.

- Czekaj, a może zapalisz tacie trociczkę? - zapytała. Poszedłem za nią do pokoju, w którym był ołtarzyk buddyjski. Zapaliłem trociczkę i pomodliłem się.

- Ostatnio rozebrałam się do naga przed tą fotografią taty stojącą na ołtarzyku. Wszystko zdjęłam i pokazałam mu się powoli, przyjmując różne pozycje, jak w jodze. Patrz tato, to są piersi, a to cipka.

- Co ci przyszło do głowy? - zapytałem lekko osłupiały.

- Jakoś miałam mu ochotę pokazać. Przecież połowa mnie powstała z jego plemnika, prawda? Mogę mu chyba pokazać? To twoja córka. No, może byłam wtedy troszkę pijana.

- Aha.

- Siostra weszła i nogi się pod nią ugięły. Siedziałam przecież przed pamiątkową fotografią

---

\* W starszych łazienkach w Japonii napełnia się wannę zimną wodą, a potem podgrzewa za pomocą zainstalowanego przy wannie grzejnika gazowego.

taty naga i z rozsuniętymi nogami. Każdy by się zdziwił na jej miejscu.

- Pewnie tak.

- Wytłumaczyłam jej, o co chodzi. Robię to z takiej a takiej przyczyny, więc ty też usiądź tu obok i pokaż tacie. Ale ona nie chciała. Wyszła zszokowana. W tym sensie jest strasznie staroświecka.

- W porównaniu z tobą jest normalna.

- Słuchaj, co ty pomyślałeś o moim tacie?

- Zwykle czuję się nieswojo przy pierwszym spotkaniu, lecz przy nim nie byłem spięty, nawet kiedy zostaliśmy sami. Czułem się całkiem swobodnie. Opowiadałem mu różne rzeczy.

- O czym opowiadałeś?

- O Eurypidesie.

Midori wybuchnęła śmiechem. - Jesteś naprawdę stuknięty. Nikt inny nie wpadłby na pomysł, żeby opowiadać o Eurypidesie dopiero co poznanemu umierającemu i cierpiącemu choremu człowiekowi.

- Żadna inna córka nie wpadłaby na to, żeby rozsuwać nogi przed pamiątkową fotografią ojca.

Midori zachichotała i uderzyła w gong na ołtarzyku.

- Dobranoc, tato. Będziemy przyjemnie spędzać czas, więc możesz spać spokojnie. Już nie cierpisz, prawda? Umarłeś, pewnie, że nie cierpisz. A jeżeli dalej cierpisz, to zwróć się z pretensją do Boga. Powiedz: "To już chyba przesada?". Spotkaj się w raju z mamą i używajcie sobie do woli. Widziałam twojego ptaszka, kiedy ci pomagałam z siusianiem; był imponujący. Postaraj się. Dobranoc.

Wykapaliśmy się po kolei i włożyliśmy piżamy. Pożyczyłem sobie prawie nową piżamę ojca Midori - ponoć miał ją na sobie zaledwie parę razy. Była nieco za mała, ale lepsza niż nic. Midori przygotowała dla mnie gościnny materac w pokoju z ołtarzykiem.

- Nie będziesz się bał spać przed ołtarzykiem? - zapytała.

- Nie będę. Przecież nie mam nic na sumieniu - powiedziałem ze śmiechem.

- A poleżysz obok i przytulisz mnie, póki nie zasnę?

- Dobrze.

Trzymałem ją w objęciach, leżąc na skraju wąskiego łóżka, i parę razy prawie stoczyłem się

na podłogę. Przycisnęła mi nos do piersi, położyła ręce na biodrach. Objąłem ją prawą ręką, a lewą trzymałem się ramy łóżka, żeby nie spaść. Nie można było tego nazwać sytuacją sprzyjającą seksualnemu podnieceniu. Pod samym nosem miałem czubek jej głowy i krótko ostrzyżone włosy od czasu do czasu mnie łaskotały.

- Słuchaj, powiedz coś! - poprosiła Midori z głową przyciśniętą do mojej piersi.

- Co mam powiedzieć?

- Wszystko jedno co. Coś, co mnie wprawi w dobry nastrój.

- Jesteś bardzo ładna.

- Midori. Dodaj moje imię.

- Jesteś bardzo ładna, Midori - poprawiłem się.

- Jak bardzo?

- Tak bardzo, jak góry są wysokie, a morze głębokie.

Midori podniosła głowę i spojrzała na mnie. - Wyrażasz się naprawdę w unikalny sposób.

- Kiedy tak mówisz, robi mi się błogo na sercu - powiedziałem z uśmiechem.

- Powiedz coś jeszcze miłszego.

- Bardzo cię lubię, Midori.

- Jak bardzo?

- Jak wiosennego niedźwiadka.

- Wiosennego niedźwiadka? - Midori znowu podniosła głowę. - Jakiego znowu wiosennego niedźwiadka?

- Idziesz sobie sama wiosną po łące, a z naprzeciwka nadbiega śliczny niedźwiadek o aksamitnym futerku i błyszczących oczkach. I mówi: - Dzień dobry, panienko. Może się razem poturlamy? - I objęci spędzacie wesoło cały dzień, turlając się po porośniętych koniczyną górkach. To byłoby miłe, prawda?

- Strasznie miłe.

- I tak właśnie cię lubię.

Midori przywarła ciasno do mojej piersi. - Cudownie. Skoro tak mnie lubisz, to niczego mi nie odmówisz, prawda? Nie będziesz się gniewał?

- Oczywiście, że nie.

- I będziesz zawsze o mnie dbał.

- Oczywiście - powiedziałem i pogłaskałem ją po ostrzyżonych po chłopięcemu włosach. -

W porządku, nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Ale ja się boję.

Objąłem ją trochę mocniej i wkrótce poczułem, że zasnęła, a jej ramiona wznosiły się i opadały poruszane regularnym oddechem. Wstałem, poszedłem do kuchni i otworzyłem piwo. Zupełnie nie chciało mi się spać, więc pomyślałem, że poczytam książkę. Rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie żadnej nie dostrzegłem. Zamierzałem iść do pokoju Midori i pożyczyć sobie jakąś z regału, lecz bałem się, że hałas ją obudzi.

Przez pewien czas siedziałem beczynn timer, popijając piwo, gdy nagle przypomniałem sobie, że na dole jest przecież księgarnia. Zszedłem po schodach, zapaliłem światło i zacząłem szukać na półce z wydaniem i kieszonkowymi. Nic mnie nie zainteresowało, a zresztą większość już kiedyś czytałem. Ale musiałem coś znaleźć i wybrałem *Pod kołami* Hermanna Hessego. Książka musiała tu być od bardzo dawna, bo okładka zdążyła wyblaknąć. Położyłem równowartość przy kasie - przynajmniej w ten sposób Księgarnia Kobayashich pozbyła się części towaru.

Popijając piwo przy kuchennym stole, czytałem *Pod kołami*. Pierwszy raz przeczytałem ją w pierwszej klasie gimnazjum. A teraz, osiem lat później, siedzę w środku nocy u dziewczyny, ubrany w piżamę jej zmarłego ojca, i znów mam w rękach tę samą książkę. Pomyślałem, że to przedziwne. Gdybym nie znalazł się w takiej sytuacji, pewnie nigdy bym po nią nie sięgnął.

Powieść chwilami trąciła trochę starzyzną, ale nie była to zła książka. W pogrążonej w ciszy kuchni z przyjemnością uważnie ją czytałem. Na półce stała zakurzona butelka brandy. Nalałem sobie trochę do kubka i wypilem. Brandy rozgrzała mnie, lecz sen nadal nie nadchodził.

Przed trzecią poszedłem zobaczyć, czy Midori śpi spokojnie. Musiała być bardzo zmęczona, bo leżała pogrążona w głębokim śnie. Do pokoju dochodziło mleczne, jakby księżycowe, światło latarni w pasażu handlowym. Midori spała odwrócona do niego plecami. Leżała nieruchomo, nawet nie drgnęła. Pochyliłem się i usłyszałem, jak oddycha przez sen. Pomyślałem, że śpi dokładnie tak samo jak jej ojciec.

Przy łóżku stała nierozpakowana torba podróżna, na krześle wisi biały płaszcz. Na biurku porządek, na ścianie kalendarz ze Snoopym. Odsunąłem nieco zasłonę i wyjrzałem na bezludny pasaż handlowy. Wszystkie sklepy miały spuszczone żaluzje i tylko automaty z napojami przed sklepem z alkoholem czekały skulone na nadejście dnia. Czasami powietrzem wstrząsało ciężkie dudnienie kół przejeżdżających gdzieś wielkich ciężarówek. Wróciłem do kuchni, dolałem sobie brandy i wróciłem do czytania Hessego.

Niebo zaczynało jaśnieć, gdy doszedłem do końca powieści. Zagotowałem wodę, napiłem się rozpuszczalnej kawy i skreśliłem parę słów do Midori na bloczku do notatek leżącym na stole. Napisałem, że wypiliśmy trochę brandy, kupiłem *Pod kołami*, już się rozwidnia, więc idę do domu, do widzenia. A po chwili wahania dodałem: "Jesteś bardzo ładna, gdy śpisz". Umyłem kubek po kawie, zgasilem światło w kuchni, zszedłem po schodach i ostrożnie podniósłszy żaluzję, wyszedłem na ulicę. Martwiłem się, że mogę wzbudzić jakieś podejrzenia, jeżeli zobaczy mnie ktoś z sąsiadów, ale przed szóstą jeszcze nikogo na ulicy nie było. Tylko tak jak przedtem na dachu siedziała wrona i z niechęcią rozglądała się dookoła. Podniosłem wzrok na różowe firanki okna Midori, a potem ruszyłem na dworzec Otsuka. Stamtąd pojechałem tramwajem do pętli i wróciłem w okolice akademika. Jadłodajnia, w której podawano śniadania, była otwarta, więc zjadłem ciepły ryż, zupę miso, pikle i smażone jajko. Później poszedłem na tyły akademika i zapukałem lekko do okna Nagasawy na parterze. Od razu otworzył, a ja wdrapałem się przez nie do jego pokoju.

- Napijesz się kawy? - zapytał.

Powiedziałem, że nie mam ochoty. Podziękowałem mu, wróciłem do siebie, umyłem zęby, zdjąłem spodnie, wślizgnąłem się do łóżka i zacisnąłem powieki. Wkrótce nadszedł sen i zamknął za mną ciężką ołowianą bramę - po drugiej stronie snów nie było.

Co tydzień pisałem listy do Naoko, od niej też przyszło kilka. Były niezbyt długie. Raz napisała, że nadszedł listopad, ranki i wieczory zrobiły się zimne.

Twój powrót do Tokio zbiegł się z nadejściem jesieni i na początku nie wiedziałam, czy ta pustka, którą w sobie czuję, jest wywołana Twoim zniknięciem czy porą roku. Często rozmawiamy o Tobie z Reiko. Serdecznie Cię pozdrawia. Jest dla mnie zawsze bardzo dobra. Bez niej nie mogłabym chyba znieść życia tutaj. Płaczę, kiedy czuję się samotna. Według Reiko to dobrze, że mogę płakać. Lecz naprawdę ciężko być samotną. W takich chwilach w nocy wychodzą z ciemności różni ludzie i mówią coś do mnie. Mówią do mnie jak szumiące nocą drzewa. Często rozmawiam w ten sposób z Kizukim, z siostrą. Oni też są samotni i chcą z kimś pogadać.

W takie samotne ciężkie noce czytam Twoje listy. Różne rzeczy z zewnątrz często wywołują mi w głowie zamęt, lecz wydarzenia Twojego świata, o których piszesz, bardzo mnie uspokajają. Dziwne, prawda? Ciekawe, czemu tak jest? Dlatego czytam Twoje listy wiele razy, Reiko też je

czyta wielokrotnie. A potem o nich rozmawiamy. Bardzo podobał mi się list z opisem wizyty u ojca Midori. Cieszymy się na Twoje cotygodniowe listy jako na jedną z nielicznych rozrywek - tutaj nawet to jest rozrywką.

Staram się znaleźć jakoś czas i odpisywać, ale kiedy siadam przed kartką papieru, zawsze, zawsze popadam w przygnębienie. Pisanie tego listu też kosztuje mnie wiele wysiłku. Reiko łaja mnie, mówiąc, że muszę ci odpisać. Proszę, nie zrozum mnie źle. Mam Ci bardzo wiele do powiedzenia i przekazania. Nie potrafię tylko odpowiednio ubrać tego w słowa. Dlatego ciężko mi pisać.

Zdaje się, że Midori to bardzo ciekawa dziewczyna. Po przeczytaniu Twojego listu wydało mi się, że być może jest w Tobie zakochana, i powiedziałam o tym Reiko. A ona na to: "To chyba oczywiste! Nawet ja się w nim podkochuję". Codziennie zbieramy grzyby i kasztany, które potem zjadamy. Ciągłe jemy ryż z kasztanami, ryż z grzybami, ale jest smaczny, więc się nam nie nudzi. Reiko dalej mało je i tylko pali. Ptaszki i króliki też mają się dobrze. Na tym kończę.

W trzy dni po moich dwudziestych urodzinach dostałem paczkę od Naoko. Wewnątrz był ciemnofioletowy sweter wciągany przez głowę i list.

Wszystkiego najlepszego - pisała Naoko. - Życzę Ci, żeby ten rok przyniósł Ci szczęście. Dwudziesty rok mojego życia chyba już do końca będzie straszny, dlatego chciałabym, żebyś był szczęśliwy za nas oboje. Naprawdę! Ten sweter zrobiliśmy z Reiko po połowie. Gdybym robiła go sama, pewnie skończyłabym dopiero na walentynki w przyszłym roku. Tę ładniejszą połowę zrobiła Reiko, a ja tę brzydszą. Wszystko, do czego się zabiera, dobrze jej wychodzi i czasem jak na nią patrzę, czuję wstręt do samej siebie. Przecież ja naprawdę niczym nie mogę się pochwalić. Do widzenia. Bądź zdrow.

Był też krótki dopisek od Reiko.

Co słyszać? Może w Twoich oczach Naoko jest ucieleśnieniem szczęścia, lecz dla mnie jest tylko niezdara, która ma dwie lewe ręce. Mimo to jakoś udało nam się zdążyć z tym swetrem. Ładny, prawda? Razem wybrałyśmy kolor i fason. Wszystkiego najlepszego!

## 10

**Rok** tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty zawsze kojarzy mi się z trzęsawiskiem. Z głębokim, grząskim, gęstym mokradłem. Przy każdym kroku z trudem wyciągałem but. Brnąłem przez ten rok z ogromnym wysiłkiem. Nie widziałem nic przed sobą ani za sobą. Wszędzie ciągnęło się jedynie ciemne bagno.

Nawet czas dopasował się do tego mozolnego marszu i zwolnił bieg. Inni już dawno poszli dalej, tylko ja i mój czas wlekliśmy się z tyłu noga za nogą. Świat wokół mnie zaczynał się bardzo zmieniać. Zmarło wiele osób, wśród nich John Coltrane. Ludzie domagali się reform i zdawało się, że wkrótce rzeczywiście zostaną wprowadzone. Lecz wszystkie te wydarzenia stanowiły dla mnie jedynie pozbawione znaczenia i prawdziwej treści tło. Brnąłem jakoś przez kolejne dni, prawie nie podnosząc głowy. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko bezkresne bagno. Stawiałem prawą nogę, potem podnosiłem lewą, po niej znów prawą. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie byłem pewien, czy idę we właściwym kierunku. Szedłem tylko po prostu przed siebie, bo trzeba było gdzieś iść.

Skończyłem dwadzieścia lat, jesień przerodziła się w zimę, lecz w moim życiu nie zaszły żadne prawdziwe zmiany. Choć w ogóle mnie to nie interesowało, chodziłem na uczelnię, poza tym pracowałem trzy razy w tygodniu, czasami czytałem *Wielkiego Gatsby'ego*. W niedzielę robiłem pranie i pisałem długie listy do Naoko. Czasami spotykałem się z Midori. Chodziliśmy na kolację, do zoo albo do kina. Udało się sprzedać Księgarnię Kobayashich i razem z siostrą wynajęły trzypokojowe mieszkanie niedaleko stacji Myógadani. Midori mówiła, że po ślubie siostry znajdzie sobie gdzieś inne. Kiedyś zaprosiła mnie do siebie na obiad. Było to słoneczne ładne mieszkanie i Midori wydawała się tam szczęśliwsza niż nad Księgarnią Kobayashich.

Nagasawa kilkakrotnie proponował, żebyśmy poszli się gdzieś zabawić, lecz za każdym razem odmawiałem, mówiąc, że mam coś do załatwienia. Po prostu mi się nie chciało. Oczywiście miałem ochotę przespać się z jakąś dziewczyną, ale odechciewało mi się na myśl o całym tym procesie: trzeba iść wieczorem na drinka, znaleźć odpowiednią dziewczynę, rozmawiać z nią, a potem iść do hotelu. Znów poczułem podziw dla Nagasawy, któremu nigdy się to nie nudziło i chciało mu się robić wiecznie to samo. Być może pod wpływem słów Hatsumi zamiast sypiać z jakąś beznadziejną dziewczyną, nie znając nawet jej imienia, myślałem o Naoko i czułem się szczęśliwszy. Pozostało mi żywe wspomnienie dotyku jej palców, kiedy na łące doprowadziła mnie do orgazmu.

Na początku grudnia napisałem do niej z zapytaniem, czy mogę ją odwiedzić w czasie ferii zimowych. Odpisała Reiko. Strasznie się cieszą i czekają na mój przyjazd. Naoko ma teraz trudności z napisaniem listu, więc Reiko pisze w jej imieniu. Ale mam się nie martwić, bo to nie znaczy, że stan Naoko szczególnie się pogorszył. Po prostu przy tej chorobie czasem jest lepiej, czasem gorzej.

Kiedy zajęcia dobiegły końca, spakowałem plecak, włożyłem zimowe buty i wyruszyłem do Kioto. Tamten dziwny lekarz miał rację - pokryte śniegiem góry były przepiękne. Tak jak poprzednio zatrzymałem się na dwie noce u Naoko i Reiko i spędziłem z nimi trzy dni. Wieczorami Reiko grała na gitarze i rozmawialiśmy. Drugiego dnia zamiast na pieszą wycieczkę wybraliśmy się do lasu na narty biegowe. Po godzinie byłem zziębnięty i spocony. W wolnych chwilach pomagałem też przy zbiorowym odśnieżaniu. Ów dziwny lekarz, doktor Miyata, tym razem również przysiadł się podczas kolacji do naszego stolika i tłumaczył nam, "dlaczego środkowy palec jest dłuższy od wskazującego, a w palcach stóp jest na odwrót". Strażnik Ómura ponownie opowiadał o tokijskiej wieprzowinie. Reiko bardzo ucieszyła się z płyt, które jej przywiozłem. Zapisała nuty paru utworów i zagrała je na gitarze.

Naoko była o wiele bardziej milcząca niż jesienią. Kiedy siedzieliśmy we trójkę, prawie się nie odzywała i tylko uśmiechała się z kanapy. Reiko mówiła za dwie. - Nie przejmuj się - uspokajała mnie Naoko. - To taki okres. Dużo przyjemniej mi słuchać, jak rozmawiacie, niż mówić.

Raz Reiko wyszła pod pozorem, załatwienia jakiejś sprawy, a my z Naoko położyliśmy się na łóżku i objęli. Całowałem lekko jej szyję, ramiona, piersi, a Naoko tak jak poprzednio dłońmi doprowadziła mnie do wytrysku. Potem objąłem ją i powiedziałem, że przez te dwa miesiące ciągle czułem dotyk jej palców. I onanizowałem się, myśląc o niej.

- Nie spałeś z nikim innym? - zapytała.

- Nie.

- No to zapamiętaj i to - powiedziała, przesuwając się w dół. Lekko pocałowała mój członek, otoczyła go ciepłymi wargami i zaczęła przesuwać po nim językiem.

Jej proste włosy opadły mi na podbrzusze i kołysały się wraz z ruchem jej warg. Miałem drugi wytrysk.

- Zapamiętasz to? - zapytała później.

- Oczywiście. Będę zawsze pamiętał.



Przytuliłem ją do siebie, wsunąłem rękę pod bieliznę i dotknąłem waginy, lecz była sucha. Naoko potrząsnęła głową i odsunęła moją dłoń. Przez pewien czas leżeliśmy objęci w milczeniu.

- Po zakończeniu roku akademickiego zamierzam poszukać jakiegoś mieszkania - powiedziałem. - Zaczynam mieć dosyć akademika. Będę sobie dorabiał, jakoś mi starczy na życie. Jeżeli chcesz, mogłabyś zamieszkać ze mną. Tak jak wcześniej mówiłem.

- Dziękuję. Strasznie się cieszę, że to mówisz.

- Myślę, że to sanatorium jest niezłe. Spokój, okolica przepiękna i Reiko jest taka dobra. Ale nie można tu długo być. To miejsce jest trochę zbyt specyficzne jak na długi pobyt. I chyba im dłużej się tu przebywa, tym trudniej odejść.

Naoko w milczeniu zwróciła wzrok ku oknu. Widać było za nim jedynie śnieg. Niebo zasnuło się ciężkimi śniegowymi chmurami. Między nimi a pokrytą bielą ziemią pozostała zaledwie niewielka przestrzeń.

- Możesz się spokojnie zastanowić. Tak czy inaczej do końca marca się przeprowadzę i jeżeli będziesz chciała, możesz w każdej chwili przyjechać.

Naoko kiwnęła potakująco głową. Obejmowałem ją ostrożnie, jakbym trzymał jakiś piękny kruchy przedmiot ze szkła. Zarzuciła mi ramiona na szyję. Byłem nagi, a ona miała na sobie jedynie skąpe białe majteczki. Jej ciało było takie piękne. Mogłem na nie patrzeć bez końca.

- Dlaczego nie robię się mokra? - zapytała cicho. - Tylko raz mi się to zdarzyło, wtedy, w kwietniu, w moje dwudzieste urodziny. Kiedy ze mną spałeś. Dlaczego tak jest?

- To na pewno psychiczne. Minie trochę czasu i wszystko się ułoży. Nie trzeba się spieszyć.

- Wszystkie moje problemy są natury psychicznej. Czy kochałbyś mnie, nawet gdybym miała nigdy w życiu nie być mokra, gdybym nigdy nie mogła się z tobą kochać? Czy mógłbyś znieść to, że zawsze, zawsze robiłabym to tylko ustami i rękami? Czy też rozwiązałbyś problem seksu, śpiąc z innym kobietami?

- Jestem z natury optymistą.

Naoko usiadła na łóżku, włożyła podkoszulek, flanelową koszulę i dzinsy. Ja też się ubrałem.

- Pozwól mi się nad tym spokojnie zastanowić - powiedziała Naoko. - Ty też się spokojnie zastanów.

- Zastanowię się. A poza tym świetnie to robisz ustami.

Naoko poczerwieniała lekko i uśmiechnęła się. - Kizuki też tak mówił.

- Mieliliśmy podobne opinie i gusty - powiedziałem ze śmiechem.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole i pijąc kawę, rozmawialiśmy o dawnych czasach. Zaczynała po trochu mówić o Kizukim. Starannie dobierała słowa. Śnieg to padał, to ustawał, lecz przez trzy dni ani razu się nie rozpogodziło. Żegnając się, powiedziałem, że pewnie będę mógł przyjechać w marcu. Potem - już w grubej kurtce - objąłem ją i pocałowałem. Do widzenia, odparła Naoko.

Nadszedł obco mi brzmiący rok siedemdziesiąty i zapieczętował definitywnie moje lata nastoletnie. Tak wkroczyłem w nowe bagno. Nadeszły egzaminy i zdałem je stosunkowo łatwo. Nie miałem nic innego do roboty, więc prawie codziennie chodziłem na uniwersytet i w rezultacie pozdawałem z łatwością, nawet niewiele się ucząc.

W akademiku wybuchło kilka awantur. Okazało się, że członkowie jednej z frakcji mieli gdzieś pochowane hełmy i metalowe pałki. Doszło do bijatyki między nimi a sportowcami popieranymi przez kierownika akademika. Dwóch zostało rannych, a sześciu wyrzucono. Afera ta ciągnęła się dość długo i nieomal codzienne wybuchały jakieś kłótnie. W akademiku zapanowała nieprzyjazna atmosfera i wszyscy byli podenerwowani. Ja też przy okazji o mało nie zostałem pobity przez sportowców, ale włączył się Nagasawa i jakoś załagodził sprawę. Tak czy inaczej, trzeba się było stąd wynosić.

Po pierwszych egzaminach poważnie zabrałem się do szukania mieszkania do wynajęcia. Po tygodniu znalazłem odpowiednie w okolicy Kichijoji. Dojazd nie był najlepszy, ale za to miałem samodzielny domek. Prawdziwy skarb. Stał sobie w rogu na dużej posesji, jak domek ogrodnika, od nieco oddalonego domu właścicieli dzielił go zaniedbany trawnik. Właściciele używali furtki od frontu, a ja tylnej, więc żyłem sobie niezależnie, nieskrępowany. Domek składał się z pokoju, małej kuchni i toalety, a także nieprawdopodobnie wielkiej szafy ściiennej. Była nawet weranda od strony ogrodu. Czynnosc okazał się znacznie niższy od cen rynkowych, ponieważ przystałem na warunek właścicieli, że wyprowadzę się, jeżeli w przyszłym roku ich wnuk przyjedzie do Tokio. Było to sympatyczne starsze małżeństwo. Powiedzieli mi, że mogę robić, co chcę, oni nie będą się do niczego wtrącać.

Nagasawa pomógł mi przy przeprowadzce. Pożyczył gdzieś małą ciężarówkę, przewiózł moje rzeczy i zgodnie z obietnicą podarował mi swój telewizor, lodówkę oraz duży termos. Bardzo byłem wdzięczny za te prezenty. On też za dwa dni wynosił się z akademika do mieszkania w Mita.

- Pewnie przez dłuższy czas się nie zobaczymy, więc uważaj na siebie - powiedział przy pożegnaniu. - Ale tak jak ci wcześniej mówiłem, mam wrażenie, że kiedyś w dalekiej przyszłości spotkamy się w jakimś dziwnym miejscu.

- Już mnie to cieszy - odparłem.

- A co do tych dziewczyn, którymi się ostatnio wymieniliśmy, ta brzydsza była lepsza.

- Owszem - roześmiałem się. - Ale słuchaj, powinieneś szanować Hatsumi. Niewielu jest takich dobrych ludzi, a poza tym ją łatwo zranić, choć tego po sobie nie pokazuje.

- Tak, wiem - przytaknął. - Dlatego najlepiej byłoby, gdybyś ją po mnie przejął. Myślę, że pasowalibyście do siebie.

- Chyba żartujesz - powiedziałem osłupiały.

- Żartuję. No, życzę szczęścia. Pewnie wiele cię w życiu czeka, ale jesteś dość uparty, więc jakoś sobie poradzisz. Mogę cię w jednej sprawie ostrzec?

- Proszę bardzo.

- Nie rozczulaj się nad sobą. Tylko prymitywy się nad sobą rozczulają.

- Będę pamiętał.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się. On ruszył zdobywać świat, a ja wróciłem do swego bagna.

Trzy dni później napisałem list do Naoko. Opisałem nowe mieszkanie. Opowiedziałem o uldze i radości z powodu wydostania się z akademika, o tym, że nigdy już nie będę miał nic wspólnego z tymi idiotami i ich idiotycznymi pomysłami. Że mam zamiar zacząć tu nowe życie w nowym nastroju.

Za oknem widać duży ogród, w którym spotykają się tutejsze koty. Kiedy mam czas, kładę się na werandzie i przyglądam się im. Nie wiem dokładnie, ile ich jest - w każdym razie dość dużo. Kładą się i wygrzewają na słońcu. Chyba niezbyt im się podoba, że zamieszkałem w tym domku, ale kiedy wyłożyłem dla nich kawałek starego sera, kilka podeszło bojaźliwie i zjadło. Być może wkrótce się zaprzyjaźnimy. Jest wśród nich pręgowany kocur z urwanym uchem, zadziwiająco podobny do kierownika akademika. Zdaje się nieomal, że za chwilę zacznę wciągać flagę na maszt.

Mam dość daleko na uniwersytet, ale teraz zostaną mi głównie przedmioty kierunkowe i rzadko będę miał zajęcia rano, więc nie sprawi mi to większego kłopotu. Będę sobie mógł

spokojnie poczytać w pociągu, toteż w pewnym sensie to nawet lepiej. Poza tym muszę teraz znaleźć jakąś niezbyt ciężką dorywczą pracę, w okolicy Kichijoji, trzy czy cztery razy w tygodniu. Kiedy znajdę, będę mógł wrócić do codziennego nakręcania sprężyny.

Nie chcę Cię poganiać z podjęciem decyzji, ale uważam, że wiosna to dobra pora na rozpoczęcie czegoś nowego, i wydaje mi się, że najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli od kwietnia zamieszkać razem. Jak dobrze pójdzie, będziesz mogła wrócić na uczelnię. Gdyby Ci z jakiegoś powodu nie odpowiadało wspólne mieszkanie, moglibyśmy znaleźć dla Ciebie coś oddzielnego w pobliżu. Najważniejsze, żebyśmy zawsze byli blisko siebie. Oczywiście nie upieram się, że to musi być od wiosny. Jeżeli uznasz, że latem byłoby lepiej, może być latem. Nie ma sprawy. Czy mogłabyś mi napisać, co o tym sądzisz?

Mam zamiar teraz trochę więcej popracować, żeby zarobić pieniądze. Rozpoczęcie niezależnego życia kosztuje. Trzeba kupić garnki, naczynia, tego typu rzeczy. Ale w marcu będę miał czas i koniecznie chcę cię odwiedzić. Powiedz mi, który dzień by Ci odpowiadał. Dopasuję się i przyjadę do Kioto. Ciesząc się już na spotkanie, czekam na odpowiedź.

W ciągu następnych kilku dni stopniowo pokupowałem w Kichijoji różne rzeczy do domu i zacząłem przygotowywać proste posiłki. W pobliskim składzie drewna kupiłem deski, poprosiłem o ich pocięcie i zbudowałem sobie biurko. Postanowiłem na razie jeść na nim posiłki. Zrobiłem też półki i kupiłem zestaw przypraw. Pewna biała kotka, może półroczna, oswoiła się i zaczęła u mnie jadać. Nazwałem ją Mewa.

Kiedy mieszkanie zaczęło jakoś wyglądać, znalazłem pracę u malarza pokojowego. Pracowałem bez przerwy przez dwa tygodnie jako jego pomocnik. Płaca była niezła, ale harowałem jak wół, a do tego kręciło mi się w głowie od zapachu rozpuszczalnika. Po pracy szedłem na kolację do jadalni, wypijałem piwo, po powrocie do domu bawiłem się z kotem, a potem spałem jak zabity. Upłynęły tak dwa tygodnie, lecz odpowiedź od Naoko nie przychodziła.

Kiedys, malując, nagle przypomniałem sobie o Midori. Przecież nie kontaktowałem się z nią od prawie trzech tygodni i nawet nie powiedziałem jej o przeprowadzce.

Wspomniałem, że mam zamiar niedługo się wynieść z akademika, ona powiedziała "Aha" i to wszystko.

Poszedłem do budki telefonicznej i wykręciłem numer Midori. Odebrała chyba jej siostra. Przedstawiłem się, ona powiedziała: "Chwileczkę", ale choć czekałem dość długo, Midori nie

podeszła do telefonu.

- Słuchaj, Midori jest wściekła i mówi, że nie ma ochoty z tobą rozmawiać - oświadczyła po chwili ta sama kobieta. - Podobno nic jej nie powiedziałeś o przeprowadzce. Zniknąłeś bez śladu, nic jej nie mówiąc, tak? I dlatego jest na ciebie wściekła. Jak raz się wścieknie, to długo jej nie przechodzi. Nie da się jej poskromić, jest jak dzikie zwierzę.

- Niech podejdzie do telefonu, to jej wszystko wytłumaczę.

- Mówi, że nie chce słuchać twoich tłumaczeń.

- W takim razie bardzo przepraszam za kłopot, ale może mógłbym się pani wytłumaczyć, a pani przekazałaby to Midori?

- Nie ma mowy - odmówiła kategorycznie. - Sam jej to musisz wytłumaczyć. Jesteś chyba mężczyzną? No, to bądź odpowiedzialny i zachowaj się jak trzeba.

Nie było rady. Podziękowałem i się rozłączyłem. Nic dziwnego, że Midori była wściekła. Pochłonięty przeprowadzką, porządkowaniem nowego mieszkania i zarabianiem pieniędzy, zupełnie o niej zapomniałem. Nawet o Naoko prawie nie myślałem. Zawsze taki byłem. Kiedy się w coś zaangażuję, zapominam o całym świecie.

Myślałem, jak bym się czuł, gdyby Midori gdzieś bez słowa zniknęła i nie kontaktowała się ze mną przez trzy tygodnie. Pewnie byłoby mi przykro. I to bardzo przykro. Mimo że nie chodziliśmy ze sobą - a może właśnie dlatego - byliśmy sobie bardzo bliscy i rozumieliśmy się. Na tę myśl wpadłem w straszne przygnębienie. Bezsensowne robienie komuś przykrości, w dodatku komuś, na kim nam zależy, jest podłe.

Wróciłem po pracy do domu, usiadłem przy nowym biurku i napisałem list do Midori. Szczerze opisałem, co czuję. Zrezygnowałem z tłumaczenia się i wyjaśniania. Zamiast tego przeprosiłem za własną bezmyślność i nieczułość. Bardzo chcę się z Tobą zobaczyć, chciałbym, żebyś przyszła obejrzeć moje nowe mieszkanie, odpowiedz, proszę - zakończyłem. Wysłałem list ekspresem.

Czekałem i czekałem, lecz odpowiedź nie nadchodziła.

Był to dziwny początek wiosny. Przez całe ferie<sup>\*</sup> czekałem na listy. Nie byłem na żadnej wycieczce, nie mogłem wrócić do rodziców, do Kobe, ani pracować, ponieważ w każdej chwili mógł przyjść list od Naoko, w którym podawała termin odwiedzin. W dzień chodziłem do Kichijoji, oglądałem po dwa filmy naraz, przez pół dnia czytałem książkę w kawiarni jazzowej. Z

---

\* Przerwa wiosenna trwa w Japonii od połowy lutego do początków kwietnia.

nikim się nie widywałem i prawie z nikim nie rozmawiałem. Raz w tygodniu pisałem do Naoko. W listach nie wspominałem o tym, że mi nie odpowiada. Nie chciałem jej przynaglać. Opisałem pracę u malarza, opowiedziałem o Mewie, o kwitnącej brzoskwini w ogrodzie, o sympatycznej sprzedawczynie tofu i złośliwej w sklepie garmazeryjnym, a także o samodzielnie przygotowywanych posiłkach. Nadal nie było odpowiedzi.

Wkrótce znudziło mi się czytanie i słuchanie płyt, toteż zacząłem po trochu pracować w ogrodzie. Pożyczyłem od właścicieli miotłę, grabie, śmietniczkę i sekator. Wyrwałem chwasty i poprzycinałem rozrośnięte krzewy. Nawet ten niewielki wysiłek sprawił, że ogród zaczął ładnie wyglądać. Widząc moje poczynania, właściciel zaprosił mnie na herbatę. Siedząc na werandzie, gawędziliśmy przy herbacie i krakersach ryżowych. Powiedział, że po przejściu na emeryturę pracował przez pewien czas jako urzędnik w firmie ubezpieczeniowej, ale zrezygnował dwa lata temu i od tego czasu żyje sobie spokojnie. Od dawna ma ten dom i ziemię, dzieci już się usamodzielnili i teraz na starość nic nie musi robić. Dlatego ciągle jeżdżą z żoną na wycieczki.

- To przyjemne - powiedziałem.

- Niezbyt przyjemne - odparł. - Wycieczki ani trochę mnie nie interesują. O wiele bardziej wolałem pracować.

Mówił też, że zaniedbał ogród, bo nie mógł w okolicy znaleźć żadnego porządnego ogrodnika. Prawdę mówiąc, sam mógłby trochę tu popracować, ale ostatnio ma coraz gorsze alergie i nie może się tykać trawy. - Ach tak? - wyraziłem zainteresowanie. Po herbacie zaprowadził mnie do składziku i powiedział, że co prawda nie ma jak mi się odwdzięczyć, ale może przynajmniej coś z tego mi się przyda. To same niepotrzebne graty i mogę brać, co mi się podoba. Składzik rzeczywiście był pełen różnych rzeczy. Stała tam niewielka balia, dziecinny nadmuchiwany basenik, był tam nawet kij baseballowy. Wybrałem sobie stary rower, niewielki stół, dwa krzesła, lustro i gitarę. Powiedziałem, że jeśli można, chciałbym je sobie pożyczyć. Odparł, że mam sobie wziąć, co chcę, i robić z tym, co chcę.

Cały dzień zajęło mi czyszczenie roweru z rdzy, oliwienie go, pompowanie oraz ustawienie przerzutki. W sklepie z rowerami wymieniono mi linkę przerzutki. Rower był teraz nie do poznania. Stół odkurzyłem i pokryłem warstwą politurę. Wymieniłem wszystkie struny w gitarze i skleiliśmy w miejscu, gdzie pudło zaczęło się rozchodzić. Drucianą szczotką oczyściłem kolki z rdzy i nastroiłem instrument. Nie była to żadna wspaniała gitara, ale zaczęła brzmieć jak należy. Po raz pierwszy od lat licealnych miałem gitarę. Usiadłem na werandzie i powoli przypomniałem

sobie *Up on the Roof* Driftersów, którego się kiedyś uczyłem. O dziwo, pamiętałem jeszcze większość akordów.

Z pozostałego drewna zrobiłem skrzynkę pocztową. Pomalowałem ją na czerwono, napisałem na niej swoje nazwisko i przymocowałem przy wejściu. Ale do czwartego kwietnia trafiło tam tylko przesłane przez pocztę na nowy adres zawiadomienie o spotkaniu klasy ze szkoły średniej. Za nic w świecie nie chciałbym uczestniczyć w podobnej imprezie. To była klasa, do której chodziłem z Kizukim. Od razu wyrzuciłem zawiadomienie do śmieci. Czwartego dnia po południu w skrzynce pojawił się list - od Reiko. Starannie odciąłem brzeg koperty nożyczkami, usiadłem na werandzie i zabrałem się do czytania. Obawiałem się, że zawiera niezbyt dobre wiadomości i po przeczytaniu okazało się, że rzeczywiście przecucie mnie nie myliło.

Najpierw przepraszała, że dopiero teraz odpowiada na mój list. Naoko długo zmagala się ze sobą, chcąc mi odpisać, ale nigdy nie udawało jej się dokończyć. Reiko wiele razy proponowała, że napisze w jej imieniu, bo nie można tak długo zwlekać z odpowiedzią, lecz Naoko powtarzała, że to bardzo osobista sprawa i koniecznie chce sama napisać, no i tak minęło tyle czasu. Być może sprawiło mi to przykrość - jeśli tak, prosi, żebym jej wybaczył.

Na pewno trudno było Ci przez ten miesiąc czekać na odpowiedź, ale był to trudny okres także dla Naoko. Proszę, zrozum. Szczerze mówiąc, jest teraz w niezbyt dobrym stanie. Próbowała stanąć na nogi, jak na razie bez pozytywnych rezultatów.

Teraz przychodzi mi do głowy, że pierwszym symptomem pogorszenia był fakt, że nie mogła pisać listów. Od końca listopada, a może od początku grudnia. Potem po trochu zaczęła słyszeć głosy. Kiedy zaczynała pisać, różni ludzie zagadywali ją i przeszkadzali. Przeszkadzali, kiedy próbowała znaleźć słowa. Ale do czasu Twojej drugiej wizyty te objawy były stosunkowo łagodne i ja też, szczerze mówiąc, niezbyt poważnie je traktowałam. W naszej chorobie zdarza się, że takie objawy występują cyklicznie. Jednak po Twoim wyjeździe znacznie się nasiliły. Obecnie nawet prowadzenie zwyczajnej rozmowy sprawia jej trudność. Nie potrafi znaleźć słów. I przez to ma teraz zamęt w głowie. Jest zdezorientowana i się boi. Prześladowające ją głosy też strasznie się nasiliły.

Codziennie odbywamy sesję z jednym z lekarzy specjalistów. Rozmawiamy we trójkę o różnych rzeczach, starając się dokładnie zrozumieć, co Naoko dolega. Ja zaproponowałam, żeby

w miarę możliwości odbyć sesję z Twoim udziałem, lekarz się ze mną zgodził, lecz Naoko się sprzeciwiła. Jako przyczynę podała to, że - cytuję dosłownie - "chcę się z nim spotkać, jak już będę w środku czysta". Próbowałam ją przekonać, że problem nie polega na tym, że najważniejsze, by jak najszybciej wyzdrowiała, ale nie zmieniała zdania.

Chyba przedtem Ci tłumaczyłam, że to miejsce nie jest specjalistycznym szpitalem psychiatrycznym. Oczywiście mamy lekarzy specjalistów, którzy skutecznie leczą, ale raczej bez intensywnej terapii. Celem tego miejsca jest stworzenie sprzyjających warunków, żeby pacjent mógł sam przyjść do siebie i ściśle mówiąc, medyczna terapia nie jest częścią programu. Dlatego jeżeli stan Naoko się pogorszy, będzie musiała zostać przeniesiona do innego szpitala czy placówki medycznej. Oczywiście gdyby miało do tego dojść, byłby to tylko tymczasowy "wyjazd w delegację" i mogłaby tu wrócić. Albo, jeżeli dobrze pójdzie, może całkowicie wyzdrowieć i wrócić do normalnego życia. W każdym razie robimy, co w naszej mocy, Naoko też robi, co w jej mocy. Módl się o jej wyzdrowienie i pisz do niej dalej, tak jak do tej pory.

Reiko Ishida

List został napisany trzydziestego pierwszego marca. Siedziałem na werandzie i wpatrywałem się w ogród. Zapanowała w nim już prawdziwa wiosna. Stara wiśnia pokryła się kwiatami, wiał łagodny wietrzyk, w powietrzu wisiała lekka mgiełka, która powodowała, że barwy zdawały się rozmyte i tajemnicze. Niedługo pojawiła się skądś Mewa. Podrapała trochę w podłogę werandy, a potem podeszła do mnie, wyciągnęła się z widocznym zadowoleniem i zapadła w sen.

Myślałem, że powinienem się nad czymś zastanowić, ale nie wiedziałem, nad czym i jak. A do tego szczerze mówiąc, nie miałem ochoty nad niczym się zastanawiać. Nadejdzie czas, że nie będę miał innego wyjścia i wystarczy, że wtedy spokojnie pomyślę. W każdym razie teraz nie mam ochoty.

Oparty o słupek werandy, głaskałem kotkę i patrzyłem na ogród. Zdawało mi się, że zupełnie opadłem z sił. Robiło się późno i wkrótce ogród spowiła granatowa ciemność zmierzchu. Mewa gdzieś zniknęła, lecz ja ciągle wpatrywałem się w kwiaty wiśni. W wiosennym mroku wyglądały jak gnijące ciało wyzierające spod pękniętej skóry. Ogród wypełniał słodkawy fetor rozkładającego się mięsa. Pomyślałem o ciele Naoko. Jej piękne ciało leżało w ciemności, a na skórze zaczęły się pojawiać niezliczone kielki, drobne zielone kielki, drżące na wietrze, który



pojawił się nie wiadomo skąd. Dlaczego takie piękne ciało musi chorować, myślałem. Dlaczego jej nie zostawia w spokoju?

Wszedłem do pokoju i zasłoniłem okno, lecz tutaj także dotarł zapach wiosny. Jej woń wnikała wszędzie. Teraz kojarzyła mi się z gnijącym ciałem. Stałem w pokoju z zasuniętą zasłoną i czułem do wiosny gwałtowną nienawiść. Nienawidziłem tego, co mi przyniosła, nienawidziłem ostrego bólu, który wywoływała w głębi mego serca. Pierwszy raz w życiu czułem tak silną nienawiść.

Przez następne trzy dni byłem w dziwnym stanie, jakbym chodził po dnie morza. Ludzie coś do mnie mówili, lecz prawie ich nie słyszałem, moje słowa też do nich nie docierały. Czułem się zupełnie, jakby otoczyła mnie ciasno jakaś powłoka i przez to nie mogłem dotknąć zewnętrznego świata. Lecz oni też nie mogli mnie dotknąć. Byłem bezsilny, ale tak długo, jak pozostawałem w tym stanie, oni także byli w stosunku do mnie bezsilni.

Oparty o ścianę wpatrywałem się bezmyślnie w sufit, a kiedy chciało mi się jeść, zjadałem, co miałem pod ręką, i piłem wodę. Gdy ogarniał mnie smutek, nalewałem sobie whisky i szedłem spać. Nie myłem się ani nie goliłem. Tak spędziłem trzy dni.

Szóstego kwietnia przyszedł list od Midori. Pisała, że ponieważ dziesiątego jest dzień zapisów na zajęcia, moglibyśmy się spotkać na dziedzińcu i zjeść razem obiad. Kazała mi długo czekać na odpowiedź, ale teraz jest remis i możemy się pogodzić. Jednak smutno mi, kiedy się z Tobą nie widuję, pisała. Przeczytałem list cztery razy, lecz dalej nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi. Co właściwie ten list oznacza? W głowie miałem straszny zamęt i nie umiałem znaleźć miejsca, w którym jedno zdanie łączyło się z następnym. Dlaczego spotkanie z nią w dniu zapisów na zajęcia ma oznaczać remis? Co za obiad chce ze mną jeść? Chyba tracę rozum, myślałem. Świadomość mi się strasznie rozrzedziła i osłabła, jak wilgotne korzenie cieniolumnej rośliny. Tak nie można, zakołatało w mojej pogrążonej we mgle głowie. Nie można tak w nieskończoność, muszę coś zrobić. Nagle przypomniałem sobie słowa Nagasawy: "Nie rozczulaj się nad sobą. Tylko prymitywy się nad sobą rozczulają".

O rany, Nagasawa, imponujesz mi, pomyślałem. Wstałem z westchnieniem. Zrobiłem dawno zaległe pranie, poszedłem do łaźni\*, ogoliłem się, sprzątnąłem mieszkanie, zrobiłem zakupy, potem przygotowałem porządny posiłek, zjadłem go i nakarmiłem wygłodniałą Mewę. Poza piwem nie wypłem żadnego alkoholu i gimnastykowałem się przez trzydzieści minut. Kiedy

---

\* Wiele tokijskich mieszkań nie ma łazienek, więc chodzenie do łaźni jest powszechne.

przy goleniu spojrziałem w lustro, zobaczyłem, że twarz mi strasznie wychudła. Oczywiście miałem ogromne i zmieniłem się nie do poznania.

Następnego ranka pojechałem na małą wycieczkę rowerem, wróciłem do domu i po obiedzie jeszcze raz przeczytałem list Reiko. Spokojnie zastanowiłem się, co powinienem teraz zrobić. List zaszokował mnie głównie dlatego, że w jednej chwili rozwiało się moje optymistyczne przekonanie, że Naoko powoli wraca do zdrowia. Sama mówiła, że jej choroba ma głębokie korzenie, Reiko też powiedziała, że nie wiadomo, co będzie dalej. Lecz kiedy dwa razy widziałem się z Naoko, odniosłem wrażenie, że czuje się coraz lepiej, i zdawało mi się, że jedyny problem stanowi to, że brak jej odwagi, by wrócić do normalnego życia. Jeżeli tylko nabierze odwagi, będziemy się wzajemnie wspierać i wszystko się ułoży.

Jednak po przeczytaniu listu Reiko od razu legł w gruzach mój zamek na lodzie, teoria zbudowana na niepewnej hipotezie. Została tylko pozbawiona uczuć, obojętna, zimna tafła lodu. Muszę się jakoś wziąć w garść. Przypuszczałem, że minie wiele czasu, zanim Naoko wróci do zdrowia. Jeżeli nawet wyzdrowieje, może być słabsza niż przedtem i jeszcze bardziej niepewna. Muszę się przygotować na taką ewentualność. Rozumiałem oczywiście, że wszystkie problemy nie rozwiążą się tylko dzięki temu, że wezmę się w garść, lecz nie mogę upadać na duchu. Muszę być silny. Tylko to mi pozostało. To oraz czekanie, aż Naoko wyzdrowieje.

Hej, Kizuki! W odróżnieniu od ciebie postanowiłem żyć, i to żyć najlepiej, jak potrafię. Na pewno było ci ciężko, lecz mnie też jest ciężko. Naprawdę. Umarłeś, zostawiając Naoko samą, ale ja jej za nic nie opuszczę. A to dlatego, że ją kocham i jestem od niej silniejszy. I stanę się jeszcze silniejszy. I dojrzały. Stanę się dorosłym człowiekiem. Nie mam innego wyjścia. Do tej pory myślałem, że gdyby to było możliwe, chciałbym zawsze mieć siedemnaście czy osiemnaście lat, lecz teraz już tak nie uważam. Nie jestem kilkunastoletnim chłopcem. Czuję się odpowiedzialny. Wiesz, Kizuki, nie jestem już taki jak wtedy. Mam dwadzieścia lat i muszę zapłacić pewną cenę za to, żeby dalej żyć.

- Słuchaj, Watanabe, co ci się stało? - zapytała Midori. - Strasznie schudłeś.

- Tak?

- Chyba trochę za bardzo sobie pozwalacie z tą mężatką.

Roześmiałem się i pokręciłem głową. - Od października nie spałem z żadną kobietą.

Midori zagwizdała. - Nie robiłeś tego od pół roku? Naprawdę?

- Naprawdę.
- No to dlaczego tak schudłeś?
- Bo wydoroślałem.

Midori położyła mi ręce na ramionach i zajrzała poważnie w oczy. Patrzyła chwilę ze zmarszczonymi brwiami, lecz wkrótce się roześmiała. - Faktycznie. Jesteś trochę inny niż przedtem.

- Bo wydoroślałem.
- Jesteś niepowtarzalny. Potrafisz wymyślić coś takiego - powiedziała z podziwem. - Chodźmy coś zjeść. Zgłodniałam.

Poszliśmy do małej restauracji na tyłach wydziału literatury. Zamówiłem obiadowy zestaw dnia, Midori zdecydowała się na to samo.

- Słuchaj, Watanabe, jesteś na mnie zły? - zapytała.
- O co?
- O to, że z zemsty tak długo ci nie odpisywałam. Uważasz, że tak nie wolno? Bo przecież ty mnie przeprosiłeś jak należy.
- To moja wina, więc nie ma rady.
- Siostra powiedziała, że tak nie wolno. Że to brak wyrozumiałości, dziecinada.
- Ale dzięki temu ci przeszło, prawda? Dzięki zemście?
- Uhm.
- No to nie ma sprawy.
- Jesteś naprawdę wyrozumiały. Słuchaj, Watanabe, naprawdę od pół roku z nikim nie spałeś?

- Naprawdę.
- No to musiałeś mieć na to straszną ochotę, jak mnie wtedy usypiałeś?
- No, pewnie tak było.
- Ale nic nie zrobiłeś.
- Bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nie chciałem cię utracić.
- Gdybyś wtedy nalegał, pewnie nie umiałabym odmówić. Byłam wtedy strasznie zmarnowana.
- Przecież jest taki twardy i wielki.

Roześmiała się i lekko dotknęła mojej ręki. - Ja już wcześniej postanowiłam ci zaufać. W stu

procentach. Dlatego wtedy spokojnie i głęboko zasnąłam. Wiedziałam, że przy tobie nic mi się nie stanie, że nie mam się czego bać. Głęboko usnęłam, prawda?

- Tak, nie da się ukryć.

- A z drugiej strony gdybyś wtedy powiedział: "Słuchaj, Midori, chodź, nie daj się prosić. Tak będzie lepiej, wszystko się ułoży. No, chodź", pewnie bez wahania bym się zgodziła. Nie myśl tylko, że skoro tak mówię, to próbuję cię uwieść albo dla żartu podniecić. Chciałam ci tylko uczciwie powiedzieć, co czuję.

- Wiem.

Jedząc, porównaliśmy kartki z zajęciami, na które się zapisaliśmy, i odkryliśmy, że będziemy razem chodzić na dwa wykłady. Będę ją widywał dwa razy w tygodniu! Potem opowiedziała mi o sobie. Przez dłuższy czas nie mogły się z siostrą przyzwyczaić do życia w mieszkaniu, choć było znacznie łatwiejsze niż ich dotychczasowe. Przywykły do tego, że codziennie są zajęte, bo pielęgnują kogoś chorego, pomagają w księgarni i tak dalej.

- Jednak ostatnio doszliśmy do wniosku, że to nie szkodzi. Że takie życie jest nam pisane. I dlatego nie musimy się nikim krępować i możemy się wreszcie odprężyć. Na początku byliśmy tym strasznie zaniepokojone. Zdawało się, że unosimy się kilka centymetrów nad podłogą... nie, żartuję, wydawało nam się po prostu, że takie łatwe życie nie może być rzeczywistością. Czekaliśmy w napięciu, aż nadejdzie czas zapłaty.

- Siostry cierpiętniczki - powiedziałem ze śmiechem.

- Do tej pory życie było dla nas okrutne. Ale to nieważne. Odbijemy sobie to wszystko w przyszłości.

- Może komuś innemu by się nie udało. Wam się na pewno uda. A co na co dzień robi twoja siostra?

- Jej koleżanka otworzyła niedawno sklep z biżuterią niedaleko Omotesando, więc trzy razy w tygodniu jeździ jej pomagać. Poza tym uczy się gotować, chodzi na randki z narzeczoną, do kina, czasem nic nie robi - w każdym razie korzysta z życia.

Potem ponieważ Midori zapytała, co u mnie słyhać, opowiedziałem o domku, dużym ogrodzie, Mewie i właścicielu.

- Przyjemnie spędzasz czas?

- Nie najgorzej - odpowiedziałem.

- Nie wyglądasz na to.

- To z powodu wiosny.

- I mimo że masz na sobie śliczny sweter zrobiony przez dziewczynę.

Zdziwiony spojrzałem na swój fioletowy sweter.

- Skąd wiesz?

- Ależ ty jesteś naiwny! Przecież to oczywiste, że nie wiedziałam, zgadywałam tylko. Ale jesteś jakiś osowiały.

- Staram się wziąć w garść.

- Powiedz sobie, że życie to pudełko czekoladek.

Pokręciłem głową i spojrzałem na Midori. - Czasem nie bardzo rozumiem, o czym ty mówisz. Pewnie dlatego, że jestem głupi.

- W pudełku są różne czekoladki, jedne się lubi, inne mniej. Najpierw zjada się te ulubione i zostają tylko te, za którymi się nie przepada. Zawsze tak myślę, kiedy jest mi ciężko. Jeżeli teraz się z tym uporam, potem będzie łatwiej. Życie jest jak pudełko czekoladek.

- No, jest to pewna filozofia życiowa.

- To prawda. Nauczyło mnie tego doświadczenie - powiedziała Midori.

Kiedy piliśmy kawę, do restauracji weszły dwie koleżanki z roku Midori; we trzy porównywały, na jakie pozapisywały się zajęcia, przez chwilę rozmawiały o tym, co dostały z niemieckiego w zeszłym semestrze, że ktoś tam został ranny w zamieszkach na uniwersytecie, jakie fajne buty, gdzie kupiłaś - zupełnie niepowiązane tematy. Nie przysłuchiwałem się, ale chcąc nie chcąc, słyszałem i miałem wrażenie, że ta rozmowa dobiega z drugiej strony kuli ziemskiej. Pijąc kawę, wyglądałem przez okno. Zwyczajny widok kampusu wiosną: niebo zamglone, kwitnące wiśnie, chłopcy i dziewczyny, wyglądający na studentów pierwszego roku, z nowymi książkami pod pachą. Przyszła mi na myśl Naoko, która w tym roku znów nie może wrócić na uczelnię. Na parapecie stała niewielka szklanka z anemonami.

W końcu dziewczyny rzuciły: "No to cześć", i wróciły do swojego stolika, a my z Midori postanowiliśmy się przejść. Chodziliśmy po antykwariatach, kupiliśmy parę książek, potem znów wstąpiliśmy do kawiarni na kawę, zagraлиśmy w bilard w salonie gier, a na koniec usiedliśmy na ławce w parku i rozmawialiśmy. Przeważnie mówiła Midori, ja tylko przytakiwałem. Powiedziała, że chce jej się pić, więc kupiłem dwie coli w pobliskiej cukierni. W tym czasie ona pisała coś zawzięcie w notatniku. Zapytałem, co pisze, a ona odparła, że nic ważnego.

O pół do czwartej oznajmiła, że musi zaraz iść, bo umówiła się z siostrą w Ginza. Poszliśmy razem do stacji metra i tam się rozstaliśmy. Przy pożegnaniu Midori wepchnęła mi do kieszeni kurtki złożoną na czworo kartkę. Powiedziała, żebym przeczytał po powrocie do domu. Preczytałem w pociągu.

Poszedłeś teraz kupić colę i piszę do Ciebie, korzystając z tej okazji. Po raz pierwszy piszę list do kogoś, kto siedzi obok mnie na ławce, ale inaczej chyba nie dotrze do Ciebie, co próbuję Ci powiedzieć. Przecież praktycznie prawie mnie nie słuchasz, prawda?

Czy wiesz, że sprawiłeś mi dziś straszną przykrość? Nawet nie zauważyłeś, że zmieniłam uczesanie, prawda? Zapuściłam włosy. Strasznie wolno rosły, aż wreszcie pod koniec zeszłego tygodnia udało mi się zmienić fryzurę na bardziej dziewczęcą. Nawet tego nie zauważyłeś. Wyglądam bardzo ładnie i zamierzałam Cię zaskoczyć po tak długim niewidzeniu, a ty nawet nie zauważyłeś! Naprawdę przeholowałeś! Pewnie nie wiesz też, jak jestem ubrana. Przecież jestem dziewczyną. Możesz chyba choć raz uważnie na mnie spojrzeć? Gdybyś powiedział przynajmniej: "Fajna fryzura!", wybaczyłabym Ci bez względu na to, co byś potem robił i ile byś się zamyślał.

Dlatego teraz Cię okłamię. Powiem, że umówiłam się z siostrą w Ginza. Miałam zamiar spędzić dzisiaj noc u Ciebie i nawet mam ze sobą piżamę! Tak, mam w torebce piżamę i szczoteczkę do zębów. Cha, cha, co ze mnie za idiotka. Przecież Ty mnie nawet nie zaprosiłeś. Ale to nieważne, najwyraźniej nie chcesz, żeby mi na Tobie nie zależało, więc przestanie mi zależeć. Rozmyślaj sobie, ile chcesz - dużo i głęboko nad różnymi rzeczami. Ale nie myśl, że jestem na Ciebie wściekła. Po prostu smutno mi i samotnie. Byłeś dla mnie taki życzliwy, a ja chyba nie mogę nic dla Ciebie zrobić. Zawsze jesteś zamknięty w swoim własnym świecie i choć pukam i wołam: "Hej, Watanabe!", podnosisz tylko na chwilę wzrok i od razu znowu się zamykasz.

Właśnie wracasz z coca-colą. Wyglądasz na zamyślonego i właściwie chciałabym, żebyś się potknął i przewrócił. Nie przewróciłeś się. Usiadłeś obok mnie i pijesz colę dużymi łykami. Miałam nadzieję, że po powrocie ze sklepu zauważysz i zawołasz: "Czekaj, przecież ty zmieniłaś fryzurę!", ale nic z tego. Gdybyś zauważył, podarłabym ten list na kawałeczki i powiedziałabym: "Słuchaj, chodźmy do Ciebie. Zrobię Ci dobrą kolację. A potem grzecznie pójdziemy spać". Jesteś nieczuły jak kamień. Do widzenia.

PS Kiedy spotkamy się na zajęciach, nie podchodź do mnie.

Zadzwoiłem do Midori z dworca w Kichijoji, lecz nikt nie odebrał. Nie miałem nic specjalnego do roboty, więc spacerowałem po mieście. Szukałem pracy dorywczej, która pozwoliłaby mi chodzić na zajęcia. Byłem wolny cały dzień w soboty i w niedziele, a w poniedziałki, środy i czwartki mogłem pracować od piątej, ale nie tak łatwo było znaleźć coś, co dokładnie pasowałoby do mojego planu zajęć. Podałem się na dziś i robiąc zakupy w drodze powrotnej, jeszcze raz zadzwoniłem do Midori. Odebrała siostra i powiedziała, że Midori jeszcze nie wróciła, i nie wie, kiedy wróci. Podziękowałem i się rozłączyłem.

Po kolacji chciałem napisać list do Midori, lecz mimo wielu prób, mi się nie udało, więc postanowiłem napisać do Naoko.

Pisałem, że przyszła wiosna i zaczął się nowy rok akademicki. Bardzo mi smutno, że nie mogliśmy się zobaczyć. Chciałem się z Tobą spotkać i porozmawiać bez względu na okoliczności. Tak czy inaczej postanowiłem być silny. Zdaje mi się, że nie ma innego sposobu.

Poza tym - choć może Cię to w ogóle nie obchodzić - chcę Ci powiedzieć, że z nikim nie sypiam, bo nie potrafię zapomnieć chwil, kiedy Ty mnie dotykałaś. Są dla mnie ważniejsze, niż myślisz. Ciągle je wspominam.

Włożyłem list do koperty, przykleiłem znaczek i dalej siedząc przy biurku, przez pewien czas się w niego wpatrywałem. Był znacznie krótszy niż zwykle, lecz zdawało mi się, że dzięki temu Naoko lepiej zrozumie moje intencje. Nalałem do szklaneczki trzy centymetry whisky, wypiliśmy dwoma haustami i poszedłem spać.

Następnego dnia znalazłem w pobliżu dworca pracę na soboty i niedziele. Miałem być kelnerem w niewielkiej włoskiej restauracji. Płaca była taka sobie, ale dostawałem za darmo obiad i zwrot kosztów dojazdu autobusem. W poniedziałek, środę i czwartek wieczorem mogłem pracować na drugiej zmianie, gdy ktoś brał sobie wolne - czyli dość często - co mi bardzo odpowiadało. Kierownik powiedział, że mogę zacząć od najbliższej soboty i że po trzech miesiącach podniosą mi wynagrodzenie. Był o wiele normalniejszy i rozsądniejszy od stukniętego kierownika sklepu z płytami w Shinjuku.

Zadzwoiłem do Midori i znów odebrała jej siostra. Powiedziała, że Midori od wczoraj nie wróciła do domu i sama chciałaby wiedzieć, gdzie jest. Zapytała zmęczonym głosem, czy niczego się nie domyślam. Wiedziałem jedynie, że miała w torebce piżamę i szczoteczkę do zębów.

W środę widziałem Midori na wykładzie. Miała na sobie ciemnozielony sweter, na nosie ciemne okulary przeciwsłoneczne znane mi z zeszłego lata. Siedziała w głębi sali i rozmawiała z drobną dziewczyną w okularach, którą już kiedyś widziałem. Podeszedłem do nich i powiedziałem Midori, że chciałbym z nią później porozmawiać. Najpierw spojrzała na mnie dziewczyna w okularach, potem Midori. Rzeczywiście jej fryzura była znacznie bardziej kobieca niż przedtem. Wyglądała doroślej.

- Jestem umówiona - powiedziała, lekko przechylając głowę.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Wystarczy pięć minut.

Midori zdjęła okulary i zmrużyła oczy, jakby przyglądała się oddalonemu o sto metrów, zrujnowanemu, opuszczonemu domowi. - Nie mam ochoty rozmawiać. Przykro mi - odparła.

Dziewczyna w okularach patrzyła na mnie wzrokiem mówiącym: "Ona nie ma ochoty rozmawiać. Przykro mi".

Usiadłem w pierwszym rzędzie po prawej i słuchałem wykładu ("Ogólny zarys sztuk Tennessee Williama i ich miejsce w literaturze amerykańskiej"), a kiedy dobiegł końca, powoli policzyłem do trzech i odwróciłem się. Midori już nie było.

W kwietniu naprawdę smutno być samotnym. Wszyscy wokół zdawali się szczęśliwi. Stali bez płaszczy w kałużach słońca i rozmawiali, grali w piłkę, byli zakochani. Lecz ja byłem zupełnie sam. Naoko, Midori, Nagasawa, wszyscy się ode mnie oddalili. Nie miałem komu powiedzieć: "Dzień dobry" ani "Dobry wieczór". Tęskniłem nawet za Komandosem. Kwiecień upłynął mi w takiej żalostnej samotności. Kilka razy podchodziłem do Midori, ale zawsze reakcja była taka sama. Mówiła, że nie ma ochoty teraz rozmawiać, i jej ton dowodził, że naprawdę nie ma ochoty. Zwykle pojawiała się z tamtą dziewczyną w okularach albo z wysokim, krótko ostrzyżonym chłopakiem. Miał strasznie długie nogi i zawsze nosił białe buty do koszykówki.

Skończył się kwiecień, nadszedł maj, który okazał się jeszcze gorszy. Wiosna zapanowała wszędzie niepodzielnie i czułem, jak drży, kołacze w niej moje serce. Zwykle drzenie nadchodziło o zmierzchu. W pogłębiającej się ciemności unosił się wątyły zapach magnolii, a ja



czułem, jak serce mi nabrzmiwa, tłucze się w piersi, drży, coś przeszywa je jak igłą. W takich chwilach zamykałem oczy i zaciskałem zęby. Czekałem, aż wszystko przejdzie. Mijało bardzo powoli, niespiesznie, pozostawiając po sobie jedynie tępy ból.

Wtedy pisałem listy do Naoko. Opowiadałem wyłącznie o rzeczach pełnych uroku, przyjemnych i pięknych: o zapachu trawy, miłym wiosennym wietrzyku, blasku księżyca, widzianych filmach, ulubionych piosenkach, książkach, które mnie poruszyły. Czytałem potem te listy i sam czułem się podniesiony na duchu. Myślałem, że żyję na wspaniałym świecie. Napisałem wiele takich listów. Lecz ani Naoko, ani Reiko nie odpowiadały.

W pracy poznałem bliżej jednego z kelnerów - studenta w moim wieku, miał na nazwisko Ito. Czasami gawędziliśmy. Studiował malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych, był poważny i małomówny, więc zaczęliśmy ze sobą rozmawiać dopiero po pewnym czasie, a wkrótce po pracy już chodziliśmy na piwo do pobliskiego baru i gadaliśmy na różne tematy. On też lubił czytać i słuchać muzyki, toteż zwykle o tym rozmawialiśmy. Ito był szczupły, przystojny. Jak na studenta akademii w tamtych czasach włosy nosił krótko ostrzyżone i był schludny. Nie mówił o sobie zbyt wiele, lecz miał wyraźnie zdefiniowane gusty i poglądy. Lubił francuskie powieści i z przyjemnością czytywał Georges'a Bataille'a i Borisa Viana, często słuchał Mozarta i Ravela. I tak jak ja szukał przyjaciela, z którym mógłby o takich rzeczach rozmawiać.

Raz zaprosił mnie do siebie. Mieszkał w nietypowym parterowym budynku na tyłach parku Inokashira. Pokój wypełniały farby, pędzle i płótna. Powiedziałem, że chciałbym zobaczyć jego obrazy, ale nie pokazał mi, mówiąc, że mu głupio. Piliśmy Chivas Regal - wyniósł butelkę z domu bez wiedzy ojca - piekliśmy stynki na piecyku na węgiel drzewny i słuchaliśmy koncertu fortepianowego Mozarta w wykonaniu Roberta Casadesusa.

Ito pochodził z Nagasaki i miał tam dziewczynę. Sypiał z nią, kiedy wracał do Nagasaki, ale ostatnio trudno im się było dogadać.

- Wiesz, jak to jest z dziewczynami - powiedział. - Kiedy kończą dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat, nagle zaczynają konkretnie myśleć o różnych rzeczach. Robią się strasznie praktyczne. I wtedy to, co do tej pory strasznie nam się w nich podobało, zaczyna się wydawać pospolite i przygnębiające. Spotykamy się, zwykle najpierw idziemy do łóżka, a potem ona pyta, co zamierzam robić po studiach.

- A co zamierzasz robić?

Potrząsnął głową, chrupiąc stynkę. - Co zamierzam robić? A co ja mogę zrobić? Studiuję

malarstwo. Gdybym się zastanawiał nad takimi rzeczami, nie poszedłbym na akademię. Czymś takim nie da się zarobić na życie. Ona mówi, żebym wrócił do Nagasaki i uczył rysunków w szkole. Sama chce być nauczycielką angielskiego. O rany!

- Już jej nie kochasz tak jak kiedyś?

- Pewnie nie - przyznał Ito. - A do tego wcale nie chcę być nauczycielem rysunków. Nie chcę spędzić życia na uczeniu bandy rozwydrzonych i rozwrzeszczanych jak mały gimnazjalistów.

- To inna sprawa. A może powinieneś z nią zerwać? Tak byłoby chyba lepiej dla was obojga.

- Ja też tak uważam, tylko nie mam sumienia jej tego powiedzieć. Ona chce być ze mną. Nie mogę powiedzieć: "Rozstańmy się, już cię nie Kocham".

Piliśmy Chivas Regal bez lodu, a kiedy skończyły się stynki, pokroiliśmy w paski ogórki oraz seler i chrupaliśmy, smarując pastą miso. Jedząc ogórki, przypomniałem sobie ojca Midori. Serce mi się ścisnęło na myśl o tym, jak puste jest moje życie po jej stracie. Nie zdawałem sobie sprawy, że stała się dla mnie taka ważna.

- A ty masz dziewczynę? - zapytał Ito.

- Niby mam - odparłem po chwili. - Ale z powodu pewnych okoliczności żyjemy teraz oddaleni od siebie.

- Za to pewnie dobrze się rozumiecie?

- Staram się tak myśleć. Inaczej sprawa stanie się beznadziejna - powiedziałem półzartem.

Ito zaczął cicho mówić o geniuszu Mozarta. Wiedział o jego muzyce wszystko, tak samo jak górale wiedzą wszystko o górskich szlakach. Był ulubionym kompozytorem jego ojca, więc Ito słuchał Mozarta już w wieku trzech lat. Nie znałem się zbyt dobrze na muzyce klasycznej, ale kiedy wsłuchiwałem się w koncert Mozarta, któremu towarzyszyły trafne i płynące prosto z serca komentarze: "Słuchaj tego miejsca...", "No, jak uważasz? Ta fraza...", po raz pierwszy od długiego czasu wypełnił mnie spokój. Patrząc na sierp księżycy wznoszący się nad drzewami parku Inokashira, wypiliśmy Chivas Regal do ostatniej kropelki. Bardzo dobra whisky.

Ito zaproponował, żebym został na noc, lecz odmówiłem, twierdząc, że mam coś do załatwienia. Wyszedłem przed dziewięcią, podziękowawszy za whisky. Po drodze do domu zadzwoniłem z budki do Midori. O dziwo, odebrała.

- Przepraszam. Nie mam ochoty teraz z tobą rozmawiać - powiedziała.

- Wiem o tym. Mówiłaś mi to wiele razy. Ale nie chcę w ten sposób kończyć naszej

znajomości. Jesteś naprawdę jednym z niewielu przyjaciół, jakich mam, i strasznie mnie boli, że nie mogę się z tobą zobaczyć. Kiedy będę mógł z tobą porozmawiać? Powiedz mi przynajmniej tyle.

- Ja się do ciebie odezwę. Jak przyjdzie czas.

- A jak leci?

- Jakoś - odpowiedziała i odłożyła słuchawkę.

W połowie maja przyszedł list od Reiko.

Dziękujemy Ci za wszystkie listy. Naoko czyta je z wielką radością. Mnie też pokazuje. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Przepraszam, że tak długo nie pisałam. Szczerze mówiąc, ja też byłam trochę zmęczona i nie miałam żadnych dobrych wiadomości. Stan Naoko jest niezbyt dobry. Niedawno przyjechała z Kobe jej matka. Naradziliśmy się we czwórkę z lekarzem i zgodziliśmy się, że najlepiej będzie przenieść ją do specjalistycznego szpitala, poddać tam intensywnej terapii i w zależności od rezultatu, być może tutaj wróci. Naoko mówi, że wolałaby się leczyć na miejscu, mnie też będzie bez niej smutno i martwię się o nią, ale szczerze mówiąc, coraz trudniej jest tutaj zapanować nad jej stanem. Zwykle zachowuje się, jakby nic jej nie dolegało, lecz czasami staje się strasznie nie zrównoważona emocjonalnie i wtedy nie można jej spuścić z oka, ponieważ nie wiadomo, co się może zdarzyć. Bardzo nasilają się prześladowające ją głosy i zamyka się wtedy, ucieka gdzieś do wnętrza siebie.

Dlatego ja też sądzę, że najlepiej będzie, jeśli na pewien czas pójdzie do odpowiedniego szpitala i tam podda się leczeniu. Szkoda, ale nie ma innej rady. Tak jak Ci kiedyś mówiłam, najważniejsza jest cierpliwość. Nie tracąc nadziei, trzeba powoli rozplątywać zasupłane nitki. Choćby sprawa wyglądała beznadziejnie, zawsze gdzieś znajdzie się jakiś luźny koniec. Gdy wokół jest ciemno, pozostaje tylko spokojne czekanie, aż oczy przywykną do mroku.

Kiedy dostaniesz ten list, Naoko będzie już pewnie w nowym szpitalu. Przykro mi, że zawiadamiam Cię dopiero teraz, lecz wszystkie decyzje zostały podjęte w wielkim pośpiechu. Ten nowy szpital to porządny, dobry szpital. Mają tam dobrych lekarzy. Podam Ci poniżej adres, na który możesz do niej pisać. Będą mnie informować o jej stanie, więc zawiadomię Cię, jeżeli się czegoś dowiem. Obym tylko miała dobre wiadomości! Tobie też musi być ciężko, trzymaj się

jakoś. Nie będzie tu Naoko, ale napisz czasem i do mnie. Na tym kończę.

Tamtej wiosny napisałem naprawdę dużo listów. Raz w tygodniu pisałem do Naoko, czasem do Reiko, wysłałem też kilka listów do Midori. Pisałem w salach wykładowych, przy biurku, z Mewą na kolanach, przy stoliku we włoskiej restauracji podczas przerwy w pracy. Zupełnie jakbym za pomocą listów próbował posklejać swoje rozsypujące się na kawałki życie.

W kwietniu i maju było mi bardzo ciężko i samotnie, ponieważ nie mogłem z Tobą rozmawiać - pisałem do Midori. - Po raz pierwszy w życiu było mi wiosną tak ciężko i samotnie. Już wolałbym trzy razy z rzędu przeżyć luty. Pewnie teraz już nie ma sensu Ci tego mówić, ale bardzo Ci ładnie z nową fryzurą. Wyglądasz ślicznie. Pracuję teraz we włoskiej restauracji i kucharz nauczył mnie robić smaczne spaghetti. Chciałbym je niedługo dla Ciebie przyrządzić.

Codziennie chodziłem na uczelnię, dwa lub trzy razy w tygodniu pracowałem w restauracji, rozmawiałem z Ito o książkach i muzyce, przeczytałem kilka pożyczonych od niego powieści Borisa Viana, pisałem listy, bawiłem się z Mewą, robiłem spaghetti, zajmowałem się ogrodem, masturbowałem się myśląc o Naoko, i obejrzałem wiele filmów.

Midori odezwała się do mnie w połowie czerwca. Rozmawialiśmy po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Po wykładzie usiadła obok mnie, oparła brodę na dłoniach i milczała przez pewien czas. Za oknami padał deszcz. Był to typowy dla pory deszczowej, padający prosto w dół deszcz, któremu nie towarzyszy wiatr i który nasycza wszystko wilgocią. Inni studenci opuścili już salę, lecz Midori nadal siedziała w milczeniu. Potem wyjęła z kieszeni dżinsowej kurtki paczkę marlboro, włożyła papierosa do ust i wręczyła mi zapalniczki. Podałem jej ogień. Midori stuliła wargi i powoli wypuściła dym na moją twarz.

- Podoba ci się moja fryzura?

- Bardzo ładna.

- Jak bardzo?

- Jest tak wspaniała, że wszystkie drzewa na całym świecie powinny się przewrócić z wrażenia.

- Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę tak uważam.

Przyglądała mi się przez chwilę i wkrótce wyciągnęła prawą rękę. Uścisnęliśmy sobie

dłonie. Wyglądało na to, że Midori ulżyło bardziej niż mnie. Strząsnęła popiół na podłogę i szybko się podniosła.

- Chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu - powiedziała.
- Dokąd pójdziemy?
- Do restauracji w domu towarowym Takashimaya w Nihonbashi.
- Dlaczego akurat tam?
- Czasami mam ochotę tam pójść.

Pojechaliśmy metrem do Nihonbashi. Może dlatego, że od rana padało, wielki dom towarowy świecił pustkami, prawie nie było kupujących. Zapach deszczu przeniknął nawet do wnętrza sklepu i sprzedawczynie wyglądały, jakby nie wiedziały, czym się zająć. Poszliśmy do restauracji w podziemiu i dokładnie przestudiowawszy wystawione przy wejściu plastikowe modele potraw, oboje zdecydowaliśmy się na tradycyjny zestaw makuno uchi składający się z pieczonej ryby, tempury, kurczaka w sosie teriyaki\*, ryżu i pikli. Mimo pory obiadowej, w restauracji nie było zbyt tłoczno.

- Już dawno nie jadłem w domu towarowym - powiedziałem, popijając herbatę ze lśniącej białej czarki, jakie widuje się jedynie w restauracjach domów towarowych.

- Ja to lubię - wyjaśniła Midori. - Czuję się, jakbym robiła coś wyjątkowego. Może dlatego, że kiedy byłam dzieckiem, bardzo rzadko chodziliśmy do domów towarowych.

- Mnie się zdaje, że ja chodziłem na okrągło. Matka lubiła domy towarowe.
- Dobrze miałeś.
- Wcale nie tak dobrze. Nie lubię domów towarowych.
- Chodzi mi o to, że miałeś dobrze, bo rodzice się tobą zajmowali.
- Pewnie dlatego, że byłem jedynakiem.

- W dzieciństwie myślałam, że jak dorosnę, to przyjdę sobie sama do domu towarowego i najem się wszystkiego, ile będę chciała. Ale to bez sensu. Wcale nie jest fajnie jeść samemu w takim miejscu. Jedzenie nieszczególnie, duże pomieszczenie, tłok, hałas, duszno. A mimo to czasami mam ochotę tu przyjść.

- Byłem samotny przez te dwa miesiące.

- Tak, pisałeś w liście - powiedziała Midori obojętnie. - W każdym razie zjedźmy coś. Nie potrafisz w tej chwili myśleć o niczym innym.

---

\* Sos teriyaki składa się z sosu sojowego oraz sake z dodatkiem cukru.

Zjedliśmy nasze potrawy podane w pudełkach w kształcie półksiężyca, popiliśmy zupą i zieloną herbatą. Midori zapaliła papierosa. Kiedy skończyła, wstała bez słowa i podniosła parasolkę. Ja też się podniosłem i wziąłem swoją.

- Dokąd teraz? - zapytałem.

- Przyszliśmy do domu towarowego, zjedliśmy obiad w restauracji, więc to chyba oczywiste, że idziemy na dach\*.

Na dachu było pusto. Nikt nie obsługiwał stoiska z artykułami dla psów i kotów, pozamykano okiennice w kioskach i budkach z biletami do małego wesołego miasteczka. Oslaniając się parasolkami, przechadzaliśmy się między kompletnie mokrymi huśtawkami, krzesłami ogrodowymi i nieczynnymi budkami z jedzeniem. Byłem zaskoczony, że w samym sercu Tokio jest takie wyludnione opustoszałe miejsce. Midori powiedziała, że chce popatrzeć przez lunetę, więc wrzuciłem pieniążek i potrzymałem nad Midori parasolkę. W rogu pod dachem stało kilka automatów z grami dla dzieci. Usiedliśmy na czymś w rodzaju podestu i patrzyliśmy, jak pada deszcz.

- No, powiedz coś - odezwała się. - Przecież masz coś do powiedzenia, prawda?

- Nie chcę się usprawiedliwiać, ale wtedy byłem naprawdę przygnębiony i miałem zamęt w głowie. Nie bardzo do mnie docierały różne rzeczy. Kiedy nie mogłem cię widywać, zrozumiałem, że do tej pory tylko dzięki tobie udawało mi się jakoś przetrwać. Bez ciebie jest mi ciężko i samotnie.

- Watanabe, ty chyba nie wiesz, jak mnie było ciężko i samotnie przez te dwa miesiące, że nie mogłam się z tobą spotkać.

- Nie wiedziałem - odparłem zdziwiony. - Myślałem, że cię wkurzyłem i nie chcesz mnie widzieć.

- Dlaczego jesteś taki głupi?! To chyba oczywiste, że chciałam się z tobą zobaczyć. Przecież ci powiedziałam, że cię lubię! Ja się tak łatwo nie przywiązuję i potem nie zmieniam od razu zdania. O tym też nie wiedziałeś?

- No tak, rozumiem, ale...

- Wkurzyłeś mnie. Miałam ochotę zdrowo ci przyłożyć. Przecież spotkaliśmy się po długim niewidzeniu, a ty byłeś jak nieprzytomny, myślałeś o innej dziewczynie, a na mnie nawet nie spojrzaleś. Każdy by się wkurzył. A prócz tego myślałam, że powinnam przez pewien czas

---

\* Na dachach japońskich domów towarowych zwykle znajdują się place zabaw, salony gier, piwiarnie itp.

trzymać się od ciebie z daleka. Żeby różne rzeczy się wyjaśniły.

- Jakie różne rzeczy?

- Nasze stosunki. Krótko mówiąc, coraz bardziej lubiłam się z tobą spotykać. Bardziej niż z moim chłopakiem. Nie uważasz, że to nienormalne i nienaturalne? Oczywiście jego też lubię. Chociaż to wielki egoista i faszysta o wąskich horyzontach, ma również dobre cechy. Poza tym to pierwszy chłopak, z którym się poważnie związałam. Ale ty jakoś wiele dla mnie znaczysz. Kiedy jesteśmy razem, mam wrażenie, że idealnie do siebie pasujemy. Ufam ci, lubię cię i nie chcę cię stracić. Innymi słowy, miałam coraz większy zamęt w głowie. Wyznałam wszystko szczerze chłopakowi i poprosiłam o radę. Co mam zrobić? Powiedział, że mam się z tobą nie spotykać. Jeżeli chcę się z tobą spotykać, muszę z nim zerwać.

- I co zrobiłaś?

- Zerwałam z nim, po prostu - odparła Midori. Wyjęła papierosa i zapaliła go, osłaniając dłonią zapalnik.

- Dlaczego?

- Dlaczego?!- krzyknęła. - Ty jesteś chyba nienormalny?! Rozumiesz *subjunctive* w angielskim, rozumiesz postępek geometryczny, jesteś w stanie czytać Marksa, dlaczego tego nie rozumiesz?! Po co pytasz o takie rzeczy?! Dlaczego zmuszasz dziewczynę, żeby ci to mówiła? Czy to nie oczywiste?! Bo wolę ciebie od niego. Chciałam się zakochać w kimś przystojniejszym, ale zakochałam się w tobie. Nic na to nie poradzę.

Próbowałam coś powiedzieć, jednak słowa utkwily mi w gardle i nie mogłam nic wykrztusić. Midori wrzuciła papierosa do kałuży.

- Słuchaj, nie rób takiej strasznej miny, bo mi się robi smutno. Nie ma sprawy, wiem, że masz inną dziewczynę i specjalnie na nic nie liczę. Ale przecież chyba możesz mnie objąć? Było mi naprawdę ciężko przez te dwa miesiące.

Objęliśmy się pod parasolkami obok automatów do gry. Przywarliśmy do siebie, nasze usta się spotkały. Jej włosy i kołnierz dżinsowej kurtki pachniały deszczem. Jakie dziewczyny są miękkie i ciepłe, pomyślałem. Nawet przez kurtkę czułem wyraźnie jej piersi. Zdawało mi się, że od bardzo dawna nie dotykałem żywego człowieka.

- Spotkałam się z nim wieczorem tego dnia, kiedy się ostatnio widzieliśmy. I zerwałam - powiedziała.

- Kocham cię. Kocham całym sercem. Nie chcę cię utracić. Ale nie ma wyjścia. Teraz nie

mogę zrobić żadnego ruchu.

- Z jej powodu?

Skinąłem głową.

- Powiedz mi: spałeś z nią?

- Tylko raz rok temu.

- I od tego czasu się z nią nie widziałeś?

- Spotkaliśmy się dwa razy. Ale nie spaliśmy ze sobą.

- Dlaczego? Ona cię nie kocha?

- Nie umiem powiedzieć. Sytuacja jest bardzo zawiła. Są różne skomplikowane problemy i ponieważ to się ciągnie od bardzo dawna, sam już nie wiem, jak naprawdę jest. Ona też nie wie. Wiem tylko, że czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za innego człowieka. I nie mogę tej odpowiedzialności odrzucić. W każdym razie w tej chwili tak czuję. Nawet jeżeli ona mnie nie kocha.

- Słuchaj, ja jestem prawdziwą dziewczyną z krwi i kości - powiedziała Midori, przyciskając mi policzek do szyi. - Trzymasz mnie w ramionach, a ja wyznaję, że cię kocham. Zrobię wszystko, co mi każesz. Jestem nieźle zwariowana, ale równocześnie dobra, uczciwa, pracowita, dość ładna, mam kształtne piersi, dobrze gotuję, pieniądze po ojcu mam zainwestowane w fundusz powierniczy. Nie uważasz, że byłabym świetnym nabytkiem? Jeżeli mnie nie zechcesz, znajdę kogoś innego.

- Potrzebuję czasu. Czasu na zastanowienie, zebranie myśli, podjęcie decyzji. Przykro mi, lecz teraz nie mogę nic więcej powiedzieć.

- Ale kochasz mnie całym sercem i nie chcesz mnie utracić, tak?

- Oczywiście, że tak.

Midori odsunęła się i spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Dobrze, poczekam na ciebie. Bo ci ufam. Ale kiedy mnie zechcesz, będziesz chciał tylko mnie. I kiedy mnie weźmiesz w ramiona, będziesz myślał tylko o mnie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Świetnie rozumiem.

- Możesz mi robić, co chcesz, tylko nie rań mi serca. Do tej pory wiele przecieriałam, już więcej nie chcę. Chcę być szczęśliwa.

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem.



- Puść tę głupią parasolkę i obejmij mnie mocno obiema rękami - powiedziała Midori.

- Przecież bez parasolki przemokniemy do suchej nitki!

- Nie szkodzi. To nie ma znaczenia. Chcę, żebyś przestał myśleć i objął mnie. Czekałam na to całe dwa miesiące.

Odłożyłem parasolkę na ziemię i mocno objąłem Midori w padającym deszczu. Szum samochodów jadących autostradą otoczył nas jak mgła. Deszcz padał bezgłośnie i uparcie. Zmoczył nam kompletnie włosy, spływał po policzkach jak łzy, zabarwił jej dzinsową kurtkę i moją żółtą wiatrówkę ciemniejszymi kolorami.

- Może schowamy się pod jakiś dach? - zapytałem.

- Chodźmy do mnie. Dziś nie ma nikogo. Inaczej się przeziębimy.

- Masz rację.

- Wyglądamy, jakbyśmy się przeprawiali w bród przez jakąś rzekę - powiedziała Midori ze śmiechem. - Ach, było bardzo przyjemnie.

W stoisku z ręcznikami kupiliśmy dość duży i po kolei poszliśmy do łazienki wysuszyć włosy. Żeby dojechać metrem do jej mieszkania w Myogadani, wystarczyła jedna przesiadka. Midori od razu kazała mi wziąć prysznic, a potem sama zrobiła to samo. Moje rzeczy schły, więc pożyczyła mi szlafrok, a sama przebrała się w koszulkę polo i spódniczkę. Napiliśmy się kawy, siedząc przy kuchennym stole.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła Midori.

- Co o sobie?

- Hm... czego nie lubisz?

- Kurczaków, chorób wenerycznych i gadatliwych fryzjerów.

- A prócz tego?

- Samotnych wieczorów kwietniowych i koronkowych pokrowców na telefon.

- A prócz tego?

Potrząsnąłem głową. - Nic prócz tego nie przychodzi mi do głowy.

- Mój chłopak, to znaczy, mój były chłopak, nie lubił różnych rzeczy: że noszę strasznie krótkie spódniczki, że palę, że się od razu upijam, że mówię nieprzyzwoite rzeczy, że krytykuję jego kolegów... dlatego jeżeli coś ci się we mnie nie podoba, nie krępuj się, powiedz. Poprawię, co się da poprawić.

- Nic takiego nie ma - powiedziałem po krótkim zastanowieniu, potrząsając głową. - Nic.

- Naprawdę?

- Podoba mi się to, conosisz. I to, co robisz, co mówisz, jak chodzisz, jak się upijasz.

Wszystko mi się podoba.

- Naprawdę mogę być taka, jaka jestem?

- Nie wiem, jak miałabyś się zmienić, więc bądź taka, jaka jesteś.

- A jak bardzo mnie kochasz?

- Tak bardzo, że mógłbym stopić na masło wszystkie tygrysy we wszystkich dżunglach na świecie.

- Aha - powiedziała jakby trochę usatysfakcjonowana. - Przytulisz mnie jeszcze raz?

Leżeliśmy objęci w łóżku w jej pokoju. Przy dźwięku deszczu całowaliśmy się pod kołdrą i rozmawialiśmy o wszystkim, poczynając od powstania świata do tego, czy lubimy jajka na twardo, czy na miękko.

- Ciekawe, co robią mrówki w deszczowe dni - zastanawiała się Midori.

- Nie wiem. Pewnie sprzątają mrowisko albo robią remanent magazynu. Bo przecież są bardzo pracowite.

- Skoro są takie pracowite, dlaczego nie wyewoluowały i ciągle są mrówkami?

- Nie wiem. Może ich struktura powoduje, że niełatwo poddają się ewolucji? Na przykład w porównaniu z małpami.

- Jednak wielu rzeczy nie wiesz. Myślałam, że jesteś najmądrzejszy na świecie.

- Świat jest szeroki.

- Góry wysokie, a morze głębokie - dodała Midori, a potem wsunęła mi dłoń pod szlafrok i ujęła mój twardego członek. Głośno nabrała powietrza. - Słuchaj, Watanabe, przepraszam cię, ale nic z tego nie będzie. Poważnie mówię. Coś takiego wielkiego i twardego za nic się nie zmieści. Nie ma mowy.

- Chyba żartujesz - powiedziałem z westchnieniem.

- Żartuję - zachichotała Midori. - W porządku, nie martw się. Jakoś się zmieści. Słuchaj, mogę sobie dokładnie obejrzeć?

- Rób, na co masz ochotę.

Midori zniknęła pod kołdrą i przez chwilę obmacywała mój członek. Pociągała skórę, ważyła w dłoni jądra. Potem wystawiła głowę i zaczerpnęła powietrza. - Strasznie mi się podoba. Nie mówię tego tylko po to, żeby ci zrobić przyjemność.

- Dzięki - powiedziałem po prostu.

- Ale nie chcesz ze mną tego robić, prawda? Do czasu, aż różne rzeczy się wyjaśnią.

- Jak mógłbym nie chcieć? Tak bardzo chcę, że o mało nie zwariuję. Nie mogę.

- Co z ciebie za uparciuch! Na twoim miejscu na pewno bym się nie hamowała. A dopiero później bym się zastanawiała.

- Naprawdę?

- Nie - odparła cicho. - Pewnie bym się powstrzymała. A poza tym to mi się w tobie bardzo podoba. Naprawdę, naprawdę mi się podoba.

- Jak bardzo ci się podoba? - zapytałem, lecz Midori nie odpowiedziała. Zamiast tego przywarła do mnie, dotknęła wargami mego sutka i zaczęła powoli poruszać dłonią, w której ścisnęła mój członek. Od razu poczułem, że jej dotyk bardzo różni się od dotyku Naoko. Obie robiły to delikatnie i cudownie, lecz każda inaczej i dlatego było to zupełnie inne doświadczenie.

- Słuchaj, Watanabe, myślisz o innej dziewczynie, prawda?

- Nie - skłamałem.

- Naprawdę nie?

- Naprawdę.

- Nie chcę, żebyś myślał o innych dziewczynach, kiedy jesteś ze mną.

- Nie mógłbym myśleć o innej dziewczynie.

- Chcesz dotknąć moich piersi albo tam?

- Chciałbym, ale chyba lepiej, żebym nie dotykał. Jak będziemy robili za dużo różnych rzeczy na raz, nie będę się mógł powstrzymać.

Midori skinęła głową, potem szamocząc się po kołdrę, zdjęła majteczki i przycisnęła do mojego członka. - Możesz na to.

- Pobrudzą się.

- Nie gadaj głupot, bo się rozplączę - jęknęła Midori płaczliwie. - Przecież wystarczy uprać. Nie krępuj się i nie hamuj. Jak ci żal, to kup mi nowe. Chyba że na nie nie możesz, bo są moje i ci się nie podobają?

- Skądże!

- No to nie krępuj się. No, nie powstrzymuj się.

Miałem wytrysk i Midori badawczo obejrzała moje nasienie. - Ale dużo! - powiedziała z podziwem.

- Za dużo?

- Coś ty, głupku jeden! A komu to przeszkadza? - roześmiała się i pocałowała mnie.

Późnym popołudniem Midori poszła po zakupy do pobliskiego sklepu i zrobiła obiad. Popijając piwo, zjedliśmy przy kuchennym stole tempurę i ryż z zielonym groszkiem.

- Dużo jedz i zrób dużo nasienia - powiedziała Midori. - A ja będę dla ciebie miła i pomogę ci się go pozbyć.

- Dzięki.

- Wiesz, znam różne sposoby. Nauczyłam się z magazynów dla kobiet, kiedy prowadziliśmy księgarnię. Był specjalny artykuł dla kobiet w ciąży, które nie mogą normalnie. O tym, jak na różne sposoby sobie z tym radzić, żeby mąż nie zaczął zdradzać. Naprawdę są różne sposoby. Cieszysz się już na to?

- Pewnie, że się cieszę.

Pożegnałem się z Midori i w pociągu powrotnym przejrzałem wieczorne wydanie gazety, lecz uświadomiłem sobie, że nie mam najmniejszej ochoty czytać, a poza tym wcale nie rozumiem tego, co czytam. Wpatrując się w tę niezrozumiałą gazetę, zastanawiałem się, co dalej ze mną będzie, jak się zmieni sytuacja. Chwilami miałem wrażenie, że otaczający świat pulsuje jak tętno. Westchnąłem głęboko i zamknąłem oczy. Wcale nie żałowałem tego, co się dziś stało, i byłem przekonany, że gdyby przyszło mi przeżyć ten dzień ponownie, postąpiłbym dokładnie tak samo. Pewnie znów mocno objąłbym Midori w deszczu na dachu, przemókłbym do suchej nitki i ona tak samo ręką doprowadziłaby mnie do orgazmu w swoim łóżku. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Kochałem ją i byłem bardzo szczęśliwy, że do mnie wróciła. Na pewno wszystko dobrze by się między nami ułożyło. Poza tym Midori - jak sama powiedziała - jest prawdziwą dziewczyną z krwi i kości i chciałem zawsze móc trzymać w ramionach jej ciepłe ciało. Ledwie udało mi się powstrzymać gwałtowne pragnienie, żeby ją rozebrać do naga, zmusić do poddania i zanurzyć się w jej ciepłe. Nie było mowy o zatrzymaniu jej palców, kiedy zaczęły się powoli poruszać, ściskając mój członek. Pragnąłem tego, ona też pragnęła i kochaliśmy się. Kto mógłby się powstrzymać? Tak, kochałem Midori. I pewnie powinienem był wcześniej zdać sobie z tego sprawę. Po prostu przez długi czas nie chciałem się sam przed sobą do tego przyznać.

Problem polegał na tym, że nie mogłem wyjaśnić Naoko, jak doszło do takiej sytuacji. W innych okolicznościach byłoby inaczej, lecz nie mogłem powiedzieć Naoko, która była teraz w

takim stanie, że zakochałem się w innej dziewczynie. Poza tym Naoko też kochałem. Niewątpliwie ją kochałem, pokaźna część mego serca była zarezerwowana tylko dla niej, ale była to miłość przedziwnie zniekształcona.

Mogłem tylko napisać do Reiko i szczerze jej wszystko wyznać. Wróciłem do domu, usiadłem na werandzie i patrząc na ogród w nieprzerwanie padającym deszczu, ułożyłem sobie w głowie kilka zdań. Następnie usiadłem przy biurku i zabrałem się do pisania. Ogromnie mi ciężko na sercu, że muszę napisać do Ciebie taki list - zacząłem. Dalej opisałem w skrócie swój związek z Midori i to, co dziś zaszło.

Zakochałem się w Naoko i dalej ją kocham, lecz to, co zrodziło się między mną a Midori, to coś niejako definitywnego. Czuję, że nie uda mi się oprzeć tej sile i dam się jej ponieść. Moja miłość do Naoko jest raczej spokojna, łagodna i czysta, natomiast do Midori żywię zupełnie inne uczucie. Ono żyje, chodzi, oddycha i pulsuje. Elektryzuje. Nie wiem, co zrobić, mam zamęt w głowie. Wcale nie próbuję się usprawiedliwiać. Staralem się żyć najuczciwiej jak mogłem i nikogo nie okłamałem. Przez cały czas uważałem, żeby nikogo nie zranić i dlatego nie mam pojęcia, jak znalazłem się w takiej pułapce. Co powinienem zrobić? Jesteś jedyną osobą, której mogę się poradzić.

Wysłałem ten list ekspresem tego samego wieczoru. Odpowiedź przyszła po pięciu dniach z datą siedemnastego czerwca.

Najpierw dobre wiadomości: stan Naoko poprawia się szybciej, niż się spodziewano. Rozmawiałam z nią raz przez telefon i mówiła wyjątkowo klarownie. Być może niedługo będzie mogła tu wrócić.

Teraz o Tobie: myślę, że nie należy tak poważnie wszystkiego traktować. Kochanie kogoś to cudowna rzecz i jeżeli tylko miłość jest szczerą, nikt nie może się znaleźć w pułapce. Uwierz w siebie. Moje rady są bardzo proste. Po pierwsze, jeżeli Midori tak Cię pociąga, to nic dziwnego, że się w niej zakochałeś. Może wam się razem powiedzie, a może nie. Ale miłość właśnie na tym polega. Moim zdaniem to naturalne, że zakochany człowiek zdaje się całkowicie na miłość. To jeden z przejawów uczciwości.

Po drugie, to czy sypiasz z Midori, czy nie, jest Twoją prywatną sprawą i ja nie mogę się

wypowiadać. Naradź się z Midori i znajdźcie jakieś rozsądne rozwiązanie.

Po trzecie, Naoko nie mów o tym ani słowa. Jeżeli dojdzie kiedyś do sytuacji, że będziesz musiał jej powiedzieć, we dwoje zastanowimy się nad jakąś odpowiednią taktyką. Na razie więc umówmy się, że nic jej nie powiesz. W tej sprawie zdaj się na mnie.

Po czwarte, do tej pory byłeś dla Naoko wielką podporą i nawet jeżeli nie kochasz jej już tak jak dawniej, możesz dla niej zrobić mnóstwo rzeczy. Dlatego postaraj się tak poważnie nad wszystkim nie zastanawiać. Wszyscy (mam tu na myśli nas wszystkich: normalnych i nienormalnych) jesteśmy niedoskonałymi ludźmi żyjącymi na niedoskonałym świecie. Życie nie polega na mierzeniu wszystkiego linijką i kątomierzem, żeby bilans się zgadzał jak na rachunku bankowym. Prawda?

Odnoszę wrażenie, że Midori jest wspaniałą dziewczyną. Z Twojego listu widać, że jesteś nią oczarowany. Rozumiem też, że możesz być jednocześnie oczarowany Naoko. To nie jest żaden grzech. Takie rzeczy ciągle się na tym szerokim świecie zdarzają. To jakby wypłynąć łodzią na piękne jezioro w pogodny dzień: i niebo jest ładne, i jezioro piękne. Przestań się tak zamartwiać. Nawet bez naszego udziału wszystko ułoży się tak, jak ma się ułożyć, i choćby człowiek nie wiem jak się starał, prędzej czy później ktoś zostanie zraniony. Takie jest życie. Brzmi to, jakbym się wymądrzała, ale już czas, żebyś się nauczył tak żyć. Czasami za bardzo próbujesz dopasować rzeczywistość do swojego sposobu życia. Jeżeli nie chcesz skończyć w szpitalu psychiatrycznym, otwórz się trochę, poddaj się nurtowi. Nawet ktoś tak bezsilny i niedoskonały jak ja czasami myśli: "Jakie życie jest wspaniałe!". To szczerza prawda! Dlatego bądź o wiele, wiele szczęśliwszy. Pracuj nad swoim szczęściem.

Oczywiście żałuję, że Twój związek z Naoko nie zakończy się happy endem. Ale w sumie nikt nie wie, czy to byłoby najlepsze, prawda? Dlatego nie krępuj się nikim i kiedy zdaje Ci się, że coś może dać ci szczęście, chwytaj tę okazję i bądź szczęśliwy. Wiem z doświadczenia, że taka szansa przychodzi tylko ze dwa, trzy razy w życiu i jeżeli się ją przegapi, żałuje się potem do śmierci.

Codziennie gram na gitarze, choć nie mam dla kogo, i jakoś mnie to nudzi. Nie lubię też ciemnych deszczowych wieczorów. Chciałabym kiedyś znów pograć na gitarze dla Ciebie i Naoko, jedząc winogrona. Na tym kończę.

Reiko Ishida

## 11

Po śmierci Naoko Reiko nadal do mnie pisała. Pocieszała, że to nie moja wina, że to niczyja wina, że to coś, czego nikt nie mógł powstrzymać, tak jak nikt nie może powstrzymać deszczu. Lecz ja jej nie odpowiadałem. Co mógłbym napisać? A poza tym było mi już wszystko jedno. Naoko zniknęła z tego świata, zmieniła się w garść popiołu.

Po cichym pogrzebie pod koniec sierpnia wróciłem do Tokio, zawiadomiłem właściciela domu, że wyjeżdżam na pewien czas. Poszedłem też do restauracji i powiedziałem, że bardzo przepraszam, ale przez pewien czas nie będę mógł pracować. Do Midori napisałem krótki list: nadal nie mogę jej nic powiedzieć i proszę, żeby jeszcze trochę na mnie poczekała, choć wiem, że to trudne.

Potem przez trzy dni chodziłem po kinach i od rana do wieczora oglądałem filmy. Kiedy obejrzałem już wszystkie, jakie wyświetlano w Tokio, spakowałem potrzebne rzeczy do plecaka, podjąłem w banku oszczędności, poszedłem na dworzec Shinjuku i wsiałem w pierwszy pospieszny, jaki się nawinął.

Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, gdzie byłem i jak się tam dostałem. Dość wyraźnie pamiętam krajobrazy, zapachy i dźwięki, lecz żadnych nazw miejscowości. Nie pamiętam też kolejności. Przemieszczałem się z jednego miasteczka do drugiego pociągami, autobusami, a czasem autostopem, jeżeli trafiła się jakaś ciężarówka. Rozkładałem śpiwór gdzie się dało: na dworcach, w parkach, nad brzegami rzek czy morza lub w dowolnym miejscu nadającym się do spania i zapadałem w sen. Kiedyś policjant pozwolił mi się przespać w swojej budce, spałem też raz przy cmentarzu. Dopóki nikomu nie przeszkadzałem i mogłem się wyspać, było mi obojętne, gdzie się kładę. Zmęczony wędrówką owijałem się śpiworem, wypijałem parę dużych haustów taniej whisky i zapadałem w sen. W niektórych miasteczkach życzliwi ludzie przynosili mi jedzenie i spirale przeciw komarom. W innych nieżyczliwi wzywali policję i przepędzali mnie z parków. Ale na mnie ani jedno, ani drugie nie robiło wrażenia. Pragnąłem jedynie zapaść w sen w nieznanym mieście.

Kiedy kończyły mi się pieniądze, pracowałem fizycznie przez kilka dni i trochę zarabiałem. Wszędzie była jakaś praca. Wędrowałem bez celu, przenosiłem się tylko z jednego miasteczka do drugiego. Świat jest szeroki, pełen zdumiewających rzeczy i dziwnych ludzi. Raz zadzwoniłem do Midori. Strasznie chciałem usłyszeć jej głos.

- Słuchaj no, zajęcia zaczęły się już sto lat temu - powiedziała. - Na niektórych trzeba pisać referaty. Co ty właściwie masz zamiar zrobić? Od trzech tygodni nie dajesz znaku życia. Gdzie jesteś i co robisz?

- Przepraszam, ale nie mogę wrócić do Tokio. Jeszcze nie.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Teraz nie mogę powiedzieć nic sensownego. W październiku...

Midori rozłączyła się bez słowa.

Podróżowałem dalej. Czasami zatrzymywałem się w jakimś tanim hoteliku, kąpałem się i golilem. Przeglądałem się w lustrze - wyglądałem doprawdy strasznie. Opalenizna wysuszyła mi skórę, oczy się zapadły, a wychudłe policzki pokrywały dziwne plamy i zadrapania. Wyglądałem, jakbym dopiero co wypełził z jakiejś jamy, lecz po bliższym przyjrzeniu się nie miałem wątpliwości, że to moja własna twarz.

Posuwałem się brzegiem morza, wzdłuż gór. Byłem w prefekturze Tottori, a może na północnym wybrzeżu Hyogo, gdzieś w tamtych okolicach. Łatwo było wędrować wzdłuż morza, ponieważ na plaży zawsze znajdowało się jakieś przyjemne miejsce na nocleg. Rozpalałem ognisko z kawałków drewna wyrzuconego na brzeg i piekłem suszone ryby kupione w miejscowym sklepie. Piłem whisky i wsłuchując się w odgłos fal, myślałem o Naoko. Dziwne wydawało mi się, że umarła i już jej nie ma na tym świecie. Ciągle jeszcze nie mogłem przyjąć tego do wiadomości. Nie mogłem w to uwierzyć. Słyszałem, jak zabijano gwoździami jej trumnę, a mimo to nadal nie mogłem się pogodzić z faktem, że odeszła w nicość. Wspomnienia były zbyt żywe. Pamiętałem, jak delikatnie otoczyła mój członek wargami, a jej włosy pokryły moje podbrzusze. Pamiętałem tamto ciepło, jej oddech i uczucie, że nie mogę powstrzymać wytrysku. Wspomnienie było świeże, jakby to się działo pięć minut temu. Zdawało mi się, że Naoko jest obok i wystarczy wyciągnąć rękę, a będę mógł jej dotknąć. Lecz jej już nie było. Jej ciało przestało istnieć.

Nocami, kiedy nie mogłem usnąć, przywoływałem różne obrazy Naoko. Musiałem. Wypełniało mnie bardzo wiele wspomnień, wszystkie na raz próbowały się wyrwać na zewnątrz przez każdą nawet najmniejszą szparkę. Nie mogłem powstrzymać ich zalewu.

Przypominałem sobie, jak w ten deszczowy poranek ubrana w żółtą pelerynę od deszczu sprzątała ptaszarnię i nosiła torby z karmą. Pamiętałem w połowie zgnieciony tort urodzinowy i łyżę Naoko na mojej koszuli tamtego wieczoru. Tak, wtedy też padał deszcz. Zimą chodziła obok



mnie w płaszczu z wielbłądziej wełny. Zawsze nosiła spinkę we włosach i ciągle jej dotykała. I zawsze patrzyła na mnie swymi niewiarygodnie przejrzystymi oczami. Ubrana w niebieski szlafrok siadywała z nogami na kanapie i brodą opartą o kolana.

Wspomnienia atakowały mnie jedno po drugim jak fale przyływu i przenosiły w jakieś szczególne miejsce zamieszkane przez zmarłych, w którym przebywała Naoko. Mogliśmy rozmawiać, a nawet się obejmować. Śmierć nie była tam decydującym elementem oznaczającym koniec życia. Stanowiła jedynie jeden z jego składników. Naoko żyła w tym świecie dalej, nosząc w sobie śmierć. I mówiła do mnie: "Wszystko jest w porządku. To tylko śmierć. Nie przejmuj się".

Będąc tam, nie czułem smutku, ponieważ śmierć była jedynie śmiercią, a Naoko - Naoko. "Patrz, wszystko jest w porządku, przecież tu jestem" - mówiła, śmiejąc się zakłopotana. Jej drobne, znajome gesty kołysały moje serce, leczyły. Pomyślałem, że jeżeli to jest śmierć, to śmierć nie jest taka zła. "Tak, śmierć to nic wielkiego - mówiła Naoko. - To tylko śmierć. A poza tym bardzo dobrze się tu czuję" - słyszałem pomiędzy uderzeniami ciemnych fal.

Kiedy zaczynał się odpływ, zostawałem na plaży sam. Byłem bezsilny, nie miałem dokąd iść, a smutek spowijał mnie, stając się głęboką ciemnością. W takich chwilach często płakałem w samotności. A właściwie nie płakałem - łzy same płynęły strumieniami jak strugi potu.

Śmierć Kizukiego nauczyła mnie czegoś, co przyjąłem filozoficznie. A przynajmniej tak myślałem. Była to rzecz następująca: "Śmierć nie jest przeciwieństwem życia a jego częścią".

Rzeczywiście, taka była prawda. Żyjąc, jednocześnie pielęgnujemy w sobie śmierć. Lecz jest to tylko jedna z prawd, jakie musimy poznać. Śmierć Naoko nauczyła mnie, że żadna prawda nie może uleczyć smutku po stracie ukochanej osoby. Nie może go uleczyć żadna prawda, żadna uczciwość, żadna siła, żadna dobroć. Przeżywszy ten smutek w pełni, możemy się jedynie czegoś z niego nauczyć, lecz to, czego się nauczymy, wcale nam się nie przyda, kiedy nadejdzie następny, niemożliwy do przewidzenia smutek. Nocą, słuchając w samotności grzmotu fal, szumu wiatru, dzień po dniu wiodłem takie rozmyślenia. Opróżniając kolejne butelki whisky, odżywiając się chlebem i popijając wodę z manierki, z plecakiem i włosami pełnymi piasku szedłem wzdłuż brzegu na zachód, coraz dalej na zachód.

Pewnego wietrznego wieczoru, gdy zalewając się łzami, leżałem przy wraku łodzi owinięty śpiworem, podszedł do mnie młody rybak i zaproponował papierosa. Przyjąłem. Zapaliłem po raz

pierwszy od dziesięciu miesięcy. Zapytał, dlaczego płaczę. Nieomal odruchowo skłamałem, że umarła mi matka i wyruszyłem na wędrowną, nie mogąc znieść smutku. Współczuł mi z całego serca. Przyniósł z domu dużą butelkę sake i dwie szklaneczki.

W szalejącym wietrze piliśmy razem na plaży sake. Powiedział, że on też, kiedy miał szesnaście lat, stracił matkę. Nie była silna, zbyt ciężko pracowała od rana do wieczora, zniszczyła sobie zdrowie i umarła. Nie słuchałem go uważnie, popijałem sake i przytakiwałem w odpowiednich miejscach. Zdawało mi się, że ta opowieść dobiega z jakiegoś strasznie dalekiego świata. No i co z tego? - pomyślałem. Nagle poczułem gwałtowną złość, miałem nieomal ochotę go udusić. Co mnie obchodzi twoja matka?! Ja straciłem Naoko! Takie piękne ciało zniknęło z tego świata! A ty mi tu gadasz o swojej matce?!

Lecz złość szybko minęła. Zamknąłem oczy i na pół przytomnie słuchałem niekończących się opowieści rybaka. Wkrótce zapytał, czy jadłem już kolację. Odparłem, że nie, ale mam w plecaku chleb, ser, pomidory i czekoladę. Wtedy spytał, co jadłem na obiad. Odpowiedziałem, że chleb, ser, pomidory i czekoladę. Kazał mi poczekać i gdzieś poszedł. Próbowałem go zatrzymać, ale nawet się nie odwrócił i zniknął w ciemności.

Co miałem robić? Sam dalej piłem sake. Plażę pokrywały strzępki opakowań po fajerwerkach, fale, zupełnie jakby coś doprowadziło je szale, z hukiem rozbijały się o brzeg. Skądś przyszedł wychudzony pies. Machając ogonem, krążył wokół ogniska, szukając czegoś do jedzenia, ale kiedy zrozumiał, że niczego nie znajdzie, zrezygnował i zniknął.

Po półgodzinie młody rybak wrócił z dwiema tackami sushi i nową butelką sake. - Te zjedz od razu - powiedział. - Na tej pod spodem nie ma ryby, więc zostaw sobie na jutro.

Nalał nam sake z nowej butelki. Podziękowałem i w końcu zjadłem całą dwuosobową porcję sushi. Potem znów piliśmy sake. Kiedy nie mogliśmy już więcej pić, zaprosił mnie do siebie do domu na noc, lecz ja odmówiłem; powiedziałem, że wolę się sam przespać na plaży. Nie nalegał. Kiedy się ze mną żegnał, wyjął z kieszeni złożone na czworo pięć tysięcy jenów, wsunął mi do kieszeni kurtki i powiedział, że bym sobie za to kupił coś pożywczego, bo strasznie źle wyglądam. Wzbraniałem się, mówiąc, że i tak był dla mnie bardzo życzliwy i nie mogę na koniec jeszcze brać od niego pieniędzy, ale nie chciał ich przyjąć z powrotem. Powiedział, że to nie pieniądze, a wyraz jego sympatii, więc mam się nie zastanawiać i brać. Cóż było robić? Podziękowałem.

Po odejściu rybaka nie wiadomo dlaczego pomyślałem o swojej pierwszej dziewczynie, z którą spałem w trzeciej klasie liceum. Świadomość tego, jak strasznie ją potraktowałem, zmroziła

mi krew w żyłach. Praktycznie w ogóle nie zastanawiałem się nad tym, co myślała, co czuła, jak ją zraniłem. I aż do tej chwili na dobrą sprawę nigdy o niej nie myślałem. To była bardzo dobra dziewczyna, lecz wtedy uważałem taką dobroć za coś oczywistego i odszedłem, nie oglądając się za siebie. Zastanawiałem się, co może teraz robić, czy mi przebaczyła.

Ogarnęły mnie straszne mdłości i zwymiotowałem obok starej łodzi. Za dużo wypięłem, bolała mnie głowa. Było mi nieprzyjemnie, że okłamałem tego rybaka, a potem wziąłem od niego pieniądze. Pomyślałem, że może czas wracać do Tokio. Nie mogę przecież w nieskończoność tak wędrować. Zwinąłem śpiwór, wsadziłem do plecaka i zarzuciwszy go na plecy, poszedłem na stację. Zapytałem kolejarza, jak najszybciej wrócić do Tokio. Sprawdził w rozkładzie: jeżeli wsiądę w nocny pociąg i przesiądę się po drodze, na rano dotrę do Osaki, a tam będę mógł wsiąść w superekspres. Podziękowałem i kupiłem bilet za pieniądze od rybaka. Czekaając na pociąg, kupiłem też gazetę i sprawdziłem datę. Drugi października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Nie było mnie przez cały miesiąc. Muszę jakoś wrócić do rzeczywistości, pomyślałem.

Ten miesiąc wędrówki ani nie poprawił mi nastroju, ani nie złagodził szoku wywołanego śmiercią Naoko. Wróciłem do Tokio mniej więcej w tym samym stanie, w jakim wyjechałem. Nie mogłem się nawet zdobyć na telefon do Midori. Nie wiedziałem, od czego zacząć rozmowę. Co miałbym powiedzieć? "Wszystko się skończyło. Bądźmy razem szczęśliwi". Oczywiście tego nigdy bym nie wykrztusił. Bez względu na to, jak bym zaczął, jakich słów bym użył, musiałbym powiedzieć o jednym fakcie: Naoko umarła, Midori została. Naoko stała się garstką białego popiołu, a Midori jest żywą istotą.

Czułem się skalany, nieczysty. Po powrocie przez kilka dni nigdzie nie wychodziłem. Większość moich wspomnień dotyczyła zmarłych, nie żywych. Moja pamięć przypominała pusty dom. Pomieszczenia przeznaczone w nim dla Naoko miały spuszczone żaluzje, meble osłaniały białe pokrowce, na parapetach zebrała się warstewka białego kurzu. Codziennie spędzałem większość czasu w tych pokojach. Myślałem też o Kizukim. Hej, Kizuki, w końcu zdobyłeś Naoko. Nie ma rady, zawsze należała do ciebie. Pewnie jest tam, gdzie powinna być. Ale na tym świecie, na tym niedoskonałym świecie żywych zrobiłem dla niej, co mogłem. Starłem się stworzyć dla nas obojga nowe życie. No, dobrze, oddaję ci ją. Przecież wybrała ciebie. Powiesiła się w głębi lasu, ciemnego jak jej serce. Wiesz, Kizuki, dawno temu zabrałeś część mnie ze sobą do świata zmarłych. A teraz Naoko zabrała ze sobą kolejną część. Czasami zdaje mi się,

że zostałem woźnym w muzeum. Pustym muzeum, którego nikt nie odwiedza i którego pilnuje tylko sam dla siebie.

Cztery dni po moim powrocie do Tokio przyszedł ekspres od Reiko. Treść była niezwykle prosta: "Nie mogę się z Tobą od dawna skontaktować i bardzo się martwię. Zadzwoń do mnie. Będę czekała pod tym numerem o dziewiątej rano i wieczorem".

O dziewiątej wieczorem wykręciłem numer. Od razu odebrała.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Jakoś leci - odparłem.

- Słuchaj, czy mogę cię na przykład pojutrze odwiedzić?

- Odwiedzić? Czyli przyjeżdżasz do Tokio?

- Tak. Chciałabym z tobą spokojnie porozmawiać.

- To znaczy, że wyjdiesz stamtąd?

- Jeśli nie wyjdę, nie będę się mogła z tobą zobaczyć, prawda? Już chyba czas wyjść. Jestem tu od ośmiu lat. Jak dłużej zostanę, zgniję.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, i milczałem przez chwilę.

- Przyjadę pojutrze superekspresem. Będę na Dworcu Tokijskim o trzeciej dwadzieścia. Wyjdiesz po mnie? Pamiętasz jeszcze, jak wyglądam? Czy też po śmierci Naoko przestałam cię interesować?

- Żartujesz. Będę czekał pojutrze o trzeciej dwadzieścia na Dworcu Tokijskim.

- Od razu mnie poznasz. Nie będzie zbyt wielu kobiet w średnim wieku z futerałem na gitarę.

Rzeczywiście od razu ją poznałem. Miała na sobie męską tweedową marynarkę, białe spodnie, czerwone tenisówki, włosy jak zawsze krótkie, sterczące tu i ówdzie. W prawej ręce niosła brązową skórzaną torbę podróżną, a w lewej czarny futerał na gitarę. Na mój widok uśmiechnęła się, a jej twarz pokryła się zmarszczkami. Mimowolnie odpowiedziałem uśmiechem. Wziąłem od niej torbę i poszliśmy na peron linii Chūō.

- Słuchaj, Watanabe, od kiedy tak strasznie wyglądasz? Czy też może ostatnio w Tokio taki wygląd jest modny?

- To dlatego, że przez pewien czas mnie nie było. Włączyłem się tu i tam. Niezbyt dobrze się odżywiałem. Jak było w superekspresie?

- Strasznie. Okna się nie da otworzyć. Zamierzałam kupić sobie coś do jedzenia od sprzedawcy na peronie, ale nic z tego nie wyszło.

- Chyba sprzedają coś w pociągu?

- Chodzi ci o te drogie i niesmaczne kanapki? To się nawet dla psa nie nadaje. Dawniej lubiłam sobie kupować ryż z doradą na peronie w Gotemba.

- Jak będziesz mówiła takie rzeczy, wszyscy wezmą cię za staruszkę.

- Niech wezmą. Jestem przecież staruszką.

W drodze do Kichijoji ze zdziwieniem patrzyła przez okno na krajobraz okolic Musashino.

- Czy po ośmiu latach nawet krajobraz się zmienia? - zapytałam.

- Słuchaj, Watanabe, nie wiesz, jak ja się teraz czuję, prawda?

- Nie wiem.

- Tak się boję, że zaraz zwariuję ze strachu. Nie wiem, co robić. Rzucona sama w takie miejsce. Nie uważasz, że "zaraz zwariuję" to ładne wyrażenie?

Roześmiałam się i ścisnęłam jej rękę. - Wszystko będzie dobrze. Nie masz się czym martwić, przecież wydostałaś się stamtąd o własnych siłach.

- Nie wydostałam się stamtąd o własnych siłach. Wydostałam się dzięki tobie i Naoko. Nie mogłam już znieść tego miejsca bez Naoko, musiałam też przyjechać do Tokio i spokojnie z tobą porozmawiać. Dlatego stamtąd wyszłam. Gdyby nic się nie stało, być może zostałabym tam do końca życia.

Skinąłem głową.

- A jakie masz plany na przyszłość?

- Pojadę do Asahikawy. Do Asahikawy!\* - odparła Reiko. - Moja dawna przyjaciółka z konserwatorium prowadzi tam szkołkę muzyczną i od paru lat namawia mnie, żebym przyjechała jej pomóc. Do tej pory odmawiałam, mówiąc, że tam dla mnie za zimno. Gdybyś po tylu latach wychodził na wolność, chyba nie przyszłoby ci do głowy, żeby się osiedlić w Asahikawie? To kompletna dziura, prawda?

- Nie jest taka straszna - powiedziałam ze śmiechem. - Raz tam byłem. Wcale niezłe miasto. Miało ciekawą atmosferę.

- Naprawdę?

- Uhm. Na pewno lepiej mieszkać tam niż w Tokio.

---

\* Asahikawa - miasto na północnej wyspie Hokkaido.

- Nie mam wyboru, przecież muszę się gdzieś podziać. Poza tym wysłałam już rzeczy. Słuchaj, Watanabe, odwiedzisz mnie tam kiedyś?

- Oczywiście, że odwiedzę. Jedziesz prosto tam? Zostaniesz chyba trochę w Tokio?

- Uhm. Jeśli to będzie możliwe, chciałabym najpierw spokojnie spędzić tu ze dwa, trzy dni.

Czy mogłabym się do ciebie wprosić? Nie sprawię ci kłopotu.

- Ależ proszę bardzo. Mogę się przespać w śpiworze w szafie.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę.

- Nic nie szkodzi. To ogromna szafa.

Reiko wybijała lekko palcami jakiś rytm na futerał gitary, który trzymała między kolanami.

- Pewnie będę musiała się trochę przyzwyczaić przed wyjazdem do Asahikawy. Jeszcze niezupełnie przywykłam do świata na zewnątrz. Mnóstwa rzeczy nie wiem i jestem spięta. Pomożesz mi trochę? Nie mam nikogo prócz ciebie, na kim mogłabym się oprzeć.

- Pomogę ci, jak tylko będę umiał najlepiej.

- W niczym ci nie przeszkadzam?

- W czym miałabyś mi przeszkadzać?

Reiko spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, leciutko unosząc kąciki ust. Milczała.

Wysiedliśmy z pociągu w Kichijoji i ruszyliśmy na przystanek autobusowy. Przez resztę drogi do domu prawie się nie odzywaliśmy. Zamieniliśmy tylko parę słów o tym, że Tokio się zmieniło, trochę o latach studenckich Reiko w konserwatorium i o moim pobycie w Asahikawie. Nie padło ani jedno słowo na temat Naoko. Nie widziałem Reiko od dziesięciu miesięcy, lecz idąc obok niej, czułem niezwykle spokojny i ukojenie. Wydawało mi się, że już kiedyś tego doświadczyłem. Uświadomiłem sobie, że dokładnie tak samo czułem się, chodząc po Tokio przy boku Naoko. Tak samo jak dawniej łączył mnie z Naoko zmarły Kizuki, teraz z Reiko łączyła mnie ze zmarłą Naoko. Na tę myśl zaniemówiłem. Reiko przez chwilę jeszcze o czymś opowiadała, ale kiedy zauważyła, że się nie odzywam, umilkła i tak w ciszy wsiedliśmy do autobusu i przyjechaliśmy do domu.

Było pogodnie jasne popołudnie, tak samo jak rok temu, kiedy pojechałem do Kioto odwiedzić Naoko. Chmury były białe i wydłużone - kształtem przypominały kości - a wysoko, wysoko nad nimi ogromne niebo. Znowu idzie jesień, pomyślałem. Zapach wiatru, kolor światła, drobne kwiatki kwitnące w trawie, sposób, w jaki niosły się dźwięki - wszystko zwiastowało, że

nadchodzi. Z każdym nadejściem tej samej pory roku rosła odległość między mną a zmarłymi. Kizuki ma ciągle siedemnaście lat, Naoko będzie miała dwadzieścia jeden. Nigdy się to nie zmieni.

- W takim miejscu robi się człowiekowi lżej na sercu - powiedziała Reiko, kiedy po wyjściu z autobusu rozejrzała się po okolicy.

- Bo nic tu nie ma.

Weszliśmy tylną furtką. Pokazałem Reiko domek, a ona pochwaliła różne rzeczy.

- Co za świetne mieszkanie! - powiedziała. - To wszystko sam zrobiłeś? Te półki i biurko?

- Tak, sam - odparłem, zalewając wrzątkiem herbatę.

- Prawdziwy z ciebie majsterkowicz, Watanabe. I tak ładnie posprzątane.

- To dzięki Komandosowi. To on nauczył mnie czystości. Ale dzięki temu właściciele się cieszą, że tak o wszystko dbam.

- A właśnie. Pójdę się z nimi przywitać. Mieszkają po drugiej stronie ogrodu, tak?

- Przywitać? Masz zamiar się z nimi witać?

- Oczywiście, że tak. Co sobie pomyślą, jak zobaczą, że pojawiła się u ciebie dziwna kobieta w średnim wieku grywająca na gitarze? Takie rzeczy lepiej od razu wyjaśnić. Specjalnie po to przywiozłam ciasteczka.

- O wszystkim pomyślałeś - powiedziałem z podziwem.

- To przychodzi z wiekiem. Powiem, że jestem twoją ciotką ze strony matki i przyjechałam w odwiedziny z Kioto, więc uważaj, żebyś się nie wygadał. W takich sytuacjach różnica wieku ułatwia sprawę. Nikt nie będzie miał żadnych dziwnych podejrzeń.

Z pudełkiem ciasteczek wyjętym z torby poszła do właścicieli, a ja wziąłem sobie herbatę, usiadłem na werandzie i popijając, bawiłem się z kotem. Reiko nie było przez dwadzieścia minut. Po powrocie wręczyła mi puszkę krakersów ryżowych, które przywiozła dla mnie.

- O czym wyście rozmawiali przez dwadzieścia minut? - zapytałem, chrupiąc krakersy.

- O tobie, oczywiście - odparła Reiko, podnosząc kota i przytulając do niego policzek. - Bardzo porządny i pilny student. Jestem pełna podziwu.

- Mówisz o mnie?

- Oczywiście, że o tobie - odpowiedziała, śmiejąc się. Zauważyła moją gitarę, podniosła, trochę podstroila i zagrała *Desafinado* Antonia Carlosa Jobima. Dawno nie słyszałem, jak gra na

gitarze, lecz teraz - tak jak i przedtem - poczułem, jak robi mi się ciepło na sercu.

- Ćwiczysz grę na gitarze?

- Walała się w składziku, więc sobie pożyczyłem i czasem brzdąkam.

- To potem dam ci darmową lekcję - powiedziała Reiko, odkładając gitarę. Zdjęła tweedową marynarkę i oparłszy się o słupek werandy, zapaliła papierosa. Pod marynarką miała koszulę w kratkę z krótkimi rękawami.

- Ładna koszula, prawda? - zapytała.

- Tak - zgodziłem się. Rzeczywiście miała świetny krój.

- To koszula Naoko. Wiesz, że nosiliśmy praktycznie ten sam rozmiar? Szczególnie zaraz po jej przyjeździe. Potem trochę nabrała ciała i nosiła większy, ale i tak miałyśmy prawie ten sam. Koszule, spodnie, buty, czapki. Może tylko staniki różne. Ja praktycznie nie mam piersi. Dlatego zawsze pożyczaliśmy sobie ubrania. A raczej uważaliśmy prawie wszystko za wspólne.

Spojrzałem na Reiko innymi oczami. Rzeczywiście miała prawie identyczną posturę jak Naoko. Z powodu kształtu twarzy i szczupłych nadgarstków zawsze odnosiłem wrażenie, że jest drobniejsza i szczuplejsza od Naoko, lecz kiedy się przyjrzałem, zauważyłem, że jest dość dobrze zbudowana.

- Tak samo te spodnie i marynarka. Wszystko jest Naoko. Nie sprawia ci przykrości, że noszę jej ubrania?

- Nic podobnego. Naoko pewnie też się cieszy, że ktoś je nosi. Szczególnie, że ty nosisz.

- To było bardzo dziwne - powiedziała Reiko, strzelając lekko palcami. - Naoko nie zostawiła dla nikogo żadnego listu, napisała tylko coś w sprawie ubrań. Zostawiła na stole pospiesznie nabazgraną kartkę - zaledwie jedną linijkę. "Moje ubrania proszę oddać Reiko". Nie uważasz, że to dziwaczne? Dlaczego myśli o ubraniach, mimo że ma za chwilę umrzeć? Przecież takie rzeczy nie mają znaczenia. Powinna mieć mnóstwo innych rzeczy do powiedzenia.

- Może nie miała?

Pałac papierosa, Reiko zatopiła się w myślach. - Chcesz, żebym ci wszystko po kolei opowiedziała?

- Opowiedz, proszę.

- Wyniki badań w szpitalu dowodziły, że na razie jej stan się poprawił, lecz z myślą o przyszłości lepiej byłoby poddać ją gruntownej, intensywnej terapii, więc postanowiono, że



zostanie na dłuższy czas przeniesiona do tego szpitala w Osace. O tym, zdaje się, ci pisałam. Chyba wysłałam ten list koło dziesiątego sierpnia.

- Tak, dostałem go.

- Dwudziestego czwartego sierpnia zadzwoniła jej matka. Powiedziała, że Naoko pragnie na krótko wrócić do sanatorium, i zapytała, czy by mi to nie przeszkadzało. Chce sama popakować swoje rzeczy i porozmawiać ze mną, ponieważ nie będziemy się przez dłuższy czas widziały. Chciałaby przyjechać i spędzić w sanatorium jedną noc. Powiedziałam, że wcale by mi nie przeszkadzało. Ja też miałam wielką ochotę się z nią zobaczyć i porozmawiać. Następnego dnia, dwudziestego piątego, przyjechały obie z matką taksówką. I we trzy, gawędząc na różne tematy, spakowałyśmy rzeczy Naoko. Pod wieczór powiedziała matce, że dalej sama sobie poradzi i matka może już wracać do domu. Wezwano taksówkę i matka odjechała. Naoko wydawała się w świetnej formie, toteż wcale się o nią nie martwiłyśmy. Prawdę mówiąc, do tego czasu strasznie się martwiłam, że może być okropnie przygnębiona, załamana albo wyniszczona. Wiedziałam, jak bardzo człowieka wyczerpują takie badania w szpitalu, terapia, więc martwiłam się, czy aby wszystko z nią w porządku. Ale już na pierwszy rzut oka było widać, że ma się dobrze. Wyglądała znacznie lepiej, niż się spodziewałam, uśmiechała się, żartowała, mówiła o wiele normalniej niż przedtem, miała też nowe uczesanie, bo ponoć była u fryzjera. Pomyślałam, że w tej sytuacji nie ma się co martwić i poradzimy sobie nawet bez jej matki. Naoko powiedziała, że tym razem zamierza się porządnie i całkowicie wyleczyć w szpitalu. Ja odparłam, że tak pewnie będzie najlepiej. Potem poszłyśmy na spacer i rozmawiałyśmy o rozmaitych rzeczach. O tym, co zamierza robić w przyszłości i tak dalej. Mówiła, że najlepiej by było, gdybyśmy mogły jakoś stamtąd wyjść i razem zamieszkać.

- Ona z tobą?

- Tak - potwierdziła Reiko i lekko wzruszyła ramionami. - Ja odpowiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu, ale co na to powie Watanabe. Na co ona oznajmiła: "Ja to z nim załatwię tak jak trzeba". Tylko tyle. A dalej mówiła o tym, gdzie byśmy zamieszkały i co byśmy robiły. Następnie poszłyśmy do ptaszarni, pobawiłyśmy się z ptakami.

Wyjąłem z lodówki piwo i się napiłem. Reiko znów zapaliła papierosa. Kot spał smacznie na jej kolanach.

- Ona już wcześniej wszystko obmyśliła. Na pewno dlatego się uśmiechała, była wesoła i wyglądała tak zdrowo. Pewnie podjęła decyzję i ulżyło jej. Następnie uporządkowała swoje

rzeczy w mieszkaniu. To, co było niepotrzebne, spaliłyśmy w ogrodzie w metalowym koszu do śmieci. Zeszyty, w których pisała pamiętnik, listy, wszystkie takie rzeczy. Twoje listy też. Pomyślałam, że to dziwne, i zapytałam, dlaczego je pali. Do tej pory bardzo starannie przechowywała twoje listy i często je czytała. Na to ona, że "pozbywa się wszystkiego, co miała do tej pory, i odrodzi się na nowo". Ja to naiwnie przyjąłam za przekonujące wyjaśnienie. Jest to w pewnym sensie logiczne. Myślałam sobie: mam nadzieję, że wyzdrowieje i będzie szczęśliwa. Tego dnia była naprawdę urocza. Żałuję, że nie mogłam jej zobaczyć.

Później jak zawsze zjadłyśmy kolację w stołówce, wykapałyśmy się, napiłyśmy się dobrego wina, które trzymałam na specjalne okazje, i ja pograłam na gitarze.

Jak zawsze Beatlesów. *Norwegian Wood, Michelle*, jej ulubione piosenki. Byłyśmy w bardzo dobrych humorach, zgasiłyśmy światło, rozebrałyśmy się szybko i poszłyśmy do łóżek. Była strasznie parna noc i mimo otwartych okien do pokoju nie docierał prawie żaden powiew. Na dworze panowała atramentowa ciemność i cykady wydawały się wyjątkowo głośne. Duszący zapach letniej trawy wypełnił pokój. I wtedy Naoko nagle zaczęła mówić o tobie. O seksie z tobą. Opowiadała strasznie szczegółowo. Jak zdjąłeś z niej ubranie, jak jej dotykałeś, jak zrobiła się mokra, jak w nią wszedłeś, jakie to było wspaniałe - naprawdę dokładnie opowiadała mi o takich rzeczach. "Słuchaj, dlaczego nagle teraz mi to opowiadasz?" - zapytałam. Nigdy przedtem nie mówiła tak otwarcie o seksie. Oczywiście czasem rozmawiałyśmy szczerze o seksie w formie terapii, lecz ona za nic nie chciała mówić o żadnych szczegółach, wstydziła się. Więc zdziwiło mnie, że się tak rozgadała.

"Jakoś zachciało mi się o tym mówić - powiedziała. - Mogę przestać, jeżeli wolisz tego nie słuchać".

"Proszę bardzo, mów. Jeśli coś ci leży na sercu i chcesz o tym mówić, to mów. Ja wysłucham" - odparłam.

"Kiedy mi to włożył, tak strasznie, tak strasznie bolało, że nie wiedziałam, co zrobić. - Mówiła dalej. - To był mój pierwszy raz. Byłam mokra, więc udało mu się łatwo wsunąć, lecz bolało. Z bólu prawie kręciło mi się w głowie. Wsadził bardzo głęboko i myślałam, że na tym koniec, ale wtedy lekko podniósł mi nogi i wsunął jeszcze głębiej. Zrobiło mi się zimno. Jakby mnie ktoś zanurzył w lodowatej wodzie. Ręce i nogi zdrętwiały, przeszedł mnie dreszcz. Co teraz będzie, pomyślałam. Czy umrę? Nie szkodzi, mogę umrzeć. On wiedział, że mnie boli, i dlatego tylko wsadził głęboko, a potem przestał się ruszać, tylko delikatnie mnie obejmował i cały czas

całował po włosach, szyi, piersiach, bardzo długo. Wtedy stopniowo się rozgrzałam. A on zaczął się powoli poruszać... Wiesz, Reiko, to było naprawdę wspaniałe. Zdawało mi się, że mózg mi się rozpułynie. Pomyślałam nawet, że chciałabym tak zostać w jego ramionach przez całe życie. Naprawdę tak pomyślałam".

"Skoro ci było tak dobrze, to dlaczego z nim nie zostałeś? Moglibyście to robić codziennie" - zapytałam.

"To byłoby niemożliwe - odpowiedziała Naoko. - Jestem pewna. To przyszło raz i odeszło. Już nie wróci. Z jakiegoś powodu zdarzyło mi się tylko raz w życiu. Ani przedtem, ani potem nic nie czułam. Nigdy nie miałam na to ochoty i nigdy nie byłam mokra".

Oczywiście wytłumaczyłam jej, że to się zdarza młodym kobietom i z wiekiem prawie zawsze samo przechodzi. A poza tym nie ma się co martwić, bo raz już jej się udało. Mnie też zaraz po ślubie nie bardzo wychodziło i było nam ciężko.

"Nie o to chodzi - powiedziała Naoko. - Ja się niczym nie martwię. Ja po prostu już nie chcę, żeby ktoś we mnie wchodził. Nie chcę, żeby mnie ktoś tak niewolił".

Wypiłem do końca piwo, a Reiko dopaliła drugiego papierosa. Kot przeciągnął się na jej kolanach, zmienił pozycję i znów usnął. Reiko wahała się przez chwilę, lecz zapaliła trzeciego.

- Naoko się rozszlochała - ciągnęła Reiko. - Usiadłam na brzegu jej łóżka, głaskałam ją po głowie i mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Taka młoda i ładna dziewczyna jak ty musi być szczęśliwa w ramionach mężczyzny. Była gorąca noc i Naoko zrobiła się zupełnie mokra od potu i łez, więc przyniosłam ręcznik i wytarłam jej twarz i ciało. Nawet majtki miała mokre. Powiedziałam jej, że lepiej zdjąć, i pomogłam jej... wiesz, w tym nie ma nic dziwnego. Przecież myśmy się zawsze razem kąpały, ona była dla mnie jak młodsza siostra.

- Wiem, oczywiście - zgodziłam się.

- Prosiła, żeby ją przytulić. Odmówiłam, bo było strasznie gorąco, ale ona na to, że to ostatni raz, więc ją przytuliłam. Owinęłam ręcznikiem, żeby się nie kleić od potu. Obejmowałam ją przez dłuższą chwilę. Kiedy się uspokoiła, znów otarłam jej pot, ubrałam w piżamę i uśpiłam. Od razu głęboko usnęła. A może tylko udawała, że śpi. No, w każdym razie ślicznie wyglądała. Jak trzynastoletnia albo czternastoletnia dziewczynka, której nigdy w życiu nie spotkała żadna przykrość. Widząc to, ja też poszłam spać, uspokojona.

Kiedy się obudziłam o szóstej, jej już nie było. Piżama leżała rzucona, zniknęło ubranie, adidas i latarka zawsze leżąca przy łóżku. Niedobrze, pomyślałam wtedy. Bo przecież skoro

wzięła ze sobą latarkę, to znaczy, że wyszła stąd jeszcze przed świtem. Na wszelki wypadek sprawdziłam na biurku i tam znalazłam tę kartkę. "Moje ubrania proszę oddać Reiko". Od razu zawiadomiłam wszystkich i podzieliliśmy się - każdy szukał gdzie indziej. Razem przeczesałmy cały teren, poczynając od mieszkań po okoliczne lasy. Udało się ją znaleźć dopiero po pięciu godzinach. Przygotowała się - przywiozła ze sobą nawet sznur.

Reiko westchnęła i pogłaskała kota.

- Napijesz się herbaty? - zapytałam.

- Dzięki, chętnie.

Zagotowałam wodę, zaparzyłam herbatę i wróciłam na werandę. Zbliżał się zmierzch. Słońce wyraźnie słabło, cienie drzew stały się długie, sięgały naszych nóg. Pijąc herbatę, patrzyłam na ogród, w którym dziwnie pomieszane, jakby przypadkowo rozrzucone, rosły złotoliny, azalie i nandina.

- Niedługo przyjechała karetka, zabrała Naoko, a ja musiałam odpowiadać na różne pytania policji. Niby pytali, ale to nie było poważne przesłuchanie. No bo jednak zostawiła coś w rodzaju listu pożegnalnego, więc było to niewątpliwe samobójstwo, a poza tym oni uważają, że samobójstwo to nic dziwnego w przypadku pacjentów szpitala psychiatrycznego. Tylko dla formalności zadają pytania. Zaraz po ich odjeździe wysłałam do ciebie telegram.

- To był smutny pogrzeb - powiedziałam. - Strasznie cichy, mało ludzi. Jej rodzina przejmowała się tylko tym, skąd wiedziałem o pogrzebie. Na pewno nie chcieli, żeby ludzie się dowiedzieli o samobójstwie. Prawdę mówiąc, nie powinienem był iść na jej pogrzeb. Wpadłem w potworny nastrój i od razu wyjechałem.

- Słuchaj, może poszlibyśmy na spacer? - zapytała Reiko. - Chodźmy kupić coś na kolację. Zgłódniałam.

- Dobrze. Na co masz ochotę?

- Na sukiyaki. Już od wielu, wielu lat nie jadłam nic duszonego. Nawet miałam sny o sukiyaki. Jak bulgocze w sosie mięso, pory, pachnące liście chryzantem, makaron, smażone tofu...

- Może być, tylko nie mam w domu odpowiedniego garnka.

- W porządku, ja to załatwię. Pożyczę od właścicieli.

Zaraz poszła do głównego domu i wróciła z imponującym garnkiem, przenośnym palnikiem gazowym i długim gumowym przewodem.

- No jak? Nie byle co, prawda?

- Nie da się ukryć.

W pobliskich sklepach kupiliśmy wołowinę, jajka, warzywa, tofu i inne potrzebne produkty, a w sklepie z alkoholem stosunkowo porządne białe wino. Nalegałem, że zapłacę, ale w końcu Reiko za wszystko zapłaciła.

- Krewni by mnie wyśmieli, gdyby się dowiedzieli, że pozwoliłam siostrzeńcowi zapłacić za jedzenie - powiedziała. - Poza tym mam dość pieniędzy, więc nie martw się. Przecież w końcu nie przyjechałabym bez grosza.

Po powrocie Reiko umyła i nastawiła ryż, a ja podłączyłem przewód gazowy, tak żebyśmy mogli przyrządzić sukiyaki na dworze. Kiedy skończyliśmy przygotowania, Reiko wyjęła własną gitarę, usiadła na ciemniejącej werandzie i jakby testując instrument, zagrała powoli fugę Bacha. Trudniejsze miejsca grała specjalnie wolniej albo szybciej, czasem gwałtownie, a czasem sentymentalnie i z przyjemnością przysłuchiwała się tym różnym dźwiękom. Grając na gitarze, wyglądała jak siedemnasto- albo osiemnastolatka zachwycona nową sukienką. Oczy jej błyszczały, na wargach błąkał się leciutki uśmiech. Skończyła grać, oparła się o słupek i patrząc w niebo, nad czymś rozmyślała.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytałem.

- Pewnie. Myślałam tylko o tym, jaka jestem głodna.

- Nie pojedziesz się spotkać z mężem i córką? Są w Tokio, prawda?

- W Jokohamie. Nie pojedę. Mówiłam ci chyba? Dla nich lepiej będzie nie mieć ze mną nic wspólnego. Mają nowe życie, spotkanie sprawiłoby mi ból. Najlepiej się nie widzieć.

Zgniotła i wyrzuciła pustą paczkę po papierosach, z torby wyciągnęła nową, otworzyła i wyjęła jednego. Włożyła go do ust, lecz nie zapalała.

- Ja już jestem skończona. Widzisz przed sobą tylko wspomnienie dawnej mnie, echo przeszłości. To, co miałam w sobie najcenniejszego, już bardzo dawno umarło i żyję jedynie wspomnieniami.

- Ale ja cię bardzo lubię taką jak teraz. Nieważne, czy to wspomnienie, czy coś innego. A poza tym, choć to może nie mieć dla ciebie znaczenia, bardzo się cieszę, że nosisz ubrania Naoko.

Reiko uśmiechnęła się szeroko i zapaliła zapalniczką papierosa. - Mimo że jesteś taki młody, wiesz, jak sprawić kobiecie przyjemność.

Poczerwieniałem lekko. - Mówię tylko szczerze to, co myślę.

- Wiem, wiem - odparła ze śmiechem.

Wkrótce dogotował się ryż. Wlałem do garnka nieco oleju i zacząłem przygotowywać sukiyaki.

- To nie sen, prawda? - zapytała Reiko, wciągając w nozdrza woń.

- To stuprocentowo rzeczywiste sukiyaki. Mówię z doświadczenia.

Przestaliśmy rozmawiać i w milczeniu pałaszowaliśmy sukiyaki z ryżem, popijając piwem. Mewa przysłała zwabiona zapachem, więc dałem jej trochę mięsa. Najedliśmy się do syta, a później usiedliśmy oparci o słupki werandy i patrzyliśmy na księżyc.

- Jesteś usatysfakcjonowana? - zapytałem.

- Bardzo. Nic dodać, nic ująć - wystękała Reiko. - Pierwszy raz w życiu tyle zjadłam.

- Co chciałabyś teraz robić?

- Trochę odpocząć, a potem iść do łaźni. Włosy mam skołtunione i chcę je umyć.

- Dobrze. Łaźnia jest zaraz obok.

- Przedtem chciałabym cię o coś zapytać, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Spałeś już z tą dziewczyną, Midori? - zapytała.

- Chodzi ci o to, czy uprawialiśmy seks? Nie. Postanowiłem, że nie zrobię tego, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Ale teraz już chyba się wyjaśniło?

Pokręciłem głową bez przekonania. - Mówisz o tym, że ponieważ Naoko umarła, wszystko się jakoś ułożyło?

- Nie. Przecież już przed śmiercią Naoko postanowiłeś, że nie możesz się rozstać z Midori. To czy Naoko żyje, czy nie, nie ma z tym nic wspólnego. Ty wybrałeś Midori, Naoko wybrała śmierć. Jesteś już dorosły i musisz ponosić odpowiedzialność za to, co wybrałeś. Inaczej wszystko pójdzie na marne.

- Nie mogę jej zapomnieć. Powiedziałem jej, że będę na nią czekał, lecz nie mogłem czekać. W rezultacie w końcu ją porzuciłem. Problem nie tkwi w tym, czyja to wina. Problem jest we mnie. Pewnie nawet gdybym jej nie porzucił, skończyłoby się tym samym. Myślę, że Naoko i tak wybrałaby śmierć. Mimo to nie mogę sobie wybaczyć. Mówisz, że ponieważ serce samo tak zdecydowało, nie było na to rady, ale mój związek z Naoko nie był taki prosty. Przychodzi mi na myśl, że od samego początku byliśmy związani na granicy życia i śmierci.

- Jeżeli czujesz jakiś ból po śmieci Naoko, czuj go przez całe życie. I jeżeli możesz się czegoś z niego nauczyć, naucz się. Lecz niezależnie od tego bądź szczęśliwy z Midori. Twój ból nie ma z Midori nic wspólnego. Jeżeli jeszcze bardziej ją zranisz, nie będzie odwrotu. Dlatego musisz być silny, nawet jeśli jest ci ciężko. Dorośnij i bądź dorosły. Wysłałam z sanatorium i przyjechałam aż tutaj specjalnie, żeby ci to powiedzieć. Tak daleko tłukłam się w tej żelaznej trumnie na szynach.

- Rozumiem. Ale jeszcze nie jestem gotów. To był naprawdę smutny pogrzeb. Ludzie nie powinni tak umierać.

Reiko wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po głowie.

- Wszyscy kiedyś tak umrzemy. I ja, i ty.

Do łaźni szło się pięć minut wzdłuż rzeki. Wróciliśmy do domu nieco odświeżeni. Otworzyliśmy wino i piliśmy je, siedząc na werandzie.

- Przynieś jeszcze jeden kieliszek, dobrze?

- Dobrze. Ale po co?

- Urządzimy pogrzeb Naoko - powiedziała Reiko. - Niesmutny.

Przyniosłem kieliszek, a Reiko wypełniła go po brzegi winem i postawiła na tradycyjnej kamiennej latarni ogrodowej. Potem usiadła na werandzie z gitarą na kolanach, oparła się o słupek i zapaliła papierosa.

- A masz zapalniczki? Jeśli masz, to przynieś. Najlepiej jak największe pudełko.

Znalazłem w kuchni duże pudełko i usiadłem obok Reiko.

- Po każdym utworze, wyjmij jedną zapalniczkę i układaj w rządki. Zagram wszystko, co mi przyjdzie do głowy.

Najpierw pięknie i spokojnie zagrała *Dear Heart* Henry'ego Manciniego.

- Podarowałaś Naoko tę płytę, prawda?

- Tak. Na Gwiazdkę dwa lata temu. Bardzo lubiła tę melodię.

- Ja też lubię. Jest bardzo łagodna i piękna. - Zagrała jeszcze lekko parę taktów *Dear Heart* i napiła się wina. - No, ciekawe, ile uda mi się zagrać, zanim się upiję. Nie uważasz, że niezły jest taki niesmutny pogrzeb?

Przeszła do Beatlesów: zagrała *Norwegian Wood*, *Yesterday*, *Mkhelle*, *Something*, zaśpiewała *Here Comes the Sun* i zakończyła piosenką *Pool on the Hill*. Ułożyłem w rzędki

siedem zapalek.

- Siedem - powiedziała Reiko, napiła się wina i zapaliła papierosa. - Ci faceci naprawdę dobrze rozumieją smutek i słodycz, które niesie życie.

Ci faceci to oczywiście John Lennon, Paul McCartney, George Harrison, Ringo Starr.

Reiko odpoczęła chwilę, zgasiła papierosa i znów ujęła gitarę. Zagrała *Penny Lane*, *Blackbird*, *Julia*, *When I am Sixty-Four*, *Nowhere Man*, *And I Love Her* i *Hey, Jude*.

- Ile zagrałam?

- Czternaście.

Westchnęła. - A ty? Umiałbyś zagrać choć jedną piosenkę?

- Bardzo źle.

- Może być bardzo źle.

Przyniosłem własną gitarę i niepewnie przebrnąłem przez *Up on the Roof*. Reiko w tym czasie odpoczywała, paliła i popijała wino. Kiedy skończyłem, zaklaskała.

Potem pięknie i starannie zagrała gitarową wersję *Pawany na śmierć Infantki* Ravela i *Clair de Lune* Debussy'ego. - Tych dwóch utworów nauczyłam się po śmierci Naoko. Jej gust muzyczny nigdy nie wzniósł się ponad zwykły sentymentalizm.

Następnie wykonała kilka utworów Bacharacha: *Close to You*, *Raindrops Keep Falling on My Head*, *Walk On By* i *Wedding Bell Blues*.

- Dwadzieścia - powiedziałem.

- Jestem zupełnie jak żywa szafa grająca - rzuciła wesoło Reiko. - Gdyby zobaczył to któryś z moich profesorów z konserwatorium, chyba by zemdlał.

Popijając piwo i paląc, grała jeden po drugim różne utwory. Zagrała prawie dziesięć melodii w rytmie bossa novy, utwory Rodgersa i Harta oraz Gershwina, Boba Dylana, Raya Charlesa, Carole King, The Beach Boys, Stevie Wondera, *Ue o muite* Sakamoto Kyu, *Blue Velvet*, *Green Fields*, jednym słowem, wszystko, co jej przyszło do głowy. Czasami zamykała oczy i lekko potrząsała głową albo nuciała melodię.

Skończyło się wino, więc przerzuciliśmy się na whisky. Wylałem wino z kieliszka Naoko na kamienną latarnię i napełniłem go whisky.

- Ile już zagrałam?

- Czterdzieści osiem.

Jako czterdziestą dziewiątą piosenkę zagrała *Eleanor Rigby*, a jako pięćdziesiątą - ponownie



*Norwegian Wood*. Potem dała odpocząć rękom i napiła się whisky. - Może tyle wystarczy?

- Wystarczy - zgodziłem się. - Byłaś wspaniała.

- Słuchaj, zapomnij już całkowicie, zupełnie o tym smutnym pogrzebie. Pamiętaj tylko ten.

Był fajny, prawda?

Skinałem głowę.

- A teraz na bis - powiedziała Reiko i zagrała znów fugę Bacha. - Słuchaj, Watanabe, chodźmy do łóżka - zaproponowała cicho, kiedy skończyła.

- Nie do wiary! Właśnie myślałem o tym samym.

W ciemnym pokoju z zasłoniętymi oknami objęliśmy się spragnieni siebie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Zdjąłem jej koszulę, spodnie i bieliznę.

- Wiesz, co? Przeżyłam już różne dziwne rzeczy, lecz nie sądziłam, że kiedyś zdejmie mi majtki o dziewiętnaście lat młodszy chłopak - powiedziała Reiko.

- Wolisz sama zdjąć?

- Nie, możesz zdejmować. Ale nie bądź rozczarowany, bo jestem cała w zmarszczkach.

- Podobają mi się twoje zmarszczki.

- Bo się rozplączę - powiedziała cicho. Całowałem jej ciało, wodziłem językiem po zmarszczkach. Położyłem ręce na drobnych, niemal dziewiczych piersiach, lekko gryzłem sutki, włożyłem palce do wilgotnej, ciepłej wagi i powoli nimi poruszałem.

- Wiesz, Watanabe - wyszeptała mi Reiko do ucha. - To nie tam. To tylko zmarszczka.

- Nawet w takiej chwili potrafisz tylko żartować? - zapytałem zaskoczony.

- Przepraszam, ale ja się boję. Od bardzo dawna tego nie robiłam. Czuję się jak siedemnastolatka, która poszła odwiedzić chłopaka na stacji, a on ją rozebrał.

- Prawdę mówiąc, czuję się właśnie, jakbym niewolił siedemnastolatkę.

Z palcami w owej zmarszczce całowałem jej szyję, uszy, drażniłem sutki. Jej oddech stał się przyspieszony i gdy szyja zaczęła pulsować, rozsunąłem szczupłe nogi i powoli w nią wszedłem.

- Słuchaj, nie muszę się martwić, nie zrobisz mi dziecka, prawda? - zapytała cicho. - Wstydziłabym się zajść w tym wieku w ciążę.

- Nie martw się. Bądź spokojna.

Kiedy wsunąłem członek głęboko, jej ciało zadrżało i westchnęła. Delikatnie głaszcząc jej plecy, poruszyłem się w niej kilka razy i nagle nieoczekiwanie miałem wytrysk. Był gwałtowny,

nie mogłem go zahamować. Trzymając Reiko mocno, kilka razy wlałem nasienie w jej ciepło.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

- Ty głuptasie, nie przejmuj się takimi rzeczami - odparła, klepiąc mnie po pośladkach. -

Zawsze o tym myślisz, kiedy to robisz z dziewczynami?

- No, właściwie tak.

- Ze mną nie musisz. Zapomnij. Kończ sobie, kiedy chcesz i ile chcesz. No jak, dobrze ci było?

- Bardzo. Dlatego nie mogłem się powstrzymać.

- Nie musisz się powstrzymywać. Naprawdę. Mnie też było bardzo dobrze.

- Reiko?

- Co?

- Powinnaś znowu kogoś pokochać. Wydaje mi się, że marnujesz się, a jesteś taka wspaniała.

- Może i tak, zastanowię się. Ciekawe, czy ludzie w Asahikawie w ogóle się kochają?

Po pewnym czasie mój członek znowu zeszytniał i wszedłem w Reiko. Wstrzymała oddech i wygięła się pode mną. Trzymając ją w ramionach, poruszałem się spokojnie i rozmawialiśmy na różne tematy. Wspaniale było rozmawiać, będąc w jej ciele. Zażartowałem, a Reiko zachichotała i mój członek poczuł, jak jej ciało drży. Długo się tak obejmowaliśmy.

- Bardzo mi jest tak dobrze - powiedziała Reiko.

- Ruszanie się też jest niezłe - odparłem.

- No to spróbuj trochę.

Uniosłem jej biodra, wszedłem w nią głębiej i rozkoszowałem się przyjemnością poruszania się kolistymi ruchami, a kiedy już byłem w pełni usatysfakcjonowany, miałem wytrysk.

W sumie tej nocy kochaliśmy się cztery razy. Po czwartym stosunku Reiko zamknęła oczy w moich objęciach, westchnęła głęboko i kilka razy lekko zadrżała.

- Nie muszę już nigdy więcej tego robić, prawda? Proszę cię, powiedz, że nie muszę. Powiedz, że mogę być spokojna, bo mam dość na całe życie.

- Kto to może wiedzieć?

Namawiałem Reiko, żeby poleciała samolotem, bo jest szybciej i wygodniej, lecz ona obstawała przy pociągu.

- Lubię prom do Hakodate. Poza tym nie chcę latać w powietrzu - powiedziała.

Odwiozłem ją na dworzec Ueno. Siedzieliśmy na ławce na peronie, czekając na pociąg - Reiko z futerałem na gitarę, a ja z jej torbą. Miała na sobie tę samą tweedową marynarkę i białe spodnie, w których przyjechała do Tokio.

- Myślisz, że Asahikawa naprawdę nie jest taka zła? - zapytała.

- To fajne miasto. Niedługo przyjadę cię odwiedzić.

- Naprawdę?

Skinałem głowę. - Napiszę do ciebie.

- Bardzo lubię twoje listy. Ale Naoko je wszystkie spaliła. A były takie ładne!

- To tylko papier. Co ma zostać w sercu, zostaje, nawet jak się spali list. Można przechować, a co nie ma zostać, i tak nie zostanie.

- Szczerze mówiąc, strasznie się boję tego samotnego wyjazdu do Asahikawy. Napisz do mnie. Kiedy czytam twoje listy, zawsze wydaje mi się, że jesteś tuż obok.

- Jeżeli mają ci pomóc, będę pisał tyle, ile będziesz chciała. Ale nie martw się. Na pewno wszędzie sobie poradzisz.

- A poza tym mam wrażenie, że coś we mnie tkwi. Czy to złudzenie?

- To echo przeszłości - powiedziałem ze śmiechem. Reiko też się roześmiała.

- Nie zapomnij o mnie - poprosiła.

- Nigdy nie zapomnę.

- Może już nigdy więcej się nie zobaczymy, ale zawsze i wszędzie będę pamiętała ciebie i Naoko.

Spojrzałem jej w oczy. Płakała. Bez namysłu ją pocałowałem. Wszyscy się na nas gapili, lecz mnie to nie obchodziło. Byliśmy żywi i musieliśmy myśleć jedynie o tym, jak żyć dalej.

- Bądź szczęśliwy - powiedziała Reiko na pożegnanie. - Ostrzegłam cię przed wszystkim, przed czym mogłam. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Tylko: "bądź szczęśliwy". Tylko: "bądź szczęśliwy i za mnie, i za Naoko".

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Zadzwoniłem z budki do Midori i powiedziałem, że muszę z nią porozmawiać. Że mam jej mnóstwo do powiedzenia. Że muszę jej powiedzieć mnóstwo rzeczy.

Tylko ciebie w życiu pragnę. Niczego innego. Chcę się z tobą spotkać i porozmawiać. Chcę z tobą wszystko zacząć od początku.

Midori długo się nie odzywała. Milczenie dłużyło się jak wszystkie drobne deszcze padające na wszystkie trawniki świata. Przez cały ten czas stałem z zamkniętymi oczami i czołem przyciśniętym do szyby. Wreszcie Midori się odezwała. - Gdzie teraz jesteś? - zapytała cicho.

Gdzie ja teraz jestem?

Ze słuchawką w ręce podniosłem głowę i rozejrzałem się wokół budki telefonicznej.

Gdzie ja teraz jestem? Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia. Co to za miejsce? Widziałem jedynie niezliczone postacie ludzi zmierzających nie wiadomo dokąd. Wzywałem Midori z samego środka nikąd.